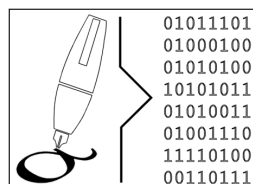


MERCEDES LACKEY
LARRY DIXON

SREBRZYSTY GRYF

Trzeci tom z cyklu
„Trylogia Wojen Magów”

Tłumaczyła: Joanna Wołyńska



Tytuł oryginału:

THE SILVER GRYPHON

Data wydania polskiego: 1998 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1996 r.

*„Dusty’emu” Rhoadesowi, Mike’owi Hackettowi, Scottowi
Rodgersowi i wszystkim innym, którzy wiedzą, że Infobahn
jest narzędziem, nie religią*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wolność!

Tadrith Skandrakae rozpostarł swe wielkie szare skrzydła, napinając mięśnie aż do granic możliwości, aby w pełni wykorzystać ciepły prąd powietrza. *Nareszcie wolność! Myślałem, że nigdy się nie wyrwę z tego zebrania sekcji.* Odbił lekko w lewo, przechylając się dla równowagi. *Wiem, że ten stary kruk nie spuszczał mnie z oka nie z powodu mej aparycji czy wdzięku! Przysięgamy, Aubri chyba czerpie przyjemność z trzymania przy sobie ludzi, którzy wszystko by dali, by być gdzie indziej.* Przymknął oczy, chroniąc się przed blaskiem słonecznym na wodzie. Był świadomy dwóch sił, jednej wyimaginowanej i jednej rzeczywistej: ciepłego dotyku słońca na plecach i silnego prądu wznoszącego pod jego brzuchem. Zresztą może były trzy siły albo i cztery; ciepłe powietrze w dole, w górze gorące słońce i podobne pragnienie ucieczki przed nudą kolejnego zebrania sekcji oraz chęć zmierniania ku czemuś podniecającemu.

Prąd wznoszący pachniał solą i wodorostami; przyniósł oczekiwaną ulgę dla skrzydeł walczących z wiatrem. Po jego lewej stronie olbrzymie Morze Zachodnie lśniło zielenią i błękitem, horyzont był ostrą linią, gdzie spotykał się turkus nieba ze szmaragdem wody. Po prawej widać było Biały Gryf, miasto wybudowane na klifie, od którego białych koronkowych budynków, przeciętych gdzieś niedzie ogrodami, winnicami i wodospadami odbijały się promienie słoneczne. Jak zaplanowano w poprzednim pokoleniu, miasto zbudowano na kształt gryfa ze skrzydłami dumnie rozpostartymi na porośłym mchem kamieniu klifu. W dzień lśniło; w nocy jaśniało, rozświetlone świecami, latarniami i lampami magicznymi. Tadrith kochał je; dumne, obiecujące, wabiące miasto, dom dla tysięcy.

Pod nim oliwkowe wody zatoki biegły spokojnie ku podnóżom klifu i bulgotały wokół pali przystani zwieńczone delikatną koronką piany. Wszystkie keje były puste, jeśli nie liczyć przycumowanych łódeczek, bo flota rybacka Białego Gryfa wróci z połowu dopiero o zmierzchu. Tadrith służył we flocie podczas swego pierwszego roku wśród Srebrzystych Gryfów; młode gryfy były powietrznymi zwiadowcami, rozglądającymi się za stadami ryb, a pod koniec dnia ciągnęły sieci z połowem.

Sieci używano tylko wtedy, kiedy wyciągano ryby na brzeg. Na początku po-

bytu posługiwano się sieciami i więcierzami, ale wkrótce zaniechano tego. Haighlei, ich sprzymierzeńcy, byli przerażeni spustoszeniem, jakiego dokonali rybacy, łapiąc w swe sieci morskie zwierzęta nie nadające się do spożycia i niszcząc je przy okazji łapania ryb. Mieli rację, wypominając Kaled'a'in, że skoro nie pozwalali na takie marnotrawstwo na polowaniach, dlaczego mieliby przemykać na nie oko podczas połowów? W końcu rybołówstwo było po prostu jedną z odmian polowania; nie zabijałeś zwierząt, których nie potrzebowałeś albo które ci nie zagrażały w lesie, więc dlaczego postępować tak na morzu? Teraz flota używała tylko wędzisk, które pozwalały na wypuszczanie ryb zbyt młodych lub niejadalnych. Proces był długi i żmudny, ale nie zważali na to, mając pewność, że zapewniają żywność następnemu pokoleniu i dziesięciu po nim.

Dziesięć następnych pokoleń. Zawsze o to się martwią, o następne pokolenia. Planuj i pracuj dla dobra dziesięciu pokoleń, mawia Bursztynowy Żuraw. Nawet jeśli z nas zostanie tylko skóra i kości!

Takie myśli przychodziły od czasu do czasu do głowy każdego mieszkańca Białego Gryfa. Tych młodszych, jak on, nawiedzały co najmniej raz na godzinę; kiedy ciężko pracowali, zjawiały się co kilka minut. W końcu naturalne było, że słoneczny dzień i pokusy, które ze sobą niósł, bardziej zaprzętną uwagę młodego męskiego gryfa niż loty patrolowe czy trzymanie straży ze starszym gryfem, nawet tak przemiłym jak Aubri.

Są miejsca, które muszę odwiedzić, rzeczy, które muszę zrobić. Jestem tego niemal pewien.

Platforma do lądowania, którą wybrał Tadrith, była zajęta, co zresztą wpłynęło na jego wybór. Nie żeby był próżny, skądże znowu! No, nie za bardzo. Ale na platformie były trzy wyjątkowo piękne młode gryfice, wystawiające skrzydła do słońca, czekające w towarzystwie swych matek, aby zupełnym przypadkiem jakiś młody kawaler okazał trochę zainteresowania. Oczywiście, znał wszystkie trzy: Dharra była starsza od niego o rok i zajmowała się magią. Kylleen była rok młodsza i nadal służyła we flocie, a Jerrinni też należała do Srebrzystych. Ona i jej partner byli już wysyłani do zadań samodzielnych i właśnie jej najbardziej chciał zaimponować. Była jak on podobna do jastrzębia i zdecydowanie najatrakcyjniejsza z całej trójki. Ale nie tylko dlatego się nią interesował: należała do Srebrzystych starszych od niego stopniem i jej rozmowy z dowództwem mogły pchnąć go w stronę długo oczekiwanego awansu do zadań samodzielnych.

Noszę odznakę, ale nie pozwolili mi jeszcze wziąć na siebie odpowiedzialności z nią związanej. Nie musiał przyglądać się piersi, aby zobaczyć odznakę miniaturowego gryfa.

Srebrzyste Gryfy, nazwane tak z powodu odznak właśnie, służyły w siłach wojskowych i policyjnych, przejmując obowiązki dawnych wojowników, strażników, zwiadowców i policjantów. Poza tym gryfy ze Srebrzystych, zwłaszcza te młode, które jeszcze nie skończyły szkolenia, odsyłano do różnych innych zadań.

A mówiąc bez ogródek, przełożeni nakazywali im brać udział w tych jakże użytecznych zadaniach. Na przykład ciągnięciu sieci pełnych ryb, przenoszeniu ładunków, zaopatrzeniu, donoszeniu mięsa i owoców z pól na szczycie klifu, żeby wymienić tylko niektóre.

Albo siedzeniu na nudnych zebraniach.

Mam setkę spraw do bezzwłocznego załatwienia. Albo jakby powiedział ojciec, miejsca do odwiedzenia, role do zagrania. Dla niego to żart, ale ja tym żyję bardziej niż on kiedykolwiek, nawet po wszystkich jego przygodach, misjach i rolach. Nawet bardziej, niż podczas Ceremonii Zaćmienia.

Położył się na boku i poddał się kolejnemu prądowi, który zaniósł go dokładnie tam, gdzie chciał się znaleźć.

Myśl o ojcu jak zwykle spowodowała, że się wzdrygnął. Nie, żeby Skandranon był złym ojcem — o, nie! Był wspaniałym nauczycielem, doradcą i przyjacielem. Był dobrym ojcem, ale trudno być synem takiego ojca. Próby dorównania wizerunkowi Czarnego Gryfa były... trudne i irytujące. *Może jest żywą legendą, ale bycie jego synem to piekło na ziemi.*

Ale platforma i atrakcyjne gryfice pojawiły się tuż przed nim i Tadrith poczuł dreszczyk satysfakcji. Był dumny ze swych aerobacji, a szczególnie z samokontroli. Jego matkę, Zhaneel, podziwiano najbardziej ze wszystkich gryfów za finezyjny lot, a on studiował jej technikę znacznie głębiej, niż wyczyny swego ojca. *Chociaż raz Skandranon Wielki nie potrafi zrobić czegoś tak dobrze jak ja...*

Tadrith zatrzymał się nad platformą i wbił się nieco, prezentując swe wdzięki, a potem opadł, składając skrzydła i stanął najpierw na jednej, potem na dwóch, a w końcu na wszystkich czterech łapach; najgłośniejszym dźwiękiem podczas całej operacji było skrzypienie platformy uginającej się lekko pod jego ciężarem. Wszystkie gryfice westchnęły z zachwytu, pozostając pod wrażeniem takiego pokazu kontroli i zręczności, a Kyleen zagruchała głośno i posłała mu uśmiech.

Tak! Zdziałało tak, jak chciałem. Tadrith stanął jak kamienna rzeźba, wyprostował się, składając ciasno skrzydła i strasząc grzebień, tarmoszony przez wietrzyk. *Doskonale. Zobaczę, z jakiej gliny mnie ulepiono. Ojciec nigdy tak nie latał! Runąłby w dół i zwałił je wszystkie z nóg łopotem skrzydeł. Ja mam finezyjny styl!*

Z pełnego rozmarzenia zachwytu nad samym sobą wyrwała Tadritha jedna z matek, mówiąc do drugiej:

— Widziałaś? Naprawdę, z takim stylem latania jest wypisz, wymaluj jak jego ojciec.

Załamany Tadrith opuścił głowę i zszedł z platformy.

Jestem bez szans.

Przynajmniej gryfice zdawały się nie zauważać, jaki efekt wywarła na nim ta wypowiedziana mimochodem uwaga. Nadal rzucały mu zachęcające i pełne podziwu spojrzenia, kiedy odchodził tak wolno i wdzięcznie, jak tylko mógł w podobnych okolicznościach.

Platforma zwisała nad zatoką i wychodziła na jedną z ulic otoczonych balustradą, biegnących wzdłuż krawędzi tarasu. Kaled'a'in, którzy stanowili większość populacji Białego Gryfa, byli przyzwyczajeni do zieleni i nawet w mieście całkowicie wykutym z kamienia zdołali posadzić rośliny. W balustradę wbudowano kamienne donice wypełnione ziemią przyniesioną w woreczkach z pół na górze; w donicach posadzono dzikie wino, które zwieszało się teraz aż do kolejnego tarasu. W innych pojemnikach rosły drzewka lub krzewy, otoczone kwitnącymi ziołami. Woda spływająca po zboczu wystarczała, aby tu i ówdzie stworzyć mały wodospad, spływający malowniczo z tarasu na taras i znikający w morzu. Rośliny rozmieszczono tak, aby tworzyły wzór piór, dodając czystej bieli kamiennego miasta trochę struktury. Częścią filozofii Białego Gryfa, gdy planowano miasto, było „dumne odrodzenie”. Przywódcy ludu — w tym Skandranon — użyli sztuki i stylu uchodźców, aby podkreślić dumę zjednoczenia. Zwykle pudełko było dobre; intarsjowane pudełko było lepsze. To rozbudzanie poczucia własnej godności, kierowane przez kestra'chern, pozwalało ludziom czuć się nie jak pokonani uciekinierzy, ale jak dumni budowniczości.

Filozofia była prosta. Jeśli coś mogło być piękne: czy to ulica, drzwi czy ogród — było piękne.

Domy wykuto w skałę klifu tuż przy ulicy; niektóre sięgały na dwadzieścia czy trzydzieści długości gryfa w głąb. Wielkość domu czy gryfięgo gniazda ograniczona była jedynie zapalem członków rodziny do kopania (albo chęcią zapłacenia komuś za kopanie) i życia w pokojach bez okien za głównymi pomieszczeniami. Gryfy uważały takie miejsca za denerwujące i ograniczające, więc ograniczały kopanie do dwóch pokojów, ale hertasi i kyree oraz niektórym ludziom podobały się takie jamy i ryli głęboko w klifie. W skałach istniały całe kompleksy wykopanych ludzką ręką pomieszczeń i Tadrith musiał przyznać, że jedyną korzyścią płynącą z życia tam był fakt, że mieszkańcy nie musieli zwracać uwagi na pogodę.

Do takich ludzi należał Bursztynowy Żuraw. On i Zimowa Łania wkopali się tak głęboko w skałę, że do ich sypialni nie docierało nigdy światło słoneczne, denerwujące śpiochów. Tadrith wzdrygnął się na samą myśl o takiej ilości kamienia ze wszystkich stron, odcinającego od światła i powietrza. Nie miał pojęcia, jak jego partnerka Klinga mogła to znosić, będąc tak odmienną od rodziców.

Nie, żeby jakikolwiek gryf się martwił, że będzie zmuszony do życia w takiej jamie. Nie, jeśli hertasi i kyree śnią o takich mauzoleach i są gotowe oddać w zamian domy na szczycie klifu. Dawniej, kiedy najważniejszą rzeczą było szybkie wykopanie jaskini, pokoje często umieszczano obok siebie, czasami nawet powiększając istniejące jaskinie. Lampy magiczne, dzięki którym można było drążyć w kamieniu, były limitowane i często przez wiele dni nie mogli używać magii, aby kopać w skałę, więc musieli używać rąk. Robotnicy pracowali według pewnego schematu, który podobał się gryfom, ludziom i tervardi. Dyheli, rzecz jasna, prawie wcale nie potrzebowały schronienia i wszystkie żyły na szczycie

klifu, wśród pól, ale hertasi i kyree źle się czuły, widząc przed sobą niezmierzone obszary morza i nieba, jednak musiały się pogodzić z tymi warunkami, dopóki Kaled'a'in nie znaleźli czasu i środków, aby zbudować coś, co bardziej przypadło im do gustu. To oznaczało, że zawsze zdarzali się tacy, którzy radośnie zamieniali starą „niestabilną grzędę” na nowo wykuta jamę. Oczywiście mieli szersze tarasy, na których stawiano normalne budynki i sadzono drzewa, ale wszystkie mieściły się na obszarze Białego Gryfa i większość placów zarezerwowano dla budynków użyteczności publicznej. Lekko licząc, około trzech czwartych mieszkańców Białego Gryfa chwaliło sobie jaskiniowe domy.

Tak właśnie Tadrith i jego bliźniak, Keenath, zdobyli swoje gniazdo, które pozwoliło im wyprowadzić się od rodziców; znaleźli wąski pas nie zagospodarowanej skały w dole ogona Białego Gryfa i oznajmili, że należy do nich, a potem wynajęli brygadę kamieniarzy, aby wykuli długi, sześciopokojowy dom w skale. Takie pomieszczenia właśnie preferowały kyree kochające nory i hertasi żyjące w jamach. Kiedy zakończono kucie i bliźniaki dały do zrozumienia, że są gotowe się zamienić, o nie wykończone domostwo rozgorzała prawdziwa wojna.

W rezultacie Tadrith i Keenath mieli własne mieszkanie złożone z salonu, spiżarni i dwóch jasnych i przestronnych sypialni po obu stronach salonu. Okna sypialni wychodziły na klif, podobnie jak salonu. Rodzina kyree, która z wdzięcznością zmieniła gniazdo na ciemną, sześciopokojową norę, twierdziła, że była pijana ze szczęścia, opuszczając tę grzędę, po której hulały przeciągi i głośno zastanawiała się, dlaczego ich rodzice w ogóle na niej zamieszkali!

Co dowodzi jedynie, że przytulne gniazdko jednego jest dla drugiego zbieraniną patyków.

Kiedy Tadrith zbliżał się do domu, który znajdował się na pierwszej lotce prawego skrzydła Białego Gryfa, aleja zmieniła się w zwykłą ścieżkę, a balustrada w kupę kamieni, sięgającą do kolan. Prawdopodobnie stąd brało się obrzydzenie kyree do tego miejsca: takie ogrodzenie było niebezpieczne dla małych, niezdarnych szczeniaków. Tadrith i Keenath wzrastali w gnieździe niemal identycznym jak to, ale na pierwszej lotce lewego skrzydła Białego Gryfa; odległość między nimi i ich ukochanymi rodzicami odegrała niemałą rolę w podjęciu decyzji, która rodzina wygra wojnę o mieszkanie.

Tadrith mógł, gdyby tylko zechciał, wylądować na balustradzie przed swymi drzwiami, ale lądowanie gdziekolwiek poza publicznymi platformami było uważane za naruszanie zasad bezpieczeństwa, ponieważ zachęcało ledwo opierzone pisklaki, które zwykle przeceniały swoje umiejętności, do lekkomyślnego zachowania. Nikt nie stracił życia, ale kilkoro złamało nogi, kiedy źle obliczyły odległość podczas lądowania i spadły ze skały albo wpadły prosto w grupę przechodniów. Kiedy grupa rozhisteryzowanych matek zażądała od Rady, aby coś zrobiła w tej sprawie, zainstalowano platformy i wprowadzono rozkaz, aby gryfy i tervardi ich używały. Tadrith i Keenath, z których cały Biały Gryf nie spuszczał oka,

bardzo skrupulatnie przestrzegali nakazu lądowania w wyznaczonych miejscach.

W każdym razie w dzień. Pisklaki nie mogą latać po zmierzchu, więc nikt nie zobaczy, że oszukujemy.

Kiedy pogoda była tak wspaniała jak dziś, drzwi i okna były szeroko otwarte, więc Tadrith po prostu wszedł do domu, stukając szponami o kamień podłogi. Pokój, który zamienili w salon, był przestronny i jasny, a ścianę nośną wyrzeźbiono i podparto długimi drewnianymi belkami. Przejrzysty materiał, z którego Kaled'a' in robili zasłony, zawieszony był na ramach z zawiasami wpuszczonymi w kamień. Na całe umeblowanie składały się różnej wielkości poduszki pokryte materiałami w kolorze piaskowca i granitu, łupka i krzemienia. W zimie na podłodze kładziono grube owcze skóry i wełniane dywany, aby ogrzać zimny kamień, a drzwi i okna zamykano, chroniąc wnętrza przed wiatrem, ale latem wszystkie okrycia chowano w spizarni, a przegrzany gryf mógł się położyć na brzuchu na kamiennej podłodze i szybko się ochłodzić. I, dla ścisłości, Keenath właśnie to robił, rozciągnięty na ziemi z rozłożonymi skrzydłami, dysząc lekko.

— Właśnie myślałem o obiedzie — powitał bliźniaka. — Mogłem się spodziewać, że myśl o żarciu ściągnie cię do domu.

Tadrith parsknął.

— To, że ty masz obsesję na punkcie jedzenia, wcale nie znaczy, że ja też! Przyjmij do wiadomości, że właśnie zwałem z kolejnego straszliwie nudnego zebrania sekcji. Jedzenie było ostatnią rzeczą, o jakiej myślałem, pierwszą była ucieczka przed Aubrim!

Keenath zaśmiał się bezgłośnie, otwierając dziób, jego język pojawiał się i zniknął, a boki drżały.

— Musiał być jakiś powód — drażnił. — Kto to był? Chodzi mi o tę piękną panienkę, o której naprawdę myślałeś. Czyżby Kylleen?

Tadrith nie miał zamiaru dać się złapać w pułapkę.

— Jeszcze się nie zdecydowałem — rzucił od niechcienia. — W końcu mam z czego wybierać i dość niemądre byłoby wyznaczanie stawki od razu na początku wyścigu. Poza tym nie mogę urazić dam, pozbawiając je mojego towarzystwa. Grzeczność wymaga, abym udzielał się tak bardzo, jak tylko mogę.

Keenath wyciągnął szpon i złapał poduszkę, obrócił ją dwa razy i wstał, z wprawą rzucając nią w głowę brata. Tadrith uchylił się, a poduszka przeleciała przez pokój i uderzyła w ścianę.

— Powinieneś uważać — ostrzegł bliźniaka, padając na podłogę. — Zbyt wiele poduszek straciliśmy, bo przeleciały przez klif. Czego się uczyłeś, że tak ciężko dyszysz?

— Pierwszej pomocy i ratunku na polu bitwy, a szczególnie tamowania krwotoków i opatrywania ran — odparł Keenath. — Dlaczego? Nie pytaj mnie; wojny skończyły się na długo przed naszym urodzeniem. Pomysł Zimowej Łani. Pewnie dlatego, że jestem podobny do matki.

Tadrith przytaknął; Keenath wielkością i budową przypominał ich matkę, Zhaneel. Jak ona był właściwie gryfsokołem, a nie gryfem. Był mały i lekki, umięśniony głównie na piersi i ramionach. Z ubarwienia i kształtu ciała przypominał sokoła wędrownego, miał długie i wąskie skrzydła, a co najważniejsze, odziedziczył po Zhaneel zwinne, zredukowane szpony przypominające dłonie.

Było to ważne, bo Keenath uczył się zawodu trondi'irn u samej Zimowej Łani i potrzebował „dłoni” równie sprawnych jak ludzkie. Zanim skończy się termin, pozna wszystkie sztuczki nieobdarzonych uzdrowicieli. Różnicą między nim a uzdrowicielem specjalizującym się w ranach od noża, ziołach czy oparzeniach był fakt, że Keenath skupił się na potrzebach i fizjologii gryfów i innych nieludzi.

Zhaneel wyszkolono na wojownika, a inni zbyt późno zorientowali się, że jej niski wzrost i brak szponów może służyć innym celom, i nie nauczono jej drugiego fachu. Wtedy już wiedziała, jak przystosować styl walki do swego ciała, zamiast naginać się do reguł stworzonych dla innych i z pomocą Skandranona wykorzystywać sytuację, osiągając wspaniałe rezultaty. Ale gdy tylko się okazało, że Keenath wdał się w nią, zachęcono go do wyboru innej drogi życiowej niż wstąpienie do Srebrzystych.

Ale i tak zaskoczył wszystkich, gdy ogłosił, że chce przejść szkolenie na trondi'irn. Do tego czasu to zajęcie było zarezerwowane dla ludzi i hertasi.

Tadrith przeciągnął się i ziewnął, obracając głowę tak, aby lekka bryza pieściła pióra na jego grzebieniu.

— Przynajmniej coś robisz! — narzekał. — Ja tam siedziałem tak długo, aż myślałem, że mój tyłek zmieni się w kamień, a jeśli jakaś część mego ciała ma dziś zeszywnieć, to wołałbym jednak inną. Nawet nie mogłem się zdrzemnąć, bo jak zwykle stary Aubri posadził mnie na samym przodzie. Trzeba podtrzymywać tradycję Czarnego Gryfa, rzecz jasna; trzeba udawać, że każde zebranie sekcji jest równie ważne jak narada wojenna. Zachowywać się tak, jakby każdy szczegół dotyczył życia lub śmierci. — Znów się przeciągnął, zadowolony, że zawsze może opowiedzieć bratu o swej frustracji. — Powinieneś się cieszyć, że wyglądasz tak, jak wyglądasz, Keeth. Bycie synem Skandranona to wystarczająca klątwa, a fakt, że wyglądam jak on, wcale nie ułatwia mi życia! Spróbuj czasami dorównać legendzie! To sprawia, że masz ochotę gryźć!

I aby pokazać siłę swego gniewu, złapał biedną, sponiewieraną poduszkę, którą rzucił w niego Keenath, i potargał ją z wściekłością. Dobrze, że pokryli poduszki grubym lnem, bo niemało się nad nimi znęcali.

— Cóż, jeśli myślisz, że dorównanie legendzie jest trudne, spróbuj się jej przeciwstawić! — odparł, jak zwykle, Keenath. Zamruczał i poszedł w ślady bliźniaka, wyciągając się na podłodze. — Pół dnia zastanawiam się, czy Zimowa Łania daje mi taki wycisk, bo spodziewa się, że się załamie, a przez następne pół jestem przekonany, że robi to, bo wszyscy wiedzą, że Skandranon nigdy nie zawiódł.

Tadrith parsknął i zamachał tylnymi nogami, jakby zakopywał wstrętne pozostawienia.

stałości poprzedniego posiłku.

— Nigdy nie pozwolił odkryć, ile razy zawiódł, a dla twórców legend to jedno i to samo.

Brat współczująco zamruczał i ciągnął:

— A jeśli nie Zimowa Łania to wszyscy inni się gapią, chcąc ujrzeć, czy magia starego Czarnego Gryfa żyje w Keenacie wystarczająco silnie, aby szczeniak mógł dokonać kolejnego cudu. — Otworzył dziób, śmiejąc się szyderczo. — Ty przynajmniej wiesz, jaką drogą pójść: ja lecę we mgle na nieznanym niebie i nie mam pojęcia, czy nie roztrzaskam się o skałę.

Oczywiście, Tadrith miał spory zapas przygotowanych wcześniej odpowiedzi, udowadniających, jak trudno jest podążać śladem Czarnego Gryfa. Była to stara seria narzekań, które oboje znali na pamięć i z radością cytowali.

Komu mogę się wyzalić, jeśli nie bliźniakowi? I choć byli zupełnie niepodobni z wyglądu i charakteru, łączyła ich więź braterstwa i znali się tak, jak tylko bliźniacy potrafią. Wśród gryfów były inne pary bliźniąt oraz jedna lub dwie wśród ludzi i wszyscy się zgadzali: więź między nimi nie przypominała innych związków między rodzeństwem. Tadrith często myślał, że nie poradziłby sobie z presją, gdyby Keenatha nie było w pobliżu, a Keenath mówił to samo o bracie.

W końcu wyciągnęli z tej litanii skarg jeden wniosek, taki mianowicie, że nie ma żadnego wniosku. Wylewali żale co najmniej raz dziennie, dawno już bowiem zdecydowali, że skoro nie mogą zmienić okoliczności, przynajmniej mogą sobie na nie ponarzekać.

— Kto tym razem nadepnął ci na odcisk? — zapytał Keenath. — Przecież chodzi nie tylko o zebranie.

Tadrith przewrócił się na plecy, wystawiając brzuch na chłodną bryzę.

— Czasami myślę, że zrobię coś strasznego, jeśli Klingi i mnie szybko nie przydzielą! — odparł niezadowolony. — Na co czekają? Zapracowaliśmy już na wolność!

— Być może czekają, żebyś okazał trochę cierpliwości, pierzasty — odparł Keenath i zrobił szybki unik, kiedy poduszka pomknęła z powrotem ku niemu.

Być może w jej ślady podążyłyby i inne, gdyby Srebrna Klinga we własnej osobie, partnerka Tadritha, nie wybrała tego momentu, aby pojawić się w drzwiach.

Stała w progu, nieświadomie pozując, a słońce oświetlało jej czarną sylwetkę na tle jaśniejącego nieba. Tadrith wiedział, że poza nie była zamierzona: Klinga nie robiła niczego, aby ściągnąć na siebie uwagę, dopóki nie było to absolutnie konieczne. Gryfy znały ją jako Klingę, ale w dzieciństwie wołano na nią inaczej; była Wietrzną Pieśnią, nazwaną tak przez kochających rodziców bez wątplenia w nadziei, że gdy dorośnie, będzie przypominać jedno z nich. Wietrzna Pieśń było idealnym imieniem dla trondi'irn albo nawet kestra'chern czy też maga lub uzdrowiciela Kaled'a'in. Ale Wietrznej Pieśni nie pociągał żaden z tych

zawodów.

Młoda kobieta, która poruszyła się i weszła do gniazda bezdźwięcznym krokiem myśliwego, była niska jak na członka plemienia Kaled'a'in, ale jej pochodzenie od razu rzucało się w oczy. Krótkie czarne włosy, obcięte tak, że przypominała agresywnego drapieżnego ptaka, otaczały twarz, która mogła zdobić tylko kogoś z klanu k'Leshya, a garbaty nos podkreślał podobieństwo do sokoła, podobnie jak złocista skóra i lśniące błękitne oczy. Nie miała w sobie nic z matki i bardzo mało z ojca.

Pasowała jednak doskonale do tych członków klanu k'Leshya, którzy wywodzili się od wojowników. Mimo niskiego wzrostu stworzono ją na ich podobieństwo. Nic nie sugerowało miękkości czy ustępliwości: w każdym calu była mocną, wytrzymałą wojowniczką, jakby zrobioną z mięśni i rzemienia.

Tadrith przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy zobaczył ją w tej pozie. Dzień, w którym pokazała swą prawdziwą osobowość, miesiąc po swych dwunastych urodzinach, miesiąc, podczas którego przekształciła się z żywego, ale przeciętnego dziecka w surową i nieoszlifowaną wersję osoby, jaką była teraz. Bursztynowy Żuraw wyprawiał jakieś przyjęcie, na które przyszły też dzieci i oczywiście byli wśród nich Tadrith i Keenath. Zimowa Łania podczas posiłku zwróciła się do córki imieniem Wietrzna Pieśń, a dziewczynka niespodziewanie wstała i oznajmiła zebrany mocnym i przenikliwym głosem, że nie będzie już odpowiadać na to imię.

— Będę Srebrzystą — rzekła głośno i z absolutnym przekonaniem. — I chcę być odtąd zwana Srebrną Klingą.

Po czym usiadła, zarumieniona, ale dumna, wśród zaskoczonych i poruszonych do żywego gości. Był to gest dramatyczny nawet dla kogoś tak otwartego jak Tadrith; ktoś tak skryty jak Klinga musiał włożyć w niego mnóstwo woli — albo wyznać prawdę, jak wierzyli k'Leshya. Siła woli pokona wszystkie przeszkody, głosiły księgi i wierzenia, jeśli motywy są szlachetne.

Nic, co robili i mówili jej rodzice, nie nakłoniło jej do zmiany zdania — nie żeby Bursztynowy Żuraw czy Zimowa Łania byli tak samolubni, aby pokrzyżować jej plany. Od tamtego dnia nie reagowała na żadne imię prócz Srebrnej Klingi czy w skrócie Klingi, a teraz nawet rodzice tak się do zwracali niej.

Na pewno lepiej do niej pasuje niż Wietrzna Pieśń. Trzyma ton tak, jak ja kamień!

— Keeth! Słyszałam, że nie zabiłeś dziś zbyt wielu pacjentów, gratuluje! — powiedziała, wpraszając się do pokoju i siadając na jednej z ocalałych poduszek.

— Dzięki — rzucił sucho Keenath. — Nie krępuj się, wejdź.

Zignorowała ten sarkazm.

— Mam dobre wieści, ptaku — powiedziała, odwracając się do Tadritha i uśmiechając szeroko, gdy się przetoczył na brzuch. — Uważałam, że to nie może czekać, a poza tym chciałam ci sama powiedzieć.

— Wieści? — Tadrith usiadł. — Jakie wieści? — Tylko jedna go naprawdę interesowała i tylko tę jedną Klinga mogła przekazać mu osobiście.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Powinieneś być zostać po zebraniu; był powód, dla którego Aubri posadził cię z przodu. Gdybyś był w połowie tak pilny, jak udajesz, już byś o tym wiedział.

— Zamrugła złośliwie. — Mam ochotę trochę to przeciągnąć, żebyś zaczął się wić.

— Co?! — wrzasnął, skacząc na równe łapy. — Mów! Mów w tej chwili! Albo cię... — zamilkł, nie mogąc wymyślić żadnej pogroźki i tylko rozdziawił dziób.

Śmiała się, widząc, jaki był podniecony.

— Cóż, wygląda na to, że wybuchniesz, jeśli nie powiem: mamy to, czego pragnęliśmy. Dostaliśmy pierwsze samodzielne zadanie i to dobre.

Tylko niski sufit powstrzymał go od wzbicia się w powietrze z radości, ale i tak podskoczył wystarczająco wysoko, aby dotknąć go grzebieniem i skrzydłami.

— Kiedy? Gdzie? Kiedy zacnie się akcja? — Szurał pazurami, walił wokół ogonem, niemal tańcząc w miejscu.

Śmiała się z jego reakcji, a potem nakazała usiąść.

— Tak szybko, jak ty i ja zechcemy, ptaku. Ruszamy za sześć dni na sześć miesięcy. Mamy objąć Piąty Posterunek.

Jego radość nie znała granic.

— Piąty? Serio? — zapiszczał cienko jak pisklę i zupełnie się tym nie przejął. — Piąty?

Piąty Posterunek był najdalej wysuniętą placówką na całym terytorium uznanym za własność przez Kaled'a'in i ich sprzymierzeńców Haighlei. Kiedy ci szczególnie uchodźcy dotarli tutaj, uciekając przed ostatecznym kataklizmem, kończącym wojnę Maga Ciszy z Ma'arem podbijającym kontynent, nie wiedzieli, że teren, na którym założyli nowy dom, należał już do kogoś. Nie mieli pojęcia, że wchodził w skład ziem rządzonych przez jednego z Cesarzy Haighlei (których Kaled'a'in znali jako Czarnych Królów), króla Shalamana. Ledwo uniknięto starcia z nimi dzięki wysiłkom Bursztynowego Żurawia i Skandranona, ojców Klingi i Tadritha. Teraz Biały Gryf zawiadywał ziemiami wspólnie z cesarzem, a na mieszkańców spadł obowiązek strzeżenia granicy w zamian za nadanie im terenu, na którym leżało miasto.

Granica ciągnęła się setkami lig w dzikiej puszczy, której cesarz nie był w stanie strzec; sądził, że puszcza sama będzie się bronić. Zadanie wcale nie było tak trudne, jak się zdawało; gdy gryfy latały na patrole, doglądały olbrzymich obszarów prawie bez trudu. Piąty Posterunek był ze wszystkich strażnic najbardziej odległy i odizolowany. Z tego powodu Srebrzyści uważali go za mało pożądaną przydział.

Większość Srebrzystych, ale nie Klinga i Tadrith. Przydział oznaczał trzy całe miesiące w miejscu tak odległym od Białego Gryfa, że nie dojdzie do miasta ani słowo, chyba że wyślą je przez teleson. Nie będzie dookoła czujnych oczu, śledzących, czy potrafi dorównać legendarnemu ojcu. Nie będzie języków mielących bez przerwy o jego wyczynach, prawdziwych czy nie.

Oczywiście, przez trzy miesiące nie będzie też wspaniałych gryfic, ale cena nie była wygórowana. Trzy miesiące wstrzemięźliwości dobrze mu zrobią; przynajmniej odpocznie. Będzie mógł spędzić czas na wymyślaniu nowych, inteligentnych powiedzonek i zagrywek, którymi oczaruje gryfice. Cały ten czas będzie udoskonalał swój czar. Kiedy wróci jako weteran z granicy, powinien oczarować każdą.

Pobyt na posterunkach trwał tak długo głównie dlatego, że bardzo trudno było przetransportować ludzi na miejsce. Chociaż teraz magia działała przyzwoicie, i to od kilku lat, nikt nie chciał jeszcze powierzać swego ciała Bramie. Zbyt wiele rzeczy mogło się nie powieść nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, kiedy to stawiano je tylko po to, aby transportować potrzebne przedmioty. Jedzenie, poczta i specjalne życzenia docierały w ten sposób na posterunki; mag z Białego Gryfa, znający teren, stawiał Bramę. Robotnicy szybko wrzucali w nią paczki, a mag zamykał ją najszybciej jak mógł.

Nikt nie chce otwierać Bram na długo. Nigdy nie wiesz, co może się nie udać albo co może przez nią przeleźć.

— Wiesz oczywiście, że między domem a Piątym rozciąga się olbrzymi nie zamieszkały i nie strzeżony teren — ciągnęła Klinga marząco. — Będziemy zdani wyłącznie na siebie od wyjazdu do powrotu.

— Nie będzie żadnych pięknych gryfie ani ogierów w ludzkiej skórze dla umielenia wygnania? — judził Keenath i aż się wstrząsnął. — Nie szkodzi. W przypadku dam mogę zagwarantować, że nie zauważą twojej nieobecności, bliźniaku.

— Raczej będą krzyżeć z bólu, kiedy poznają twą kiepską technikę, Keeth — odparł Tadrith i wrócił do Klingi. — Wiesz, że to oznacza, iż mają wielkie zaufanie do naszych umiejętności, prawda? Chodzi mi o to, że pierwsze zadania to zwykle...

— Strzeżenie pól, wiem. — rzuciła. — Pewnie dlatego trzymali nas na szarym końcu, trenując i przetrenowując. Chcieli mieć pewność, że jesteśmy gotowi i założę się, że wysyłają nas dlatego, że tylko my naprawdę chcemy tam jechać. Szczerze mówiąc, założę się o ulubiony naramiennik, że Aubri ze wszystkich sił chce nas wysłać na oddalony posterunek!

Uśmiechnęli się do siebie z radością, ponieważ przydział wiązał się z jeszcze jedną rzeczą, której oczekiwali. Od posterunkowych wymagano dokonywania odkryć i od czasu do czasu znajdowali oni coś wartościowego. Cesarz Shalaman dostawał swój udział, podobnie jak skarbiec Białego Gryfa, ale większość znaleziska przypadała wspomnianym wyżej odkrywcom. Nie żeby Tadrith był chciwy,

ale żywił szczególne upodobanie do ozdób, głośno wyrażał swą chęć korzystania z życia i znalezienie czegoś szczególnie cennego pozwoliłoby mu na oddanie się przyjemnościom. Posiadanie klejnotów na pewno ośmieliłoby gryfice i zachęciło je do bliższych kontaktów.

— Jak daleko posunęło się tam odkrywanie? — zapytał.

Oczy Klingi rozszerzyły się.

— Nie za daleko — odparła. — A można odkrywać na inne sposoby, niż przelatywanie nad koronami drzew w nadziei, że coś się pojawi na ziemi.

Przytaknął, śledząc jej myśli. Prawdopodobnie większość Srebrzystych przydzielonych dotychczas do pracy na Piątym Posterunku była gryfami; miało to sens, choć prawdopodobnie strasznie je osłabiało, kiedy nie pomagali im ludzie i hertasi. Człowiek mógł odbyć szczegółowy rekonesans na danym terenie, badając zwierzęta i rośliny tam żyjące oraz pobierając próbki minerałów. Do tego gryf się nie nadawał oraz, szczerze mówiąc, nie miał na to ochoty.

— Od lat nie było kłopotów w tamtym sektorze — prowokowała Kinga. — Będziemy mieć dużo czasu na badania.

— A co najważniejsze, będziecie sami — powiedział Keenath z zawiścią. — Szkoda, że ja nie mogę się wyrwać na kilka miesięcy.

Klinga poklepała go współczująco po ramieniu.

— I pozbawić się pochlebstw, którymi w każdej wolnej chwili obdarzają cię trondi'irn, hertasi i kestra'chern? Straszne! Mógłbyś poprosić o przyjęcie do Srebrzystych, gdy już skończysz szkolenie u Zimowej Łani — zasugerowała. — A potem dostaniesz zadanie gdzie indziej. Może w ambasadzie w Khimbacie; mógłbyś się tam udać jako trondi'irn zajmujący się gryfią strażą cesarza.

Oczy Keenatha rozbłysły, gdy to usłyszał. Tadrith wiedział, co czuł brat. On dla szansy wyrwania się z Białego Gryfa przystałby prawie na wszystko.

Problem polegał na tym, że Skandranon prędzej czy później dowiadywał się o dosłownie wszystkim, co syn zrobił czy powiedział. Nie żeby Skan celowo szpiegował swych synów albo nawet otwarcie ich doglądał. . .

No, w każdym razie nie bardzo. I nie otwarcie.

. . . tylko każdy mówił Czarnemu Gryfowi o wszystkim, co działo się w tym mieście. Mysz nie mogła kichnąć, żeby Skandranon się o tym w końcu nie dowiedział.

My też nie — tyle tylko, że kiedy my kichamy, ktoś gna do ojca z wiadomością. A oprócz tego złoży mu raport, w którym wyszczególni kiedy, gdzie i jak głośno kichnęliśmy.

Nie było to plotkowanie, bo ludzie starali się powtarzać Skandranonowi jak najpochlebniejsze opinie. Skan był bardzo dumny ze swych synów.

Nigdy nie ma dosyć słuchania, jakie to wspaniałe rzeczy robimy Keeth i ja, szczególnie teraz, kiedy nie mieszkamy w rodzinnym gnieździe i nie może nas zmusić do meldowania o naszych poczynaniach. Problem polega na tym, że jest

w stanie najmniejsze osiągnięcie rozdmuchać do rozmiarów wspaniałej strategii wojennej czy aktu heroizmu.

Było to co najmniej zawstydzające.

I oczywiście każdy, kto chciał się podlizać Czarnemu Gryfowi, wiedział, że najkrótszą drogą do jego serca było wychwalanie synów. Skan zmieniłby swój rozkład zajęć, aby dopilnować, czy pochlebca został wysłuchany, a jego sprawa odpowiednio rozpatrzona. Tylko tyle mógł zrobić, ale często to wystarczało.

Keeth nadal wyglądał na zranionego i trochę zazdrosnego, więc Tadrith współczująco potarł mu jego krótkie pędzelki na uszach.

— Szkoda, że nie można cię odesłać z miasta na szkolenie trondi'irn, bliźniaku — zamruczał.

Keenath westchnął.

— Ja też żałuję. Kiedy wszyscy wybieraliśmy przedmiot, który chcieliśmy studiować, próbowałem wymyślić jakąś dyscyplinę, która będzie mnie zadowalać i jednocześnie zagwarantuje mi wyjazd z miasta, ale nie potrafiłem niczego wymyślić. Wiem, że w tym, co robię, będę kiedyś dobry, bo to mi odpowiada, ale oznacza to również, że utknąłem w mieście.

Klinga miała równie współczujący wyraz twarzy jak Tadrith.

— Pamiętaj, Keeth — powiedział gryf do bliźniaka. — Możesz kontynuować to, co robisz i zapracujesz na to, aby uważano cię za wyjątkowego fachowca. Tworzysz własną definicję trondi'irn. Nie musisz stać i rumienić się po uszy z zakłopotania, kiedy podchodzi do ciebie ktoś zachowujący się tak, jakby zaliczenie toru przeszkód było równoznaczne z wykradzeniem jednej z magicznych broni Ma'ara.

Keenath potarł pióra na karku i trzasnął dziobem.

— W pewnym stopniu to prawda, ale jest inny szkopuł. Ojciec mnie zupełnie nie rozumie. Nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego. Kiedy opowiadam o tym, co robię, przybiera dziwny wyraz twarzy, jakbym mówił w obcym języku. — Zaśmiał się słabo. — Podejrzewam, że rzeczywiście tak jest. Cóż, w końcu doczekam się swojej szansy.

— Doczekasz się — obiecała Klinga, ale nie miała zamiaru wstać. — Będę musiała zanieść wiadomość moim rodzicom, zakładając, że jeszcze nie wiedzą, co jest bardzo prawdopodobne. Tad, pomyśl lepiej, co powiesz swoim.

— Dowiedzą się — odparł zrezygnowany Tadrith. — Ojciec pewnie już opowiada każdemu, kto w jego mniemaniu chce słuchać, że jeszcze nigdy nikogo tak młodego jak ja nie wysłano tak daleko na pierwsze zadanie.

Klinga zaśmiała się gorzko.

— Pewnie masz rację. Mój chyba robi to samo, tylko...

Nie skończyła zdania, a Tadrith znał ją na tyle dobrze, aby jej do tego nie zmuszać. Każde z nich miało własne problemy, których rozmowa nie mogła rozwiązać.

Tylko czas.
Taką miał nadzieję.

Srebrna Klinga przysiadła na piętach, kiedy bracia zaczęli się kłócić, co Tadrith powinien spakować. Nie za bardzo spieszyła się do domu; ponieważ nadal mieszkała z rodzicami, nie miała nawet iluzji prywatności, jaką zapewniało własne gniazdo. W chwili, gdy przekroczy próg, zaczęły się pytania i gratulacje, podsyte ledwie skrywanym niepokojem, a w tej chwili nie miała siły, by stawić im czoło.

Wdychała zapach soli i skały nagrzaną słońcem, przymykając oczy. *Uwielbiam to miejsce. Jedyne sąsiadami są inne gryfy, na tyle ciche, aby fale zagłuszały wydawane przez nie dźwięki. Jest cudowne, bo nie ma w pobliżu ludzi, tylko tervardi, gryfy i kilka kyree.*

Jakże zazdrościła Tadowi wolności! Naprawdę nie miał pojęcia, jak łatwo było sobie radzić ze Skanem-rodzicem. Czarny Gryf posiadał silne, choć instynktowne i nie zawsze działające wycucie, kiedy powinien zamknąć dziób i pozwolić Tadowi działać po swojemu. Próbował też powstrzymać swój entuzjazm dla osiągnięć bliźniaków, choć było to dla niego trudne. Ale przynajmniej okazywał aprobatę; Bursztynowy Żuraw nigdy nie był szczęśliwy, że jego córka wybrała taką drogę życiową i chociaż starał się, aby dezaprobata nie wpływała na ich związek, i tak ją czasami okazywał. Jakżeby inaczej?

Być może „dezaprobata” była za mocnym słowem. Bursztynowy Żuraw rozumiał wojowników; pracował z nimi przez większość życia. Głęboko ich szanował. Lubił ich i nawet rozumiał motywy, które kierowały ich czynami.

Nie rozumiał po prostu, dlaczego dziecko jego i Zimowej Łani chciało zostać wojownikiem. *Nie może pojąć, jak on i mama mogli zmajstrować kogoś takiego jak ja. Według wszelkiego prawdopodobieństwa po tym, czego mnie nauczyle, nie powinnam nawet myśleć o takim życiu.*

Tej przepaści pewnie nigdy nie zasypią, a Klinga jeszcze nie wymyśliła wyjaśnienia, które pomogłoby ojcu rozwiązać tę łamigłówkę.

— Klinga, pobawisz się w sekretarkę i zapiszesz mi tę listę? — poprosił Tadrith, przerywając tok jej myśli. — Inaczej mogę zapomnieć coś ważnego.

— Nawet jeśli tak by się stało, zawsze mogą nam to przesłać Bramą — powiedziała i zaśmiała się, kiedy opuścił pędzelki na uszach.

— Byłoby to tak upokarzające, że wolałbym się obejść bez najpotrzebniejszych rzeczy! — wykrzyknął. — Wypominaliby mi to do śmierci! Proszę, weź ołówki i papier z pudełka i pomóż mi, dobrze?

— A po cóż są partnerzy gryfów, jeśli nie do wykonywania papierkowej roboty? — odparła, wstając i idąc przez pokój do sekretarzyka, w którym mieściły się różności, uważane przez bliźniaków za użyteczne, każda na swoim miejscu.

Sekretarzyk, wyrzeźbiony z pachnącego drewna zwanego przez Haighlei sadar, pełen był szufladek wypełnionych różnymi przydatnymi rzeczami. Między nimi leżało pudełko miękkich srebrnych ołówków i blok twardego papirusu, wyprodukowane przez Haighlei. Wyjęła je i wróciła na swe miejsce u boku Tadritha. Oparła się o jego ciepły szeroki bok, używając kolan jako prowizorycznego biurka.

Czekała cierpliwie, gdy bliźniaki spierały się o każdy przedmiot, który miał być umieszczony na liście. Tylko raz w czasie sprzeczki wtrąciła się, gdy Keenath nalegał, aby Tadrith zabrał ze sobą specjalną apteczkę, a Tad protestował ze wszystkich sił.

Poklepała go po ramieniu, by umilkł.

— Kto tu jest trondi'irn? — zapytała. — Ty czy Keeth?

Tadrith gwałtownie obrócił głowę, jakby zapomniał ojej obecności.

— Uważasz, że skoro on jest ekspertem, powinienem go słuchać?

— Oczywiście — odparła sucho. — Po co pytać go o zdanie, skoro i tak go nie posłuchasz, choć wiesz, że jest autorytetem w tych sprawach.

— Ale prawdopodobieństwo, że będziemy potrzebować zestawu do nastawiania kości, jest nieskończenie małe! — zaprotestował. — A ile to waży! Wiesz, że ja będę to wszystko niósł!

— Ale jeśli będziemy potrzebować tej apteczki, nie zastąpimy jej zawartości niczym innym — przypomniała. — Nie wiemy na pewno, czy na posterunku znajduje się ten zestaw, a wolałabym się nie przekonać, że poprzednie zespoły też były tak święcie przekonane o swej nietykalności jak ty. — Keenath nadął się, dumnie prężąc pierś, kiedy, głucha na prośby Tadritha, wpisała apteczkę na listę. — Będę nalegać. A jeśli nie znajdzie się w koszyku, kiedy wyruszymy, poślę po nią. Może się zdarzyć, że będziemy jej potrzebować, a nie będziemy mogli poprosić, aby nam ją przerzucili Bramą.

Tad złożył uszy, pokonany, patrząc na dwie nieprzejednane twarze.

— Wygraliście. Nie mogę się spierać z obojgiem.

Gryfy nie mogą się uśmiechać jak ludzie, ale na tyle kontrolują mięśnie przy dziobie i dolną szczękę, że prawie im się to udaje. Więcej niż cień uśmiechu przemknął po twarzy Keetha, kiedy przeszli do następnego punktu. Jednym z powodów, dla których Klinga czuła się tak dobrze wśród Srebrzystych, a gryfów w szczególności, był fakt, że ich pobudki i myśli były względnie proste i łatwe do odgadnięcia. Zwłaszcza dlatego, że kiepsko kłamały. Gryfy były zbyt impulsywne, aby kogoś zwodzić, tym bardziej, że język ich ciała był bardzo wymowny, wystarczyło tylko obserwować ułożenie piór na twarzach i kąt pochylenia uszu. Choć skomplikowane i uparte, gryfy były też dokładnie takie, jakie się wydawały. Kestra'chern, a szczególnie jej ojciec — Bursztynowy Żuraw, stanowili ich całkowite przeciwieństwo.

Praca uzdrowicieli w pewnym stopniu wiązała się z manipulacją pacjentem.

W ich zajęciu chodziło o to, by sprawić, aby pacjent poczuł się lepiej, osiągnął równowagę psychiczną dzięki lepszemu zrozumieniu siebie samego. Ale pomysł manipulowania kimkolwiek z jakiegokolwiek powodu wcale się jej nie podobał, niezależnie od tego, jak czyste były motywy czy chwalebny efekt.

Och, wiem, że życie nie jest czarno-białe, ale...

Ech, ze Srebrzystymi żyło się prościej. Rozwiązania zazwyczaj były czarne lub białe: kiedy miałeś tylko chwilę na podjęcie decyzji, musiałeś maksymalnie uprościć całą sytuację. Subtelności, jak często mawiała Judeth, zostawiamy na czas wolny.

Zanotowała kolejny punkt i pozwoliła myślom odpłynąć.

Nie mogę się doczekać chwili, gdy będziemy daleko stąd. Szkoda, że nie możemy wyjechać, nie rozmawiając z moimi rodzicami.

Kiedy już wyjadą z Białego Gryfa, po raz pierwszy od lat będzie mogła się rozluźnić. Czowała, że za jej niepokój był pośrednio odpowiedzialny jej ojciec.

Wie za dużo, w tym sęk. Kiedy była dzieckiem, oczywistością zdawało się, że Bursztynowy Żuraw znał wszystkie ważne osoby w Białym Gryfie. Nie znajdowała żadnego powodu, dla którego nie miałyby ich znać. Ale kiedy stopniowo pojmowała, czego tak naprawdę wymagało zajęcie jej ojca, zaczęła mgliście rozumieć, że wiedza, jaką posiadał Bursztynowy Żuraw, była bardzo rozległa.

W końcu pewnego dnia kawałki układanki złożyły się w całość. Olśniło ją, że pozycja jej ojca jako kestra'chern dawała mu olbrzymią władzę.

Jej ojciec nie tylko był wśród wszystkich ważnych ludzi, wiedział też o nich wszystko: znał każde pragnienie, każde marzenie i wahanie. Szczegóły, których, była przekonana, nikt nigdy nie powinien poznać. Takie sekrety dawały temu, kto je poznał, zbyt dużą władzę nad drugim człowiekiem, a to pociągało za sobą niewyobrażalną odpowiedzialność.

Nie żeby ojciec kiedykolwiek użył tej władzy...

A może? Gdyby miał szansę manipulować kimś w sprawie, którą uznał za słuszną, czy oparłby się pokusie? A czy strach, że takie sekrety mogą zostać wyjawione innym, nie spowodowałby, że prawie każdy zgodziłby się spełnić żądania Bursztynowego Żurawia?

Nigdy w życiu nie zauważyła, aby Bursztynowy Żuraw uległ pokusie użycia swej ukrytej władzy, ale był jej ojcem i wiedziała, że nie jest obiektywna w ocenie. A poza tym nie była pewna, czego szukać, gdyby chciała sprawdzić, czy nie nadużywał swej władzy.

Och, to nieprawdopodobne. Ojciec nigdy by nikogo nie skrzywdził, chociażby dlatego, że jest empatą i odebrałby uczucia tej osoby.

Wiedziała o tym; sama była po części empatką, choć niczego nie odczuwała, jeśli nie dotykała drugiej osoby.

Był to jeden z powodów, dla których Bursztynowego Żurawia tak zaskoczyła jej chęć zostania Srebrzystą. Jak empatką mogła wybrać zawód, który wymagał

ranienia, a nawet zabijania innych?

Łatwo. Muszę zapobiec, aby ci ludzie nie zranili ani nie zabili innych.

Nigdy tego nie zaakceptował, podobnie jak faktu, że nie chciała używać swych zdolności empatycznych.

Otrząsnęła się na samą myśl.

Zna każdy obrzydliwy sekret, każdy ukryty lęk, każdą głęboką potrzebę, każdą tęsknotę i żądzę każdego klienta, z którym się kiedykolwiek zetknął. Jak mu się udaje z tymżyc i nie oszaleć, nie mam pojęcia. A poza tym on chce poznać te sprawy... Nigdy nie mogłabym tego uczynić, nigdy. Cała się jeżę na samą myśl. Nie chcę znać nikogo tak blisko. Przypominałoby to zdzieranie naskórka, sobie lub komuś innemu.

Kochała swego ojca i swoją matkę, wiedziała, że są cudownymi, godnymi podziwu ludźmi, ale czasami czuła obrzydzenie do tego, co robili. Jako Srebrzysta musiała tylko zapobiegać bójkom, od czasu do czasu połamać kilka kości i używać siły, gdy słowa nie działały. To było tylko ciało, a nawet posiniaczone i krwawiące ciało się goiło: nie było to tak poważne jak badanie czyjegoś serca.

Od momentu, kiedy pojęła, kim i czym był jej ojciec, żyła w strachu, że ludzie myślą, iż jest taka jak on — że chciała być taka jak on. Najbardziej przerażało ją, iż uważali za oczywiste, że radośnie ich wysłucha, kiedy obnażą przed nią duszę...

Bogowie. Nie. Wszystko, tylko nie to.

Przez jakiś czas, dopóki uzdrowiciele nie pokazali jej, jak kontrolować zdolności empatyczne, bała się nawet dotykać innych, nie chcąc dowiedzieć się więcej, niż zamierzała. Nawet kiedy już nauczyła się blokować niepożądane informacje, miała bzika na punkcie swej prywatności.

Przynajmniej takiej, jaką mogę zyskać, ciągle mieszkając z rodzicami.

Na ile mogła, zatrzymywała myśli tylko dla siebie; nigdy nie zwierzała się z rzeczy, które uważała za bardzo osobiste. Nawet ze spraw dotyczących miłości i pożądania.

Szczególnie ze spraw dotyczących miłości i pożądania.

Teraz zastanawiała się, czy rodzice przypadkiem nie podejrzewali, że ktoś zamienił im dziecko w kołysce. Oto dwoje ludzi, którzy wiedzieli absolutnie wszystko o fizycznej stronie miłości, a ich córka zdawała się tak aseksualna jak mniszka.

Postanowiła, że jej matka ani ojciec nigdy nie będą mieli okazji do najbliższych nawet podejrzeń, że ich córka mogłaby się interesować związkiem z kimkolwiek. Niestety, ich nie zaskoczyłby żaden możliwy związek, w jaki mogłaby się zaangażować. Szczerze mówiąc, zbyt ochoczo sugerowali partnerów i z prawdziwą radością służyliby całą masą rad dotyczących podejścia i techniki, gdyby tylko zadała jedno pytanie!

A Klinga rumieniła się na samą myśl o tym, jakie byłyby te rady! Zachodził tu przypadek nadmiaru informacji.

Dlaczego nie mogą być jak inni rodzice? — pomyślała buntowniczo. Dlaczego nie mogą być zaskoczeni, że już nie jestem niewinną małą dziewczynką, przerażeni myślą, że pewnego dnia pójdę z kimś do łóżka, nie próbują strzec mojej cnoty, jakby była kopalniami złota króla Shalamana? O ile łatwiej byłoby radzić sobie z takimi rodzicami!

Na własnej skórze przekonała się, że znacznie trudniej było znieść radosną współpracę, niż ostry sprzeciw.

To bardzo przypomina walkę wręcz, którą my, Srebrzyści, ćwiczymy — myślała sfrustrowana, zapisując kolejny punkt na liście Tadritha. Kiedy przeciwnik cię atakuje, jest wiele możliwości, aby mu się przeciwstawić. Możesz go zablokować, sparować cios, uciec czy użyć jego siły przeciw niemu. Kiedy atakuje, możesz wybierać, jak się bronić. Ale kiedy nic nie robi, kiedy porusza się wraz z tobą, jesteś bezsilny, nie zmienisz sytuacji.

Cóż za ironia, rozważać swe pozornie spokojne życie z rodzicami jako walkę wręcz.

Jedynym rozwiązaniem tej śmiesznej sytuacji była wyprowadzka z Białego Gryfa. Jak poradziła Keenathowi, dla Srebrzystych istniały możliwości w Cesarstwie Haighlei. Ambasadorowie Białego Gryfa potrzebowali niewielkiej gwardii przybocznej, aby zapewnić sobie odpowiednią prezencję na dworze Cesarza; gwardia składała się głównie z ludzi, ale zawsze służyły w niej co najmniej cztery gryfy i po dwa dyheli lub kyree. Tervardi woleli nie mieszkać w tak ciepłym klimacie, a hertasi doskonale się bawiły, udając służących i robiąc wywiad na temat rzeczy, które inaczej nigdy nie dotarłyby do uszu ambasadora. Cesarz również miał dwa gryfy jako strażników, służących wraz z młodszymi synami innych królów Haighlei.

Mogłabym poprosić o przydział tam... Myślę, że samotność na posterunkach przypadnie mi do gustu, ale trzeba brać pod uwagę inne rzeczy.

Tad nie byłby w stanie znieść zadania za zadaniem w wyludnionej dżungli. Po jakimś czasie z pewnością oszalałby kompletnie. Był bardzo towarzyskim stworzeniem, a ich partnerstwo nie przetrwałoby długo, gdyby ona była jedyną osobą w okolicy, z którą można porozmawiać.

Nie wspominając, co by się z nim stało, gdyby w pobliżu nie było gryfic. Jemu się tylko wydaje, że w niczym nie przypomina ojca. Wśród pięknych latawicz ma reputację równie dzikiego jak jego ojciec, jeśli nie bardziej. Lepiej dopilnuję, żeby się trochę wyspał, zanim wyruszymy.

Zachichotała, a Tad rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

A jeśli już o tym mowa, sama nie była czystą dziewczicą, nietkniętą i nierozbudzoną. Równie dobrze ona mogła zwariować, żyjąc zbyt długo z dala od cywilizacji.

Rzeczywiście, po zbyt długim pobycie w dżungli pewne perwersje mogłyby mnie zainteresować. Napięcie robi swoje. Kiedy zorientuję się, że oglądam się

za węzami i przytulam do gałęzi, będę wiedzieć, że za długo tam jestem. Chociaż to tylko jedna rzecz i łatwo ją zastąpić — znacznie trudniej znaleźć substytut dla troskliwego kochanka. A skoro mowa o komplikacjach, cóż, jest Ikala.

Westchnęła. Klindze zależało na Ikali i starała się ukryć go przed rodzicami, knując i zwodząc tak, że każdy szpieg byłby dumny.

Królowie Haighlei mający więcej niż jednego syna — a większość z nich, co roku zawierająca ceremonialne małżeństwa z kapłankami, miała wiele dzieci — wysyłali owych synów do innych królów, aby służyli tam jako gwardia przyboczna. Udaremniało to wypowiedzenie wojny czy skrytobójstwo, bo każdy król trzymał zakładników innego króla. Co więcej, każdy król miał możliwość zdobycia lojalności książąt, wysyłając swoje dzieci na sąsiednie dwory. Był to dobry system, a w podzielonej i surowej kulturze Haighlei spełniał swe zadanie.

Ikala był jednym z tych młodszych synów, dwudziestym w kolejce do tronu, ciągnącej się za plecami Księcia Koronnego Nubi. Ale zamiast wysłać go na inny dwór, wybrano go do służby w Białym Gryfie, aby po wyszkoleniu przez Aubriego i Judeth służył w Srebrzystych.

Według standardów Kaled'a'in kultura Haighlei była dziwna. Każde działanie było ściśle określone przez protokół; każdy moment przypieczętowany zwyczajem. Haighlei żyli w najbardziej sztywnym społeczeństwie, o jakim Kaled'a'in kiedykolwiek słyszeli lub jakie widzieli; zmiana dozwolona była tylko wtedy, kiedy zarządził ją Cesarz i jego kapłani i tylko w czasie Ceremonii Zaćmienia...

Jak się tam cokolwiek w ogóle zmienia, pozostaje zagadką. Wszyscy byli zhierarchizowani, od bogów poczynając na najbiedniejszym żebraku kończąc, i nikt nie mógł opuścić swego wyznaczonego miejsca w tej hierarchii, prócz specjalnych okazji, w ściśle określonych momentach. I dlatego właśnie Ikala, syn króla, przebywał w Białym Gryfie.

Ikala nie może znieść przymusu swego ludu tak samo jak ja. Ikala odnalazł tu ukojenie, tak jak ona miała nadzieję znaleźć je na odludziu. Być może dlatego właśnie od początku do niego Ilnęła. Oboje próbowali uciec od życia, jakie zaplanowali dla nich inni.

Ikala nie był tu jedynym Haighlei; wielu uciekło do Białego Gryfa przed nieznosną hieratycznością swej kultury. I choć nie było ich tak wielu, jak się Klinga spodziewała, byli głównie młodzi, bo starzy woleli poczekać na przyszłe wciele nie, aby poprawić swój los. Znacznie częściej przybywały kobiety niż mężczyźni, chociaż tak naprawdę nie było różnicy w sposobie, w jaki prawo i zwyczaje Haighlei traktowały obie płcie. Tym lepiej, bo w Białym Gryfie było więcej mężczyzn niż kobiet — przypadek, który Śnieżna Gwiazda i Cinnabar kładli na karb bardziej subtelnych niż magiczne burze następstw kataklizmu, który zniszczył Ka'venusho. Pewnie to stało się powodem, dla którego tak wiele kobiet Haighlei tu zjechało: najzwyczajniej w świecie polowały na męża!

Kaled'a'in znajdowali się bliżej epicentrum wybuchu niż ziemie Czarnych

Krółów i najbliżej w czasie najgorszych burz. Wiele innych subtelnych zmian zaszło w czasie ich wędrówki, mniej zauważalnych niż nadmiar niemowląt płci męskiej.

Wystarczy wspomnieć o zmianach, które wpłynęły na magów. Zabraliśmy ze sobą ponad połowę magów służących w armii Urtho. Nikt by się tego teraz nie domyślił.

Burze niezwykle utrudniały praktykowanie magii, bo siła zaklęć zmieniała się właściwie przy każdej nowej burzy. Ale kiedy już skończyła się ostatnia z nich, oczywistym się stało, że wpłynęły nie tylko na magię, ale również na magów. Niektórzy, niegdyś potężni, utracili większość zdolności; jeden czy dwóch, którzy przed burzami potrafili ledwie rozpalić ogień, teraz stało się mistrzami. U innych znów nastąpiły zmiany osobowości tak subtelne, że przez miesiące i lata nie można było ich dostrzec; ludzie ci dziwaczeli i odsuwali się od życia towarzyskiego, a w końcu pakowali swe rzeczy i samotnie odchodzili w puszcę. Jeden z nich, nim odszedł, sprawił, że wielu ludzi ucierpiało fizycznie oraz duchowo.

Nie był nim Hadanelith, chociaż ten też pozostawił po sobie sporo urazów psychicznych. Ale zakładano jednak, że Hadanelith nie został ukształtowany przez burze magiczne. Wszystkie dowody wskazywały na to, że zawsze był stuknięty i niebezpieczny.

O ile wiedzieli, tylko magów k'Leshya dotykały te zmiany.

Może nawet bezimienny brat Shalamana został zmieniony przez burze. Nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno.

W każdym razie kiedy już liczba dziewczynek przychodzących na świat dorównała liczbie chłopców, przyszłe pokolenie nie będzie miało trudności w kojarzeniu małżeństw. Problemy obecnego rozwiązało dopiero przybycie ciekawskich kobiet Haighlei!

Ikała intrygował Klingę również dlatego, że tak bardzo różnił się od innych Haighlei przybywających do miasta. Trzymał się na uboczu i kilka tygodni po prostu wszystko obserwował, mieszkając w zajeździe dla gości. Nie krył swego pochodzenia, ale nie używał go jako karty atutowej. Chodził po mieście, spokojnie obserwując wszystko i wszystkich — a Srebrzyści obserwowali jego jak wszystkich przybyszów. A potem, pewnego dnia, pojawił się u Judeth i poprosił o przyjęcie do Srebrzystych na szkolenie.

Czy zdecydował, że chciał zostać? Czy też od początku wiedział, że zostanie i szukał miejsca, w którym mógłby się zaczepić? Nawet Klinga tego, nie wiedziała — chyba że powiedział Judeth, co było możliwe — a przecież spędzał z nią znacznie więcej czasu na rozmowach niż z kim innym.

Faktem było, że zadawała sobie wiele trudu, aby ukryć przed swą kochającą rodziną rosnące uczucie do niego. Jeszcze nie była pewna, co z tym pocnie. Jak wiele innych spraw, ta też musiała poczekać do jej powrotu z posterunku.

Ale Ikała jako Srebrzysty związany z innym niż Shalamana dworem przycy-

niłby się do tego, że Biały Gryf mógłby otworzyć drugą ambasadę, w Nbubi. Ikala okazałby się tam nieoceniony jako ekspert od zaplecza, doradzający ambasadorowi tak, jak Srebrny Tren doradzała Bursztynowemu Żurawiowi u Shalamana. Byłoby to dobre miejsce dla Klingi i Tadritha, a może nawet dla Keetha.

Oczywiście, gdyby Bursztynowy Żuraw nie został tam ambasadorem, on lub Zimowa Łania. . .

Nie. Nie, to się nie może zdarzyć — zapewniła samą siebie. Ojca za bardzo tu potrzebują. Matka nie pojechałaby bez niego, nie po skandalu, którego ledwo uniknięto ostatnim razem. A on wie, że tutaj nie ma nikogo, kto mógłby go zastąpić.

Oczywiście, zawsze mógł wyszkolić zastępcę. . .

Och, dlaczego wymyślam te idiotyczne scenariusze, skoro nawet jeszcze nie wiem, co będę robić po tym zadaniu ani czy Ikala i ja staniemy się kimś więcej niż tylko bliskimi przyjaciółmi, ani czy Judeth rozważała posłanie mnie i Tada do ambasady! Uświadomiła sobie, że przejmuje się mglistymi planami!

Wszystko idzie zbyt dobrze, skoro zastanawiam się nad przeszkodą, która nie istnieje, i problemami, które nawet się jeszcze nie zaczęły!

I wtedy przemówił do niej Tadrith.

— Nic więcej nie przychodzi mi do głowy — stwierdził. — A tobie?

— Nie miałam żadnych wspaniałych pomysłów dotyczących listy dostaw, ale właściwie jeszcze o tym nie myślałam — przyznała i zmarszczyła czoło, patrząc na zabazgrany papier, który trzymała w dłoniach. — Wiesz co, pogadajmy z Judeth i Aubrim, może będą mieć jakieś pomysły.

Tadrith w zamyśleniu kłapnął dziobem.

— Czy to rozsądne? — zapytał. — Czy nie sprawi to wrażenia, że sami nie umiemy myśleć?

— To sprawi wrażenie, że nie jesteśmy zbyt pewni siebie i dlatego przyjmujemy rady starszych i mądrzejszych od nas, a jeśli im to powiemy, będą nas uwielbiać — odparła i wstała, tupiąc, aby pozbyć się mrowienia. — Chodź, ptaku. Pokażmy starym psom, że szczeniaki nie zawsze są idiotami.

— Nie zawsze — mruknął Tadrith, ale wstał. — Zazwyczaj.

ROZDZIAŁ DRUGI

— Piąty Posterunek, co? — Aubri wyprostował obie tylne łapy, jedną po drugiej, spoglądając posępnie na stępione hebanowe pazury. Wiatr delikatnie poruszał drewnianymi dzwoneczkami zawieszonymi w oknie za jego plecami i Tad obserwował drobiny złotego pyłu tańczące w świetle słonecznym, rozlewającym się w kałużę na podłodze obok starego gryfa. — Zaraz, czy ja pamiętam cokolwiek na temat Piątego Posterunku?

Tad westchnął, gdy Aubri, udając roztargnienie, rozpoczął swe sarkastyczne, złośliwe, rutynowe przedstawienie, najpierw drapiąc się z namaszczeniem po rudych piórach na twarzy, co sprawiło, że więcej pyłu zatańczyło w słońcu, potem gapiąc się w sufit jaskini, którą dzielił z Judeth. Po długiej chwili jego głowa poruszyła się znów i Tad miał nadzieję, że Aubri wreszcie coś powie. Ale nie — spojrzał tylko na błyszczącą podłogę tarasową, której kremowe i brązowe płytki układały się w geometryczny wzór, najwidoczniej go fascynował. To znaczy, wydawał się gapić w te miejsca; jak każdy drapieźca, tak i gryf kątem oka widział równie dobrze, jak patrząc na wprost i Tad doskonale wiedział, że Aubri przypatrywał im się — cóż — jak jastrząb.

— Piąty Posterunek — zamruczał starszy gryf, potrząsając głową; fragmenty piór, które sobie wcześniej wydrapał, fruwały we wszystkich kierunkach. Jedno pióro w brązowe i kremowe pręgi, wielkie jak ludzka dłoń, opadło ku stopom gryfa stojącego w kręgu światła. Słońce zarysowało jego krawędzie, a biały puch załśnił w aureoli odbitego blasku. — Piąty Posterunek. . . dlaczego ta nazwa brzmi znajomo?

To mogło trwać jeszcze jakiś czas, gdyby Tad nie przerwał. Rzucił Aubriemu spojrzenie mówiące: *Doskonale wiem, co robisz i nie dam się na to nabrać*. Tonem najgłębszego szacunku odpowiedział przełożonemu:

— Pan i komandor Judeth objęliście Piąty Posterunek trzy lata temu, kiedy po raz pierwszy przejeśliśmy nadzór nad nim od Haighlei. Mówił pan, że przydział był wakacjami od kadetów, którzy nie potrafili się pierzyć bez szczegółowych rozkazów na piśmie.

Aubri zamrugął lekko, ale jego wielkie złote oczy błyszczały od skrywanego rozbawienia.

— Tak mówiłem? Jestem dowcipniejszy, niż myślałem. Tak, no cóż, chyba przypominam sobie Piąty Posterunek, skoro już o nim wspomniałeś. Niezłe odludzie; trudno jest znaleźć ochotników, aby go obsadzić. Dobre miejsce na wakacje, jeśli masz ochotę na burze każdego wieczora, mgłę każdego poranka i słońce, które tylko udaje, że istnieje. Jest powód, dla którego Haighlei nazywają taki teren „lasem deszczowym”. Jest bardziej mokry, niż pływający kyree.

Świetnie. Oto nowina, której nie przekazywano na naszych lekcjach o obsadzeniu posterunków. A w broszurze, którą przeczytała mi Klinga, nie wspomniano o tamtejszym klimacie.

— Czy powiedziała pan, że pogoda jest na tyle trudna, aby przeszkodzić nam w wypełnianiu obowiązków? — zapytał grzecznie.

— Przeszkodzić? Pewnie tak, jeśli zaliczasz się do tych, co myślą, że się roztopią, fruując w deszczu. — Łagodność Aubriego nagle zniknęła, jakby delikatnie ostrzegwał Tadritha, aby ten lepiej nie myślał o takich sprawach. Źrenice Aubriego szybko się rozszerzyły i skurczyły, co było kolejnym ostrzeżeniem. — Nikt nie obiecywał słonecznych plaż i leniuchowania, kiedy wstępowałeś do Srebrzystych.

— Latanie w czasie burzy jest niebezpieczne — wtrąciła grzecznie Klinga, wymanewrowując Tada spod szponów Aubriego. — Start we mgle również może okazać się niebezpieczny. Nie przydamy się na nic Białemu Gryfowi, jeśli odniesiemy kontuzję, robiąc coś głupiego i trzeba będzie przysłać zastępstwo oraz ekipę ratunkową. Jeśli pogoda jest tam na tyle trudna, że aż niebezpieczna, powinniśmy o tym wiedzieć wcześniej i zorientować się, jakich znaków ostrzegawczych wypatrywać. Zawsze możemy zostać na ziemi i przeczekać groźną burzę.

— No cóż, masz rację. — Aubri powrócił do roli miłego, gładzącego wujka. — Ale nie sądzę, abym powiedział cokolwiek, co mogłoby stworzyć wrażenie, że pogoda uniemożliwi wam latanie na regularne patrole. Będziecie musieli być ostrożni, jak was uczono i mieć oczy szeroko otwarte, to wszystko. Burze nie są gwałtowne, lecz krótkie i ulewne, a mgła zawsze znika godzinę po świcie.

Jedno i drugie mogło go przyprawić o ból w kościach, jeśli ma takie same problemy jak mój ojciec. Aubri był prawdopodobnie najstarszym żyjącym gryfem z sił Urtho; na pewno był starszy od Skandranona. Wyglądał na swoje lata; jego pióra nie były tak gładkie i doskonale wyskubane jak pióra Tada; leżały raczej w lekkim nieładzie, nieco wyblakłe, choć nadal lśniły ciemnym, ciepłym brązem i ochrą. Teraz jego upierzenie było z lekka rudawe i kremowe i nawet świeżo wyrosłe pióra miał trochę potargane. Jak Skandranon należał do szerokoskrzydłych, podobny raczej do jastrzębia niż do sokoła, ale był bardziej krępy od Czarne-go Gryfa. Jego przodkiem był prawdopodobnie brązowoogoniasty orłosep, a nie myszołów. Czas zostawił swe piętno na delikatnej skórze wokół oczu i dzioba — siateczkę cienkich zmarszczek, choć nie były one tak widoczne jak te, które z wiekiem pojawiały się u ludzi. Mimo upływu lat zachował jasność umysłu, chociaż po sposobie, w jaki teraz grał, nie można było tego odgadnąć.

Rzeczywiście, gra. To wszystko gra, od początku do końca, stary oszust. Nigdy niczego nie zapomina; zależę się, że pamięta miejsce, na jakim każdy kadet skończył bieg z przeszkodami sprzed dwóch tygodni.

Aubri i Judeth byli mistrzami w odgrywaniu wroga i przyjaciela; Aubri udawał roztargnionego i dającego się okpić przyjaciela, a Judeth nieprzejednanego wroga. Tad rozgryził ich pierwszego dnia treningu, ale on stykał się z Aubrim i Judeth każdego dnia, gdy dorastał. A szczególnie zapadł mu w pamięć „roztargniony” i „ględzący” Aubri bijący Skandranona raz za razem w warcaby, więc nic dziwnego, że nigdy nie pomyślał, że Aubri jest głupszy od swej ludzkiej partnerki.

Ale ojciec nigdy się nie przyznawał do przegranej albo twierdził, że się Aubriemu podłożył.

— A gdzie jest komandor Judeth? — zapytał, bo nie zauważył białowłosej kobiety, która dowodziła Srebrzystymi Gryfami, kiedy weszli kilka chwil temu. Aubri skinął dziobem ku drzwiom, wciąż otwartym jak w momencie ich przybycia. W ciepłe, przyjemne dni jak dziś większość mieszkańców Białego Gryfa otwierała okna i drzwi na oścież, a Aubri nie był wyjątkiem.

— Spotkanie z Haighlei; wybierają kolejnych Srebrzystych, którzy będą służyć w gwardii przybocznej Shalamana, kiedy Sella i Vorn wrócą. — Z namysłem obgryzał szpon, żując jego koniec i stukając cicho dziobem. — Prawdopodobnie wybiorą Kally i Reeska — dodał. — Nie mogą się oprzeć zgranym duetom.

— Tak pan sądzi? — spytała sceptycznie Klinga; jak Tad, tak i ona była świadoma, że istniało kilka par zdolnych do służby, które przewyższały ich doświadczeniem.

Aubri parskał z pogardą, gdy ktoś przedkładał wygląd gwardzistów nad ich umiejętności. Nie żeby Kally i Reesk byli źli; nikt wysyłany do Shalamana nie był zły. Jeśli już o to chodziło, to każdy, kto nie mieścił się w standardzie Aubriego, proszony był o znalezienie sobie innego zajęcia, zanim jeszcze skończył szkolenie — a dla niektórych lepiej było, jeśli sprawdziły się przez sześć miesięcy, bo w przeciwnym razie musiały zwrócić upragnioną srebrną odznakę. Ale wśród tych nielicznych, których Judeth i jej partner wybierali do reprezentowania Srebrnego Gryfa, ta para była ledwie przeciętna.

Jednakże wyglądali imponująco, ich złotobrunatne upierzenie pasowało do złota i lwich skór na dworze Shalamana i mogli stać na baczność godzinami, nie ruszając nawet piórem. Tadrith wymienił wszystkie te zalety.

— Główny doradca cesarza ma inne rzeczy na uwadze — skończył grzecznie. — Bardzo ważne i zgodne z protokołem jest to, aby gwardziści cesarza stali jak rzeźby podczas posłuchań na dworze. Ich nieruchomość podkreśla jego władzę i kontrolę.

— Nie znaczy to, że się napracują — dodała Klinga nierozważnie. — Nawet zakładając, że szaleniec albo zabójca dotarłby aż do straży cesarza, jeden rzut oka na gryfy w szale bitewnym wystarczyłby, aby zemdłał.

Tad syknął. To nie była najmądrzejsza uwaga — nie w obecności weterana wielkich wojen i migracji. Rozległ się zgrzyt, gdy szpony Aubriego odruchowo zadrapały posadzkę.

— Być może — odparł Aubri, rzucając jej spojrzenie zza zmrużonych powiek, które Klingę natychmiast przestraszyło. — Być może. Nigdy niczego nie zakładaj, młoda Srebrzysto. Założenia cię zabiją. Albo wiesz, albo robisz plany na najgorsze możliwe sytuacje. Zawsze. Nigdy nie licz na to, że zdarzy się najlepsze. Myślałem, że lepiej cię wyszkoliliśmy.

Lodowate słowa napełniłyby Judeth dumą, a ostry ton głosu nawet idiotcie uświadomiłby, że się pomylił.

Klinga zaczerwieniła się na taką odprawę i sztywno stanęła na baczność. Aubri poczekał chwilę, aby upewnić się, że jego słowa wywarły zamierzony efekt, a potem machnął na nią szponem. Rozluźniła się ostrożnie.

Tego błędu już więcej nie popełni.

— A cóż to ja mówiłem? Piąty Posterunek... — ziewnął, a duch dowódcy gdzieś uleciał. Mógł być każdym starym gryfem, którego nie interesuje nic prócz miejsca w słońcu, plotek i jakości (oraz punktualnej dostawy) następnego posiłku. — Standardowy posterunek będzie ci drugim domem, jeśli przypadkiem jesteś pustelnikiem, dobra zwierzyna łowna, zawsze przemoczona, noce są trochę chłodne. Ach, teren jest w większości nie zbadany. — Uśmiechnął się, widząc źle skrywane, pożądliwe spojrzenie Tada. — Już się tego domyśliłeś, co? Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że w najlepszym przypadku traficie na złoto. Kawałki kwarcu w rzece i na dnie strumieni pasują do tych, które widziałem wcześniej tam, gdzie można wyplukiwać i oddzielać złoto. Nie chciało się nam szukać, kiedy byłem tam z Judeth; jesteśmy za starzy, aby brodzić w zimnej wodzie. Skoro masz ze sobą człowieka, trochę płukania nie zaszkodzi, tylko po to, by sprawdzić, czy coś tam jest.

— Nie zaszkodzi — zgodził się Tad, a Klinga skrzywiła się, ale przytaknęła. To był najłatwiejszy sposób znalezienia złota, jeśli Aubri miał rację i pod terenem kryła się żyła, a może i złożo. Jeśli rzeczywiście natknęliby się na kruszec, wyplukiwanie przez długi czas byłoby jedynym sposobem jego wydobycia. Haighlei najpierw musieliby pójść do wyroczeni, aby dowiedzieć się, czy bogowie pochwalali kopanie w lesie, potem czekaliby na zgodę samego Shalaman, potem cesarz i kapłanstwo złożyłoby wspólne oświadczenie, że pozwala się na wydobycie. I nawet wtedy nie zaczęliby kopać szybów; sam Shalaman wybrałby jedną osobę z urodzonych wśród górników złota ekspertów, aby określiła (z pomocą kapłanów), gdzie i kiedy rozpocząć kopanie. Ta osoba z pomocą górników wykopałaby pierwszy szyb pod nadzorem kapłana, który upewniłby się, że wszystko odbyło się tak, jak bogowie uznali za przyzwoite i odpowiednie. Gdyby natknęła się na żyłę, cały proces powtórzyłby się, aby dowiedzieć się, czy bogowie zgadzają się na utworzenie kolejnego szybu w dżungli. Jeśli nie, uznano by to za

znak, że bogowie nie zgodzili się mimo wcześniejszych wskazówek, spakowano by manatki i ruszono do domu. Wszystko zgodnie z protokołem.

A w tym czasie ci obywatele Białego Gryfa, którzy chcieliby znosić prymitywne warunki z uwagi na możliwość wzbogacenia się, wypłukiwaliby złoto ze strumienia na skalę przemysłową, z błogosławieństwem Shalamana i jego poborcami podatkowymi na karku. Wypłukiwanie nie niosło ze sobą niczego, co zmieniłoby las, strumień czy ziemię pod nimi, więc nie potrzebowało aprobaty bogów.

— Co jeszcze? — spytał i został obdarzony przez Aubriego spojrzeniem: *Sam się domyśl, szczeniaku.* — Znaczy, jakie wyposażenie doradza pan zabrać — dodał pospiesznie. Klinga zrozumiała aluzję i podała Aubriemu listę; ten rozłożył ją na podłodze przed sobą. — Inne niż normalny zestaw, oczywiście, o którym nas uczono. Na razie wymyśliliśmy trochę nowych dodatków.

Był dość dumny z faktu, że zapisali już blachy do płukania złota; w końcu gdyby nie znaleźli złota, zawsze mogą w nich upiec ciasto.

Aubri wolno śledził listę, mamrocząc do siebie. W końcu podniósł wzrok.

— Wszystko jest bardzo dobrze pomyślane — rzekł — ale nie wystarczy. To nie wasza wina — dodał szybko, kiedy twarze Klingi i Tadritha posmutniały. — Trenujemy was, pisklaki, do normalnych obowiązków na posterunku, ale Piąty jest prawie dwa razy dalej niż inne. Dlatego Judeth i ja go objeśliśmy. Gdybyśmy my nie umieli sobie z nim poradzić, na pewno nie wysłalibyśmy żadnego z was.

Aubri i Judeth dzielili się dowodzeniem Srebrzystymi jako podwładni Skandranona. Ojciec Tada rzekł się swej pozycji na rzecz Aubriego krótko po zamieszczeniu podczas Ceremonii Zaćmienia, ponad dwanaście lat temu. Skandranon zdecydował wtedy, że nie chciał być przywódcą, nawet jeśli był przywódcą tylko nominalnym. O wiele bardziej wolał być Czarnym Gryfem (albo Białym, w zależności od tego, czy przebywał w Khimbacie na dworze Shalamana, czy w domu), zajmującym się wszystkim. Codzienne dowodzenie nudziło go; działanie czyniło go szczęśliwym.

Z drugiej strony Aubri, ku swemu zaskoczeniu, okazał się dobry w tej mało widowiskowej robocie. Co więcej, bawiła go ona. Powiedział kiedyś Skandranonowi, że po wszystkich wojennych przejściach zajmowanie się zaopatrzeniem i głupimi rekrutami to czysta przyjemność. Naprawdę jednak już od dawna wiedział, kogo przydzielić do części roboty, która go nie interesowała. A teraz, pod zręczną kuratelą swej partnerki i współdowodzącej Judeth, uwielbiał być przywódcą. Od trzech lat z okładem obydwójce twierdzili, że „wkrótce” przejdą na emeryturę, ale ani jedno stworzenie w Srebrzystych im nie wierzyło. Żadne z nich nie czułoby się na emeryturze w połowie tak dobrze, jak w działaniu.

Zdaniem Tada najprawdopodobniej wyznaczony zostanie trzeci dowódca, który zająłby się fizycznymi aspektami codziennej pracy Srebrzystych i podejmował mniej ważne decyzje, które nie wymagały wiedzy Aubriego czy Judeth. Judeth pozostałaby głównodowodzącą odpowiedzialną za ważne postanowienia, Aubri

zająłby się treningiem, przy którym asystowałaby mu Judeth.

Już widzę, co by się działo, Judeth nie przepada za codziennym obchodzeniem miasta, ale są oboje tak doświadczeni, że głupotą byłoby powierzać całą kontrolę nad Srebrzystymi komuś młodszemu — a przynajmniej nie do czasu, gdy uznają go za kompetentnego. A Aubri uwielbia wpuszczać kadetów w maliny. Tak, wszystko razem zbyt dobrze się składa i pewnie dlatego tak postępują. Są jedynymi stworzeniami na świecie, na których mogą polegać i być pewnym, że zachowają się rozsądnie.

Tadowi nie mieściło się w głowie, że Srebrzystymi dowodziłby ktoś inny niż Aubri i Judeth. Musiało to kiedyś nastąpić, ale nie mógł sobie wyobrazić, jaki będzie ten dzień, kiedy w końcu nadejdzie.

— Słuchajcie, wy dwoje — mówił Aubri. — Będziecie daleko, daleko od miasta; dostarczenie wam rzeczy, kiedy coś się przetrze lub rozpadnie, może być trudne. Tylko dlatego, że taki drobiazg jak pompa przy studni ulegnie uszkodzeniu, nie będziemy otwierać Bramy i przysyłać wam nowej. Bramy są drogie, a wy macie zdrowe nogi i możecie nosić wodę w wiadrach.

Tad był zaszokowany, podobnie Klinga. O tym nie wiedział; życie wśród magów sprawiło, że myślał, iż Bramy otwierało się dość często. Gryfy latały, magowie stawiali Bramy, życie było proste.

Teraz uświadomił sobie, że choć stawiano Bramę co dwa lub trzy dni, nie utrzymywano jej zbyt długo, a co więcej, nie otwierano jej w tym samym miejscu częściej niż co miesiąc lub dwa. Było po prostu wiele posterunków i odległych miejsc, do których trzeba było dostarczyć zapasy, więc otwieranie Bram wydawało się powszechne i proste.

Oczy Aubriego załśniły.

— Wasze Bramy otwierać będziemy według rozkładu, ani chwili wcześniej, chyba że nastąpi nagły wypadek i zagrożenie życia. Pozostaną otwarte tylko na wyznaczony czas, więc jeśli poprosicie o więcej rzeczy niż te, które można szybko przetrzeć, to będzie źle. Możecie czekać kilka dostaw na waszą pompę do studni. Co to oznacza, Srebrzyści?

— Instrukcje — powiedziała Klinga z rezygnacją, dodając je do listy. — Potrzebne nam będą instrukcje do napraw. Wszystkie narzędzia, których możemy potrzebować, już tam są, prawda?

— Instrukcje też, bez obaw; ten posterunek istnieje od dawna i pamiętaj, że pierwsi byliśmy tam Judeth i ja. My musieliśmy zarządzić, czego tam będzie trzeba i co powinno się znaleźć na miejscu. Próbuj dalej.

Klinga zmarszczyła czoło i przygryzła paznokieć. Brwi jej się zbiegły, a oczy ściemniały, aż stały się niemal granatowe.

— Aha. Mówił pan, że tam jest naprawdę mokro. Wilgotno?

Potwierdził.

— Jest tam mgła, prawda? Każdego ranka. I deszcz każdego wieczora. —

Rozpromieniła się. — Worki. Pieczęcie. Nic nie zostało zrobione z drewna lub skóry czy metalu, który mógł zardzewieć. Części, które mogły zostać zniszczone przez wilgoć! Do... pompy, pieca, kranów... — zaczęła notować.

— Dobrze! — Aubri zwrócił się do Tada, który na szczęście miał już gotową odpowiedź, bo znał słabości Aubriego. Słyszał tę litanię dość często, gdy jeszcze mieszkał w domu.

— Wyposażenie, które mogło zaginać lub zostać zniszczone przez wilgoć, działające bez magii — rzekł natychmiast. — Takie rzeczy, jak zapałki, hubka i krzesiwo, kompas i sekstans ee... — przeszukiwał mózg. Aubri przytaknął.

— Nie wysilaj się; skoro udowodniłeś mi, że znasz zasady, dam ci listę. Zawiera ona spis kilku pospolitych części zamiennych i starego sprzętu wojskowego, który nie waży zbyt wiele, ale prawie wszystko dzięki nim zrobisz, jeśli tylko pomyślisz.

Aubri poruszył się; wyciągnął tylko szpon i nadział na niego papier, który już czekał na blacie biurka z sosny, stojącego w pobliżu. Musiał się ich spodziewać, udowadniając po raz kolejny, że nie był ani w połowie tak roztargniony, na jakiego wyglądał.

Klinga wzięła od niego listę i Tad zauważył, że była nieco zaskoczona. Pewnie dlatego, że miała tendencję do sądzenia wszystkich i wszystkiego po pozorach i za każdym razem, kiedy Aubri odgrywał zgrzybiałego i tępawego, dawała się nabrać.

Nic na to nie poradzi. To była jej wielka słabość i Tad dobrze wiedział, dlaczego nie miała zamiaru się jej pozbyć w najbliższym czasie. Częścią problemu był fakt, iż ona po prostu nie chciała zaglądać pod maski, które wszyscy nosili, niezależnie od tego, jak byli szczerzy i otwarci. Partnerka Tada nie chciała wiedzieć, jakie niespodzianki mogły się kryć za grzecznym wyrazem twarzy; empatia jej przeszkadzała i gdyby mogła ją usunąć chirurgicznie, Tad był pewien, że poddałaby się operacji bez względu na wszystko. Miała ku temu swoje powody; dawno temu uświadomiła sobie, że nigdy, przenigdy nie będzie tak dobra w otwieraniu ludzkich serc i umysłów, jak jej ojciec. Była osobą, która jeśli nie mogła osiągnąć doskonałości, wołała nie próbować.

Głupio. Nie każdy mag może być Śnieżną Gwiazdą, ale uzdrowiciele mogą zrobić wiele rzeczy, na które on nie ma czasu albo takich, których on nie potrafi. Ale przekonywanie jej byłoby jak zawracanie rzeki kijem, przynajmniej teraz. Może kiedy będziemy tak przez jakiś czas, w spokoju i odosobnieniu. Jednak ta przywara denerwowała go i chciał ją jak najszybciej usunąć. Każda ilość magii umysłu była użyteczna, szczególnie w kimś, po kim nikt się nie spodziewał podobnych zdolności. Ojciec zawsze powtarza, że skoro masz jakąś zdolność, głupio jest jej nie rozwijać i nie używać, nawet jeśli nie korzystasz z niej zbyt często.

Klinga porównała obie listy i dodała kilka punktów do swojej, zanim oddała Aubriemu jego wersję. Tad był zadowolony, widząc, że nie musiała przepisywać całości. Nie poszło im w końcu tak źle!

Ciekawe, czy na liście Aubriego była apteczka? Na pewno zalicza się do rzeczy „niemagicznych” i „niszczonych przez wilgoć”. Ale ile waży! Że też nikt nie wymyślił lepszych łupków i gipsu! To takie głupie, włączyć ze sobą drewno i sproszkowaną skałę.

Aubri skrzyżował swe przednie łapy i przyglądał im się z dobrodusznym, niemal ojcowskim wyrazem twarzy.

— Cóż. Moje kolejne dwa pisklaki wyruszają wypróbować swe skrzydła. Myślę, że posterunek się wam spodoba; żadne z was nie należy do istot, które tęsknią za miastem, kiedy mogą połączyć po lesie i zobaczyć coś, czego nikt wcześniej nie widział. — Westchnął. — Przygody są dla młodych, którzy nie mają lumbago. A ja jestem szczęśliwy w Białym Gryfie, gdzie mogę się codziennie wylegiwać na słońcu. Ale tam powinno być wystarczająco dużo nowych rzeczy do odkrycia, abyście wy, smyki, byli szczęśliwi.

Nie wspominał, że zna osobiste powody, dla których tak się cieszyli z zadania: ucieczkę od ukochanych rodzin. Nigdy nie zachowywał się tak, jakby wiedział, że są potomstwem Skandranona i Bursztynowego Żurawia. . .

Nie mógł; nie w czasie szkolenia. Ale nigdy nie wspominał o naszych rodzicach nawet przypadkiem. Może pod tym względem jest rzeczywiście trochę roztargniony; może nie poznaje nas teraz, gdy dorośliśmy.

— Nie możemy się doczekać — odparł Tad szczerze. — Miło będzie po raz pierwszy wyrwać się z domu.

Aubri przytaknął i wyszczerzył zęby.

— Och, nie jesteście jedynymi, którzy byli zainteresowani długimi zadaniami z dala od miasta, wierzcie lub nie. Mówiłem Judeth, żeby nie przydzielała na Piąty nikogo, kto nie miał wystarczających powodów, aby tam być, i wyrwać się z miasta. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto pasowałby do tych kategorii lepiej niż wy dwoje. I mówiąc szczerze, jest trzeci powód, dla którego was tam wysyłam: jesteście zespołem dwa-cztery. To dobra kombinacja na posterunek.

Oznaczało to gryfa i człowieka. Ten szczególnie zespół nie trafiał się często wśród Srebrzystych; ludzie woleli łączyć się z przedstawicielami własnych gatunków. Zazwyczaj dwa-cztery były tymczasowymi zespołami, stworzonymi z tych, którzy nie znaleźli partnera wśród swoich. Często rozpadały się po szkoleniu, kiedy starszy stopniem Srebrzysty mógł wziąć sobie do pary młodzika. Ci z tymczasowych oddziałów dwa-cztery robili tak bardzo często.

— Lubię zespoły dwa-cztery na tych oddalonych posterunkach — ciągnął Aubri z błyskiem w oku. — Te zespoły są bardziej podatne na zmiany. Nawet jeśli niektórzy ludzie myślą, że z gryfem, który niełączy się z jednym ze swoich, jest coś nie tak.

Tad spojrział na zwierzchnika, podnosząc wysoko głowę i rzucając wyzwanie spojrzeniem. Słyszał to już wcześniej i nie stroszył już piór.

— O? Czy o panu też tak mówią?

Aubri zaśmiał się.

— Oczywiście! Wszyscy wiedzą, że mam pokreconą psychikę! My wszyscy, weterani wojenni, jesteśmy pomyleni, to efekt bitew! Jaka jest twoja wymówka?

Tad wyszczerzył się, wymyślając doskonałą odpowiedź.

— Tradycja rodzinna — odrzekł natychmiast, przyprawiając Aubriego o kolejny atak śmiechu.

— Dobrze powiedziane! Nie mogę się doczekać, kiedy powiem Czarnemu Chłopcu, co mi odpowiedziałeś; jeśli od tego nozdrza mu się nie zaczerwieni, nic nie jest go w stanie ruszyć. — Potrząsnął głową, pióra zaszumiały. — Uciekajcie, wy dwoje. Dajcie listę oficerowi dostawczemu; dopilnuje, aby zapakowano wasz koszyk. Jedyne, o co macie się martwić, to własne plecaki.

Oboje wstali i wyprężyli się w postawie zasadniczej. Aubri zachichotał, a potem wstał powoli, aby ich odprowadzić — stary, może, ale jeszcze nie martwy.

Jak Tad się spodziewał, jego ojciec już wiedział o przydziale i był szczerze (i głośno) radosny. Gdyby udało mu się pokonać wszystkich konkurentów i zostać adiutantem Judeth, Skandranon nie byłby bardziej przejęty. Wprawiło go to w zakłopotanie. Kiedy zebrali się na kolację w salonie rodzinnego gniazda, a niebo za oknem przypominało aksamit nabijany klejnotami gwiazd, Tad zaczął się zastanawiać, czy nie powinien był zjeść w samotności — albo iść spać z pustym żołądkiem.

— Przydział na posterunek! I świeżo po szkoleniu! — powtarzał Skan przez całą kolację. — Nie mogę sobie przypomnieć, żeby jakiegoś Srebrzystego, tak młodego jak ty, posłano na odległą pozycję!

Jednak ton jego głosu był poważny, szczególnie i nie zjadł więcej niż połowę posiłku. Nagła zmiana statusu syna wytrąciła go z równowagi, delikatnie mówiąc. Czyżby się martwił?

Dlaczego miałby się martwić? O co się tu martwić!

Zhaneel, żona Skandranona, szturchnęła go lekko.

— Daj chłopcom zjeść — upomniała go. — Nie przysłużysz się Tadrithowi, nie pozwalając mu zjeść porządnego posiłku.

Jej spojrzenie pełne nagany powędrowało w stronę Keetha, co sprawiło, że nozdrza Skandranona poczerwieniały z zakłopotania.

Zaniedbywał Keetha cały czas, chociaż ten nie wyglądał na specjalnie niešťczęśliwego z tego powodu.

— Słyszałem przychylne raporty od Zimowej Łani — rzekł Skan szybko do drugiego syna. — Uczysz się rzeczy, o których ja i twoja matka marzyliśmy, ale nigdy nie mogliśmy ich osiągnąć.

Tad skrzywił się. Jeśli to nie zabrzmiało sztucznie, będzie jadał trawę zamiast mięsa!

— Cóż, gdyby nie ta obrzydliwa wojna, tato, wy w dwójkę na pewno wymyślilibyście gryfięgo trondi'irn, gryfięgo kestra'chern i gryfią sekretarkę — odparł Keeth, uśmiechając się do brata. — I prawdopodobnie gryfią szwaczkę, murarza i stolarza.

Keeth zawsze potrafi obrócić wszystko w żart, niech go bogi kochają.

Skandranon zaśmiał się — tym razem śmiech był szczery, a gryf wydawał się rozluźniony.

— Może i wymyślilibyśmy! — rzucił, strosząc pióra. — Szkoda, że wojna zmroziła nasz rozkwitający geniusz, nie?

Tad nie odzywał się i odrywał kawałeczki ze swej kolacji, nogi wielkiego nielotnego ptaka, wielkiego jak krowa, o mózgu żółwia. Jedno takie stworzenie żywiło całą rodzinę; Haighlei hodowali je dla piór na polach, które zniszczył nadmierny wypas krów i owiec. Gryfy uznały te stworzenia za smakowitą alternatywę dla wołowiny i dziczyzny.

Tad był szczerze zadowolony, że bystry Keeth spierał się z ojcem. On nie mógł wymyślić żadnej odpowiedzi, nie, kiedy duma Czarnego Gryfa skrywała inne uczucia, których nawet nie zaczął okazywać. Ale był coraz bardziej pewien, że jednym z nich był strach, do którego Skan nigdy by się nie przyznał.

Oczywiście, że nie. Nie chce mnie denerwować niezdecydowaniem czy strachem, zanim nie wyruszę stąd z Klingą. Wie, że jeśli pokaże, iż nie jest najszcześliwszy, mógłbym odczuć pokusę wycofania się. A wie, że nie ma się o co martwić; nie jesteśmy pierwszym zespołem obejmującym ten posterunek. Jesteśmy pierwszym zespołem, w którego skład wchodzi jeden z jego synów, a on odkąd dowiedział się o przydziale, myśli o wszystkich wypadkach, które mogą się nam przytrafić.

Za bardzo się martwił; Tad o tym wiedział i wiedział, że jego ojciec zdawał sobie z tego sprawę. Nie było wojny, nie natkną się na siły nieprzyjaciela.

Ale po raz pierwszy opuszczam gniazdo. Przypuszczam, że normalnym jest, iż rodzice się martwią. Ja też się martwię, ale wiem, że sobie poradzę. Zastanawiam się, jak rodzice mogą mówić, że tak ufają swym dzieciom, a jednak ciągle się o nie bać? Przypuszczał, że rodzicielska wyobraźnia potrafiła wyczarować setki zagrożeń, od choroby po wypadek, a wszystko w ciągu jednego uderzenia serca. Rodzice musieli tacy być; uprzedzić wszelkie kłopoty, w jakie mogły wpakować się dzieci i być przygotowanym na wyciągnięcie ich za uszy, zanim zabrnęły za daleko.

Ale jestem dorosły i mogę sam o siebie zadbać! Czy on nigdy się tego nie domyśla? Jest dorosły o wieki dłużej niż ja i musieli go już ratować — dlaczego więc dorośli uważają kłopoty za domenę młodych? Czy tak bardzo przypominamy im o własnej kruchości?

Między kęsami rzucił spojrzenie matce, przyłapując ją na wpatrywaniu się w niego z troską i matczyną miłością w oczach. Chciała uciec przed jego wzro-

kiem, ale w końcu podjęła inną decyzję i ostrożnie przytaknęła.

Mama się martwi, ale się do tego przyznaje. Ojciec się nie przyzna, co tylko pogorszy mu nastrój. Ale żadne z nich nie ma najmniejszego powodu do zmartwień! Może im rodzic inteligentniejszy, tym bardziej się martwi, bo może sobie wyobrazić wszelkie katastrofy. Kaled'a'in wie, że potrafiliby się skoncentrować równie mocno na tym, co może się udać, ale kiedy chodzi o dzieci albo młodzież, chyba najlepiej jest tylko udawać optymizm. Jednak...

Pomyślał o Klindze, która pewnie przechodziła to samo badanie w domu swych rodziców i westchnął. Nie wiedział, jak zareagują Bursztynowy Żuraw i Zimowa Łania, ale Klinga groziła, że raczej spędzi noc z przyjaciółmi, niż wróci do domu. Tadowi udało się przekonać ją do zmiany zdania.

Mogło być znacznie gorzej, powiedział sobie. Mogliby być nadopiekuńczy i zaopiekować jej objęcia posterunku. Albo, co gorsza, być obojętni.

Paru kumpli z klasy miało takich rodziców; Tad słyszał, jak magowie spekulowali, czy zbyt silne instynkty drapieżców nie przesłoniły intencji Urtho. Ci rodzice byli kochający tak długo, jak młode pozostawały w gnieździe. Zaczęli tracić zainteresowanie nimi, gdy się opierzyły, zupełnie jak drapieżne ptaki. W końcu, gdy młode gryfy osiągnęły wiek młodzieńczy i stały się niezależne, rodzice robili co w ich mocy, aby się ich pozbyć, o ile dzieci jeszcze się nie wyprowadziły. Takie pary były też bardziej płodne od opiekuńczych, wychowując nawet sześcioro lub ośmioro młodych w ciągu życia.

Ale ich potomstwo było, jak mawiał Aubri, „ulepszonymi jastrzębiami”; żyło głównie dla polowania i choć bardzo atletyczne, kiedy rozdawano rozum, dla nich go zabrakło. Większość nieszczęśliwych wypadków wśród gryfów zdarzało się właśnie w tej grupie, której główną rolą było polowanie i zapewnianie dostaw mięsa dla miasta. Bardzo przypominały zachowaniem i temperamentem myszłowy: podczas polowania wpadały na skały albo zderzały się z ziemią i skręcały sobie karki, albo startowały w złą pogodę i trafiał je szlag. Niektóre po prostu znikwały i nikt nigdy się nie dowiedział, co się z nimi stało.

Tadrith usłyszał raz, jak Aubri mówił, że większość wypadków w czasie wojny w oddziałach gryfów — innych niż te zawinione przez ludzkich dowódców, uważających niebezpiecznych za mięso armatnie i tak ich traktujących — zdarzała się również wśród takich gryfów. Nie trzeba mówić, że niewiele z nich znalazło się wśród tych, którzy znaleźli schronienie w Białym Gryfie i prawdopodobnie nie stworzą trzeciego pokolenia. Nie, jeśli nadal będą się wykańczać w takim tempie!

Kiedy nie polowali, zwykle można ich było znaleźć wylegujących się na nasłonecznionych platformach wśród swoich współtowarzyszy, próbujących zaimponować pustogłowym samicom albo chwaliących się mięśniami. Jasne, coś takiego zawsze zdarzało się wśród młodych gryfów, ale ta banda cały czas się tak zachowywała!

Na pierwszy rzut oka są mili. Ale nie sądzę, abym ich zniósł jako potencjalnych

kumpli czy też partnerki.

Kiedy więc Skandranon zastanawiał się, ilu z pokolenia Tadritha zginęło, nie zdawał sobie sprawy, że wszystkie te wypadki miały coś wspólnego.

Powiedzmy: kompletny brak rozumu. Marnowanie tego, co mieli. A co najważniejsze, brak porządnego wychowania. Podtrzymywanie młodych przy życiu to jedna rzecz, ale stworzyła tylko więcej gryfów, które postępowały tak samo ze swoimi dziećmi. Nawet czarujący miody idiota może czegoś dokonać, jeśli ma porządnym rodziców. Jestem tego najlepszym przykładem!

Jego ojciec pozbył się już nieco zakłopotania i rozmawiał normalnie z Keethem i Zhaneel na temat modyfikacji, jakie wprowadziła Zimowa Łania na placu ćwiczeń, aby szkolić trondi'irn. Tad skorzystał z ich nieuwagi, aby w spokoju dokończyć posiłek.

Skandranon wyglądał teraz dziwnie: w połowie pierzenia był czarno-biały jak tarant. Biel była naturalną barwą jego piór — teraz — a czarne zostały ufarbowane. Farbował się, kiedy miał odwiedzić Khimbatę jako specjalny wysłannik Białego Gryfa. Od czasu Ceremonii Zaćmienia, kiedy to dramatycznie zanurkował wprost ze znikającej tarczy słonecznej, aby powalić zabójcę, który zamordowałby cesarza Shalamana, Zimową Łanię i pewnie kilku innych ludzi, został dosłownie zmuszony do noszenia „przebrania” Czarnego Gryfa, gdy składał wizytę. Ocalał Shalamana, Czarnego Króla jako Czarny Gryfa w kulturze, która wielką wagę przywiązywała do rzeczy niezmiennych, został przypisany do tego wcielenia, gdy wracał na miejsce triumfu.

Król Gryf kochany wszędzie, gdzie się pojawia. Aubri kpił z niego w żywe oczy.

Jego słowa były prawdziwe i to właśnie najbardziej zakrawało na ironię. Nigdy nie wyjeżdżał z Khimbaty bez darów wszelkiego rodzaju. Ich kolekcja biżuterii zapierała dech w piersiach; gdyby on i Zhaneel nałożyli ją całą na siebie, nigdy nie oderwaliby się od ziemi.

Między nami mówiąc, jeśli nam się uda, może Keeth i ja będziemy choć w części tak sławni jak on, a większość tej sławy wyniknie z faktu, że jesteśmy jego synami.

Taka myśl mogła wpędzić w depresję, gdyby Tad był naprawdę ambitny. Szczerze mówiąc — nie był. Widział negatywne strony tej adoracji — Skandranon zawsze musiał być czarujący, dowcipny i nieskazitelnie grzeczny niezależnie od tego, jak się czuł. Ilekroć rodzina wizytowała Khimbatę, Skandranon nie miał czasu nawet dla siebie, o nich nie wspominając. A nawet w domu zawsze trafiał się ktoś, kto czegoś od niego chciał. Zawsze dostawał prezenty, a większość tych prezentów miała dołączone listy z życzeniami. A nawet jeśli nie, zawsze istniała szansa, że żądanie, przedstawione jako prośba, pojawi się później, kiedy nie będzie się spodziewał i przestanie być czujny.

Skandranon nigdy nie wiedział, czy ktoś pragnął jego przyjaźni ze względu na

to, jaką pozycję zajmował, czy ze względu na niego samego — a była to ważna różnica.

Nie, dziękuję. Po starannym przemyśleniu wolę trzymać się w cieniu.

Nie byłoby źle zostać zwyczajnym Srebrzystym, zawsze przydzielanym na Posterunki, oszczędzając wystarczająco dużo na procentach od złazisk, aby pozwolić sobie na wygodne życie. Niech Keeth zbierze śmietankę, stając się pierwszym trondi'irn wśród gryfów; Tad z dziką radością obdarowałby brata każdą ilością sławy, którą przeznaczenie trzymało dla niego w zanadru! Kiedy ta myśl pojawiła się w jego głowie, zauważył, że wszyscy na niego patrzyli. Najwyraźniej Keethowi zabrakło konceptu i nadeszła jego kolej.

A niech to.

Skandranon odchrząknął. Jak zwykle dźwięk ten, przyzwyczajenie przejęte od ludzi, zabrzmiał bardzo dziwnie w wykonaniu gryfa.

Szczerze mówiąc, brzmi to, jakby chciał wykrztusić kottun.

— Tak — rzeki radośnie Skan. — Twoja matka i ja chcielibyśmy usłyszeć więcej o posterunku, na który cię wysyłają. Co o nim wiesz?

Tad westchnął zrezygnowany i poddał się nieustępliwemu naciskowi miłości rodzicielskiej.

Klinga nie potrafiła zmusić się, by usiąść, choć powstrzymała się przed wędrówką wzdłuż krawędzi klifu. Kamienie tutaj były zbyt niebezpieczne, by po nich spacerować — jaki byłby wstyd, gdyby się poślizgnęła i spadła, łamiąc coś i tym samym zmuszając Aubriego i Judeth do wysłania kogoś innego na posterunek! *Tad przenigdy by mi nie wybaczył. Albo wziąłby sobie nowego partnera i odjechał, a ja zostałabym, aby znosić rodzicielskie współczucie.*

Ikala siedział na skale i patrzył na zachód słońca, nie na nią. Poprosił ją o spotkanie tutaj, aby się pożegnać; jej uczucia były tak mieszane, że naprawdę nie wiedziała, co mu powiedzieć. Na razie nie odezwał się słowem i czekała, aby zaczął mówić.

Odchrząknął, nie patrząc na nią.

— Więc wyjeżdżasz jutro. Mówili, że na kilka miesięcy? — Oczywiście znał jej zadanie, jak wszyscy wśród Srebrzystych; użył pytania jako sposobu rozpoczęcia rozmowy.

Słońce zniżyło się ku oceanowi; niedługo zanurkuje za linię horyzontu. Miała wrażenie, jakby jej gardło i język należały do kogoś innego.

— Tak — odparła w końcu. Teraz wiedziała, co ludzie mieli na myśli, mówiąc o „zapominaniu języka w gębie”. Niezwykle trudno było jej wydobyć z siebie to jedno słowo.

Chciała powiedzieć więcej; zapytać, czy będzie za nią tęsknił, czy był zły, że wyjeżdżała, gdy ich przyjaźń zaczęła przeradzać się w coś głębszego. Chciała

wiedzieć, czy poczuł się zraniony, że się z nim nie skonsultowała, że wybrała Tadritha na partnera, a nie jego. A przede wszystkim chciała wiedzieć, co myślał.

A nie potrafiła powiedzieć słowa.

— Chodź i siadaj — rzekł, wskazując na skałę obok. — Nie wyglądasz na zadowoloną.

Nie jestem — odpowiedziała bezgłośnie — jestem nerwowa jak zapchlony kot.

Ale i tak usiadła, ostrożnie, rozważnie. Nagrzana słońcem skała była delikatna pod jej dłońmi, wygładzona jak aksamit od działania wiatru i wody przez setki lat. Skoncentrowała się na skale, myśląc o jej stałości i odczuwając ją całym sercem.

— Jednocześnie cieszę się i smucę z twojego powodu, Klingo — rzekł Ikała, ostrożnie ważąc i dobierając każde słowo. — Cieszę się, bo w końcu dostałaś to, na co zasłużyłaś. To wspaniale. Ale jestem smutny, bo nie będzie cię przez miesiące.

Westchnął, choć się nie poruszył. Klinga skupiła się, pragnąc, aby mówił dalej, ale nie powiedział nic więcej. W końcu obróciła się ku niemu.

— Bardzo chciałam tego przydziału — przyznała. — Choć nie jestem pewna, czy potrafię wytłumaczyć dlaczego...

Ale nieoczekiwanie, kiedy spojrzał jej w oczy, uśmiechnął się.

— Pozwól mi spróbować — zaproponował, a w jego głosie zabrzmiały nutki ironii. — Czujesz się tłamszona przez twych szanownych rodziców i chcesz, aby zaakceptowali twe życie, tak odmienne od tego, które wiodą. Dodatkowo boisz się, że ich wpływ albo pchnie cię na przydział łatwiejszy, niż zasługujesz, albo zapewni, że nigdy nie staniesz wobec żadnego niebezpieczeństwa. Chcesz się przekonać, do czego jesteś zdolna, mogąc korzystać jedynie z własnego rozumu i umiejętności i jeśli nie znajdziesz się daleko od nich, obawiasz się, że nigdy nie otrzymasz odpowiedzi na to pytanie.

— Tak! — wykrzyknęła, poruszona takim zrozumieniem. — Ale skąd ty... — A potem zrozumiała przesłanie ukryte za smutnym uśmiechem, wzruszenie ciemnoskórymi ramionami. — Przyjechałeś tu z tego samego powodu, prawda?

Skinął głową, a w brązowych oczach zapalił się ognik tej samej ironii, która ją w pierwszej chwili tak zachwycała.

— Tak. I dlatego, choć wolałbym, żebyś nie wyjeżdżała na tak długo tak daleko — albo żebyśmy jechali w to samo miejsce — chciałem, żebyś wiedziała, że będę szczęśliwy, czekając na twój powrót. Zobaczymy, czego się nauczyłaś i co ta nauka z ciebie zrobiła.

— Myślisz, że się zmienię? — Oblizwała usta suchym językiem.

— Przynajmniej w części — rzekł. — Możesz wrócić jako osoba zupełnie różna od tej, jaką jesteś teraz; nie abym twierdził, że na tej innej osobie nie będzie mi zależało! Choć może się zdarzyć, że ta osoba i ja będziemy dla siebie nikim

więcej, tylko najlepszymi przyjaciółmi i towarzyszami broni. To nie będzie złe rozwiązanie, ale wolałbym inne.

Odetchnęła i rozluźniła się. Był tak rozsądny, że z trudem wierzyła własnym uszom!

— Nie wiem — przyznała. — Sądzę, że tyle czasu spędziłam, udowadniając, kim nie jestem, że nie wiem, kim jestem.

— Wobec tego dowiedz się tego — powiedział i zaśmiał się, dotykając przelotnie jej dłoni. Dotyk sprawił, że zadrżała. — Wiesz, przyjechałem tu w tym samym celu. Trochę to rozumiem.

— Cieszysz się, że tu przyjechałeś? — zapytała, zastanawiając się, czy pytanie nie było zbyt osobiste i pragnąc, by nie poprzestał tylko na dotknięciu jej dłoni.

Teraz on przez chwilę patrzył w dal, na zachód słońca.

— Ogólnie tak — rzekł. — Chociaż działając w ten sposób, zamknąłem przed sobą inne drogi. Była taka dziewczyna na dworze mego ojca, ale była niecierpliwa i nie podobało jej się, że nie wyjeżdżałem na dwór innego cesarza. Uznała mój wybór za umniejszanie mej pozycji, a wyjazd za opuszczenie jej. Słyszałem, że wyszła za kogoś innego, jednego z mych przyrodnych braci.

— Och, przepraszam. . . — powiedziała szybko, niezręcznie. Odwrócił się ku niej i nie wyglądał na szczególnie nieszczęśliwego, przesuając dłonią po sztywnych czarnych lokach.

— Nie masz za co przepraszać — stwierdził. — Skoro uznała to za porzucenie, nie znała mnie; jeśli nie potrafiłem przewidzieć jej reakcji, nie znałem jej. Więc. . . — wzruszył ramionami — mój smutek szybko zniknął. Podejrzewam, że moje uczucia nie były tak głębokie, jak chciała ani jak się spodziewałem.

— Nie znaczy to, że tutaj brakuje ci pocieszycieli! — rzuciła nierozważnie, czując, że nagle zabrakło jej tchu. Zaśmiała się aby to ukryć.

— To prawda. — Uśmiechnął się jeszcze radośniej. — I niewiele czasu zajęło mi zrozumienie, że nie potrzebowałem pocieszenia, bo miałem inne zainteresowania.

Jeszcze bardziej zabrakło jej tchu; nigdy nie posunął się tak daleko we flirtowaniu z nią, a jednak za kpina ukryta była więcej niż nuta powagi. Czy tego chciała? Nie wiedziała. I nagle ucieszyła się, że będzie miała trzy miesiące na przemyślenie.

— Cóż, myślę, że w sumie dobrze, iż będziesz miała sześć miesięcy na dowiedzenie się, z czego stworzono Klingę — rzekł beztrąsko. — A ja mam tę przewagę, że wiem, iż na posterunku nie będzie innych młodych mężczyzn, którzy mogliby przekonać cię do zwrócenia uwagi w inną stronę. I decyzje, które podejmiesz, włącznie z decyzją o naszej przyjaźni, będą tylko twoje.

Parsknęła.

— Zupełnie, jakby jacyś młodzieńcy mogli zmienić moje zdanie na jakikolwiek ważny temat! — rzuciła ostrzej.

— Co dowodzi, że nie mogę mówić, iż znam cię lepiej, niż inni przyjaciele — wytknął. — Widzisz? Tyle rozumiem; masz silne poczucie obowiązku, które zawsze będzie na pierwszym miejscu w twym sercu. Chciałbym myśleć, że jestem taki sam. I dlatego musimy to między sobą uzgodnić, zanim poczynimy inne zobowiązania.

Teraz ona wzruszyła ramionami.

— To wydaje się rozsądne... ale nie jest szczególnie... romantyczne. — Ostatnie słowo zabrzmiało żałośniej, niż oczekiwała.

— Cóż, skoro pragniesz romantycznego rozstania. — Uśmiechnął się. — Potrafię być jednocześnie praktyczny i romantyczny jak ty. — Ujął jej dłoń, tylko jedną i spojrzał prosto w oczy. — Srebrna Klingo, przemierzyłem imperium, porzuciłem mój kraj i wszystko, co kiedyś znałem. Nie oczekiwałem, że spotkam tu kogoś takiego jak ty i choć nie podzielałam wiary niektórych z mych ziomków, że wszystko zostało już postanowione, czasami wydaje mi się, iż przybyłem tu, bo ty tutaj jesteś. Teraz wiem, kim jestem. Wierzę, że jest w tobie duch, który pasuje do mojego. Jeśli te kilka miesięcy sprawi, że będziemy razem, czekanie nie będzie się dłużyć. — Poklepał jej dłoń. — Mam nadzieję, że taka dawka romantyzmu wystarczy twej praktycznej duszy?

Zachichotała.

— Tak myślę — powiedziała, czując się oszołomiona, jakby wypila butelkę wina. — Ja... ja nie jestem nawet w połowie tak elokwentna...

— Sokół też nie — odparł, puszczając jej dłoń. — Ale jest wdzięczny i godny podziwu bez słów. Stań się przelotnym ptakiem, Srebrna Klingo. Gdy wrócisz, spróbujemy polowania we dwoje.

Klinga wcale nie potrzebowała się pakować ostatniej nocy, ale udała, że musi i gdy tylko skończyła, zdmuchnęła świecę i poszła spać. Naprawdę potrzebowała odpoczynku i gdyby nie uciekła od przewrażliwionych rodziców, wcale by go nie zaznała. Trzymaliby ją do późna, zadając pytania, na które nie miała odpowiedzi, bo większość z nich była raczej filozoficzna niż praktyczna.

Ubrała się szybko i cicho, nie zapalając świecy. Jeśli miała szczęście, tylko matka już się zbudziła; Zimowa Łania, nie wiadomo dlaczego, zносиła sytuację lepiej niż jej mąż. *Czy ludzie zwykle nie narzekają, że ich matki nigdy nie uważają ich za dorosłych* — pomyślała, wciągając lekkie buty i przypinając na piersi tuniki srebrną odznakę. Srebrzyści nie mieli mundurów; Judeth uważała, iż lepiej było, aby nosili codzienne ubrania. Mundury zbyt przypominały ludziom o armii i wojnie, a nawet ci zahartowani w bojach chcieli o nich zapomnieć.

Dobrze, jeśli będę cicho stąpać, wyjdę stąd bez wszczynania kolejnej dyskusji o moim światopoglądzie.

Jej ojciec, Bursztynowy Żuraw, znany był z sypiania do późna — szczerze

mówiąc, głównie dlatego, że pracował po nocach — i miała nadzieję, iż wstając o świcie, uniknie zjedzenia z nim śniadania.

Ale nie. Kiedy przyniosła swe małe torby, aby położyć je przy drzwiach, zobaczyła, że w całym domu paliły się świece. Bursztynowy Żuraw już wstał.

Zobaczyła go, gdy tylko ruszyła ku tyłowi jaskini: ubrany, przytomny, siedział w kącie pokoju, którego używali jako jadalni, czekając na nią. Jej matka też tam była, co mogło nieco ułagodzić sytuację.

Westchnęła, mając twarz schowaną w cieniu, aby nie mógł dostrzec jej wyrazu. W najlepszym przypadku śniadanie z Bursztynowym Żurawiem należało do nerwowych, a to nie był najlepszy przypadek.

Ciągle pamięta, że był szefem kestra'chern i miał zwyczaj dowiadywania się przy śniadaniu, jak się mają jego towarzysze. Próbuje tak samo postępować ze mną.

— Dzień dobry, tato — powiedziała, czując się strasznie niezręcznie, gdy podchodziła do niewielkiego stołu. — Zazwyczaj nie wstajesz tak wcześnie.

Zastanawiała się, czy uśmiech Bursztynowego Żurawia był wymuszony; zbyt dobrze grał w jej obecności spokojnego, aby mogła zgadnąć. Oczywiście było, że zadał sobie niemało trudu, aby dobrze wyglądać. *Jedwabna tunika i spodnie, kamizela z surowego jedwabiu, trochę biżuterii, którą dostał od Haighlei i pióro Zhaneel we włosach. Pomyślałby kto, że ma audiencję u Shalamana.*

Przyjrzała mu się dokładnie. Nadal był uderzająco przystojnym mężczyzną. Mimo siwych pasm we włosach nie wyglądał na swój wiek w świetle lamp magicznych nad stołem, a ciepłe brązy i bursztyn jego ubrania maskowały trochę fakt, że pod oczami miał ciemne kręgi.

Bez wątpienia spowodowane zmartwieniem.

— Nie chciałem przegapić pożegnania z tobą, Srebrna Klingo — rzekł spokojnym, wyważonym tonem. — Wiem, że przegapiłbym je, śpiąc do jakiejś przyzwolonej godziny. Wy, ranne ptaszki, przyprawiacie normalnych ludzi o zawrót głowy.

Wiedziała, że zaśmiała się sztucznie, ale nie mogła nic na to poradzić.

— A wy, nocne marki, sprawiacie, że chce mi się krzyczeć, kiedy myślę o porządnym świetle dziennym, które marnujecie, śpiąc! — Wślizgnęła się na krzesło naprzeciw niego i sięgnęła poświeży chleb i dżem. Ojciec sięgnął przez stół i dołożył jej na talerz cienko pokrajane mięso. Nie chciała jeść rano czegoś tak ciężkiego, ale trzymała język za zębami. Po co zaczynać sprzeczkę? Nie byłby to najlepszy sposób pożegnania z rodzicami.

Czy przeżucie kawałka jest tak straszne? Oczywiście, że nie. Jeszcze niedawno zaprotestowałyby; teraz wiedziała, że nie miało to sensu. Uraziłaby jego uczucia. Przecież chciał pomóc.

A po dzisiejszym dniu nie będzie w stanie namieszać swą pomocą przez sześć długich miesięcy! Powinnam współczuć ludziom, gryfom, hertasi i reszcie, których otoczy swą troską zamiast mnie.

Zjadła plasterk mięsa, który był suchy i smakował jak przesolona stara skóra i wróciła do chleba. Bursztynowy Żuraw przesunął w jej stronę kubek gorącej herbaty, a potem wykonał ruch, jakby zamierzał nałożyć jej gorącej owsianki z garnka czekającego obok niego.

— O, nie! — wykrzyknęła. Za nic nie zje owsianki, nawet żeby uciechować ojca!
— Nic z tego! Nie, kiedy latam! Nie mam zamiaru udekorować pejzażu w dole!

Bursztynowy Żuraw zaczerwienił się lekko i cofnął dłoń.

— Przepraszam. Zapomniałem, że nie odziedziczyłaś mego żelaznego żołądka.

— Nie, odziedziczyła mój, wątpliwej jakości. Przestań dręczyć dziecko, mój drogi. — Zimowa Łania wychynęła wreszcie ze swego krańca jaskini, poprawiając włosy. Klinga podziwiała sposób, w jaki jej matka się poruszała. Popatrzyła na nią z ukłuciem zazdrości. Zimowa Łania potrafiła połączyć delikatną zmysłowość z absolutną pewnością siebie i kompetencją, którą Klinga na próżno próbowała naśladować.

Gdybym tak wyglądała... Trudno. Szkoda, że odziedziczyłam po mamie duszę, nie ciało!

W przeciwieństwie do męża Zimowa Łania nie wystroiła się specjalnie, co ulżyło Klindze. Jej ubiór: długa lniana spódnica z rozcięciem, tunika i kamizelka do kolan z wieloma kieszeniami przypominał to, co nosiła na co dzień. Jedynym ustępstwem, na jakie poszła w związku z przepychem stroju Bursztynowego Żurawia, było dopasowanie brązów i beżów swego ubioru do bursztynowych odcieni jego kreacji.

— Mam nadzieję, że nie uznasz nas za nieproszonych gości, Klingo, ale chcielibyśmy zobaczyć wasz odlot — powiedziała Zimowa Łania zwyczajnym tonem, jakby wyjeżdżali na kilka dni, a nie na sześć miesięcy. — Wiemy, że nie należy się narzucać. Twoja wyprawa nie jest pierwszą, jaką oglądają nasze oczy.

Teraz ona się zaczerwieniła.

— Och, oczywiście, że chcę, żebyście przyszli nas pożegnać! Nie będziecie przeszkadzać! — powtórzyła, dotkliwie zakłopotana. — Nigdy bym tak nie pomyślała!

Jedyny problem polegał na tym, że w głębi duszy tak myślała.

Przełknęła stygnącą herbatę, aby ukryć zakłopotanie i nieczyste sumienie, a Bursztynowy Żuraw bawił się kromką chleba, ugniatając ją w kupkę okruchów.

Usiłuje udawać, że się nie martwi; próbuje udawać dzielnego, chociaż wiem, że wcale nie jest dzielny. Dlaczego? Dlaczego się martwi? Gdyby był przezroczysty, mogłabym zobaczyć, że ma ściśnięty żołądek.

W końcu Bursztynowy Żuraw podniósł na nią oczy, przygryzając dolną wargę.

— Wiem, że pewnie uważasz, że przesadzam, ke'chara — powiedział cicho.
— Nie powinienem się tak przejmować faktem, że ty i twój partner ruszacie na normalny, spokojny posterunek. Wiem, że zachowuję się głupio i nawet nie mo-

gę udawać, że mam jakieś tajemnicze przeczucia. Wszystko jest winą starych... myślę, że można to nazwać starymi nawykami uczuciowymi.

Zimowa Łania stanęła za nim i położyła mu dłonie na ramionach, delikatnie masując mięśnie, które musiały być strasznie napięte. Na zewnątrz krzyczały mewy, witając świt i wiatry, które poniosą je na łowiska.

Bursztynowy Żuraw przykrył dłonią dłoń swej żony.

— Gnębią mnie dwie rzeczy w związku z tym przydziałem i żadna z nich nie jest racjonalna. Po pierwsze to ty, moja córka, ruszasz na sześć miesięcy do miejsca, które jest niepokojąco daleko. Będiesz tam sama, nie licząc jednego gryfa. Gdyby chodziło o kogoś innego, pożegnałbym ją czy jego z lekkim sercem i zajął się własnymi sprawami.

— Ale nie chodzi — oświadczyła.

— Nie — westchnął i poklepał dłoń Zimowej Łani. — Twoja matka radzi sobie lepiej niż ja.

— Absolutnie ufam Aubriemu i Judeth — odparła Zimowa Łania spokojnie.

— Nie wystaliby tak daleko kogoś, kto nie byłby przygotowany na każdą okoliczność. — Jej głos nieco stwardniał, gdy na niego spojrzała. — Jeśli nie ufasz Klindze, kochanie, przynajmniej im zaufaj.

— Ufam. Rozumowo — zaprotestował Bursztynowy Żuraw. — Ale... trudno jest przekonać uczucia.

Zwrócił się ku Klindze, która była coraz bardziej zakłopotana decyzją rodziców, aby odsonić przed nią duszę. Próbowwała tego nie okazywać. Pod zakłopotaniem kryło się rozdrażnienie.

Czy on nie może zrozumieć, że jestem dorosła i nie potrzebuję go, aby usuwał mi przeszkody z drogi? Nie może pozwolić mi odejść?

— Drugi problem jest stary, znacznie starszy niż ty — powiedział szczerze. — I nie ma absolutnie nic wspólnego z twoimi możliwościami; zawsze będę to czuł, nawet gdybyś była legendarną wojowniczką z magicznym mieczem u boku. Dla mojego serca nie liczy się, że mamy pokój, że po prostu jedziesz do dżungli obsadzić posterunek. Problemem tkwi w tym, że wyjeżdżasz. Kiedy — cień bólu przemknął po jego wyrazistej twarzy — kiedy ludzie odjeżdżali w czasie wojny, nie zawsze wracali. — Otworzyła usta, aby zaprotestować; uprzedził ją.

— Wiem, że mamy pokój, wiem, że nie ruszasz walczyć z wrogiem, wiem, że jedynymi wrogami są burze i wypadki. Ale ciągle reaguję emocjonalnie, widząc ludzi ruszających na paramilitarną misję, a fakt, że bierze w niej udział moja córka, tylko pogarsza sprawę. — Uśmiechnął się lekko. — Obawiam się, że nie możesz dyskutować z uczuciami.

Spojrzała na wypolerowany drewniany blat i narysowała coś wskazującym palcem, śledząc słoje. Czego, na litość boską, oczekiwał? Co mogła powiedzieć? *To było lata temu, zanim jeszcze przy szlam na świat. Czy nie możemy już z tym skończyć? Ponoć jest wielkim czarownikiem uczuć, więc dlaczego nie założy wła-*

snym wędzidła? Co może się nie powieść na tym posterunku? Będziemy mieć ze sobą teleson, będziemy się meldować, a jeśli nasze życie będzie zagrożone i nie będą nam mogli szybko przysłać pomocy, zaryzykują i ściągną nas przez Bramę!

Ale nie to chciał usłyszeć, poza tym te słowa by nie pomogły.

— Rozumiem. To znaczy, wydaje mi się, że rozumiem. Spróbuję — dokończyła potulnie.

Jasne, oddziela nas dżungla, ale kiedy już tam dotrzemy, będziemy w ufortyfikowanym posterunku, zbudowanym, aby wytrzymał burzę, oblężenie i trzęsienie ziemi. I oczywiście nikt nigdy nie próbował przejść przez tę dżungłę, ale będziemy lecieć, nie iść! Czy jest coś, co może nas strącić na ziemię, z czym Kale'd'a'in lub Haighlei nie mieli już do czynienia?

Było niewielkie prawdopodobieństwo, że niektóre magiczne stworzenia Ma'ara przetrwały kataklizm. Jeszcze mniejsze, że któreś przedostało się tak daleko na południe. A jeśli nawet, niewiele z nich mogło kiedykolwiek zagrozić gryfowi. *Ostatni makaar zdechł wieki temu, a nigdy nie istniało nic innego, co mogłoby strącić gryfa. Będziemy lecieć zbyt wysoko, aby mogły nas dosięgnąć pociski, a nawet jeśli nie, to i tak między nami a snajperem znajdzie się cała masa sprzętu i kosz z zapasami.*

— Tato, obiecuję, że nic nam się nie stanie — powiedziała tylko, przetykając ostatni kęs suchego chleba. — Makaary wymarły, a nic innego nawet nie tknie piór Tadritha. Widziałeś go: jest jednym z największych i najsilniejszych gryfów wśród Srebrzystych!

Ale Bursztynowy Żuraw potrząsnął głową.

— Klingo, nie chodzi o to, że ci nie ufam czy nie wierzę w ciebie, ale ten świat kryje więcej niespodzianek, niż ty i Tadrith kiedykolwiek widzieliście. W Wojny Magów zaangażowanych było więcej magów niż Urtho i Ma'ar; wielu z nich stworzyło bardzo niebezpieczne zwierzęta i nie wszystkie zdychały tak szybko jak makaary. Przyznaję, jesteśmy bardzo daleko od pól bitewnych, ale my dotarliśmy tak daleko, więc dlaczego inne stwory nie mogły tego powtórzyć?

Nie będzie mnie słuchał — uświadomiła sobie. *Jest zdecydowany bać się o mnie bez względu na to, co powiem.* Prędzej gryf przeszedłby przez ucho igielne, niż Bursztynowy Żuraw zmienił zdanie.

— A poza tym, jak wiesz, burze magiczne, które nadeszły po kataklizmie, wypaczyły wiele, wiele teoretycznie nieszkodliwych stworzeń i wpłynęły na inne. — Wysunął uparcie podbródek. — Zapytaj Śnieżną Gwiazdę, jeśli mi nie wierzysz; pewne terytoria, które przekraczaliśmy, były niewiarygodnie trudne do pokonania, a to było tylko po roku ekspozycji na burze magiczne! Mieliśmy wiele, wiele szczęścia, że większość napotkanych przez nas stworzeń była ledwo inteligentna.

— Hybrydy i zmiennolicy wymierają w ciągu jednego pokolenia — odparła, pozwalając zawładnąć sobą niecierpliwości. — To zwykły fakt, ojcze. Zbyt wiele rzeczy jest nie tak z magicznymi stworzeniami, aby długo żyły.

Uniósł jedną brew, a wyraz jego twarzy powiedział jej, że przyłapał ją na błędzie.

— Urtho nie był nieomylny — rzekł cicho. — Zdarzyło mu się wiele wypadków, gdy tworzył swe nowe istoty. Jeden z takich wypadków odpowiadał za wytworzenie się inteligencji u kyree, a inny za inteligencję hertasi. Żadna z tych ras nie wymarła w ciągu jednego pokolenia.

Dostrzegła słaby punkt w jego argumentach.

— Przypadek może odpowiadać za inteligencję u stworzenia, ale nie za samo stworzenie — sprzeciwiła się. — Stworzenie istot wymaga myślenia, planowania i techniki. Przypadek nie jest w stanie tego po wtórzyć!

Wyglądał tak, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

— Poza tym — ciągnęła Klinga, wykorzystując przewagę, dopóki ją miała. — Ludzie od lat obsadzają ten posterunek i nikt niczego nie widział, ani tam, ani po drodze. Czy nie sądzisz, że gdyby miały nas spotkać kłopoty, ktoś miałby je wcześniej?

Bursztynowy Żuraw opuścił oczy, pokonany i potrząsnął głową.

— Przyłapałaś mnie — przyznał. — Ale jest jeszcze coś. Nie wiemy, co się znajduje za posterunkiem i przylegającym doń terenem. Haighlei nigdy tam nie byli, my też nie. Kto wie, może jest tam armia wojennych uchodźców, która was zaatakuję, albo czarodziej renegat szykujący się do przejścia władzy nad krajem...

— I to — rzekła stanowczo Klinga — jest podstawowy powód, dla którego tam będziemy. Naszym obowiązkiem jest czujność.

Nie mógł temu zaprzeczyć i nawet nie próbował.

Klinga wyrwała się rodzicom, obiecując, że nie odleca, dopóki oni nie przyjdą. Zjedną torbą przerzuconą przez plecy, drugą zwisającą z ramienia, biegła po sześciokondygnacyjnych schodach, które wiodły ku wąskiej ścieżce prowadzącej na szczyt klifu. Była tak przyzwyczajona do biegania po schodach podobnych do drabiny i serpentynowych drózkach, że nie była nawet zdyszana, kiedy dotarła na szczyt. W końcu spędziła tu niemal całe swoje życie, a strome płaszczyzny były jednym ze znaków szczególnych Białego Gryfa.

W dole, na zachodniej ścianie klifu, na której stało miasto, była w cieniu; wspinała się wraz ze wschodzącym słońcem i oboje — ona i słońce — wyrwali się w tej samej chwili ostatnim nocnym cieniem. Złote palce spoczęły na niej, kiedy pokonywała ostatnie kilka stopni ścieżki. Poranek był piękny: horyzontu nie przecinały żadne chmury, zapowiadające burzę ze wschodu. Czerwone niebo było bezchmurne. *Jeśli mam podróżować, wolę takie poranki; ani obłoczka na niebie, a powietrze suche, chłodne i spokojne.*

Na szczycie klifu rozciągały się szerokie łąki i pola, pokrywające łagodnie fa-

lujące wzgórza. Oczywiście, były absolutnie nie do obrony; jak w Ka'venusho, fortecy Urtho, nie było porządnej góry, na której można było odpierać ataki. Dlatego samo miasto wbudowano w klif, a jedyną drogą dostępu była wąska ścieżka. Na Białego Gryfa nie można było nawet zrzucić pocisków, bo ścieżkę wykuto w skale tak sprytnie, że kierowała obiekty spadające z góry całkowicie poza miasto.

Pomysł Judeth, ale potrzeba było mądrych kamieniarzy, aby nadać kształt temu pomysłowi.

Na krawędzi stały wielkie konstrukcje z drewnianych ram i lin, które mogły opuszczać wielkie ilości materiału na pierwszy poziom miasta; tak transportowano w dół jedzenie z farm. Zaledwie kilku ludzi mogło jerozłożyć lub zniszczyć w kilka chwil. Nic tu na górze nie dostałoby się w ręce wroga, gdyby kiedykolwiek nastąpił atak.

Kiedyś rolnicy mieszkali w Białym Gryfie i każdego dnia wspinali się na górę, aby doglądać stad i pól; teraz już przestali podróżować. Na krawędzi wyrosła druga wioska, pełna stodół i domów, obór, warsztatów i zagród, do których zaganiało stada na te kilka dni w roku, gdy pogoda była zbyt kiepska, aby pozostawały na polach. Jeśli śnieżyce nadciągały znad morza, a nie od strony lądu, stada zaganiało do lasu, a ci, którzy nie musieli ich strzec, chronili się wśród grubych murów Białego Gryfa.

Zbrojownia i areszt Srebrzystych też mieściły się na klifie. Przestrzeń w mieście była zbyt cenna, aby ją zaśmiecać żelastwem. Co zaś się tyczy aresztu, większość kar odbywano, pracując w polu, a zysk płynący ze zbiorów oddawano tym, którzy ucierpieli. Ponieważ przestępstwa w mieście ograniczały się zazwyczaj do kradzieży lub rozboju, ofiary akceptowały takie wynagrodzenie. Byli tacy — niewielu — którzy stwarzali zagrożenie. Tych albo więziono na górze, w kajdanach, albo pozbywano się ich z dala od miasta. Po Hadanelicie już nikogo nie wygnano. Możliwość, że kolejny niebezpieczny przestępca przetrwa wygnanie, była zbyt wielkim ryzykiem.

Tuż przy areszcie mieściło się lądowisko. Na samym środku rozpościerało się coś, co przypominało olbrzymi kosz wielkości sześciuosobowego namiotu. Przywiązano do niego skomplikowaną sieć lin, a nieopodal stał Tadrith; hertasi pomagał mu wejść w ciężką skórzaną uprząż. Jak zwykle gryf prowadził żywy dialog z pomocnikiem, próbującym doskonale zamocować uprząż. Wołała im nie przeszkadzać; jej życie zależało od tej uprzęży i tego, czy będzie mu w niej wygodnie.

W tym właśnie koszyku ona i zapasy mieli się dostać na posterunek. Wydawał się o wiele za ciężki dla Tadritha i był taki w istocie. Nawet najsilniejszy z gryfów nie byłby w stanie bez pomocy podnieść jej samej w tym koszu.

Ale magia działała już stabilnie, a wszystkim zajął się mag, który miał za zadanie sprawić, aby kosz i jego zawartość były tak lekkie, jak to tylko możliwe, biorąc pod uwagę zmiany przyspieszenia. Zmieniał koszyk w rodzaj jednej z la-

tających barek Kaled'a'in. Tadrith nie niósł ciężaru, tylko go prowadził.

Zakłęcie było tak skomplikowane, że Klinga nawet nie starała się go pojąć. Wszystko w koszyku, ona również, zachowywało swą wagę, w innym przypadku nie przytwierdzone na stałe przedmioty uleciałyby z poranną bryzą. Ale dla Tada, chociaż kosz nie ciągnął go w dół, nadal istniał problem masy chwiejącej się na boki i przyspieszenia. Nie podnosił go, ale musiał włożyć nieco siły w ciągnięcie, jak dyheli i konie ciągnące latające barki.

Klinga podbiegła, aby sprawdzić zapasy ułożone w koszu. Jak obiecał Aubri, zaopatrzeniowiec zajął się wszystkim, czego ona i Tadrith potrzebowali, z wyjątkiem rzeczy osobistych. Większość potrzebnych rzeczy — tych, które były niezbędne po dotarciu na miejsce — wysłano już przez Bramę. Zabierali ze sobą tylko to, czego potrzebowali w podróży, czego nie zdążono przerzucić przez Bramę i co przyniosła ze sobą.

Tadowi na pewno ulży.

Tadowi ulżyło, kiedy powiedziała mu, że w sprawach strojów absolutnie nie przypominała ojca. Obywała się bez wymyślnych ciuchów; ale Aubri opisał kiedyś latającą barkę Bursztynowego Żurawia i gdyby gryfy mogły blednąć, Tad byłby biały jak papier na samą myśl, że miałby pomóc w przemieszczaniu takiej ilości strojów, sprzętu i mebli.

Wrzuciła do kosza swoje dwie torby i spokojnie czekała przy lądowisku na zakończenie ostatnich poprawek. Oddelegowaną do nich hertasi była Chana, córka Gestena; równie skrupulatna i sumienna jak ojciec, nie opuściła Tada, dopóki oboje nie byli zadowoleni z położenia każdego rzemienia. Klinga wiedziała, że każda sprzączka została sprawdzona dwa razy, każde kółko i nit poddane najdokładniejszym oględzinom. Chana niczego nie zostawiała przypadkowi i nigdy nie szła na ustępstwa, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo.

W końcu cofnęła się.

— Może być — rzekła syczącym głosem. — Spróbuj donieść ten sprzęt z powrotem w jednym kawałku.

Klinga stłumiła chichot, bo ta uwaga była tak w stylu Gestena, jakby to on stał obok nich. Jak ojciec, Chana nie okazywała troski o kadetów jej przydzielonych, tylko o całość ich ekwipunku. Jednak oczywistym było, że skoro wyposażenie wracało do zbrojowni w opłakanym stanie, kadeci zjawiający się na lądowisku nie wyglądali lepiej.

Tad pomachał do niej, gdy Chana zaczęła sprawdzać mocowanie uprzęży do koszyka.

— Jak przypuszczam, czekamy na rodziców? — zapytał od niechcienia.

Westchnęła.

— Mimo że ucieczka bez słowa jest moim szczerym pragnieniem, jeśli nie pozwolimy im na pożegnalne fanfary, mogą nie pozwolić nam wrócić.

— Możemy nie chcieć wracać — burknął i niecierpliwie zwarł pazury. — Bo po powrocie zmienią nasze życie w piekło, wzbudzając poczucie winy.

Roześmiała się i poklepała go po ramieniu.

— Rodzice zawsze wiedzą, jak uderzyć w twoje słabe punkty — rzekła. — W końcu to oni te słabe punkty stworzyli.

— Czy ja dobrze słyszę? Czy ktoś tu mnie cytuje? — Nowo przybyły miał strój i maniery równie eleganckie jak Bursztynowy Żuraw, ale mniej rzucał się w oczy. Klinga знаła go zbyt dobrze, by się czerwienić.

— Oczywiście, wujku Śnieżna Gwiazdo — odparła. — Skoro ty ich nie używasz, dlaczego ja nie mogę?

Zachichotał, słysząc tę impertynencję; oprócz Skandranona tylko ona odważała się rozmawiać z nim takim tonem. Narażanie się na gniew adepta tak potężnego jak Śnieżna Gwiazda nie było rozsądne, o czym boleśnie przekonali się niektórzy jego podwładni.

— Nie sądzę, żebyś miał jakieś problemy z zaklęciami nałożonymi na koszyk, Tadrith — powiedział, zwracając się do młodego gryfa. — Są tak silne jak wszystkie, które kiedykolwiek rzucałem.

Klinga przypuszczała, że jej „przyszywany” wujek razem z rodzicami przyszedł ich pożegnać; była zaskoczona, słysząc, że to on nałożył na koszyk zaklęcia umożliwiające latanie.

— Ty je rzuciłeś, wujku? — zdziwiła się otwarcie. — Czy to nie...

— Nie przystoi komuś z moją rangą? — roześmiał się. — Po pierwsze dobrze jest, gdy mag ćwiczy na wszystkim, co jest dostępne, a po drugie, gdyby magia zawiodła właśnie w waszym koszyku... — Zadrżał. — Powiem tylko, że wolałem sam się tym zająć, niż tłumaczyć rodzicom, dlaczego dopuściłem tu jakiegoś podrzędnego magika.

Klinga przytaknęła żałośnie.

— Święte słowa — rzekła. Dodałaby coś jeszcze, ale w tej samej chwili usłyszała znajome głosy dobiegające spod krawędzi klifu.

Prawie natychmiast Tad ostrzegawczo wskazał dziobem trzy szybko zbliżające się gryfy, które mogły być tylko jego rodzicami i bratem.

— Do kompletu potrzeba nam tylko Judeth i Aubriego — mruknęła Klinga, z rezygnacją myśląc o długim i skomplikowanym pożegnaniu, co znacznie skróci światło dzienne, przy którym mogli podróżować.

— Narzekasz czy żadasz? — Komandor Judeth stanęła na progu kwater Srebrzystych, uśmiechając się. Nie była Kaled'a'in; jej włosy, zanim stały się śnieżnobiałe, były ciemnoblonde, a oczy przejrzyste i szarozielone. Była jednym z generałów Urtho i rozumiała rolę oddziałów złożonych z nieludzi, dowodząc nimi z wyczuciem i troską i wszyscy byli szczęśliwi, że znalazła się wśród k'Leshya, gdy ostatnia Brama się zapadła. Wielokrotnie dowodziła swej odwagi, tak podczas przemierzania ziem nękanych burzami magicznymi, jak i w Białym Gryfie.

Ze swym partnerem Aubrim rozpoczęła organizację Srebrzystych i nazaczyła ich piętnem swej osobowości. Ona jedyna nosiła coś na podobieństwo munduru; czarną tunikę i nogawice, pozostałość po starych strojach. Gryfia odznaka lśniła dumnie na elegancko odzianej piersi.

Podeszła do lądowiska, mierząc Tada i Klingę taksującym spojrzeniem.

— Czy mam rozumieć, iż twoja uwaga sugerowała, że mogę przyczynić się do opóźnienia odlotu? — spytała.

Klinga zaczerwieniła się, a starsza kobieta pozwoliła, by po jej wargach przemknął cień uśmiechu.

— Zapewniam was, Aubri i ja przyszliśmy tu tylko po to, aby upewnić się, że wasi drodzy krewni nie będą przeszkadzać — rzuciła sucho i odchrząknęła.

— Bacność! — zawołała głosem, którym dowodziła tysiącami, gdy tylko Bursztynowy Żuraw i Zimowa Łania pojawili się na ścieżce. — Ruszać się, że-gnać się, z życiem! To nie wakacje, tylko operacja wojskowa! Do dzieła!

— Dzięki bogom — szepnęła Klinga, gdy ich rodzice rzucili się wypełniać rozkaz. — Może jednak wylecimy stąd przed południem!

— Za kwadrans — odparła pewnie Judeth. — Albo wszyscy, zanim się obejrzyście, zaliczycie karny tor przeszkód!

Klinga zaśmiała się — Judeth nie składała czczych deklaracji i spełniłaby swą pogroźkę.

To, co zapowiadało się jako trudny odlot, przemieniło się w radosne pożegnanie, nawet gdy zbliżyły się rozczulone rodziny. Mogło być tylko lepiej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Długo po tym, jak Srebrna Klinga i Tadrith zniknęli z zasięgu jego niezwykłego wzroku, Skandranon wpatrywał się w połacie niebieskiego bezchmurnego nieba. Kilka razy oszukiwał się, że czarna kropka na horyzoncie to oni, ale dał za wygraną; jego wzrok stopniowo tracił ostrość, a myśli zaczęły wędrować.

Był rozdarty między dumą i niepokojem. Ich odlot zostałby przez wszystkich uznany za bardzo dobry: stylowy, szybki, profesjonalny. Żadnych pokazów latania z figurami, ani jednego błędu w manewrowaniu. Gdyby on był w wieku Tada i miał taką widownię, kusiłoby go popisanie się paroma sztuczkami.

I byłyby duże szansę na to, że wykonałbym je pierwszorzędnie. Ale z drugiej strony wyrobiłem już swój limit popisów. Ponieważ wschodzące słońce świeciło mu prosto w oczy, dalsze wypatrywanie przestawało mieć sens. Powstrzymał westchnienie i nakazał obolałemu żołądkowi, aby się pilnował; system trawieny gryfów i tak był wystarczająco delikatny, nie potrzeba mu było wrzodów ze zmartwienia.

Cóż, polecieci. Mój pisklak naprawdę się opierzył, przestał być podrostkiem i teraz... leci w swoją stronę po własne przygody. Prawdziwe przygody, a nie wysokie wyniki na torze przeszkód. Zapracuje na rozgłos zupełnie jak ja.

Popatrzył na Zhaneel i w jej wzroku dostrzegł odbicie swojej dumy i lęku. Nie okazałaby ich przed chłopcem i rzeczywiście przybrała dzielny i radosny wyraz twarzy, ale wiedział, że denerwował ją ten nagły odlot.

Próbował wyglądać na absolutnie pewnego siebie, ale musiał stoczyć walkę ze swym sercem i wcale nie był pewien wygranej. *Przygody. Ha!* Kiedy przygody nie były jego udziałem, nie uważał, że ich poszukiwanie było takim doskonałym pomysłem. Czy Tad był gotowy? W czasie wojny nie mieli wyboru, musieli stawić czoło niebezpieczeństwu, czy byli gotowi, czy nie, ale teraz mieli pokój i wydawało mu się, że mogli sobie pozwolić na większą ostrożność.

Rozpościerał skrzydła w miarę, jak rosła pokusa, aby wzbić się i polecieć za nimi. *Mógłbym trochę poćwiczyć. Lady Cinnabar zawsze mi powtarza, że powinienem więcej latać. A gdybym przypadkiem przeciął ich kurs...*

— Obiecałeś, że nie polecisz jako skrzydłowy, kiedy dzieci wyprawiają się na posterunek — szepnęła Zhaneel na tyle cicho, aby nikt inny nie mógł jej usłyszeć.

— Pamiętaj. Obiecałeś.

Psiakrew. Obiecał. A ona czytała w nim jak w otwartej księdze. Rozpostarł skrzydła i ostentacyjnie je strzepnął.

— Cieszę się, że nie muszę lecieć — powiedział, by zapewnić ją, że słyszał i pamięta o obietnicy. Oczywiście, ostatniej nocy przyłapała go w chwili niezwyklej słabości, ale nie zmieniało to faktu, że złożył przyrzeczenie. Jeśli Czarny Gryf nie potrafił dotrzymać słowa danego żonie, kto mu zaufa?

Aubri parsknął kpiąco:

— Nie byłbyś w stanie odbyć takiego lotu, ptaku — rzucił. — Są od ciebie dużo młodszy i przede wszystkim w lepszej formie.

Skan szykował się do ciężkiej riposty, ale nagle zamilkł, myśląc. Tym razem nie da Aubriemu wygrać!

— Och, teoretycznie mógłbym — powiedział tonem starej matrony. — Tobie się udało, a jestem w lepszej formie od ciebie. Co więcej, Tad ciągnie koszyk, więc poleci w tempie, które nawet ty mógłbyś utrzymać. Ale w czym rzecz? Co miałbym udowodniać? Że jestem na tyle głupi, aby wyruszać w bezcelową podróż tylko po to, aby pokazać, że dorównuję młodzikowi? Byłaby to strata czasu, na którą mnie nie stać.

Aubri wyglądał na zaskoczonego i zawiedzionego, że tym razem Skan nie nadał się i nie zaczął przechwalać.

Zhaneel rzuciła mu wdzięczne spojrzenie, zapowiadające kolejny interesujący wieczór i kojące zranioną dumę.

Judeth przysłuchiwała się rozmowie z krzywym półśmiechem i postanowiła przedstawić własne zdanie.

— Następne pokolenie wyrusza na łowy — rzekła, przeczesując włosy palcami — a my zostajemy w domu, aby dopilnować, żeby nie zastali tu zbyt wielkich zmian, gdy wrócą. Osobiście wcale im nie zazdroszczę.

— Ani ja — dodał Skandranon. — Przygody zawsze niosły ze sobą wysokie ryzyko zderzenia z ziemią na pełnej szybkości i sporo bólu. Może pamięć mnie czasami zawodzi, ale tego nie zapomniałem.

Bursztynowy Żuraw ocknął się w końcu z zamyślenia i westchnął.

— Pamięć cię nie zawodzi, stary ptaku. Pamiętam, że zdarzało mi się wyciągać z ciebie połamane gałęzie i całkiem sporo kamieni, i to więcej niż raz. — Poklepał Skana po ramieniu. — Nie rozumiem, dlaczego nie wymyśliłeś łagodniejszego sposobu zbierania pamiątek.

Skan skrzywił się, a Aubri wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. Po błysku w jego oczach Skan poznał, że zbliża się kolejny zamach na jego dumę.

Ale Aubri nie wziął pod uwagę Zimowej Łani, która przysłuchiwała się konwersacji równie uważnie jak Judeth.

— A ja przypominam sobie, że zamiast zbierać pamiątki z terytorium nieprzyjaciela, Aubri upodobał sobie wrogi ogień — rzekła, mrugając dyskretnie do

Judeth, tak że Aubri tego nie dostrzegł. — Właściwie robił to tak często, że jego eskadra porażenie przez kule ogniste nazywała „przyaubrieniem”. Na przykład „Przyaubrili mnie i muszę poczekać, aż mi lotki odrosną”. Albo „No, nieźle cię tam przyaubrili!”

Aubri zastygł ze zdumienia.

— Niemożliwe! — jęknął.

Oczywiście, że niemożliwe. Skandranon, któremu nie uszła wtedy żadna plotka, usłyszałby to określenie na długo, zanim doszło ono do uszu Zimowej Łania. Szczerze mówiąc, Zimowa Łania nie słyszała takich plotek, bo dopóki nie została kochanką Bursztynowego Żurawia, traktowała gryfy ze swego skrzydła jak trochę inteligentniejsze zwierzęta, a takie nastawienie sprawiało, że nikt nie miał ochoty z nią rozmawiać.

Ale reakcja Aubriego była tak gwałtowna, że nikt się nie kwapił do sprostowania informacji. Wreszcie ktoś oprócz Skana obrywał po uszach!

Co to, moje urodziny? Czy też Bogini Kaled'a'in postanowiła mnie choć przez moment pobłogosławić?

Judeth potarła skrzydełko nosa.

— Obawiam się, że to możliwe — potwierdziła złośliwie, a potem rozwinęła wypowiedź. — Kiedy twoja eskadra się meldowała, zawsze chcieli, żebyś ty latał na końcu klucza, bo byli wtedy prawie pewni, że nikt inny nie zostanie trafiony kulą ognistą albo błyskawicą. Raz czy dwa słyszałam, jak rozmawiali o „Zwęgłonym”, wydaje mi się, że mieli ciebie na myśli.

Aubri poruszał dziobem, ale na próżno; z jego gardła wydobywał się tylko skrzek.

— Mogło być gorzej — ciągnęła Zimowa Łania, szykując się do ostatecznego ciosu. — Udało mi się odwieść ich od wołania na ciebie „Kurczę Pieczone”.

Oczy Aubriego rozszerzyły się; podniósł głowę i otwierał dziób, ale jedynym słowem, jakie zdołał z siebie wydobyć, było „ale...”. Ponieważ zabrzmiało to dokładnie jak głos znieważonej matrony, całe zgromadzenie wybuchnęło głośnym śmiechem. A jeśli nawet ów śmiech był nieco nerwowy, cóż, oto czworo zdenerwowanych rodziców, którzy gwałtownie potrzebowali odreagowania.

Śmiali się tak długo, że ludziom oczy zaszczyły łzami, a nozdrza Aubriego stały się purpurowe. Zimowa Łania uratowała go przed atakiem apopleksji, wyznając, że wszystko wymyśliła.

— Nie żebyś nie zasługiwał na przydomek, przecież tyle razy przylatywałeś pokaleczony — dodała. — Ale nikt nigdy nie miał zamiaru ci dogryzać.

Aubri zamruczał, nadal mając postawione lotki.

— Nie odważyliby się — rzekł tylko, a Judeth odprowadziła go na bok, aby ukoić zranione uczucia i ułożyć zmierzwione pióra.

— Nie sądzę, aby lubił być obiektem szyderstw — zauważył cicho Bursztynowy Żuraw.

— Może wreszcie przestanie dogryzać Skandranonowi — odparła Zhaneel ostro. — Co za dużo, to niezdrowo, a on zrobił sobie ze Skana oselkę do ostrzenia języka! Mam tego dość! Skandranon na to nie zasługuje; jeśli Aubri nie zmieni przyzwyczajień, będą problemy, bo młode gryfy uwierzą w te jego złośliwości. Pomysła, że wszystko, o czym Skan opowiada, to tylko czcze gadanie i przechwałki!

Skan odwrócił się zaskoczony; nieczęsto stawała tak ostro w jego obronie.

— Aubri nie ma nic złego na myśli — bronił starego przyjaciela. — Starzeje się i dziwaczkuje, i lubi być złośliwy. Nie sądzę, aby młodzi przestali mnie szanować dlatego, że on próbuje się ze mną przekomarzać.

Zhaneel parsknęła i ze złością zamiotła ogonem.

— Być może, nie będę napominać go przy wszystkich, ale mam dosyć i może się spodziewać, że od dziś odpłacimy mu pięknym za nadobne.

— Zgadzam się — poparła ją Zimowa Łania, krzyżując ramiona na piersi. — W końcu Skan zasługuje na szacunek. Może nie tak wielki, jak byś chciał, ty próżne stworzenie — zwróciła się do Skandranona — ale większy, niż okazuje ci Aubri.

Skan spojrział na Bursztynowego Żurawia, który wzruszył ramionami.

— Nie mieszaj mnie w to — powiedział. — Nie sądzę, żeby Aubri traktował poważnie to, co mówi i nie wydaje mi się, aby inni jego traktowali poważnie, ale sądzę też, że zostałem przegłosowany.

Zimowa Łania wykrzywiła się i objęła szaropióre ramiona Zhaneel.

— Chodź, moja droga — powiedziała do gryficy. — Myślę, że powinnyśmy to dokładnie przedyskutować tylko we dwie, ponieważ mężczyźni nie traktują tej sytuacji z powagą, na jaką w naszym mniemaniu zasługuje.

— Zgadzam się — odparła Zhaneel i obie ruszyły ku krawędzi j klifu i kilku ławeczkom, które tam ustawiono.

Skandranon spojrział na Bursztynowego Żurawia z bezgranicznym zdziwieniem i odkrył, że ten spogląda za dwiema kobietami z wyrazem absolutnego niedowierzania na twarzy.

— Co wywołało ten zamęt? — zapytał, z całych sił próbując zebrać myśli. Bursztynowy Żuraw potrząsnął głową.

— Wiem tyle, co ty — przyznał. — Może teraz, kiedy ich pisklaki wyleciały z gniazda, obie poczuły, że muszą czegoś bronić. I choć jestem pewnym autorytetem w sprawie ludzkich uczuć, muszę oświadczyć, że czasami pani Zimowa Łania zaskakuje mnie. — Pokazał podbródkiem ścieżkę. — Masz ochotę na spacer ze mną, abyśmy mogli się wspólnie pomartwić o dzieci?

Skan odetchnął głęboko; Żuraw martwił się o Tada i Klingę tak samo jak on!

— Owszem, mam — przyznał żałośnie. — Zhaneel kazała mi przyrzec, że z nimi nie polecę i nie będę z nią o nich rozmawiał, dopóki sama nie podejmie tego tematu. Szkoda, że nie wierzę tak jak ona, że wszystko będzie dobrze. Nie mogę się powstrzymać i myślę o wszystkim, co może się nie udać.

Bursztynowy Żuraw poszedł za przykładem swej żony i objął Skana. Ten poczuł się lepiej; ramię na jego plecach przypominało o wsparciu starego, zaufanego przyjaciela, choć ten przyjaciel też potrzebował opieki. Przysłowie mówiło, że piękna połowa łuku jest tylko kupą kamieni, jeśli nic jej nie dopełnia.

— Tyle się może wydarzyć nawet w najspokojniejszym czasie. Ja też mam jak najgorsze przeczucia — wyznał Bursztynowy Żuraw. — Ale jak mi słusznie przypomniła Klinga, ich zadaniem nie jest konfrontacja z nieprzyjacielem. W pewnym sensie są tylko zwiadowcami. Jeśli zdarzy się jakieś niebezpieczeństwo, mają za zadanie wysłać ostrzeżenie przez teleson, a potem trzymać się z dala, aby mogli wrócić i złożyć nam szczegółowy raport.

Skan uważał, aby nie nastąpić Żurawiowi na odciski i parsknął w odpowiedzi.

— A jakie jest prawdopodobieństwo tego zdarzenia, co? — spytał. — To nasze dzieci! Czy ty naprawdę myślisz, że istnieje choć cień szansy, że nie uznają się za awangardę Białego Gryfa. I nie skonfrontują z nieprzyjacielem, jeśli się takowy pojawi?

Wepchnął Bursztynowego Żurawia w przestrzeń między swym bokiem i klifem i zaczęli schodzić do miasta. Jeśli któryś z nich miał się potknąć, lepiej żeby to był Skan, bo w przeciwieństwie do przyjaciela potrafił latać.

— Szczerze mówiąc, nie wiem — przyznał. — Moja córka zaskakuje mnie częściej niż moja żona. Czasami zastanawiam się, czy akuszerka nie podmieniła dzieci, kiedy Klinga przyszła na świat. Spogląda na sprawy zupełnie inaczej niż któreś z nas, a uwierz mi, próbowałem znaleźć z nią wspólny język.

— Wiem, o co ci chodzi — odparł smutno Skan. — Chociaż Keenath martwi mnie bardziej niż Tadrith. A jednak. Tylko dlatego, że nie widzieliśmy nigdy, aby zachowywali się tak jak my w ich wieku, nie znaczy od razu, że się tak nie zachowują. Jeśli rozumiesz, co próbuję powiedzieć.

— Chyba tak. — Bursztynowy Żuraw przeskoczył wystający kamień i ciągnął: — Dzieci zachowują się inaczej, gdy w pobliżu są rodzice, a inaczej, kiedy są same. Przynajmniej tyle udało mi się zaobserwować w życiu zawodowym i prywatnie.

Oczywiście nie pamięta, aby się tak zachowywał; stracił rodziców i rodzinę, kiedy był ledwie opierzony. Ale ma rację; ja zachowywałem się odwrotnie niż rodzice. Zawsze chcieli być tylko naśladowcami, a ja chciałem, aby inni uznawali mnie za przywódcę. Czasami zastanawiam się, czy nie byli mądrzejsi ode mnie.

— Szkoda, że nie możemy się z nimi kontaktować inaczej niż przez teleson — westchnął. — Kusi mnie, żeby był tu Urtho i stworzył kolejną Kecharę. . .

Nie potrafił dokończyć zdania; ból po stracie Urtho, który odczuwał, nawet wymieniając imię twórcy swej przybranej córki, zdławił mu głos.

— A jeszcze bardziej bym chciał, aby była taka jak przedtem — westchnął Bursztynowy Żuraw. — Nie tylko dlatego, że byłaby teraz użyteczna. Chętnie nadal bawiłbym się w uniki i polityczne owijanie w bawełnę, aby ukryć ją przed

Haighlei, gdyby mogła nadal być tak potężnym myślmówcą. Jest taka radosna; nie żał mi jej mocy, jeśli mogę ją oglądać żywą i szczęśliwą.

Kechara była jednym z „wytworów” Urtho, choć Skan nigdy nie odkrył, co jego przywódca, mentor i przyjaciel zamierzał, tworząc ją. Czy była pierwszym podejściem do gryfsokołów, których wspinałym przykładem była Zhaneel? Czy też zamierzoną próbą stworzenia gryfów o niezwykłej sile myślmowy? Czy też wypadkiem, czymś, czego Urtho w ogóle nie planował, eksperymentem, który przeprowadził do końca, a potem ukrył dla jej własnego dobra?

Niezależnie od tego, takich jak Kechara gryfy nazywały wyrodkami. W znacznym stopniu skarłała, kaleka, ze skrzydłami zbyt długimi dla małego ciała, miała umysł dziecka. Ale siła jej myślmagii była nie do pokonania. Słodka mała Kechara była w stanie osiągnąć myślmową aż do Khimbaty, stolicy Haighlei; w ten sposób dawno temu odkryła, że Skana i Bursztynowego Żurawia uwięziono. Szaleniec Hadanelith i jego dwaj wspólnicy z Haighlei porwali ich, planując zamordowanie cesarza Shalamana podczas Ceremonii Zaćmienia. Bez Kechary Skan nigdy nie byłby w stanie wydostać się na czas, aby ocalić króla, a Bursztynowego Żurawia na pewno nie byłoby wśród żywych. Przejęta niebezpieczeństwem, w którym się znalazł, a które nawet ona była w stanie pojąć, wydała z siebie mentalny wrzask tak głośny, że przebił magiczne zasłony wspólników Hadanelitha.

Urtho zdawał sobie sprawę z tego, jak potężnymi zdolnościami dysponowała i trzymał ją w swej Wieży dla jej własnego dobra. Wiedział, że mogła zostać uznana za cenny łup albo skuteczną broń i chciał oszczędzić jej tego losu. Ale sądził, że dni Kechary były policzone i bardzo się pomylił.

Skan potrząsnął głową.

— Zgadzam się. I wiem, że nigdy nie zaryzykowałbym, że urodzi się kolejne pisklę z problemami nawet gorszymi niż jej; nie mamy zdolności i wiedzy Urtho. Wszyscy ją kochamy, ale obiektywnie rzecz biorąc, skazy Kechary są zbyt wysoką ceną za jej dar. Szczerze mówiąc, myślę, że jeszcze nie oszalała tylko dlatego, iż nie rozumie większości rzeczy, które przeczytała w umysłach innych.

Robił, co w swej mocy, aby nigdy nie utracił zaufania do ludzi; podobnie jak Aubri, Judeth i inni mieszkańcy Białego Gryfa, którzy się z nią stykali. Kechara zaś służyła miastu i ludziom wiernie i radośnie. Starannie przekazywała wiadomości, które ledwie rozumiała, do i od Srebrzystych, którzy nie dysponowali magią umysłu. Starali się, aby to zadanie nigdy nie stało się dla niej udręką, a ona uwielbiała aprobatę i uwagę, jaką ją obdarzali.

Skan pomyślał, że Haighlei zachowywali się dziwnie: dla nich stworzenie z umysłem dziecka i zdolnością odczytania myśli każdego było nie do pomyślenia. Rok czy dwa po Ceremonii Zaćmienia Skan był przekonany, że Kaled’a’ in zdołają ukryć istnienie Kechary przed sprzymierzeńcami, ale ci w końcu odkryli, czym była. Usłyszeli wiele, wiele zakamuflowanych aluzji, dyplomatycznego gadania i dyskretnych sugestii. W końcu nadszedł oficjalny komunikat od króla

Shalamana doradzający „permanentne wyeliminowanie długodystansowego przekaźnika w Białym Gryfie” — czyli Kechary — i jasno dający do zrozumienia, że nie była to niewinna prośba, a niespełnienie jej mogło mieć bardzo poważne konsekwencje. Skandranon, Zhaneel i Bursztynowy Żuraw udali się do Khimbaty, aby porozmawiać z cesarzem w cztery oczy i wrócili do Białego Gryfa z delegacją magów dowodzoną przez Leyueta Doradcę. Między różnymi nerwowymi ceremoniami „tata Skan” wytłumaczył Kecharze, że nastał czas, aby odpoczęła od swej pracy i że muszą się upewnić, iż już nigdy nikt się jej nie przestraszy. Kechara, oczywiście, absolutnie ufała Skandranonowi i radośnie powitała delegację. Ponurzy Haighlei, przygotowani na spotkanie z potworem i walkę z jego straszliwą mocą pętającą dusze, stanęli oko w oko ze stworzonkiem, które uznało ich za bardzo śmiesznych i zażądało ich absurdalnie bogatych i kolorowych kapeluszy do zabawy.

Tacy są Haighlei. Podejrzewam, że człowiek mógłby im sprzedać wszystko, gdyby tylko owinął to w odpowiednie nakazy i zakazy historycznego protokołu. Przecież Shalaman był tak zaszokowany tymi morderstwami na dworze, bo nie dokonano ich według odpowiedniego protokołu! Może gdybyśmy znaleźli sposób, w jaki Kechara mogłaby służyć Shalamanowi według zasad ich religii, zachowałyby swą moc — ale okłamałibyśmy ją i prawdopodobnie stałaby się tylko narzędziem, jak się obawiał Urtho. Gdyby została użyta przeciw nam i zdała sobie z tego sprawę, straciłaby swą słodką niewinność. A tak przynajmniej może być w domu i się bawić. I może rozmawiać ze wszystkimi gryfami, które znajdują się w granicach miasta.

— I co teraz zrobimy, druhu? — zapytał starzejący się gryf, schodząc powoli ku najwyższym tarasom miasta. Na tym poziomie odbierano wszystko, co spuszczano z góry i ładowano na windy zaopatrzenia dla farm. Robotnicy już rozładowywali jedzenie przysyłane z pól i będą to robić cały dzień. — Chodzi mi o dzieci.

— A co możemy zrobić? — spytał Bursztynowy Żuraw lekko poirytowanym głosem. Podszedł do szerokich, pomalowanych na biało schodów, które tworzyły załamanie na głowie Białego Gryfa. — Nic. To ich praca; praca, którą wybrali. Zostali do niej przydzieleni przez przełożonych, którzy uznali ich za zdolnych do służby. Czy ci się to podoba, czy nie, są już dorośli i obawiam się, że lepiej będzie, jeśli zaczniemy się do tego przyzwyczajać.

Skan zwiesił dziób i ruszył za nim, szurając szponami po kamiennej rampie przy schodach, którą łatwiej było gryfowi pokonać.

— Nie podoba mi się to — rzekł w końcu. — Ale nie umiem powiedzieć dlaczego.

Bursztynowy Żuraw zatrzymał się nagle, odwrócił i spojrzał na przyjaciela z tak zmartwionym wyrazem twarzy, że gryf aż stanął na niższym stopniu.

— Mnie też nie, a nie mam żadnego powodu, aby się tak czuć. Szkoda, że nie

mogę powiedzieć o moim przeczuciu, bo ta pewność, że coś się nie powiedzie, upodabnia mnie do nerwowej starej ciotki. . .

— Ale? — nalegał Skan. — Martwisz się, że nie masz odpowiedniej sukni, żeby zagrać ciotkę?

Bursztynowy Żuraw zachichotał, potem westchnął.

— Ale obawiam się, że nie mam podstaw, a nikt z jasnowidzów nie stwierdził wyraźnie, że coś się stanie Klindze i Tadowi. Wiem, co powiedziałbym mojemu klientowi, gdyby się tak czuł.

Skan spojrział przyjacielowi w oczy i potrząsnął głową.

— Niech zgadnę. To, co czujemy, jest kombinacją starych reakcji wojennych i żalu, bo opierzenie się naszych piskląt jest nieomylnym znakiem, że się starzejemy.

— Absolutnie. Kto chce pogodzić się z nim, że się starzeje? Na pewno nie ja, bądź pewny. — Bursztynowy Żuraw był szczery i smutny. — Od dziesięcioleci utrzymuję ciało w formie, katuję je na różne sposoby, mogę być rozluźniony jak puch i napięty jak rzemień, ale. . . wszystko miało trwać jak najdłużej. Nigdy nie zastanawiasz się nad starością, gdy się starzejesz. A potem nagle ona już tu jest i gapi ci się w twarz. Bołą cię kości i stawy, młodzi się martwią, czy się aby nie nadwerężasz, a kiedy próbujesz im wytłumaczyć, że doświadczenie coś jednak znaczy, że wiesz więcej niż oni, przyłapujesz ich na wymienianiu spojrzeń, kiedy myślą, że nie patrzysz.

— Rzeczywiście. Uważam, że to okrucieństwo życia. W jednej chwili się oburzamy, bo nie uważa się nas za wystarczająco dorosłych, aby powierzać nam interesujące zajęcia, a potem, nagle, ledwo opierzone pisklaki odlatują, aby robić rzeczy, których my już nie możemy robić! — Skan potrząsnął głową i zapatrzył się w ocean. — I jeszcze mamy to przyjąć z godnością! To niesprawiedliwe. Protestuję! Uważam, że powinienem zostać zrzędą. Moje narzekanie zaspokoi wtedy oczekiwania ludzi.

— Za późno.

Skandranon parsknął.

— Będę wyjątkiem. Zasłużyłem sobie na tytuł. Król Zrzęda.

— Dopust Boży i Kara za Grzechy. Mogę się do ciebie przyłączyć? Będziemy obaj dostarczać młodym rozrywki. — Bursztynowy Żuraw wyrzucił z siebie trochę niepokoju, a Skan, zaskoczony, stwierdził, że sam też się rozluźnił.

— Jasne — odparł Czarny Gryf z godnością. — Chodźmy na tor przeszkód i głośno komentujmy, jak to my pokonywaliśmy go lepiej i szybciej.

— I w lepszym stylu — dorzucił Żuraw. — Z lekkością i gracją, bez brutalności.

— Naturalnie — zgodził się Skan. — O ile im wiadomo, nie mogło być ina-

czej.

— A jak bardzo ty się martwisz? — zapytała Zimowa Łania Zhaneel, kiedy tylko Skandranon nie mógł ich usłyszeć. Jako trondi'irn miała niejaki pojęcie, jak bardzo czułe były wszystkie gryfie zmysły, a Skana zdolności znała aż za dobrze. Mimo że zaczął już cierpieć na dolegliwości związane z wiekiem, nadal był wspaniałym okazem o niezwykłych zdolnościach, nie tylko w swej grupie wiekowej, ale wśród wszystkich gryfów.

— O Skana czy o dzieci? — spytała Zhaneel, zerkając spod oka na towarzyszkę.

— Hmm. O wszystkich, oczywiście — rzekła, oddając spojrzenie. *Jest tak spostrzegawcza, jak się spodziewałam.* — Najpierw o Skana. Z nim musimy żyć.

— Tak jak z Bursztynowym Żurawiem, nie? — podjudziła Zhaneel. — Cóż. Siadaj obok mnie, aby wiatr poniósł słowa, których inni nie powinni podsłuchać, i porozmawiamy o mężach. — Wskazała dziobem piękną drewnianą ławkę zrobioną z konarów przyniesionych przez wiatr i morze i usiadła obok niej na chłodnych kamieniach klifu.

Zimowa Łania spoczęła wdzięcznie na ławeczce i położyła ramię na oparciu.

— Żuraw jest bardzo nieszczęśliwy. Podejrzewam, że oczekiwał, iż Judeth i Aubri przydzielą Klingę do ochrony albo patrolowania miasta. Nie sądzę, aby kiedykolwiek przyszło mu do głowy, że wyślą ją tak daleko.

Mnie też to nie przyszło do głowy, a powinno. Wiedziałam od roku, że Klinga chce wyrwać się z miasta i od nas. Może gdyby Żuraw nie był tak nieprzejednany, żeby mieszkała z nami aż do mianowania na Srebrzystą...

Keeth i Tad byli w stanie się wyprowadzić po części dlatego, że Skan pożyczył im pieniędzy na wykopanie nowego domu na wymianę. Wyczuwając niepokój Klingi, Zimowa Łania próbowała namówić Żurawia, aby zrobili to samo, jednak nawet nie chciał jej słuchać.

Dlaczego miałyby się wyprowadzić? — zapytał wtedy. — Ona nie potrzebuje swojego miejsca. Zapewniamy jej tyle prywatności, ile miałyby we własnym mieszkaniu i nie sądzę, aby czuła się zakłopotana przyprowadzając tu kochankę! — westchnął dramatycznie. — *Ale na to się nie zanosz. Biorąc pod uwagę, jak się zachowuje, śluby czystości tylko polepszyłyby jej życie seksualne. Gdzie popełniłmy błąd? Zupełnie jakby nie chciała słuchać swego ciała.*

Zimowa Łania mogła mu powiedzieć, że dzieci zawsze są zażenowane obecnością rodziców, kiedy próbują pierwszych, nieśmiałych kroków tańca miłosnego i onieśmiane przez nich, kiedy dowiadują się po raz pierwszy, jakimi dorosłymi się staną — ale wiedziała, że nie uwierzyłby jej. Uwierzyłby, gdyby Klinga była cudzym dzieckiem, ale nie, gdy to on był ojcem. *Rodzic może czasami być zbyt blisko dziecka, aby myśleć obiektywnie.* Kiedy chodziło o potomstwo innych,

zauważał całe płótno — ale gdy chodziło o własne, zauważał jedynie codzienne szczegóły, pojedyncze nitki, a nie cały splot. Bursztynowy Żuraw mimo swego talentu nie dostrzegał, że Klinga nie chce poznawać potrzeb swego ciała w obecności rodziców. Gdyby Klinga zdecydowała się działać i otwarcie poprosiła o własne mieszkanie, prawdopodobnie ugiąłby się i spełnił jej życzenie. Ale była zbyt nieśmiała i zbyt dumna, a teraz, patrząc wstecz, Zimowa Łania zrozumiała, że podanie o przydział na odległy posterunek było w oczach córki, jedynym sposobem na zdobycie odrobiny prywatności.

— Skan się boi, ale nie załamuje — powiedziała Zhaneel po chwili, podczas której spoglądała na ocean. Być może śledziła flotę; rybacką; jej oczy były wystarczająco bystre, aby ze szczegółami; rozróżnić rzeczy, które dla Zimowej Łani pozostawały kropkami na horyzoncie. — Mam nadzieję, że gdy zrozumie, iż dzieci sobie poradzą, będzie mniej histeryzował. Częściowo jest temu winien bezruch, a częściowo fakt, że chce robić wszystko, a nawet gdyby był młody, nie mógłby zrobić połowy tego, o czym teraz marzy!

Zimowa Łania zaśmiała się słabo.

— Dziwne, jak młodzieńcze zdolności rozrastają się z wiekiem, nie sądzisz? — rzekła. — Jestem absolutnie pewna, że pamiętam, iż mogłam pracować bez ustanku dwa dni i dwie noce, jeździć konno jak Kaled'a'in i strzelać jak najlepszy najemnik a oprócz tego wywiązywać się z obowiązków trondi'irn. Oczywiście nie mogłam, ale pamiętam, że tak robiłam.

— Ja też — zgodziła się Zhaneel. — Ze Skandranonem nią będzie tak źle jak z Bursztynowym Żurawiem; nasze dzieci to chłopcy i jeden nam jeszcze został. Twoja sokoliczka była jedynym pisklakiem w gnieździe, a do tego kobietą. Mężczyźni chronią swoje samiczki; mają to we krwi.

— I masz rację, bo chociaż Bursztynowy Żuraw zaprzeczy, martwi się bardziej, ponieważ Klinga jest kobietą. — Zimowa Łania zapatrzyła się w morze, zastanawiając się, jak uda jej się przekonać męża, że ich „delikatna dziewczyneczka” była równie krucha jak hartowana stal. — Może jeśli porównam ją do Judeth? — zastanawiała się głośno. — Nie sądzę, aby Klinga robiła to świadomie, ale widzę, jak naśladuje zachowanie charakterystyczne dla Judeth.

— On ją podziwia i szanuje, a poza tym widział ją w działaniu; wiedział, że Judeth specjalnie szkoliła waszą Klingę i być może to go pocieszy — stwierdziła Zhaneel, a potem potrząsnęła głową, co było oznaką zniecierpliwienia. — Nie wiem, co jeszcze mogłabyś zrobić. A co ja pocznę ze Skanem? Skupię jego uwagę na Keenacie?

— Czy możemy go włączyć w trening Keenatha? — spytała Zimowa Łania. — Nie radzę sobie w tym, a ty i Skan wymyśliliście bieg z przeszkodami. Wszyscy trondi'irn zaczynają od treningu na polu bitwy, ale gryfi tor przeszkód u Srebrzystych jest symulacją walki, a nie udzielania pierwszej pomocy. Niezbyt się nadaje, a nie wiem, jak go zaadaptować.

— Dobrze. To chyba się uda. Poćwicz i będzie miał o czym myśleć. A przynajmniej poćwicz coś oprócz wspinania się na moje ramiona. — Zhaneel przechyliła głowę. — A co z Zimową Łanią? Co z Zhaneel? Co my zrobimy, żeby nie myśleć o naszych nieobecnych dzieciach?

Zimowa Łania potrząsnęła głową.

— No właśnie. Szczerze mówiąc, nie wiem. I prawdopodobnie przez następne sześć miesięcy będą mnie regularnie budziły koszmary. Czy nie powinniśmy się skupić na zmartwieniach naszych mężów?

— Z pewnością będziemy mieć pełne ręce roboty, a oni zaczną się głowić, jak uciec przed naszym pocieszaniem!

Zhaneel przytaknęła, a potem wyciągnęła łapę i delikatnie dotknęła ramienia Zimowej Łani szponem. Uśmiechnęła się, a jej oczy złagodniały, napotykalając spojrzenie kobiety.

— Na pewno możemy pomóc sobie, wysłuchując siebie nawzajem, duchowa siostró.

Jest tylko jeden problem z byciem na służbie. Wstajesz o zupełnie nieprzyzwoitych porach. Tad westchnął bezgłośnie; jego partnerka miała słuch ostry jak gryf. Jak zwykle podczas podróży Klinga zerwała się bladym świtem. Tad słyszał, jak kręciła się wokół wspólnego namiotu: budowała palenisko, przygotowywała śniadanie, nosiła wodę. Była zachwycającym czyścioszkiem: kąpała się wieczorem przed pójściem spać i rano, gdy wstała. Byłoby wysoce nieprzyjemne, gdyby musiał dzielić namiot z kimś nie przywiązującym wagi do higieny, szczególnie teraz gdy oddalili się od wybrzeża i ruszyli w las. Było w nim bardzo wilgotno i niekiedy okropnie gorąco. Klinga nie stanowiła jedynie żywego bagażu do noszenia; kosz kołysał się przy najłżejszym podmuchu i musiała balansować, aby z niego nie wypaść. To była praca, ciężka praca i zazwyczaj Klinga spływała potem; kiedy Tad lądował, aby odpocząć, ona też padała z nóg.

On oczywiście nie zwracał sobie głowy myciem i utrzymywaniem piór w czystości, a większości ludzi podobał się naturalny, korzenno-piżmowy zapach ciała gryfów. Nie mógł latać z mokrymi skrzydłami, a kiedy się zatrzymywali, nie miał czasu na mycie przed zapadnięciem nocy. Zdecydował się ograniczyć do kąpieli w piasku aż do dotarcia na posterunek. Czuł się więc absolutnie usprawiedliwiony, wylegując się w ciepłe wygodnego schronienia, kiedy ona odbywała rytuał mycia i zajmowała się obozowiskiem.

I tak nie mógł jej pomóc. Nie mógł nosić wody: dziobów nie stworzono po to, aby nosić w nich wiadra. Nie mógł zajmować się ogniskiem: gryfy były pierzaste, a pióra były łatwopalne.

Wczoraj wieczorem za to zrobił więcej. Przyniósł wystarczającą ilość drewna, aby podtrzymać ogień do rana i oddał część swego łupu, aby mieli śniadanie.

Złoży namiot, tak jak go postawił; szybkie stawianie namiotu wymagało magii i choć nie dorównywał ojcu, był magiem, który potrafił rzucać drobne zaklęcia kinetyczne. W obozie wykonał już swoje obowiązki; wcale się nie lenił, tylko odpoczywał po ciężkiej pracy.

Zamknął oczy: słuchał plusku wody, Klingi przeklinającej jej chłód i uśmiechnął się. Wszystko szło dobrze.

Ponieważ i tak już ciężko pracowali, naginał zasady i używał magii do polowania. Odnajdywał za jej pomocą odpowiednie zwierzę i unieruchamiał je, dopóki do niego nie dotarł. Nie mogli sobie pozwolić na stratę energii i długie polowania, nie teraz; musiał postawić namiot, zebrać drewno i zwabić jakieś zwierzę przed zmierzchem. W Białym Gryfie mógł być naganiaczem; mieli wokół wystarczającą ilość stad i ryb, aby łowy na dziką zwierzynę uznawać za przedsięwzięcie wymagające większych umiejętności. Kiedy dotrą do Posterunku Piątego, będzie miał dużo czasu na prawdziwe polowanie podczas patroli. Ale w podróży potrzebował więcej jedzenia, niż zdołaliby udźwignąć i oznaczało to polowanie najmniejszym kosztem, przy użyciu wszystkich znanych sztuczek.

W końcu dźwięk tłuszczu skwierczącego w ogniu sprawił, że otworzył oczy i ruszył się. Śniadanie; i chociaż osobiście wolał surowe mięso, mógł przecież jeść co innego. Choć mięsożerne, gryfy doceniały jarskie przysmaki, a Klinga znalazła zeszłego wieczoru wspaniałe grzyby, rodzaj hub, kiedy on nosił drewno. Szybki test potwierdził ich nietoksyczność i wysokie wartości smakowe. Zostawili połowę na śniadanie, ciągle przyczepione do pnia na wypadek, gdyby po oderwaniu spleśniały.

Świeża dziczyna i grzybki. Porządny sen i dzień lotu przed nami. Życie jest dobre.

— Jeśli nie wyleziesz, leniuchu — głos Kingi przeszył płótno namiotu — sama wszystko zjem.

— Po prostu nie chciałem naruszać intymności twojej kąpieli — odparł godnie, wstając i wystawiając dziób. — W odróżnieniu od ludzi, o których nie wspomnę, jestem džentelmenem, a džentelmen zawsze szanuje prywatność damy.

Być może słońce już wzeszło, ale pomiędzy drzewami było ciemno jak w nocy. Klinga kładła kawałki grzybów na patelnię wysmarowaną tłuszczem; zauważył, że już odłożyła dla niego połowę. Położyła grzyby na ćwiartce jelonka, od której odkroiła stek dla siebie.

Ubrała się stosownie do panującej wilgotności i temperatury w tunikę bez rękawów i spodnie o kroju Haighlei, choć nie w ich kolorach. Haighlei szybko opanowali nowy rynek, który się otworzył w Białym Gryfie, tkając swe przewiewne materiały w kolorach beżu, szarości, pastelach oraz czerni i bieli. K'Leshya mogli potem ozdabiać te materiały według swoich upodobań. Rezultaty zmieniały się w zależności od tego, kto nosił ubrania. Potomkowie Kaled'a'in haftowali swe ubrania, nabijali je ćwiekami i naszywali cekinami; ci, których klan zaadoptował,

przybysze, którzy związali się z gryfami, nosili mniej wymyślne stroje. Klinga, świadomie lub nie, wybrała odzienie skrojone na wzór Kaled'a'in, ale w kolorach ludu swej matki. Teraz nosiła beże z kremowymi lub jasnobrązowymi lamówkami. Jak zwykle, choć nie było nikogo, kto mógłby to podziwiać, na jej piersi lśniła odznaka Srebrzystego Gryfa.

Wokół nich, a raczej ponad nimi, leśne ptaki i zwierzęta łapały swe własne śniadanie. Po trzech dniach podróży znaleźli się w końcu w „deszczowym lesie” Haighlei, który różnił się od wszystkiego, co dotychczas widzieli. Drzewa były wielkie, niewiarygodnie wysokie, rosnące jak nagie kolumny leśnej świątyni po sto stóp w górę, gdzie rozpościerały swe gałęzie w stronę światła słonecznego. Rywalizowały tak zajadle, że poszycie pozostawało w nieustannym tajemniczym cieniu. Kiedy podchodzili do lądowania i znajdowali się pod koronami, kilka chwil trwało, zanim oczy przyzwyczyły się do mroku.

Mimo braku słońca poszycie było zadziwiająco gęste. Jak można się było spodziewać, najwięcej było grzybów, ale na grubej ściółce rosły też krzaki i nawet mniejsze roślinki, a pnącza podobne do lian owijały się wokół pni i pięły ku światłu. Wszędzie, gdzie upadło drzewo albo strumień przecinał las, poszycie dostawało fioła i walczyło o światło tak zaciekle, że Klinga przysięgała, iż widziała, jak rośliny rosły w oczach.

Była ekspertem od roślin, a nie znała połowy z tych, które obejrzała wokół obozowiska. A nawet jeszcze nie zaczęli odkrywać; na te rośliny natknęli się po prostu, rozbijając namiot! Tad nie mógł sobie nawet wyobrazić, co Klinga znajdzie, kiedy rozpocznie prawdziwe poszukiwania, a on będzie ją wynosił nad drzewa.

On nie potrafił rozpoznać połowy głosów, które nad sobą słyszeli. Nie mógł nawet powiedzieć, czy pohukiwania i gwizdy wydawały ssaki, ptaki czy gady. Przypomniawszy sobie, że jest to obszar zbadany tylko w nieznacznym stopniu. Teraz rozumiał, dlaczego Haighlei działali tu tak ostrożnie; w lesie nie tylko były tysiące nieznanych niebezpieczeństw, ale też nieopatrzne działanie mogło zniszczyć bezcenne zioła czy inne zasoby, z których istnienia nie zdawali sobie sprawy.

Wszystko ślicznie, przypomniał sobie, kiedy wylazł wreszcie z namiotu i rzucił się na śniadanie, aby pożreć je z dziką przyjemnością. *Ale trudno filozofować z pustym żołądkiem. Może później...* Zajął się posiłkiem, który należał do lekkich; opychał się dopiero, gdy lądowali i mógł trawić podczas snu. Najedzony gryf nie latał najlepiej.

Głodny gryf nie jadał wolno, a Tada ssało w żołądku. Zmiotł okruchy swego łupu w mgnieniu oka, na koniec zostawiając grzyby. Kiedy jadł, Klinga zgasiała ogień, zakopała śmieci w mokrym popiele, aby porządniegniły i spakowała wyjęty sprzęt oraz wyposażenie namiotu. Tadrith zostawił kości dla leśnych padlinozerców, którzy na pełno ucieszą się z nieoczekiwanego posiłku. Kiedy wzleca, ich ślady znikną: popiół, kości i pogniecione trawy w miejscach, gdzie chodzili i po-

stawili namiot. Za dwa, góra trzy dni las odzyska panowanie nad obozowiskiem, za miesiąc ślad po nim zaginie. Nie pozostaną nawet kości.

W takim miejscu nie ma sępów. Pewnie gryzonie, może jakieś świnię albo psowate. Schludnie wyczyścił szpony i wytarł dziób o pień, na którym rosły grzyby. *Chyba nastał czas, abym popracował.* Podszedł do namiotu, skoncentrował się, a potem delikatnie użył swej mocy. Pozwolił energii magicznej zwolnić zakłęcie namiotu, które umieszczono w centrum płóciennego dachu. Mocne i giętkie maszty, utrzymujące płótno na miejscu, przekształciły się ponownie w lekko usztywnione kawałki liny. Bez żadnej pomocy namiot złożył się, jakby był żywym stworzeniem i została płócienna paczka, czekająca, aby ktoś ją schował do kosza.

Złożony namiot można było, według rad Aubriego, rozbić bez użycia magii, chociaż na nowe maszty należało użyć drewnianych pali, bo linki potrzebowały zakłęć, aby stać się masztami. Ale oczywiście tak było znacznie łatwiej. Kiedy uruchomiono zakłęcie, wsporniki, które były po prostu zaczarowanymi kawałkami liny wszytymi wzdłuż namiotu, usztywniały się. Ponieważ kształt masztów zależał od szwów, mogli mieć namiocik bez centralnego masztu czy śledzi, który wymagał tylko przytwierdzenia do ziemi w siedmiu miejscach, aby nie odleciał.

Takie rzeczy należały do standardowego wyposażenia Srebrzystych. Tam nigdy sam nie rzuciłby zakłęcia; wymagało ono ręki mistrza. Ale nawet czeladnik mógł je uruchomić, więc w ekspedycjach z Białego Gryfa zawsze trafiał się jakiś mag do rozbijania namiotów.

Zakłęcie, które składało namiot, było bardziej skomplikowane, ale czeladnik mógł je uruchomić i podtrzymać. Tam radził sobie z takimi zakłęciami bez problemu i bardzo je lubił. Możliwe że odczuwał to samo, co ludzie rąbiący czy strugający drewno: ogarniało go dziwne poczucie satysfakcji, że stworzył coś, używając narzędzia, a nie szponów czy skrzydeł. Może zdolność do wpływania na rzeczy poza zasięgiem szponów dawała mu poczucie bycia cywilizowanym?

Tam podniósł paczkę ze sznurkiem i płótnem i wrzucił ją do koszyka. Klinga już rozciągała i rozplątywała uprząż. Niezależnie od tego, jak porządnie poprzedniego wieczoru ją złożyli, rano zawsze się plątała. Pytanie: jak to było możliwe, zaliczył do zagadek, które nigdy nie zostaną rozwiązane. Czasami podejrzewał, że winne są siły nadnaturalne.

Uporząż trzeba było trzymać poza zasięgiem gryzoni czy innych stworzeń, które chętnie pogryzłyby skórę w miejscu wolnym od wilgoci. Tylko jedno miejsce spełniało te warunki — sam namiot, i choć sufit ich tymczasowego mieszkania był dość wysoki, uprząż schowana w sieć zajmowała tyle miejsca, że Klinga ledwo mogła wstać.

Ale ta drobna niewygodność dawała im pewność, iż uprząż przez noc nie zamoknie, więc oboje zgodzili się na nią z ulgą.

— Spałabym z nią w jednym łóżku, gdyby to było konieczne — oświadczyła

Klinga.

— Myślałem, że to twój ojciec się w tym specjalizował — zakpił i oberwał po uszach rzemieniem. Najwyraźniej Klingi to nie rozbawiło.

Klinga w końcu rozplatała liny; teraz trzymała uprząż w jednej ręce, a drugą machała zapraszająco. Tadrith miał zacząć pracę.

Trochę czasu zajęło założenie rzemieni, a Klinga upewniła się, czy mu wygodnie. Nie była to tradycyjna uprząż z sarniej skóry, którą nosił każdy gryf w Srebrzystych, przytrzymująca odznakę i służąca jako kieszeń na drobiazgi. Tu każdy rzemień powinien idealnie pasować i nie uwierać. Duże lotki musiały leżeć na rzemieniach, aby nie zostały połamane. Tadrith nie mógł sam dopasować uprzęży; stał cierpliwie jak osioł, kiedy Klinga ją zapinała.

Powietrze nieco się ociepliło i poranna mgła jak zwykle podniosła się z ziemi. Najpierw kilka pasm przemknęło między kolumnami pni, znikając i znów się pojawiając jak duchy latających węży. Potem pasma mgły połączyły się i otoczyły Klingę i Tada ze wszystkich stron. A w końcu mgła zaczęła gęstnieć i nie mogli dostrzec drzew znajdujących się dalej niż dwie czy trzy długości gryfa od nich.

W górze nadal rozbrzmiewał śpiew ptaków, nawoływania zwierząt i brzęczenie owadów. Na dole wśród mgły dźwięki stały się głośniejsze. *Może teraz, ukryte, mają odwagę się odezwać* — myślał Tad. *Albo wrzeszczą do siebie, bo nie mogą się dostrzec. Oto jest pytanie.*

Ani mgła, ani grube chmury, które wisiały nad nimi od dwóch dni, na razie nie stwarzały kłopotów, ale dziś Tad wyczuwał w powietrzu coś szczególnego. Gryfy były szczególnie wrażliwe na zmiany pogody i wiedział po swędzeniu w nosie i ułożeniu piór, że będą mieli prawdziwą burzę. Burze tutaj obejmowały swoim zasięgiem całe połacie i tylko przy wyjątkowym szczęściu uda im się zejść jej z drogi. Gdyby był sam, zaryzykowałby i spróbował wzbic się nad chmury — ale nie odważył się z koszykiem. Mogli dostać się w wir powietrza, który uderzając w nich, potargałby ich na strzepy; błyskawica w mgnieniu oka mogła spopielić jego, Klingę albo ich oboje.

Jeśli zagrozi im burza, będą musieli lądować, zanim dostaną się w prądy wznoszące albo wiry, szybko postawić obóz i ukryć się przed ulewą. Jeśli burza skończy się szybko, a on będzie suchy, mogliby znów się wzbic i pokonać kawałek drogi przez zmrok; ale jeśli przemoknie, będą musieli czekać, aż wyschną mu skrzydła, co potrwa pewnie całą noc.

Nie powiedział nic Klindze, ale musiała myśleć podobnie. Być może związek z nim sprawił, że też stała się wrażliwa na zmiany pogody; niczego nie pomijając, spieszyła się jak mogła. Skończyła szybciej, niż oczekiwał. Sprawdziła obozowisko, a on otrząsnął się, sprawdzając, czy uprząż była prawidłowo dociągnięta.

Kiedy obiegała obóz, rozciągnął skrzydła i wykonał kilka ćwiczeń, starannie rozgrzewając i rozluźniając każdy mięsień, nawet te, których nie używał w czasie lotu. Odwrócił się, wbił szpony w ziemię i energicznie zamachał skrzydłami,

jakby próbował podnieść kulę ziemską. Skręcał się, obracał i rozciągał w podobnych do tańca ruchach, upewniając się, że każdy mięsień jest sprawny. Kiedy nie wyczuł żadnego napięcia w ciele, spojrzął na Klingę.

— Gotów? — zawołała i ruszyła przez mgłę ku koszykowi. Potwierdził.

— Startujemy — odparł. — Burza nadciąga.

— Tak myślałam. — Wyjęła paliki przytrzymujące kosz na ziemi i wrzuciła je do środka, po czym skoczyła ich śladem. Przesunęła kilka rzeczy, świadoma wagi i równowagi kosza, po czym usiadła, trzymając się przodu gondoli obiema dłońmi.

To był sygnał dla niego. Uderzając potężnie skrzydłami, wzbił się w powietrze. Liście i pył posypały się na ziemię, podniesione wiatrem, a Klinga zmrużyła oczy.

Wzleciał może trzy długości, kiedy poczuł chwilowy opór kosza pod sobą. Ale zakłęcie nadal mocno trzymało, a ciężar za uprzężą przypominał raczej ciężar jelonka, a nie ogromnego koszyka.

Natychmiast poczuł, że działo się coś złego. Kosz wydawał się cięższy, a mięśnie sztywne, choć nie czuł tego podczas rozgrzewki.

Czy to wilgoć i chłód?

Nieważne; pochłaniał go lot i nie odważył się przerwać startu. Po prostu bardziej się wysilił, pogłębił uderzenia skrzydeł, naparł na uprzęż.

Klinga trzymała się, gdy kosz poderwał się z ziemi; w takiej chwili łatwo było przeważać gondolę, a nowicjusze często wypadali. Tam i kosz unieśli się między drzewami w kilku skokach, spowodowanych jego potężnymi skrzydłami.

Oddychał ciężiej, niż powinien. *Co się ze mną dzieje? Nie wyspałem się? Czy za dużo zjadłem?* Myśl o grzybkach pojawiła się w jego głowie; nawet jeśli nie były trujące, może go w jakiś sposób osłabiły?

Ale zauważyłby to przecież zeszłej nocy? Czy nie dostrzegłby tego podczas rozgrzewki?

Niekoniecznie...

W następnej chwili wzlecieli nad mgłę, która pełzła po ziemi i zakrywała pozycie. Spojrzął w górę na biegnące mu na spotkanie korony drzew.

Zmusił mięśnie do pracy, kierując się ku światłu. Tysiące ptaków rozwrzeszczało się na jego widok, a potem umilkło zaszokowanych, patrząc na obładowanego gryfa przelatującego przez gałęzie. Wybrał drogę przez dziurę w koronach, powstałą w wyniku upadku jakiegoś tysiącletniego giganta, a pod nim Klinga rozluźniła się i zaczęła odsuwać gałęzie, które zagrażały linom i samemu koszykowi. Używała długiego kija z przywiązaniem na końcu trójzębem, wyciętym wczoraj z przeznaczeniem specjalnie do tej czynności. Kiedy przebili się przez ostatnie konary, upuściła kij. Nie będą go potrzebowali przy następnym lądowaniu, a był zbyt długi, by go włączyć ze sobą.

Kontrast między mrokiem pod drzewami i bijącą w oczy jasnością w górze oślepił Tada, dopóki jego oczy się nie przyzwyczyły; nie wstrzymywał lotu, musiał bowiem wznieść się wyżej. Może nie widział wyraźnie, ale nie miał wątpliwości, gdzie powinien lecieć. „Dół” był kierunkiem, w którym ciągnęła uprząż; rozwinął skrzydła, bijąc nimi szeroko i wciąż czując ciężar, a gdy odzyskał wzrok, lecieli tak wysoko nad drzewami, jak wysoko ich konary rosły nad leśnym poszyciem.

Wystarczy. Wyrównał poziom lotu, kierując się wewnętrznym kompasem, a kosz wisiał pod nim spokojnie. Klinga nie rozluźniła dłoni zaciśniętych na krawędziach, bo w ten sposób mogła równoważyć nagłe zmiany wiatru, ale pozwoliła sobie na odprężenie.

Kiedy tylko wyrównali lot i Tad upewnił się, że nie musi zмагаć się z żadnymi prądami powietrza, zlustrował pogodę. Jego zmysły go nie oszukały: chmury wisiały nisko, pękate i szare od zgromadzonej wody. Nie wyczuwał jeszcze deszczu w powietrzu, ale to kwestia czasu. To nie były jeszcze chmury burzowe; burza, gdy już nadejdzie, runie na nich z rykiem z chmur, które piętrzyły stalowoniebieskie brzuchy.

Jeśli będą mieli dużo szczęścia, wylecą spod tych chmur, zanim zacznie się burza, ale nie liczył na to. Wiatr wiał mu w plecy, więc istniała duża możliwość, że znajdą się w samymśrodku nawałnicy i nie zdążą uciec.

Będzie wiele znaków ostrzegawczych, zanim zrobi się gorąco. Zdążę wylądować, gdy zobaczę burzę.

Może ją nawet wyczuje, zanim zobaczy. *Nie idzie nam teraz najlepiej* — przyznał ze smutkiem. Mimo starannej rozgrzewki ciągle czuł — nie sztywność, nie naciągnięcie, ale lekki ból.

Czy coś się ze mną dzieje? Czy po prostu za dużo zjadłem rano! Ruszył na zachód, lecąc tak szybko jak mógł, szukając na horyzoncie rozdwojonych języków błyskawic, które oznajmią nadejście burzy. Miał nadzieję, że nie brała go gorączka; choć gryfy nie były podatne na infekcje, nie znaczy to, że ich nie znały. To nie był ani czas, ani miejsce na chorobę — chociaż w razie nagłego wypadku Klinga mogła skorzystać z lekkiego telesonu, który ze sobą wieźli, aby wezwać pomoc. Teraz, gdy magia znów działała, nawet tak słaba magia umysłu jak jej, wzmocniona przez teleson, docierała do Białego Gryfa. Napracowałyby się, ale zdołałyby wezwać pomoc.

To pewnie przez nocleg w wilgoci. Nigdy wcześniej nie musiałem spać w namiocie na wilgotnej ziemi. Teraz po raz pierwszy przekonał się, jak będzie się czuł na starość, kiedy stawy mu napuchną i zaczną boleć. Nic dziwnego, że jego ojciec ruszał się tak ostrożnie! A on podejrzewał, że to tylko afektacja, aby dodać sobie godności!

Nie sądzę, aby starzenie mi się spodobało.

Leciał dalej i był bardzo zadowolony, że nie szli na piechotę. Właśnie przele-

ciał nad terenem, który pokonywaliby przez kilka dni i zajęło mu to kilka chwil. A nawet nie minęło południe!

Wyczuł wodę, a powietrze stało się ciężkie i gęste, i nagle wpadł na pomysł innego wyjaśnienia trudności z lataniem. *To nie jest dobre powietrze do lotu. Może to nie moja wina; może to ciśnienie nas przygniata.* W zbyt gęstym powietrzu leciało się równie źle jak w zbyt rzadkim, a dodatkowy wysiłek przy pokonywaniu oporu wystarczył, aby rozboleły go stawy!

Ciągle nie było oznak nadchodzącej burzy, ale nie mogła być zbyt daleko. Wytrzeszczył oczy, polując na błysk błękitnobiałego światła między chmurami...

Tadrith nie przeczuł niebezpieczeństwa, poczuł tylko nagły ucisk w żołądku, kiedy wpadł w wir powietrza i został podrzucony, a po chwili spadł. Kręciło mu się w głowie, był zdezorientowany i dyszał.

Potem w mgnieniu oka zakłęcie koszyka zniknęło jak woda wyciekająca z rozbitego dzbana.

Kosz odzyskał swą wagę — wagę Klingi, zapasów, samej gondoli.

W powietrzu utrzymywał go jeden zszokowany gryf.

Kosz runął w dół jak kamień i pociągnął Tada, krzyczącego w zaskoczeniu, za sobą.

Uprząż werżnęła się gryfowi w ramiona; nagłe szarpnięcie wybiło mu powietrze z płuc i wszystkie myśli z głowy. Uderzał rozpaczliwie i na próżno skrzydłami, próbując zrównoważyć ciężar; pod nim Klinga krzyczała i cięła liny, próbując go uwolnić. Musiał spowolnić ich upadek! Klinga nigdy go nie uwolni, a jeśli przetnie liny, runie na pewną śmierć! Nie zostawi jej! Nie miał czasu na magię, żadnej szansy, aby się skoncentrować na zakłęciu, a poza tym co mógł zrobić? Krew pulsowała mu w głowie, w oczach pociemniało z wysiłku, próbował zmusić skrzydła do szybszego poruszania się, aby mogły zgarniać więcej powietrza. Jeśli będzie się starał, wyhamuje koszyk! Strach dodawał mu energii, wywołując desperackie machnięcia skrzydeł.

W mięśniach czuł potworny ból, paliły go żywym ogniem, jakby milion demonów kłuło go rozpalonymi do czerwoności; sztyletami. Przednie szpony chwyciły na próżno powietrze, jakby część jego umysłu była przekonana, że zdoła się go przytrzymać.

Jego myśli kłębiły się, gdy pikowali w dół, ku drzewom.

Nie potrafił nawet wybrać miejsca, w które uderzą.

Wydawało mu się, że Klinga krzyczała; nie słyszał jej, bo dudniło mu w uszach. Zaczął widzieć na czerwono...

Uderzyli w drzewa.

To ich wyhamowało. Gdy wpadli na korony, poczuł, że koszyk stał się nieco lżejszy; przez chwilę miał nadzieję, że giętkie gałęzie złapią ich i utrzymają.

Ale kosz był zbyt ciężki, a gałęzie ani wystarczająco grube, ani silne. Kiedy gondola pociągnęła go w mrok, zbyt późno zorientował się, że uderzenie w drzewa

z rozpostartymi skrzydłami nie będzie dla latającego stworzenia przyjemne.

Odrzuciło go; zamiast spadać przez dziurę, którą wyrąbał koszyk, uderzył rozpostartym skrzydłem w boczne konary.

Ból przeszył go jak piorun.

A potem nastąpiła ciemność.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Z niewiadomego powodu Klinga nigdy nie należała do ludzi, którzy w budzących grozę sytuacjach zamieniają się w słup soli. Zawsze działała; istniało pięćdziesiąt procent szans, że podejmie właściwe kroki. Nie zastanawiając się, wydobyła swój sztylet, próbując odciąć uprząż Tada, kiedy spadli ku koronom drzew. Cięła szaleńczo liny, które uwięziły go, bezradnego, w pułapce grawitacji, ale najwyraźniej bez skutku; spadali zbyt szybko.

Jesteśmy martwi — pomyślała bezradnie, bo jej ciało wcale nie chciało umierać i chwilę przed uderzeniem w korony drzew rzuciła się na dno kosza, zwijając się w kłębek.

Kosz zatoczył się, przebijając się przez gałęzie, miotając ją w gondoli, pośród porzucanego ekwipunku, jak kawałkiem śmiecia. Coś mocno walnęło ją w ramię i usłyszała swój krzyk. Ból był jak eksplozja gwiazd w głowie.

A potem, na szczęście, zemdląca.

Bolała ją głowa. Bolała ją bardzo. A ramię bolało jeszcze bardziej; z każdym uderzeniem serca coraz bardziej, a kiedy oddychała albo wykonywała najmniejszy ruch, czuła, jak bok i ręka stawały w ogniu. Skoncentrowała się na bólu, nie otwierając oczu; jeśli nie uda jej się nad nim zapanować, nie będzie w stanie się poruszyć. Jeśli się nie poruszy, ona i prawdopodobnie Tad będą tu leżeć, dopóki coś nie przyjdzie i ich nie pożre.

Otocz, ból i wyizoluj go. A potem zaakceptuj. Przestań z nim walczyć. Nie bój się go. Ból jest tylko informacją, od ciebie zależy, jak ją zinterpretujesz. Ty go kontrolujesz. Przypomniała sobie lekcje dawane przez ojca, kontrolując oddech; nigdy przedtem nie stosowała jego metod do czegoś poważniejszego od zwichniętego nadgarstka, ale ku jej zaskoczeniu zadziałały równie skutecznie przy poważnych obrażeniach.

Niech się stanie częścią ciebie. Nieważną częścią. A teraz pozwól ciału go znieczulić, pozwól ciału pokonać go swoją armią. Klinga wiedziała, że jej ciało zacznie wytwarzać własne środki przeciwbólowe; cały szkopuł polegał na tym, aby je przekonać do wyprodukowania wystarczającej ilości. I przekonać, że w tej chwili ból stoi na przeszkodzie przetrwaniu. . .

Wolno — zbyt wolno — ale podziałało. Otworzyła oczy.

Kosz leżał na boku, kilkanaście stóp od niej. Wyglądało na to, że została wyrzucona w chwili, gdy uderzyli w ziemię albo tuż przedtem. Na szczęście wytrzymały sznury, którymi związała ładunek, inaczej zabiłoby ją własne wyposażenie.

Kosz leżał wśród połamanych gałęzi, okryty zgniecionymi liśćmi. Nie wyglądał na zdany do użytku, ani teraz, ani kiedykolwiek.

Pewnie większość wyposażenia też jest bezużyteczna — pomyślała obojętnie. Obojętność przyszła jej z łatwością; nadal była w szoku. *Żyję. To więcej, niż się parę minut temu spodziewałam.*

Powoli usiadła, uważając na obrażenia, które sprawiły, że tak bolało ją ramię. Drugą ręką zbadała się delikatnie i zagryzła wargi do krwi, kiedy palce natrafiły na pogruchotaną kość.

Złamany obojczyk. Muszę unieruchomić prawą rękę. Nic dziwnego, że bolało jak wszyscy diabli Haighlei! Koniec z podnoszeniem czegokolwiek i posługiwaniem się bronią.

Przesunęła badawczo palcami po twarzy i głowie, nie natrafiając na nic poważniejszego od guza wielkości gęsiego jaja na potylicy i rozcięć, pokrytych zasychającą krwią. Z taką samą ostrożnością wyprostowała prawą, a potem lewą nogę. Siniaki. Mnóstwo otarć, których na razie wcale nie czuła.

Pewnie jestem pokryta siniakami od stóp do głów. Będzie coraz trudniej; niedługo zacznie sztywnieć, a rano wcale się jej nie polepszy.

Podtrzymując prawą rękę lewą dłonią, poruszała nogami, aż odzyskała w nich czucie i mogła ukłęknać. Na razie nie widziała nic poza koszykiem, ale z kierunku lin wywnioskowała, że Tad musiał być zaraz za nią.

Prawie bała się spojrzeć. Jeśli zginął. . .

Odwróciła się, powoli i ostrożnie, i zaszlochała z ulgi, gdy go ujrzała: poruszał się. Nie umarł! Nie był w najlepszym stanie, ale ciągle oddychał!

Leżał rozciągnięty na połamanych krzakach, wciąż nieprzytomny. Leżał na swoim prawym skrzydle, zgiętym pod nienaturalnym kątem, z lotkami mierzącymi w przód, nie w tył; większość z nich była połamana i poszarpana. Na pewno miał jedno skrzydło złamane i oznaczało to, że nie polecą po pomoc.

Kiedy znów się poruszyła i spróbowała wstać, otworzył oczy i dziób. Zapiszczał cienko i zamrugął, otumaniony.

— Nie ruszaj się! — krzyknęła ostro. — Pozwól, że do ciebie dojdę i ci pomogę.

— Skrzydło. . . — wyszeptał ochryple, dysząc z bólu.

— Wiem, widzę. Leż spokojnie, aż do ciebie dojdę.

Zaciskając zęby, wsunęła ramię w tunikę i mocno związała jej poły, używając tylko lewej dłoni. Tylko tak mogła teraz unieruchomić rękę.

Wstała, chwytając się połamanych gałęzi wokół, i podeszła do Tada. Kiedy już się przy nim znalazła, obejrzała go dokładnie, zastanawiając się, od czego zacząć.

Dżungla była uspokajająco cicha.

— Możesz poruszać palcami lewej zadniej stopy? — spytała.

Mógł; powtórzył gest prawą stopą, a potem szponami przednich łap.

— Prawa tylna boli, kiedy się ruszam, ale nie jak złamanie — orzekł, a Klinga odetchnęła z ulgą.

— W porządku, kręgosłup masz cały, podobnie nogi; lepiej, niż mogliśmy się spodziewać. — Zgubiła nóż, którym próbowała go wyswobodzić, ale mogła dosięgnąć wszystkich sprzączek, więżących go w uprzęży. Sycząc z bólu za każdym razem, gdy ruszyła ramieniem, uklękła wśród połamanych gałęzi i konarów, i zaczęła rozpinać uprząż.

— Chyba jestem jednym wielkim siniakiem — stwierdził, kiedy wsunęła rękę pod jego ciało, odpinając tyle lin, ile się tylko dało.

— To tak jak ja — odparła, walcząc z ostatnią oporną sprzączką. Wiedział, że dopóki Klinga mu nie każe, nie powinien się ruszać; jakikolwiek ruch mógł rozedrzeć delikatne naczynia krwionośne w skrzydle, gdzie skóra była najcieńsza i wykrwawiłby się na śmierć, zanim mogłaby mu pomóc.

W końcu porzuciła tę ostatnią sprzączkę. Podeszła do Tada i zajrzała mu w źrenice. Czy rzeczywiście jedna była mniejsza? Nie była w stanie tego orzec, nie mając lampki do sprawdzenia ich reakcji.

— Możesz mieć wstrząs mózgu — rzekła z powątpiewaniem.

— Ty też — odwzajemnił się, choć sama doskonale o tym wiedziała. *Aż się nie mogę doczekać bólu głowy.*

— Leż tutaj — przykazała. — Idę po apteczkę. *Jeśli ją znajdę. Jeśli się do czegoś nadaje.*

Zapakowali ją na samym wierzchu, choć znaczyło to, że musieli ją wypakowywać i odkładać na bok podczas każdego, noclegu. Cieszyła się teraz, że zachowała porządek, w jakim zaopatrzeniowiec pakował kosz; gdyby musiała wyrzucać jedzenie, namiot i wyposażenie biwakowe, dopiero by się im pogorszyło!

Jedno pytanie: czy apteczka leży teraz na samym dnie!

Podeszła do koszyka i z olbrzymią ulgą odkryła, że apteczką leżała ciągle na wierzchu — a teraz, skoro kosz leżał na boku, najłatwiej było się do niej dostać.

Chociaż „najłatwiej dostać” okazało się pojęciem względnym. . .

Zanim cokolwiek zrobiła, przyjrzała się pobojuwisku. Kosz leżał na kupie połamanych gałęzi; wyposażenie wypadło i teraz rozrzucone było dookoła. Apteczka zawisała pomiędzy rozdwojonymi konarami na wysokości ramion, ale wokół konarów leżało pełno szczątków. Bardzo łatwo można było się poślizgnąć i zwichnąć albo i złamać kostkę — a mogła użyć tylko jednej ręki, aby się czegoś chwycić. Upadając, mogłaby znów zemdleć albo jeszcze bardziej uszkodzić obojczyk, albo jedno i drugie.

Ale potrzebowali apteczki; potrzebowali jej bardziej niż czegokolwiek innego.

Muszę być bardzo, bardzo ostrożna. Nie mogła znaleźć innego sposobu na dostanie się do pakunku.

— Tad? Tad, czy możesz się skoncentrować na tyle, by użyć zaklęcia kinetycznego?

Usłyszała tylko chrypliwe:

— Nie... — i jęk bólu.

Cóż... to i tak nie był najlepszy pomysł. Więcej ryzykuję, znajdując się w pobliżu bredzącego gryfa, który rzuca zaklęcie, niż włączając na to drzewo.

Musiała więc tam podejść. To była wyczerpująca podróż; badała każdy krok, zanim go zrobiła, i upewniała się, że stoi w bezpiecznym miejscu, zanim dała następny. Spociała się jak mysz, zanim doszła do konarów, i z wysiłku, i z bólu. Wyciągnięcie ręki, uwolnienie apteczki i rzucenie jej na ziemię w kierunku Tada wyczerpało całą jej energię. Apteczka była cięższa, niż wyglądała — z powodu zestawu do nastawiania kości. Prawie znów zemdląca z bólu, gdy ją rzuciła — ale apteczka wylądowała tam, gdzie Klinga chciała, z daleka od jakichkolwiek szczątków.

Chwyciła się gałęzi, oddychając płytko, aż ból osłabł na tyle, że podjęła ryzyko drogi powrotnej. Jej pot był zimny, a przynajmniej takie miała wrażenie, a poza tym dostał się pod strupy zaschniętej krwi i wzmagił ból i pieczenie ran.

Kiedy dotarła do bezcennej paczki, po prostu padła tam, gdzie stała, opierając czoło o apteczkę, drżąc na całym ciele z bólu i wyczerpania. Każda drgawka wywoływała nową falę bólu w barku, więc wcale nie odpoczęła i miała marne szanse na złapanie tchu.

Pomagając sobie zębami i krótkim nożykiem wydobytym z buta, otworzyła apteczkę i pierwszą rzeczą, jaką złapała, była jedna z fiolek z przeciwbólowym ekstraktem z żółtej orchidei. Przełknęła gorzkie lekarstwo bez mrugnienia okiem i czekała, aż zadziała.

Tylko raz to brała, gdy złamała palec u nogi, i to w znacznie niniejszej dawce. Tym razem jednak nie wpadła w stan euforycznej radości. Ekstrakt złagodził najbardziej dotkliwy ból, ale nic poza tym. Co za ulga; ból musiał być tak silny, że zneutralizował euforyczne efekty lekarstwa.

Inny środek działał tak na gryfy; przyciągnęła apteczkę bliżej Tada, odetkała większą fiolkę i wsadziła mu ją do dzioba. Odchylił głowę i wypił zawartość, natychmiast zamykając dziób, aby nie uronić ani kropli cennej substancji.

Wiedziała, kiedy zadziałało; rozluźnił mięśnie, a jego oddech się uspokoił.

— Co teraz? — spytał. — Lepiej niż ja widzisz, co jest uszkodzone.

— Najpierw będziesz musiał mi pomóc — oznajmiła. — Nie mogę cię ruszyć, dopóki nie nastawię i nie unieruchomię obojczyka. Inaczej podejrzewam, że znów zemdleję...

— Zły pomysł, nie rób tego — zgodził się, na próbę zginając przednie łapy. — Myślę, że mogę to zrobić. Siadaj tam i spróbujemy.

Był zręczny i delikatny, a mimo to dwa razy straciła przytomność, zanim skończył, mamrocząc urywane przeprosiny za błędy. Jej ramię i ręka znalazły się w ciasnym, brzydkim, ale skutecznym opakowaniu, a obojczyk został nastawiony. Miała nadzieję, że tak pozostanie; nie mogła założyć łupków. Tylko magowie to potrafili, a uzdrowiciele nadal się zastanawiali, jak im się to udawało.

Jego kolej.

Wcale nie było mu łatwiej, chociaż nie stracił przytomności, gdy go delikatnie odsunęła ze złamanego skrzydła, nastawiła je i usztywniła. Tym razem użyła apteczki; zmoczone łupki i bandaże twardniały we właściwym kształcie, gdy schły. Nie była trondí'irn, ale nauczyła się tyle, ile mogła od matki, kiedy stało się jasne, że Tad, stary towarzysz zabaw, stanie się jej stałym partnerem. Kierowała się intuicją. Nie знаła słabych punktów gryfiej fizjologii i nie miała pewności, czy jej zabiegi nie okaleczą go do końca życia. Od czasu do czasu ciche jęki dobiegały z zaciśniętego dzioba Tada i trzy razy w czasie operacji prosił ją, żeby przestała.

W końcu oboje powstali z ruin kosza, padli na grubą ściółkę z liści i czekali, aż lekarstwa uśmierzą ból.

Chyba minęła wieczność, zanim była w stanie myśleć o czymś innym poza palącym kluciem w ramieniu, ale lek działał coraz silniej albo pomogło jej unieruchomienie ramienia. Wśród drzew nadal panowała głucha cisza; ich upadek przstraszył większość mieszkańców, a ptaki i zwierzęta nie nabrały jeszcze odwagi. Falami zalewała ją świadomość dziwnych rzeczy, jakby na moment wyostrzały się różne zmysły, a jej umysł poddawał się dźwiękom lub zapachom. Ostry, kwaśny zapach połamanego drewna — brzęczenie owada na tyle głupiego, aby ich zignorować — niespodziewana nuta żywej czerwieni pojedynczego więdnącego kwiatu, który zerwali w przelocie. . .

— Co się stało? — zapytała łagodnie w dziwnej ciszy. Pytanie było oczywiste; w jednej chwili lecieli i wszystko szło dobrze, a w następnej nurkowali jak zestrzelona kaczka.

Jego oczy zaszyły mgłą i na chwilę okryły się błoną, nadając mu pozór ślepeca.

— Nie wiem — powiedział powoli, niechętnie. — Szczerze. Nie potrafię powiedzieć ci nic poza tym, że magia utrzymująca wagę koszyka w rozsądnych granicach po prostu. . . rozplynęła się, zniknęła. Nie wiem jak ani dlaczego.

Poczuła, jak przewraca się w niej żołądek. *Nie jest to najbardziej pocieszająca odpowiedź na świecie.* Aż do tej chwili się nie bała, ale teraz. . .

Nie pozwolę się przstraszyć. Nie wiemy, co się stało, zapamiętaj to sobie. To jednak mógł być wypadek.

— Czy to mogła być burza magiczna? — nalegała. — Mała albo lokalna?

Położył uszy po sobie i potrząsnął głową.

— Nie. Nie, jestem tego pewien. Gryfy są wrażliwe na burze magiczne, tak jak ktoś z reumatyzmem jest wrażliwy na wilgoć czy prawdziwe burze. Nie, nie było burzy magicznej; wiedziałbym, gdyby się rozpętała.

Jej serce waliło boleśnie. Jeśli to nie było naturalne wydarzenie...

— Atak? — zaczęła, ale znów potrząsnął głową.

Wyglądał na bardziej zaskoczonego niż przestraszonego.

— To nie był atak — rzekł z naciskiem. — W każdym razie nic, co uznałbym za atak. — Spojrzał ponad jej ramieniem, jakby szukał słów, aby opisać, co czuł. — To było bardziej jak... jakby nagle twoje wiadro zaczęło przeciekać. Magia po prostu wyciekła nagle. Nie wiem jak i dlaczego. Po prostu... po prostu odeszła.

Cała magia po prostu odeszła... Nagle zimna ręka paniki, z którą walczyła, złapała ją za kark i Klinga chwiejąc się, wstała! Jeśli magia koszyka wyciekła, co z całą resztą zaklęć?

— Co się stało? — zapytał, kiedy przedzierała się przez porzucane wyposażenie.

— Mam nadzieję, że nie! — odkrzyknęła ostro. *Co jest w zasięgu ręki? Zapalniczka? Jest!* Zapalniczki były przedmiotami, które czeladnicy wytwarzali tuzinami; łatwo było je zrobić, gdy już opanowało się zaklęcia tworzące. Ich wykonywanie wyrabiało zdolności magiczne, a ponadto przedmioty te były użyteczne i ponieważ wytrzymywały zazwyczaj sześć miesięcy, zawsze można było je sprzedać komuś z miasta. Wszyscy mogli ich używać; nie tylko mag potrafił uruchomić zapalniczkę: większość była już gotowa i wystarczyło po prostu użyć wbudowanego spustu. Ich zapalniczka była nowa; Tad zrobił ją tuż przed odlotem.

Nie wyglądała imponująco; długi, metalowy cylinder z wystającym knotem. Trzeba było nacisnąć wygładzony kamyk, wprawiony w drugi koniec, aby knot się zapalił.

Mogłeś używać jej, trzymając w jednej dłoni, jeśli musiałeś, i oczywiście, Klinga musiała. Mając nadzieję, że przecucie ją myliło, wyciągnęła powgniatany cylinderek ze sterty lin i garnków i nacisnęła kamień.

Nic się nie stało.

Spróbowała jeszcze raz i jeszcze, a potem zanosła ją do Tada.

— Nie działa — rzekła ze ściśniętym gardłem. — Co się z nią stało?

Wyjął jej zapalniczkę z ręki i obejrzał, niemal zezując z wysiłku.

— Ma... magia zniknęła — rzekł z wahaniem. — To już nie zapalniczka, tylko metalowy cylinder z knotem w środku.

— Obawiałam się, że tak powiesz. — Ponuro zawróciła ku stosom ich rzeczy i przekopała je, poszukując czegoś magicznego. Każdy ruch budził ból w ramieniu, ale zmusiła się, aby go zignorować. Sposób, w jaki rozsypało się wyposażenie, pomógł jej; rzeczy leżące na dnie koszyka teraz były na wierzchu i mogła do nich dotrzeć.

Światło w lampie magicznej zgasło. Namiot — cóż, nie mogła go sama przetestować, nawet nie mogła go rozwinąć, ale płótno dziwnie łatwo poddawało się jej dłoniom, bez śladu napięcia, które kiedyś posiadało. Teleson...

Zaniosła go do Tada i położyła przed nim bez słowa. Nie było na co patrzeć, ale ten sprzęt nigdy nie wyglądał okazale; po prostu opaska na głowę ze zwykłego srebrzystego metalu z dwiema miedzianymi spiralami, które można było dopasować do skroni różnych mieszkańców Białego Gryfa. Używano go, aby magicznie wzmacniać zasięg tych, którzy byli obdarzeni nawet szczątkową magią umysłu. Wszystkie gryfy, kyree i hertasi posiadały takie zdolności, podobnie jak większość tervardi.

Tad powinien użyć go, w celu wezwania pomocy. Przeszedł ją dreszcz i powstrzymała nagłą chęć gadania bez sensu, płaczu, zwinięcia się w kłębek i podania bez walki. Zdała sobie sprawę, że nieświadomie liczyła na teleson. Jeśli nie mogli wezwać pomocy. . .

Dotknął urządzenia jednym szponem i potrząsnął głową.

— Nawet nie muszę go nakładać — powiedział drżącym głosem. — Jest. . . pusty. Bezużyteczny. — Przebiegły między nimi nie wypowiedziane słowa, kiedy na nią patrzył. *Mamy kłopoty.*

— To nie wina koszyka — stwierdziła, siadając; jej głos również drżał. *Jak to się mogło stać? Dlaczego teraz? Dlaczego nam?* — Wszystko z zaklęciami nie działa. Lampy magiczne, zapalniczka, namiot, pewnie wodoodporne peleryny. . .

— I teleson. — Popatrzył na nią dużymi i przestraszonymi oczami, źrenice miał jak łebki od szpilek. — Nie możemy wezwać pomocy.

Jesteśmy tutaj zdani na siebie. Oboje jesteśmy ranni. Nikt w Białym Gryfie nie wie, gdzie jesteśmy; nawet nie będą wiedzieć, że zaginęliśmy, dopóki nie pokazemy się w umówionym miejscu, i nie spotkamy się z ludźmi, którzy teraz są na posterunku. A to się stanie dopiero za wiele dni.

— To długa droga na piechotę — wyjąkał. — Jeszcze dłuższa, skoro jesteśmy ranni.

A coś w pobliżu pochłania magię. Czy to zjawisko naturalne, czy stworzenie? Jeśli żywi się magią, czy będzie miało ochotę nas zjeść? Być może; mogło wypuścić się za Tadem. Gryfy były ze swej natury stworzeniami magicznymi.

Nie myśl o tym! Tyle razy Srebrzyści byli pouczeni, aby w przypadku zagrożenia myśleli najpierw o problemach, które można rozwiązać od ręki, a nie beznadziejnie kręcili się w kółko, zajmując się zbyt wieloma rzeczami naraz. *Zajmij się czymś, z czym sobie poradzisz. Rozwiąż najbardziej podstawowe problemy, a potem martw się resztą.* Wstała niepewnie.

— Nadciąga burza. To nasz pierwszy problem. Musimy znaleźć schronienie, potem wodę, ciepło i broń. Lepiej ocalmy, co się da, zanim zaczną się deszcz i wszystko zniszczy.

Stał na drżących nogach, przytakując.

— Racja. Namiot. . . nawet gdybyśmy mogli wyciąć odpowiednie maszty, nie wiem, czy moglibyśmy go porządnie rozbić, kiedy jesteśmy ranni. Nie sądzę, aby kosz zdał się na wiele jako schronienie. . .

— Sam nie, ale dwie burty i kawałek dna zostały nietknięte — zwróciła mu uwagę. — Możemy nad nimi rozpiąć płótno namiotowe, a reszty użyć na podpałkę. — Zagapiła się na kosz. Tad też.

— Wydaje mi się, że te dwa młode drzewka całkiem dobrze go podtrzymują. Ta burta, której nie ma, mogłaby być wyrwana z innej strony, ale chyba lepiej go tak zostawić, niż targać dookoła?

Przytaknęła.

— Zostawimy go, gdzie leży, wzmocnimy tylko podpórki. Potem oczyścimy wrak i zaopatrzenie, utniemy połamane części i podtrzymamy, przywiązując te konary...

Pokazała zdrową dłoń. Tad się zgodził.

— Popatrz tu i tam — dodał, wskazując. — Jeśli zgromadzimy wystarczająco dużo rzeczy, będziemy chronieni z trzech stron, a nie tylko prowizorycznie osłaniany.

Zgodziła się; był to lepszy pomysł niż jej. Po chwili oboje pracowali najlepiej, jak potrafili, ona z jedną sprawną ręką, on ze skrzydłem w gipsie i obitą zadnią łapą, oboje strasznie posiniaczeni.

Tad wykonał większość pracy, naciągając płótno na pozostałe burty koszyka; mógł sięgnąć dalej niż ona. Klinga wykonała prowizoryczny maszt, używając tego, co znalazła, przeszukując zapasy, i przywiązała płótno tak mocno, jak tylko mogła to zrobić jedną ręką. Jedna rzecz wiązała się z dorastaniem w domu kestra'chern: znała więcej węzłów niż jej instruktor ze szkoły przeżycia.

Nie była pewna, jak czuł się Tad, ale ją z każdym ruchem okropnie bolało ramię. *Nie ma wyboru*, powtarzała sobie z każdym bolesnym wdechem. *Odpoczniesz, kiedy zaczniesz padać; teraz pracuj.*

Nie wiedziała, która jest godzina. Przed upadkiem nie odlecieli zbyt daleko i nie byli nieprzytomni zbyt długo, bo inaczej owady starałyby się dowiedzieć, czy już umarli. Padlinożercy w takich lasach nie czekali długo. Znaczyło to, że prawdopodobnie nadal był wczesny poranek. Jeśli deszcz, który zapowiadały te chmury, trochę się wstrzyma, nieunikniona burza dopadnie ich dopiero późnym popołudniem. *Jeśli naszego szczęścia szlag nie trafił, rzecz jasna...*

W końcu mieli swe schronienie: wiotkie płótno namiotu naciągnięte na pozostałości koszyka i trzy podtrzymujące je drzewka. Nie wiedziała jeszcze, co zrobić z kilkoma fruującymi kawałkami płótna; być może wymyśli coś później, na razie zrobili wszystko, co w ich mocy.

Oboje zwrócili się ku porozrzucanym zapasom; odsunęli na bok to, co było zniszczone, to, co nawet połamane mogło się przydać i to, co było nietknięte. W końcu będą zmuszeni do wybrania rzeczy, jakie mogą ponieść w dwóch plecach, ale pomyślą o tym później.

Była w stanie walczyć o to miejsce, tak jak Tad. Odchodzenie stąd nie miało sensu, dopóki nie upewnią się, że nikt ich nie szuka. *Jeśli możesz, zawsze zostań*

przy wraku. To też doskonale pamiętała ze szkoły przetrwania. *Ekipy poszukiwawcze zawsze szukają wraku i zawsze sprawdzają, czy cię przy nim nie ma.*

Gdyby tutaj zostali, mieli już schronienie, które ulepszałiby z każdym dniem, i to, co zostało z wyposażenia. Nawet zniszczone rzeczy mogły być użyteczne, jeśli będą mieli czas, aby wymyślić dla nich zastosowanie. Jeśli zostaliby zmuszeni do odejścia, zostawiliby tu wiele użytecznego sprzętu.

Jeśli. Oto szkopuł. Nie mogła ani na chwilę zapomnieć, że coś tutaj wyszło ich magię bez żadnego ostrzeżenia. Jeśli wrak był dobrym celem dla ekipy poszukiwawczej, był też dobrym celem dla innych — włączając to, co straciło ich z nieba. *Załóżmy, że to wróg i załóżmy, że zaatakował.* To był najmądrzejszy sposób rozumowania i zaczęła myśleć w tym duchu.

A poza tym nie wiadomo, co przemierzało te lasy. Fakt, że jeszcze nie wpadli na żadnego większego drapieźnika, nie znaczył, że takich tu nie ma. Im dłużej przebywali w jednym miejscu, tym łatwiej drapieźniki mogły ich zlokalizować.

— Dzięki bogom za Aubriego — usłyszała po prawej zduszone westchnienie i Tad podniósł się znad kupy czegoś, co wyglądało na śmieci. Trzymał w szponach niemagiczną zapalniczkę i Klinga zostawiła swój stosik, aby ją od niego wziąć. Mogła teraz rozpałić ogień, używając suchych, zaimpregnowanych kawałków kosa i zgromadzić wokół ogniska wilgotne, świeże drewno, aby wyschło.

Tad został przy swoim stosie; najwyraźniej znalazł pudełko z całym niemagicznym oporządzeniem, na którego zabranie nalegał Aubri. Obrzuciła spojrzeniem prowizoryczne schronienie. *Najpierw myśl, planuj, potem działaj. Jeśli coś zniszczysz, nie ma w pobliżu nikogo, kto to naprawi. I nic, czym można naprawy dokonać.*

Próbowała jakoś osłonić ogień przed deszczem bez wpuszczania dymu do szatasu. Nie chciała ryzykować zniszczenia prowizorycznego namiotu.

Jasne. Mamy klapę od namiotu. Przygnę te dwa drzewka i przywiążę je do koszyka, a potem rozwinę klapę i przywiążę ją... tam. Myślę, że zrobię to jedną ręką. A potem może zbudujemy ochronę przed wiatrem z długich gałęzi i dużych liści. Skoro miała już plan, nagięła jedną ręką drzewka, a potem przerzuciła płócienną płachtę nad ich łukiem w miejscu, gdzie chciała rozpałić ognisko. Ostrożnie przywiązała koniec płachty do złamanego drzewka, kilka razy zaciągając węzeł; jeśli nie będzie silnego wiatru, wytrzyma. Nie zabraknie im przynajmniej drewna, chociaż było bardzo świeże. Kiedy spadli, mieli ze sobą zapasy na dwa, trzy dni i zapasowe ubrania na podpałkę. *Najpierw rozpal ognisko, potem pomyślimy o ochronie.*

Odrzucała martwe liście, aż dokopała się do spłachetka ziemi, potem starannie ułożyła stosik z kawałków koszyka, połamanych pudeł i suchych liści, które znalazła. Do krzesiwa dołączona była sucha jak pieprz hubka, sprasowana z kawałkami papieru. Nie żałowała hubki, a resztę schowała do pudełka i zamknęła je. Krzesiwo było strasznie kłopotliwym przedmiotem dla jednorękiej kobiety.

W końcu poradziła sobie, kucając i przytrzymując je stopą; kiedy iskra padła na hubkę, rozdmuchała ją w maleńki ogienek. Marszcząc czoło w skupieniu, pochyliła się nad swym dziełem i uważnie podsycala ogień, aż otrzymała duży płomień, a dym wylatywał z szałas. Z wysiłku bolało ją całe ciało.

Wzdychając z bólu, wyprostowała się i spojrzała na Tada, aby zobaczyć, co znalazł. Najpierw rzucił jej się w oczy topór. Ach, jakże ucieszył ją ten widok! Był na tyle mały, że mogła używać go jedną ręką, ostry tak, że przecinał dosłownie wszystko. A teraz potrzebowali drewna na opał.

Wstała, krzywiąc się bólu, przywłaszczyła sobie narzędzie i zaczęła przekształcać szczątki wokół ich prowizorycznego obozowiska w coś nieco bardziej użytecznego.

Na jednej kupce zgromadziła gałęzie zbyt małe, aby użyć ich na podpałkę. Jeśli starczy im czasu przed deszczem albo nocą — zależy co przyjdzie najpierw — spróbuje zbudować z nich palisadę wokół obozowiska. Nie powstrzymałaby niczego, co naprawdę chciałoby się przez nią przedrzeć, ale zwierzęta zazwyczaj bały się nowości i mogły omijać ten dziwny płot na swej ścieżce.

A jeśli coś się zacznie przedzierać, narobi hałasu, który nas ostrzeże. O ile oczywiście nie przeskoczy przez płot. Kiedy Tadowi zachce się siusiu, nasika do garnka i rozlejemy jego mocz wokół; zapach wielkiego drapieżcy powinien odstraszyc gryzonie i inne denerwujące stworzenia. A poza tym mamy przesłiczny dzień, proszę państwa.

Gałęzie z dużymi liśćmi traktowała inaczej, uważnie oddzielając je od włókniстых, jędrnych gałązek i odkładając na bok. Kiedy będzie miała ich wystarczająco dużo i znajdzie kilka prostych kijów, zacznie budować osłonę przed wiatrem.

Jej ciało zalewały fale bólu przy każdym uderzeniu topora, ale nie był on na tyle dotkliwy, aby ją powstrzymać teraz, kiedy już się rozpędziła. *Jeśli się zatrzymam, nie będę mogła się ruszyć przez następne kilka godzin, więc lepiej zrobić wszystko, co mogę, póki się jeszcze ruszam.*

Najwidoczniej Tad też doszedł do takiego wniosku; sortował zapasy z taką samą determinacją, jaką ona czuła. Znalazł dwie torby z jej rzeczami osobistymi i jedną swoją i zaniósł je do szałas; obok nich leżało prymitywne wyposażenie Aubriego. Pomiędzy uderzeniami topora zauważyła, że znalazł świece i latarnię, ciasno zwinięty kocher, menażki, dwie łopaty i trzy skórzane bukłaki. Obok złożył dwa wielkie noże, którymi można było wyrąbać sobie drogę w dżungli, paczkę z moskitierą, żyłkę, haczyki i kompas. Dotarł do broni, którą oczywiście ze sobą zabrali i Klinga skrzywiła się na jej widok. Większość była bezużyteczna w tych warunkach. Jej ulubiony łuk się złamał; mniejszy pozostał nie tknięty, ale nie potrafiła go naciągnąć. Nie mogła też używać miecza, który Tad położył obok kołczanów z płótna nasączonego oliwą, pełnych strzał. Dorzucił swoje rękawice do walki — które mogły okazać się użyteczne, gdyby był w stanie chodzić.

A co zrobimy, jeśli stąd odejdziemy i coś nas po drodze zaatakuje? Poprosimy

uprzejmie, aby poczekało, aż Tad się ubierze?

Ale w następnej chwili serce jej urosło, bo Tad znalazł procę! Położył ją przy rękawicach wraz z dwiema torbami ciężkich, ołowianych pocisków. Tego mogła używać i to z odpowiednim skutkiem, nawet jedną ręką!

Nabrała energii od machania toporem, a następne znalezisko ucieszyło ją jeszcze bardziej; był to krótki oszczep z poprzecznym ostrzem. Złamał się, ale to, co zostało, było wystarczająco krótkie, aby rzucać nim jedną ręką. *Dzięki procy mogę nas wykarmić; nożem i oszczepem mogę walczyć. On ma dziób i szpony, które nie są tylko na pokaz. I ma magię.*

Wszystkie gryfy posiadały choć odrobinę zdolności magicznych; Tad nie był specjalnie obdarzony w porównaniu z ojcem, ale mógł być użyteczny. . .

Zadrżała znowu, myśląc, co może przyciągnąć magia Tada i uznała, że narąbała dość drewna. Otoczyła ognisko świeżymi kłodami, ułożyła resztę z tyłu szałas i zgarnęła na kupę resztki kosza, tnąc na kawałki wszystko, co znalazła w szałasie. *Nie sądzę, żebym chciała, aby Tad używał magii, dopóki nie upewnimy się, że to, co wysstało nam magię z koszyka, nie będzie nas nachodzić.*

Dołączyła do Tada, ze smutkiem odkładając na bok broń, która kiedyś była magiczna, a teraz do wyrzucenia. Niestety, była też zbyt dziwacznie uformowana, aby się nadawała do natychmiastowego użytku. Znaleźli dla niej tylko jedno zastosowanie: przytrzymywała płótno, które chroniło bardziej pożyteczne rzeczy, jak drewno, przed deszczem.

Znalazła na dnie śpiwory, zabrała je do szałas i rozścieliła na podłodze, na materacu z liści i miękkich gałązek. Odbyła drugi spacer z resztą wyposażenia i broni, rzeczami, które mogły się teraz przydać. Resztę przykryła płótnem; może później wymyśli dla niej jakieś zastosowanie.

Większość ekwipunku została kompletnie zniszczona, podobnie jak prawie całe jedzenie. Racje żywnościowe, które przetrwały zderzenie, były, jak przewidywała, zwyczajowym pożywieniem najemników: suszone mięso i twarde suchary, suszone owoce i warzywa. Nie było tego wiele, ale suszone mięso nasyci Tada, a żywiąc się sucharami, można było przeżyć miesiąc czy dwa.

Tada nie będzie bawiło żywienie się sucharami, ale mogli je jeść, nie ryzykując zachorowania.

Zatrzymała się i uważniej przyjrzała rozgniecionemu jedzeniu. W tej chwili część nadawała się do spożycia, ale długo ten stan nie potrwa.

Odpuśćmy sobie dziś suchary i zjedzmy to, co się da. Zebrała wystarczającą ilość jedzenia na bardzo suty posiłek i ułożyła przy ogniu, a resztę mozolnie wyniosła do lasu i zostawiła z dala od obozowiska. Lepiej żeby lokalna fauna nie kojarzyła obozu i jedzenia. Następnym razem mogą zastawić sidła, aby wzbogacić sucharową dietę.

Czas na ścianę osłaniającą ogień przed wiatrem. Wbiła w ziemię końce czterech długich, giętkich gałęzi i przywiązała je do wszystkiego, czego mogła do-

sięgnąć przy klapie namiotu, używając zębów i jednej zdrowej ręki. Potem przymocowała liście do kolejnej długiej gałęzi, nakładając je na siebie jak dachówki. Później przywiązała tę gałąź na dole, kilka palców od ziemi, znów posługując się zębami. Nawlekła liście na kolejną gałąź i przymocowała ją tak, aby zachodziła na poprzednią. Nie zajęło jej to wiele czasu i gdy skończyła, pomyślała, że efekt jej pracy wytrzyma dość długo, podobnie jak szałas, jeśli nie zerwą się gwałtowne wiatry, o co było raczej trudno pomiędzy drzewami.

Kiedy odsunęła się, by podziwiać swe dzieło, Tad już wbijał w ziemię patyki, aby zbudować ogrodzenie, o którym mówiła. Przyłączyła się do niego w chwili, gdy w oddali zabrzmiał groźnie grom. Zerknęła szybko przez ramię i stwierdziła, że wszystko, co było warte ocalenia, zostało gdzieś schowane, a ogień ciągle płonął. *Mam nadzieję, że przetrwa. Miejmy nadzieję, że tym razem szczęście nam dopisze.* Pomogła Tadowi stawiającemu płot. Ich nowy dom za bardzo domu nie przypominał, ale lepszy taki niż żadny. Pracowali szybko; ziemia była tu tak miękka, że wbijanie w nią cienkich patyków nie wymagało prawie żadnego wysiłku.

Grom rozległ się tuż nad nimi; spojrzała w górę i w tej samej chwili pierwsza kropla spadła jej do prawego oka.

Jedno uderzenie serca później, gdy wczółgiwali się do szałasu, niebo się rozwarło. Skulili się pod płótnem; było im ciasno, ale nie ciaśniej niż wtedy, gdy namiot był ciągle namiotem.

Z nieba spadła prawdziwa ulewa. Klinga cieszyła się, że wszystko, co znalazła, umieściła bezpiecznie pod płótnem; widywała wodospady toczące znacznie mniejsze ilości wody! Deszcz padał prosto w dół, nie wiały żadne wiatry; jednak wysoko, wśród koron drzew, musiał szaleć huragan; pnie najbliższych drzew kołysały się lekko, gdy na nie patrzyła. Drzewa działały jak bufor między nimi i tym, co przynosił wiatr.

Błyskawice ani na chwilę nie przestawały rozjaśniać nieba i od czasu do czasu widziała w ich świetle ciężkie krople jakby zawieszony w powietrzu.

Deszcz obluzował połamane gałęzie, które z nimi nie spadły; jedna czy dwie uderzyły w szałas i Klinga cieszyła się, że ma nad głową płótno i koszyk. Sam namiot zostałby rozdarty albo przewróciłby się.

Zastanawiała się, czy powinna później usunąć spadłe gałęzie. *Jeśli niczego nie zniszczyły, zostawię je. Jeśli będziemy zwierzętom przypominać kupę gałęzi, może dadzą nam spokój. Nie, o czym ja myślę? Zwierzaki z tego lasu na pewno wiedzą, co się dzieje na ich terytorium. Chyba zaczynam bredzić.*

Tad patrzył wielkimi oczami na deszcz, strosząc pióra w ochronie przed wilgotnym chłodem. Zastanawiała się, o czym myślał. Za każdym razem, gdy niebo przecinała wyjątkowo jasna błyskawica, jego oczy połyskiwały zielono.

Ramię zaczęło jej dokuczać w tym samym momencie, kiedy zaczęła się burza. Działanie środków, które wzięła, musiało osłabnąć. Jeśli ją bolało, Tada na pewno też i nie widziała powodu, dla którego mieliby znosić ten ból, skoro nie

musieli. Apteczka zawierała wystarczająco dużo środków przeciwbólowych na dwa tygodnie dla dwojga ludzi — później albo zostaną odnalezieni, albo wpadną w takie tarapaty, że nie będą się przejmować drobnym bólem. Sięgnęła po apteczkę, wyłowiła z niej dwie fiołki środków przeciwbólowych i podała mu. Wziął, przekłuł pieczęć i wypił zawartość, zanim Klinga zdążyła zabrać się za otwieranie swojej fiołki. Odebrał jej naczynko i przekłuł woskowe zabezpieczenie; wzięła ją z wdzięcznością i połknęła lekarstwo.

— Będziemy czuć? — zapytał. — Powinniśmy. Sądzę, że naprawdę powinniśmy starać się nie zasnąć, jeśli bierzemy środki przeciwbólowe. Nie podoba mi się sam pomysł leżenia tu bezradnie. Inaczej było, gdy mogliśmy rzucić zakłęcia strzegące, ale teraz. . .

Przez chwilę zastanawiała się nad pytaniem. *Pewnie powinniśmy, nawet jeśli nie moglibyśmy przeciwstawić się prawdziwemu wrogowi. Ale jeśli nawiedzać nas będą tylko padlinożercy i dzikie bestie, ten, kto obejmie wartę, powinien je odpędzić, zanim narobią kłopotów.*

— Zgadzam się. Jeśli możesz teraz zasnąć, nie krępuj się — powiedziała w końcu. — Ja nie potrafię, nawet z tym naparem czarownicy w żołądku. Jeśli wyśpisz się do czasu, kiedy ja będę padać na nos, przejmiesz czuwanie.

Przytaknął i przykrył się śpiworem, żeby się rozgrzać.

— Kiedy się obudzisz, przygotuję coś do jedzenia — obiecała. — Myślę, że będzie padać do późnej nocy; obudzę cię, kiedy oczy zaczną mi się kleić. — Nie wiedziała, jak to zrobił, ale chwilę po jej ostatnich słowach już spał. *Musi być wyczerpany* — stwierdziła. *Tak bardzo się starał wyhamować nasz upadek; pewnie strasznie dużo go to kosztowało. Powinam się dziwić, że nie zemdlał, kiedy nastawiałam mu skrzydło.*

Powinna czuć znacznie więcej; trudno było powstrzymać cokolwiek, nawet strach, bardzo długo. *To szok, może to i lepiej. Tak długo, jak wszystko planuję i się koncentruję, mogę działać.*

Może później będzie w stanie czuć i reagować; teraz była bardzo wdzięczna za to niezwykle odrętwienie.

Ponieważ zapasy, które ocaliła, i tak się wymieszały, użyła wszystkiego, co jej wpadło w rękę, aby zrobić wielki naleśnik z zapieczonymi w środku warzywami, mięsem i przyprawami. Upiekła tyle naleśników, ile mogła; zjadła jeden, a resztę zostawiła dla Tada. Potem po prostu gapiła się na deszcz. Robiło się coraz ciemniej, ale nie musiało to oznaczać nadejścia nocy: może chmury gęstniały. Zapadła w tępy letarg, a szum deszczu wprawił ją w stan czujnego zmęczenia.

Nic nie wskazywało na to, aby deszcz miał się skończyć. Z opóźnieniem zorientowała się, że był wspaniałym źródłem świeżej wody i znów zaczęła przekopywać zapasy. Znalezione pojemniki wystawiała przed szałas, pod spływające z nieba strumienie. Chwilę później napełniła wszystkie menażki i manierki, znów wystawiła naczynia na zewnątrz i umyła garnki, których używała do przygotowa-

nia naleśników.

Mogę się umyć! Ta myśl ją nieco ożywiła; czuła się spocona, brudna i sam pomysł umycia się wlał w nią życie. Postawiła garnek z wodą na ogniu, aby ją ogrzać; jeśli nie musiała, nie miała najmniejszego zamiaru myć się w zimnej wodzie! Mogli nie mieć magii, ale posiadali inne środki.

A poza tym w apteczce znajdowało się lekarstwo na stłuczenia, do którego ciepła woda była niezbędna. Kiedy skończy się myć, będzie mogła zaopatrzyć mniejsze obrażenia. Podejrzewała, że poważnie dokuczyłyby jej przed zaśnięciem.

Biedny Tad; nie sądzę, aby maść podziałała na jego rany; nie ma ani kawałka nagiej skóry. Moczenie jego piór nie ma sensu; tylko zziębnie i poczuje się gorzej.

Deszcz nadal walił w płótno; tylko jego dźwięk docierał do jej uszu. Siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę, podtrzymując je zdrową ręką, patrząc na srebrną wodę lejącą się z nieba, wprawiona niemal w trans przez monotony, głuchy hałas. Tylko pioruny i grzmoty powstrzymywały ją przed zaśnięciem. Podskakiwała z bijącym sercem, przestraszona, w pełni rozbudzona.

Kiedy woda się zagrzała, niezgrabnie zdjęła tunikę, znalazła kawałek podartej tkaniny i umyła się, czując głęboką wdzięczność, mimo że nie było mydła. Jak dobrze jej było, kiedy przykładała tak zwykłą rzecz, jak ciepłą myjkę, na siniaki! Jak dobrze być czystą! Miała rację: była brudna.

Jakże bym chciała mieć tu jedno z gorących źródeł, żeby się wymoczyć... Skoro już o tym myślę, to dlaczego nie życzę sobie ratunku, miękkiego łóżka w jaskini i tyle leków przeciwbólowych, aby spać, dopóki mi się ramię nie zagoi? Takie myśli przyprawiłyby ją o depresję albo oszalałyby ze zmartwienia; musiała skoncentrować się na teraźniejszości i postarać się jak najlepiej wykorzystać to, co miała.

Zwykła kąpiel sprawiła, że poczuła się znacznie lepiej; czas się odziać w coś równie czystego. Powietrze ochłodziło się znacznie, odkąd spadł deszcz; robiło się zimno, nie tylko wilgotno. Wyciągnęła tunikę z długimi rękawami i uświadomiła sobie, naciągając ją na grzbiet, że niemożliwe będzie włożenie jej na złamane ramię bez podarcia materiału.

A kto miał ją tu oglądać? Nikt.

Rozcięła przód tuniki nożem; zawsze mogła się ścisnąć paskiem. Zanim włożyła ubranie, owinęła się kocem i ruszyła do apteczki. Najpierw powinna opatrzyć rany, a potem się ubierać.

Znalazła potrzebne zioła i wrzuciła je do garnka z ciepłą wodą, aby zmiękły. Deszcz nieco osłabł, a na dworze robiło się coraz ciemniej. To nie chmury gęstniały; słońce musiało już dawno zająść.

Sięgnęła po skrócony oszczep i wybrała noże, którymi mogła rzucać, potem zastanowiła się nad następnym ruchem.

Podsycić ogień, aby przestraszyć nocnych gości, czy stłumić go, aby nie rozbudzać niepotrzebnego zainteresowania?

Po dłuższym namyśle zdecydowała się na pierwszą opcję. Większość zwierząt bała się ognia; gdyby poczuły dym, nie zbliżyłyby się tutaj. Musiała użyć świeżego drewna, ale na szczęście dym wylatywał z szałas. Większe ognisko miło ogrzewało ich schronienie; Tad obok niej zamruczał sennie i spał dalej.

Kiedy napar przybrał brunatny kolor, zdjęła koc; namoczyła bandaże, aż opróżniła garnek i owinęła się nimi tam, gdzie była najbardziej pokaleczona, potem przykryła kocem i czekała, aż wyschną.

Ciepło było wspaniałe, a lekarstwo rzeczywiście łagodziło tępy, przeszywający ból najgorszych siniaków. Zapach mikstury, gorzki i ostry, podszedł jej do nosa.

Dobrze. Przynajmniej nie pachnę jak jedzenie. Nie chciałam zjeść niczego, co śmierdziałoby tak jak ja. Nawet pluskwy mnie zostawią w spokoju. Może.

Chwile później bandaże były na tyle suche, by je zdjąć; wciągnęła jedną ręką spodnie, narzuciła tunikę na zdrowe ramię i spięła. Na szczęście pasek miał haczyk zamiast sprzączki; miała nadzieję, że poły tuniki zostaną na swoim miejscu.

Deszcz przestał padać; ze wszystkich stron odezwały się owady. Kiedy zapadła ciemność, dziwne zawroty głowy i niezwykle, nieziemskie krzyki dołączyły do metalicznego brzęku. Ptak, ssak, gad? Nie miała zielonego pojęcia. Większość wrzasków dobiegała z góry i mogła pochodzić z różnych gardeł.

Na zewnątrz było bardzo mokro, zimno i ciemno. Jedyne punkta światła była daleka zielonkawa poświata (pewnie z próchniejącego pnia) i robaczki świętojańskie. Ani księżyc, ani gwiazdy; nie mogła ich teraz dojrzeć. Może chmury nadal były zbyt grube; może pokrywa liści zbyt gęsta.

Ale przynajmniej mieli ogień; pozostałości koszyka paliły się doskonale, a świeże drewno lepiej, niż się spodziewała.

Prawdopodobnie najbardziej frustrującą rzeczą w całej tej sytuacji było to, że ani ona, ani Tad nie popełnili żadnego błędu. Nie popisywali się ani nie byli lekkomyślni. Nawet tak doświadczeni wojownicy jak Aubri i Judeth nie byłiby przygotowani na taką sytuację i prawdopodobnie znaleźliby się w identycznym położeniu.

To nie była ich wina.

Niestety, to nie zmieniało sytuacji, a gdyby zginęli, wina czy jej brak nie miałyby żadnego znaczenia.

Kiedy Klinga unieruchomiła Tadowi skrzydło, nie bolało tak bardzo, jak się spodziewał. To mógł być szok, ale raczej nie był; złamanie było proste i przy odrobinie szczęścia już zaczęło się zrastać. Gryfie kości szybko się zrastały, z uzdrowicielem czy bez.

Prawdopodobnie nie bolało tak bardzo jak obojczyk jego partnerki; on nie ruszał skrzydłem, kiedy coś robił, ale jeśli ona musiała pracować, za każdym razem

urazała ramię.

Szkoda, że teleson nie działa. Szkoda, że nie mogę go naprawić! Mógł naprawić zapalniczkę i lampę magiczną, i zajmie się tym, gdy się wyśpi, ale teleson leżał poza jego możliwościami, podobnie namiot i kocher. Gdyby mieli teleson, pomoc dotarłaby na miejsce za dwa, góra trzy dni. Teraz dwa albo trzy dni potrwa, zanim ktokolwiek się domyśli, że wpadli w tarapaty.

Zgodził się na drugą wartę, bo wiedział, że Klinga musiała być bardzo zmęczona, zanim zasnęła — ale gdy już zaśnie, zaczną działać środki uspokajające. Trudno będzie ją obudzić, dopóki sama nie zdecyduje się otworzyć oczu.

Z jego strony, choć lekarstwo pomogło, Keeth nauczył go bardzo dużo o samokontroli; Tad potrafił zapaść w trans bardzo szybko, a poza tym poznał kilka technik relaksacyjnych i redukujących ból.

Całe szczęście, że mój brat jest trondi'irn.

Położył się wygodnie, a gdy Klinga okryła go kocem, aby nie zmarzł, zasnął bardzo szybko.

Dziwne obrazy, zbyt ulotne, aby nazwać je snami, wędrowały przed jego oczami. Wizja jego samego, chodzącego po targu w Khimbacie, ale jako dorosły, a nie dziecko człapiące za niańką Haighlei, Makke; chwile lotu nad ziemią tak wysoko, że nawet jego bystrym oczom ludzie w dole jawili się jako kropeczki. Inne wizje były mniej rzeczywiste. W pewnej chwili wydało mu się, że drzewa z nim rozmawiały, ale nie znał ich języka, a one rozgniewały się na niego, bo nie rozumiał, co chciały mu powiedzieć.

Te wizje nie zakłóciły jego spoczynku; przytomniał na tyle, aby odpędzić nieprzyjemne sny, nie budząc się, a potem znów zapadał w ciemność.

Był na skraju przebudzenia, na wpół śniąc, że powinien się obudzić, ale niezdolny do zgromadzenia energii, kiedy Klinga potrząsnęła nim lekko, natychmiast budząc go z drzemki.

Zamrugął; jej twarz była przedziwną maską purpurowych siniaków i tańczącego złotego ognia. Gdyby była bardziej symetryczna i nie tak obolała, uznałby ją za atrakcyjną. Wyczuł gorzkie zioła w powietrzu, gdy ziewnęła, i odgadł, że obandażowała się, używając ludzkich lekarstw.

— Wzięłam lekarstwo na sen i nie mogę już czuć — przyznała, ziewając ponownie. — Nie widziałam ani nie słyszałam niczego realnego, chociaż moja wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach.

— Dobrze, kładź się spać — rzekł schrypniętym głosem i zamrugął, oczyszczając oczy. — Będę czuwał do świtu.

Ułożyła się między ścianą namiotu a nim, przytulając do jego boku. Pozwolił jej skulić się tak, aby skorzystała z jego ciepła; potrzebowała tego. *I pewnie tak samo potrzebuje pocieszenia* — pomyślał, gdy układała się tak, aby nie urazić złamanego obojczyka. *To nie było łatwe, siedzieć tu, patrzeć w ciemność i zastanawiać się, co tam jest, kiedy twój partner zmienił się w chrapiącą kłode.*

Oczywiście gdyby zaczęły się kłopoty, przestałby być chrapiącą kłodą, ale nikłe to pocieszenie, gdy nastawiasz uszu, zastanawiając się, czy to nocny ptak, owad czy ludożerca właśnie się odezwał.

Gryfy nie widziały dobrze w ciemności, ale i Skan, i jego synowie byli wyjątkami od tej reguły. Nie można ich było porównać do sów, ale nie byli też ślepi, a na pewno nocą widzieli lepiej niż ludzie. Pozwolił oczom przywyknąć do ciemności i zapamiętywał cienie, aby wiedzieć, gdzie co stało. Kształty, których nie rozpoznał, łączył w pamięci z wyglądem obozowiska w świetle dziennym; to coś, przypominającego przykucniętego niedźwiedzia, naprawdę było kłodą porośniętą niejadalnymi grzybami. A krzak, który zdawał się mieć ciemniejszy środek, rzeczywiście go miał; wyrósł wokół pozostałości po pieńku, który mógł udawać kolejne czające się zwierzę. Fosforyzujący kształt w oddali należał do próchniejącego drzewa, na którym rosła świecąca pleśń — i wcale się nie poruszał, tylko to gałki oczne Tada drżały z wysiłku. Rzeczy, które mogły być oczami odbijającymi ogień, wcale nimi nie były; kiedy przypatrywał się, widział, że poruszają się niezależnie od siebie; uznał je należące do świetlików, prawdopodobnie latających w parach podczas randki. Lekki i cichy kształt poruszający się między gałęziami nad jego głową był sową; ten przelatujący z lekkim trzepotem skrzydeł tuż za kręgiem światła należał do nietoperza.

Kiedy już zidentyfikował kształty w zasięgu wzroku, zaczął rejestrować dźwięki. Oczywiście było, że owady brzęczały i bzyczały; rechot pochodził z gardeł żab. Niektóre odgłosy przypominały te z Białego Gryfa; nie wszystkie zwierzęta tutaj były dla niego nowe. Sporadyczny, zaspany świergot czy gwizd z góry oznaczał, że coś zakłóciło spoczynek ptaka — nic, czym należałoby się martwić, ptaki ciągle na siebie wpadały w czasie snu.

Oprócz tego słyszał wycia, ryki i szczeknięcia. Zapamiętywał je wszystkie, śledząc, skąd dochodziły i w jakich okolicznościach. Większość z nich dobiegała spomiędzy koron drzew; znaczyło to, że źródło tych dźwięków (o ile nie było zupełnie szalone) nie zamierzało zajmować się dwójką w dole. Zwierzęta żyjące wśród gałęzi były raczej łupem, nie drapieżnikami; życie na wierzchołkach drzew nie należało do najłatwiejszych, a podstawowy problem stanowiło zdobycie wody. Cokolwiek tam żyło, miało powód, aby nie mieszkać na ziemi. Stworzenia te najprawdopodobniej nie były specjalnie duże, nie większe od Klingi, ale wrzeszczały niesamowicie głośno, gdyż trudno było wśród liści dojrzeć stado czy samicę. A gdy coś cię złapało i wrzasnąłeś tak głośno, jak tylko mogłeś, zawsze istniała szansa, że napastnik wystraszy się i puści.

Drapieżcami w koronach drzew były albo węże, albo stworzenia ze skrzydłami; czworonogi polowały na ziemi. I choć całkiem możliwe było, że wśród konarów czaił się wąż, który mógłby pożreć Klingę albo Tada, nie byłby w stanie połknąć obojga za jednym zamachem i nie należał do szybkich — chyba że atakował. Zostawały uzbrojone drapieżniki, ale Tad był pewien, że nawet na ziemi

stawiłby czoło wszystkiemu, co lata.

Jedynym ich zmartwieniem był nocleg tutaj, a dźwięki w górze mógł zignorować, chyba że nagle zmienia się w ostrzegawcze lub alarmowe nawoływania.

Według ludzkich standardów jego wzrok był niezwykle ostry, a najlepiej sprawdzał się przy dostrzeganiu niewielkich ruchów. Kiedy więc zidentyfikował wszystko, co leżało w pobliżu szafasu, nie siedział i nie gapił się w ciemność jak Klinga. Mógł się odprężyć i obserwować tylko to, co zmieniało pozycję. Nieważne, jak dobrze drapieźnik się skradał, prędzej czy później musiał przejść przez miejsce, gdzie Tad dostrzeże ruch wśród cieni, nieważne, za dnia czy w nocy.

Jego słuch był równie dobry i teraz, gdy poznał normalne odgłosy, mógł nasłuchiwać wśród nich chrząkania, warczenia, syczenia — czy szelestu liści — albo trzasku gałązki pod stopą.

Był też inny powód, dla którego chciał objąć drugą wachtę. Szczerze mówiąc, był do niej gotowy znacznie lepiej od Klingi.

Jeśli cokolwiek zasłoby ich od tyłu, nie zobaczyłby tego ani nie usłyszał. Ale przedarcie się przez płótno i kosz nie poszłoby mu szybko i mieliby czas na przygotowanie obrony.

Albo się tudzę.

Wpatrywał się w ciemność, śledząc mrugające światełka robaczków świętojańskich i w końcu przyznał przed sobą, że czuje się raczej bezradny.

Oboje jesteśmy połamani i obolali, nie możemy użyć większości broni, która nam została, nie jesteśmy całkiem pewni, gdzie się znajdujemy, a na pewno zbyt daleko od domu, by zawrócić, taka jest prawda. Wcale mi się to nie podoba.

Musieli mieć nadzieję, że za jakieś trzy dni, gdy nie stawią się na umówione spotkanie, zostaną uznani za zaginionych, a Biały Gryf wyśle ekipę poszukiwawczą. Musieli mieć nadzieję, że przeżyją wystarczająco długo, aby ich odnaleźć!

Przestań się nad sobą użalać i jedz! — upomniął się. Przez jakiś czas nie będzie szans na lepszy posiłek, a głodzenie się na pewno ci nie pomoże. Cokolwiek upichciła Klinga, nie wytrzyma do świtu.

Powoli, aby przeciągnąć posiłek, zjadł mięsno-warzywne naleśniki, które zostawiła mu Klinga. Nie były złe, biorąc pod uwagę, jak ohydne mogłyby być. Klinga nigdy nie była specjalnie uzdolnioną kucharką, a ta potrawa należała do jej najlepszych osiągnięć. Będą pewnie żartowali na temat gotowania wyszukanych potraw w samym środku katastrofy, gdy już wyjdą z tego bez szwanku. *Oczywiście, słuchając opowieści ojca, można pomyśleć, że był tak pełen werwy, że mordował dwieście makaarów, uwodził dowódcę skrzydła, kochał się z nią, walczył z kolejną setką makaarów, a potem robił sobie przerwę na herbatę podaną w srebrnej filiżance.*

Klinga położyła swe dziwaczne placki wystarczająco blisko ognia, aby zachowały ciepło, ale się nie przypaliły ani nie wyschły. Powinny nasycić go na jakiś czas; dobrze, bo przez parę następnych dni nie zamierzał wiele polować. A nawet

gdy zacznie, by złapać zwierzę odpowiednich rozmiarów, będzie musiał zaskoczyć je na ziemi.

Przechwałki ojca o przekradaniu się nie zauważonym przez, linie wroga mogą być prawdziwe, ale jelen ma węch i słuch lepszy od ludzi. Jeśli uda mi się złapać coś większego od wiewiórki, uznam się za szczęśliwca.

Miał dość, zanim skończył naleśniki, więc zawiązał ostatnie cztery w liść i przykrył warstwą gorącego popiołu, zakopując przy ognisku. Zostawi je na śniadanie; powinny wytrzymać do rana. Oparł podbródek na szponach i podjął przerwany wątek.

Problem polega na tym, że nie mam zielonego pojęcia, co strąciło nas z nieba.

Oczywiście, istniało kilka możliwości. Mogło to być zjawisko całkowicie naturalne, a jeśli nie naturalne, to po prostu anormalna i przypadkowa pozostałość burz magicznych.

Słabość tej teorii polega na tym, że nasi i Haighlei podróżowali tędy już wcześniej. To wyklucza zjawisko stałe lub związane z ziemią. Gdyby to było coś naturalnego lub przypadkowego, musiało jednocześnie być stałe, więc dlaczego nikt go wcześniej nie odkrył? Szczególnie Haighlei, podejrzliwi w stosunku do wszystkiego, co magiczne i nie kontrolowane przez ich magów-kapłanów, poszukiwali już takiej „dzikiej” magii, przeczesując dalekie, rozległe tereny. To oni założyli posterunek; przemieszczali się tędy, choć pewnie niezupełnie taką samą drogą. Powinni odnaleźć coś tak potężnego.

Na pewno zboczyliśmy trochę z głównej drogi. Nie zwracałem szczególnej uwagi na drogowskazy na ziemi, tylko na niebo i pogodę. Sądzę, że nawet trochę kluczyłem, aby uniknąć najgorszej burzy.

Ale jednak niebezpieczne miejsce, nawet na nie uczęszczanej drodze, powinno rzucić się w oczy doświadczonemu magowi, który go szukał. Powinno wręcz krzyknąć do magów sprawdzających anomalie.

Ja się nie rozglądałem; ja muszę myśleć o używaniu wzroku magicznego, żeby dojrzeć takie rzeczy. Nie jestem Śnieżną Gwiazdą, który musi ciągle pamiętać o tym, aby go nie używać!

Kolejną możliwością było, iż to coś nowego albo mu nie znanego. Niechętnie zwrócił myśli ku pomysłowi, że coś ich strąciło celowo, atakując lub broniąc się.

Ale jeśli to była samoobrona, jak mogli nas dostrzec z ziemi? Atak nie nadszedł z powietrza; jedynymi latającymi przedmiotami byli oni i ptaki. Nie zaatakowano z koron drzew, bo dostrzegłby kogoś bezpośrednio pod sobą. Atak musiał nadejść z ziemi, spomiędzy konarów, ale jak dostrzeżono koszyk, Klingę i Tada?

Nadal nie zostali zaatakowani przez to, co ich strąciło; to mogło oznaczać samoobronę, może nawet odruchową, odpowiedź na możliwe zagrożenie.

Ale to stało się tak szybko! *Jeśli nie mieli zaklęcia obliczonego na wywołanie takiego właśnie efektu, nie wiem, jak „oni” mogli tego dokonać, zanim nie wylecieliśmy z ich zasięgu!*

Ten argument przemawiał za atakiem; mówił o napastnikach, którzy namierzili ich, zanim wylądowali zeszłej nocy i poczekali, aż się wzbiją, zanim rzucili zaklęcie, które spowodowało upadek.

Dlaczego więc nie przy szli zobaczyć, czy nas zabili? Czy mogli być tak pewni siebie? Czy po prostu ich to nie obchodziło?

Czy też byli lepsi w grze w chowanego niż on w szukaniu?

Czy mogą tu być teraz?

Oczywiście, było możliwe, że zaatakowano ich z pewnej odległości i nie dotarli do miejsca katastrofy, zanim Klinga i on oprzytomnieli i przygotowali się do obrony. Sposób, w jaki ich zaatakowano, sugerował, że przeciwnik jest tchórzliwy, taki, który zanim uderzy, czeka, aż łup stanie się bezradny lub bezbronny.

O ile, oczywiście, nie należy do tych, co się nie spieszą, co poznają każdą piędź ziemi między nimi a nami, zanim zaatakują.

Westchnął cicho. Miał tylko jeden problem: to były jedynie przypuszczenia. A dociekania nie dawały mu mocnych argumentów za czy przeciw. Nie znał żadnych faktów poza najprostszy: że padli ofiarą czegoś, co zniszczyło ich zaklęcia i strąciło, bezradnie wirujących, z nieba.

Tak więc przez resztę nocy nadal śledził las i nadstawiał uszu, podskakując za każdym razem, gdy coś usłyszał, i przeklinając nieustanny ból głowy.

Świt nadchodził powoli, stopniowo rozjaśniając ciemność pod drzewami. Tad wiedział, że jego partnerka się obudzi, gdy przyspieszył się jej oddech i tętno — i jedno, i drugie słyszał z łatwością. Klinga u jego boku ziewnęła, zadrżała, zaczęła się przeciągać, i zakłęła pod nosem, kiedy ruch wywołał ból.

Tad zaczął szpon o rączkę apteczki i przyciągnął ją do Klingi, aby mogła w niej pogrzebać, nie ruszając się zbyt. Usłyszała to, wsunęła dłoń do apteczki i wydobyła jedną z fiolek; bez słowa przebił woskową pieczęć szponem i Klinga wypita zawartość.

Leżała cicho kilka chwil, zanim środki znieczulające zaczęły działać.

— Wnioskuje, że nic się nie zdarzyło w nocy? — zapytała.

— Nic wartego wzmianki, oprócz tego, że wydaje mi się, że ktoś dobierał się do resztek jedzenia. — Nie słyszał nic specjalnego prócz pomruków i odgłosu uderzenia, jakby jeden padlinożerca odganiał drugiego. — Powinniśmy przemyśleć zastawienie sideł, szczególnie pętli, do których nie będzie się można dostać z ziemi. Odkrycie, że coś złapał, ale padlinożerca nas ubiegł, byłoby niezwykle frustrujące.

Powoli usiadła, przecierając oczy jedną dłonią.

— Powinam była o tym pomyśleć wczoraj — rzekła żałośnie.

— Nic by nam wczoraj nie dały — odparł. — Padało jeszcze długo po zmroku. Prawdopodobnie szlag by trafił linki albo kołki wyskoczyłyby z błota. Jeśli dziś

nie będzie tak łało, zastawimy sidła po popołudniowych deszczach.

Znów ziewnęła, a potem skrzywiła się i lekko pomasowała posiniaczoną szczękę.

— Dobry pomysł — zgodziła się. — Sidła są wydajniejszą metodą zdobycia pożywienia od polowania. Zastawimy je tam, gdzie wyrzuciłam resztki jedzenia. Nawet jeśli nic nie zostało, zwierzęta mogą tam wrócić, mając nadzieję, że znów się pojawi. O bogowie, jestem cała sztywna i obolała!

— Dobrze wiem, jak się czujesz. Zostawiłem nam trochę jedzenia na śniadanie. — Odgarnął popiół i ukazały się naleśniki, nieco twardsze niż wczoraj i brudniejsze, ale nadal jadalne. *Szkoda, że nie mam maści na siniaki, która podziałałaby na mnie tak, jak to jej mazidło.*

— Naprawdę! — Poweselała i podrapała się po karku. — Od razu świat lepiej wygląda! A moja maść na siniaki posiada też dodatkową zdolność odganiania robaków, bo nic mnie nie pogryzło. Chcesz dodatkową porcję środków znieczulających?

Potrząsnął głową.

— Wziąłem je, gdy tylko się rozwidniło wystarczająco, abym widział, którą fiolkę wybieram. — Podał jej naleśnik i zjadł pozostałe trzy szybko i co do okruszyny. Jeden placek był na tyle duży, że się najadła, choć zauważył, iż pochłonęła wszystko i oblizała palce do czysta. Dzięki temu, że napełniła wszystkie pojemniki, jakie mieli, mógł się napić z rondla bez jej pomocy.

Począł, aż zjadła, umyła twarz i ręce i ożywiła się.

— Co teraz zrobimy? — zapytał, gdy wycierała twarz w szmatki wczorajszej tuniki. Zakarbował sobie w pamięci, aby wystawić te szmatę na zewnątrz, gdy zacznie padać, by się nieco wyprała.

Usiadła na piętach, sycząc, gdy poruszyła ramieniem.

— Teraz przedyskutujemy możliwości — odparła wolno. — Co zrobimy i dokąd pójdziemy.

Przeciągnął się, uważając na obandażowane skrzydło, i usiadł.

— Możliwości — powtórzył. — Oboje wiemy, że najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić, jest pozostanie tutaj. Racja?

— I zbudowanie stosu. — Wyjrzała przez płótno na drzewa i maleńkie skrawki nieba, mrugające przez zieleń jak maleńkie białe oczy. — Bardzo dymiącego stosu. Potrzebujemy dużo dymu, aby przebił się przez te liście.

— Dwa albo trzy dni potrwa, zanim się dowiedzą, że zniknęliśmy — powiedział głośno, aby się upewnić, że dobrze kojarzy. — Mamy schronienie, możemy je ulepszyć i umocnić, używając drewna i liści. Widziałem, jak zbudowałaś ochronę przed wiatrem i na pewno moglibyśmy dodać podobną ścianę nad płótnem. Jeśli popatrzysz na spadłe liście, zobaczysz, że te, których użyłaś, kiedy wyschną, przypominają cienką skórę; wytrzymają jako szałas.

Przytaknęła, ale wykrzywiła się.

— Jedną ręką nie będzie łatwo — ostrzegła. — A nadal jestem jedyną osobą w tym zespole, która dobrze zna się na węzłach. Możesz wygryzać dziury, przez które przeciągnę sznurek, ale to nadal będzie bardzo mozolne.

— Więc nie będziemy się spieszyć. Mogę coś zrobić, muszę tylko być ostrożny. — Urwał na moment. — Zostaliśmy ranni, ale nadal jestem dorosłym gryfem, a niewiele stworzeń odważy się rzucić na kogoś mojej wielkości, rannego czy nie.

— Przez te dwa czy trzy dni to, co nas strąciło, może nas odnaleźć, obserwować i powziąć własne plany — sprzeciwiła się, równie łatwo stając po drugiej stronie, jak on, gdy zaproponowała swój plan. — Musimy założyć, że zostaliśmy zaatakowani i obmyślić plan obrony. To miejsce nie nadaje się do tego.

Przytaknął; to było oczywiste. Ze wszystkich stron otaczały ich krzaki, a nie mogli ich zniszczyć, nawet wypalić.

A gdyby mogli? Wolał się nie zakładać. Była szansa, że nic by się nie stało: w końcu nie mogli pozbyć się drzew tak potężnych, że kilku mężczyzn objęłoby pień ramionami. Była też szansa, że skutki przerosłyby ich oczekiwania i puściłoby z dymem cały las, skazując się na piekło. Nie zapomniał, że świeże drewno dokładane zeszłej nocy do ogniska paliło się lepiej, niż się spodziewał. Nie, podpalanie tego miejsca w celu uzyskania obronnej przesieki nie było dobrym pomysłem.

— Powinniśmy dostać się w miejsce, gdzie nasz stos może zostać dostrzeżony w nocy — ciągnęła. — Nie sądzę, abyśmy wybili aż taką dużą dziurę w koronach drzew.

— Nie wybiliśmy; sprawdziłem. — Szkoda, ale miała rację. Stos palił się też w nocy, ale nie było mowy, aby ktoś lecący w nocy zobaczył ognisko na ziemi, o ile nie było ono znacznie większe od tego, które mogli zbudować w dwójkę.

— Ostatnim problemem jest brak źródła wody — podsumowała i wyciągnęła zdrową dłoń. — Wiem, że odkąd tu przylecieliśmy, co popołudnie łało jak z cebra, ale nie powinniśmy na to liczyć. Tak: jesteśmy w niewidocznym miejscu bez żadnych znaków, pod drzewami, nie mamy wody i nie jesteśmy w stanie się obronić, gdy nas zaatakują.

Skrzywił się.

— Jeżeli tak uważasz, to pozostanie tutaj raczej nie wchodzi w grę.

— Musimy iść tylko do najbliższego strumienia albo źródła — stwierdziła. — Jeśli będziemy mieli szczęście, znajdziemy je niedaleko. Będziemy mieć szafas i wodę i kiedy przyjrzymy się terytorium, na które spadliśmy, możemy zacząć myśleć o obronie. Ale sądzę, że powinniśmy zaplanować przeprowadzkę.

— Może — rzekł z powątpiewaniem — ale...

To, co zamierzał powiedzieć, zagłuszone zostało grzmotem i uderzeniami kropli deszczu w liście.

— ...nie dzisiaj — jęknął, kiedy deszcz runął równie ulewnie jak wczoraj, ale znacznie wcześniej.

Klinga zakłęta i wystawiła głowę, aby spojrzeć na deszcz — za daleko, bo zdołała poruszyć płótnem i koszem tak, aby z dachu spłynęła jej na kark kaskada wody. Skoczyła do środka i zbladła z bólu.

Strumień przekleństw, który z siebie wyrzuciła, okryłby chwałą każdego starożycia, ale Tad zachował milczenie. Zimna woda była niewątpliwie nieprzyjemna, ale gdy Klinga rzuciła się w tył, musiała naprawdę uszkodzić sobie chore ramię.

— Przyniosę drewno — zaofiarował się szybko i wyczołgał niezdarnie z szałas, próbując nim nie poruszać.

Znacznie bardziej wolał przemoknąć, niż przebywać w towarzystwie Klingi, kiedy naraz kilka rzeczy przestało działać. Była jego partnerką i najlepszą przyjaciółką, ale znał ją i jej temperament aż za bardzo dobrze.

I jeśli mam wybór, to wolę burzę z piorunami.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Mokry gryf — oznajmiła Klinga, marszcząc nos — zdecydowanie nie mieści się w tej samej kategorii zapachowej co bukiet lilii.

— Podobnie jak wysmarowana maściami kobieta — odparł łagodnie Tad. — Ja wyschnę, a rano ty nadal będziesz pokryta tą śmierdzącą zupą.

Ponieważ właśnie skończył pomagać jej owinąć kończyny i tors mokrymi, brązowymi bandażami, uznał, że ma takie samo prawo do komentarza, jak ona.

Szczerze mówiąc, otrząsnął z siebie tyle wody, ile mógł, zanim wszedł do szałasu i nie był już mokry, tylko wilgotny.

— Mogło być gorzej. Mogłaś dzielić namiot z mokrym kyree — dodał.

Skrzywiła się.

— Kiedyś znalazłam się z mokrym kyree w ciasnym miejscu i w porównaniu z tym doświadczeniem ty jesteś może nie bukietem lilii, ale na pewno maciejką.

Jej kolacja składała się z suchara, którego gryzła jak kyree kość. Mieli niewiarygodne szczęście; Klinga wysledziła ciekawskie zwierzę, złażące po pniu, aby im się przyjrzeć, i upolowała je ze swej procy. Wystarczyło za porządny posiłek, szczególnie że Tad nie ruszał się zbyt wiele i nie przetrwał jeszcze śniadania.

Wyszedł poszukać drewna, rozglądając się za gałęziami strąconymi przez wiatr i przyciągając je do obozowiska. Potem zrobił coś odwrotnego, pozbywając się resztek, które były absolutnie bezużyteczne i wyrzucając je po drugiej stronie palisady, aby się o nie bez przerwy nie potykali.

Późnym popołudniem Klinga wyszła na zewnątrz, aby porąbać przyniesione przez Tada drewno i umyć się w deszczu. Zachował się jak dżentelmen i odwrócił wzrok, choć nie należała do jego gatunku. Jak na Kaled'a'in była niezwykle skromna — a może po prostu chroniła każdą część swej prywatności, którą jeszcze mogła kontrolować.

W każdym razie zebrała się na odwagę i wykapała w zimnym deszczu, skacząc z powrotem do szałasu, gdy tylko skończyła, zawijając się w koc. Twierdziła, że czuje się znacznie lepiej, ale zastanawiał się, ile w tym było brawury, a ile pobożnych życzeń. Była człowiekiem, nie została stworzona do niebezpiecznych i nie zaplanowanych lądowań. Choć kosz zapewnił jej ochronę, nie miał pojęcia, jak bardzo, w porównaniu z nim, została ranna. Nie chciała się przyznawać do

obrażeń, których nie było widać. Oprócz tego podejrzewał, zamartwiając się coraz bardziej, że jej milczenie mogło ukrywać zranione uczucia.

Kiedy się wysuszyła, poprosiła go o pomoc przy nakładaniu maści na siniaki. Nie miał wątpliwości, że jest ona skuteczna: po wczorajszej porcji leku siniaki Klingi zaczęły blednąć, zmieniając kolory z purpury, granatu i czerni na żółć, zieleń i purpurę. I choć ta kombinacja kolorystyczna nie była najpiękniejsza, oznaczała, że Klinga wracała do zdrowia szybciej, niż gdyby nie używała leków. Skończył jeść mięso i zaproponował jej kości.

— Możesz je wrzucić do ognia i usmażyć — rzekł, gdy się zawahała. — A potem możesz zjeść szpik. Szpik jest dobry i odżywczy. To stworzenie nie smakowało najgorzej; szpik na pewno będzie miał lepszy smak od chleba, który przeżuwasz.

— Siano jest bardziej zdecydowane w smaku — mruknęła i wzięła większe kości.

— Mogę je później rozłupać, jeśli nie pękną, i wygrzebiesz sobie ugotowany szpik. Możemy użyć długich kości jako rożna. Przydadzą się — stwierdził.

Klinga przytaknęła, bez powodzenia próbując rozprostować ramiona.

— Ty spróbuj zjeść jak najwięcej tych małych kości; twoje skrzydło będzie się lepiej goić. — Zakopała kości w popiele i obserwowała je, gdy on postąpił wedle jej wskazówek i odrywał kęsy z mniejszych. Miała rację; każdy gryf wiedział, że do odbudowy kości potrzeba kości.

Kiedy jedna z kości rozpadła się ze słyszalnym chrzęstem, Klinga szybko wyłowiała ją z ognia. Wygrzebała miękki, upieczony szpik czubkiem noża, rozsmarowała go na chlebie i zjadła.

— Lepiej. Jest prawie dobry — stwierdziła z pełnymi ustami. — Dzięki, Tad.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł ucieszony, że jej nastrój się poprawił. — Obejmiemy wachty tak samo jak wczoraj? — Ziewnął szeroko. — Zawsze łatwiej mi zasnąć z pełnym żołądkiem.

— Kiedy masz pełny brzuch, nie można cię obudzić, chciałeś powiedzieć — parsknęła, uśmiechając się leciutko. — Nie mamy lepszego planu.

Jego skrzydło mniej bolało, a przynajmniej tak mu się zdawało. Gryfie kości zazwyczaj zrastały się bardzo szybko, jak skrzydła ptaków, które były ich prototypem. W tej chwili był za to naprawdę wdzięczny; wolał nie myśleć o konsekwencjach, jeśli Klinga źle nastawiła jego skrzydło. Nie żeby oznaczało to koniec popisów powietrznych, ale sama myśl o łamaniu i ponownym nastawianiu kości była bardzo nieprzyjemna.

Spojrzał na korony drzew i jak zwykle zobaczył tylko liście. I bardzo dużo deszczowych chmur.

— Obawiam się, że czeka nas taka ulewa, jak wczoraj — stwierdził żałośnie. — To tyle, jeżeli chodzi o zastawianie sideł.

Wzruszyła ramionami.

— Nie możemy mieć wszystkiego. Jak na razie dobrze nam idzie. Bez problemu moglibyśmy przetrwać tydzień, o ile nic się nie zmieni.

O ile nic się nie zmieni. Być może uznała to za słowa dodające odwagi, ale wcale nie czuł się bardziej odważny, gdy próbował zasnąć. *Wszystko się w końcu zmienia. Tylko głupiec uważa inaczej. Może nam się wydawać, że wiemy, co robimy, ale jeden poważniejszy błąd i jesteśmy martwi. Nawet niewielki błąd może oznaczać, że wszystko się zmieni.*

Ta myśl towarzyszyła mu, gdy zasypiał, a potem odbiła się echem w snach.

Spał tak lekko, że Klinga nie potrzebowała nim potrząsać. Obudził go dźwięk wody kapiącej bezustannie z liści, trzask i syczenie ognia, głosy żab i owadów. To wszystko. Było tu prawie zupełnie cicho, a ta cisza deprymowała.

Lasy, które znał, ogarniała taka cisza, kiedy duży i groźny drapieżnik — na przykład gryf — pojawiał się na horyzoncie. Wątpił, aby mieszkańcy tego lasu poznali się tak dobrze na nich, aby uznać ich za niebezpiecznych. To oznaczało jedno; pojawiło się coś, co lokalne zwierzęta uznały za niebezpieczne.

Gdzieś tutaj.

— Masz coś? — szepnął. Lekko potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od lasu i zauważył, że przytłumiła ogień, aby jej nie raził.

Nadstawił uszu i wyteżył wzrok, przeszukując noc równie skrupulatnie jak ona, i niczego nie znalazł.

— Nie chodzi o to, że wszystko nagle ucichło; po zmroku prawie nic się nie odezwało — wyszeptwała. — Podejrzewam, że wypędziliśmy stąd wszystkie zwierzęta. . .

— Nawet te, które żyją na drzewach? Wątpię — odparł. — Dlaczego miałyby się nas bać?

Wzruszyła ramionami.

— Wiem tylko, że nic nie widziałam ani nie słyszałam, ale mam takie denerwujące wrażenie, że coś nas obserwuje. Gdzieś tam.

I cokolwiek to jest, nie podoba się tutejszym zwierzętom. Czuł to samo: jakby coś pełzało mu po karku; poza tym swędziły go szpony. W mroku nocy czaiły się nieprzyjazne oczy, a Klinga i Tad nie mieli nad nimi żadnej przewagi. To coś wiedziało, gdzie i kim są. A oni nie mieli pojęcia, czym ono było.

Ale jeśli nie zaatakowało, kiedy spał, prawdopodobnie nie zrobi tego, gdy Klinga się położy.

— Idź spać — powiedział. — Jeśli czai się tam coś, co nie jest wytworem naszej wyobraźni, nie sądzę, aby zdecydowało się na atak podczas mojej warty. Wyglądam lepiej niż ty i mam zamiar to wykorzystać.

Pod plecakami z ubraniami Klingi leżały jego szpony. Podniósł plecaki dzio-
bem i wyłowił rękawice. Jasna stal załśniła przerażająco w przyćmionym świetle, a on z nakładania ich uczynił wielki spektakl. Kiedy Klinga zapięła sprzączki, usiadł, ale znacznie czujniej niż poprzedniej nocy.

Jeśli nic tam nie ma, rano będę się czuł strasznie głupio, bo zrobiłem z siebie widowisko.

Lepiej czuć się głupio, niż dać się zaskoczyć napastnikowi. Nawet jeśli obserwoało ich zwierzę, odczyta właściwie mowę ciała Tada. Być może domyśli się ze lśniących szponów i wyprostowanej sylwetki, że zaatakowanie ich byłoby dużym błędem.

Klinga otuliła się kocami jak wczoraj, ale zauważył, że pod ręką położyła nóż, a pod poduszkę wsunęła sztylet.

Mam nadzieję, że zaśnie — wzdrygnął się. Z wyczerpanej nie będzie rano żadnego pożytku. Dałbym jej herbatkę nasenną, gdyby istniała najmniejsza szansa, że ją wypije.

Czekał całą noc, ale nic się nie wydarzyło. Krople wody nadal skapywały z drzew, owady i żaby śpiewały, ale nic innego nie poruszyło się ani nie odezwało. Wraz ze zbliżaniem się świtu zaczął się zastanawiać, czy naprawdę nie wystraszyli wszystkiego oprócz pluskiew i płazów.

Nieprawdopodobne, ale możliwe...

Kiedy w lesie zaczęło się rozjaśniać, Tada bolały wszystkie napięte mięśnie. Oczy swędziły i paliły ze zmęczenia i nie mógł się doczekać przebudzenia Klingi. Ale nie chciał sam jej budzić. Potrzebowała odpoczynku tak samo jak on.

W końcu gdy świt przekształcił się w dzień, zadrżała i natychmiast oprzytomniała.

— Nic — powiedział, odpowiadając na nie zadane pytanie. — Oprócz tego, że całą noc w pobliżu obozu nie odezwało się żadne stworzenie większe od słowika.

Poruszył się, zdejmując szpony z łap, sztywno wstając i wyłażąc w podnoszącą się mgłę. Chciał się rozejrzeć, zanim mgła zgęstnieje i uniemożliwi mu widzenie, otaczając wszystko bielą, jak noc otaczała czernią.

Szukał śladów stóp i łap, miejsc, gdzie spoczywające ciało przygniotło liście do ziemi.

Najbardziej dumny był właśnie ze swych zdolności w tej dziedzinie. Wsławił się jako niezrównany tropiciel. Klinga była dobra, ale on bił ją na głowę.

Dlaczego gryf spędzający życie wysoko nad ziemią miał wrodzony talent do tropienia, pozostawało tajemnicą. Jeśli Skan szczycił się podobną umiejętnością, nikt o tym nie wspominał. Tad wiedział tylko, że był najlepszy w grupie i imponował najlepszym zwiadowcom Kaled'a'in. A to dużo znaczyło, bo o Kaled'a'in mówiono, że potrafili wytropić wiatr.

Podejrzewał, że te umiejętności będą mu teraz bardzo potrzebne.

Obszedł palisadę i nic nie znalazł, nawet najmniejszego śladu, że ów stwór czający się w ciemnościach nie był tylko wytworem jego wyobraźni. Odszedł tak daleko, że nie mógł dostrzec swojego obozowiska. Zaczął się sam z siebie śmiać.

Powinienem się domyślić. Wyczerpanie, ból, za dużo lekarstw. Taka kombinacja sprawia, że jesteś przekonany, iż ktoś cię śledzi, kiedy siedzisz sam we własnym

gnieździe.

Rozważał powrót do obozowiska; mgła gęstniała coraz bardziej, więc i tak nie mógł wiele dostrzec. Obrócił się już na pięcie, planując, jak będzie się śmiał ze swoich obaw, gdy przypadkiem spojrzeł w bok, na miejsce, w którym zostawił wczoraj wywleczone z obozowiska resztki.

Zamarł, bo miejsce się zmieniło i nie wyglądało na to, że to jakiś padlinożerca tam buszował.

Każdy kawałek śmiecia był skrupulatnie oddzielony od reszty, zbadany i ułożony w kupki. Tutaj były ślady, których na próżno szukał, ślady stworzenia, kilku stworzeń, które leżały na liściach, i krążyły wokół każdej beużytecznej rzeczy.

Intuicja ich nie zawiodła. Nie było to zmęczenie, ból ani leki. Coś tu przyszło zeszłej nocy i zanim zaczęło obserwować obóz, przebywało tutaj. Brakowało większych przedmiotów, a na ziemi nie było śladów, dokąd je zaciągnięto. Oznaczało to, że nocni goście podnieśli te śmieci i ponieśli ze sobą, nie ciągnąc ich po ziemi.

Oprócz tego jednego miejsca nigdzie indziej nie znalazł żadnych śladów. Stworzenie lub stworzenia ruszyły z powrotem przez las, nie zostawiając najmniejszych znaków.

To nie mógł być zbieg okoliczności. To musiała być sprawka tego, co strąciło ich z nieba. Teraz tajemniczy wrogowie, czymkolwiek byli, spędzili noc na przyglądaniu się Tadowi, Klindze i wszystkiemu, do czego mogli się dostać. Mieli nad nimi przewagę, bo on i Klinga nic o nich nie wiedzieli, nawet tego, czy mieli cztery nogi, sześć, osiem, dwie i czy w ogóle mieli nogi. Wiedział tylko, że stworzenie — czy stworzenia — z którymi się mierzyli, były na tyle inteligentne, aby bardzo dokładnie zbadać śmieci, i na tyle przebiegłe, aby zrobić to, nie zdradzając się.

Obrócił się na pięcie i ruszył biegiem do obozu, nie zważając na ból. Sił dodał mu nie zwykły strach, tylko czyste przerażenie, bo dla gryfa nie ma na świecie nic gorszego od nieznanego przeciwnika.

Kiedy Tad mówił, Klinga drżała, choć słońce stało już na tyle wysoko, aby przepędzić mgłę i zastąpić chłodną wilgoć parnym upałem. Ból, zmęczenie, środki znieczulające — wszystko wystawiało jej odporność na ciężką próbę. Jej dłonie drżały, a poblądła twarz sugerowała, że nie trzęsła się z bólu, tylko z wysiłku. To wydarzenie mogło spowodować załamanie.

Tad próbował być absolutnie obiektywny; próbował tylko przedstawić, co widział, nie co czuł. Tam, oko w oko ze śladami przeciwników, miał złe przeczucia, choć nie mógł ich racjonalnie udowodnić. Ale Klinga najwyraźniej czuła to samo i zamiast się załamać, pod wpływem zdenerwowania wzięła się w garść. Nadal była blada, ale jej dłonie przestały drżeć, podobnie jak głos.

— Nie mamy już wyboru — rzekła matowo. — Musimy się stąd wynosić.

Nie możemy się tu bronić przed stworzeniami, które przychodzą i znikają bez śladu. Będziemy mieli szczęście, gdy okażą się przywiązane do swojego terytorium i jeśli się z niego wyniesiemy jak najdalej, będą usatysfakcjonowane.

I znów fauna tego miejsca tajemniczo zniknęła z ich sąsiedztwa; tylko kilka ptaków śpiewało i wołało wśród drzew. Czy wiedziały o czymś, czego oni nie znali?

— A jeśli szczęścia nie mamy, będziemy zmykać, nie mając schronienia — sprzeciwił się. Jego wzrok się wystrzył i poczuł, że zjeżyły mu się pióra na policzkach i szczęce. — Skoro przychodzą i odchodzą, kiedy chcą, nawet nie zauważymy, że nas śledzą! Nie chcę, żeby niewidzialny przeciwnik siedział mi na ogonie. Chcę widzieć, przeciw komu staję. — Bał się i nie wstydził się tego okazać. Myśl, że coś mogło ich śledzić albo wyprzedzić i zastawić pułapkę, a on dowiedziałby się o niej, gdy byłoby za późno... po prostu robiło mu się niedobrze.

Klinga milczała przez chwilę, gryząc dolną wargę. Wokół nich woda wolno kapała z liści, spadając w kałuże, a powietrze gęstniało od zapachów nieznanych kwiatów.

— Nie odlecieliśmy zbyt daleko, zanim nas strącono. Dwadzieścia, góra trzydzieści lig. Możemy zawrócić w kierunku poprzedniego obozowiska. Ono było przygotowane do obrony, pamiętasz to wzniesienie w pobliżu? I rzekę, która płynęła u jego stóp?

Tad nerwowo zagrzebał szpony w ściółce. W nozdrza uderzyły go nowe zapachy: ziemi, butwiejących liści, wilgoci i ostra woń grzybów.

— Masz rację.

Zastanawiał się nad jej propozycją, próbując wyobrazić sobie, ile czasu zajmie dwojgu rannych przejście dystansu, który przefrunęło dwoje zdrowych. *Nie chodzi o odległość, tylko o to, co będzie się działo po drodze.* — To może nam zająć nawet cztery dni — ostrzegł. — Nie mamy żadnego sposobu na określenie kierunku oprócz strzałki kompasu i będziemy się przedzierać przez kilometry tego. — Wskazał poszycie. — Będziemy nieśli plecaki, uważali na tyły i wypatrywali zasadzek, a oboje jesteśmy ranni. To wszystko spowoduje duże opóźnienie; szczerze mówiąc, powinniśmy założyć, że przez las będziemy się wlec, a nie gnać.

Jeśli mamy to zrobić, ja chcę się wlec. Chcę się przemykać od kryjówki do kryjówki; chcę iść tak, abyśmy nie zostawiali śladów ni zapachów. Chcę zastawiać pułapki.

— Ale gdy tam dotrzemy, będziemy na wzgórzu, Tad. To oznacza jaskinie i przynajmniej jeden wodospad; nawet jeśli najpierw nie znajdziemy rzeki, możemy iść wzgórzem, aż do niej dotrzemy. Przynajmniej będziemy mieli o co się oprzeć! — Wyglądała na niewiarygodnie spiętą i Tad jej nie winił. Z nich dwojga ona była bardziej podatna na zranienie i mniej zdolna do samoobrony, z nożem czy bez.

Nie żebyśmy się na tym znali. W takim terenie też mam problemy. Jeśli coś rzuci się na mnie od przodu, mogę to rozedrzeć, ale w bliskich starciach moje boki i tył mogą niezłe oberwać.

Gdyby opuścili ten obóz, ich zachowanie byłoby proste: spakować co się da, albo wyżyć z darów natury bez pomocy. Była szansa, że uda im się improwizować, albo...

Albo okaże się, że się nie uda. Jesteśmy ranni. Potrzebujemy wszystkiego, co może się przydać, czyli broni, narzędzi, jedzenia, ochrony.

— Jedyną korzyścią dla nas jest fakt, że te stworzenia, czymkolwiek są, nie znają nas i nie mogą przewidzieć naszych ruchów — nalegała. — Jeśli teraz wyruszymy, zgłupieją. Może zaczną sprawdzać, co zostawiliśmy. Nie zgubimy ich, dopóki nie stracą zainteresowania nami, ale możemy je zostawić tak daleko za sobą, aby doścignięcie nas zajęło im trochę czasu.

Gdyby tylko wiedzieli, przeciw jakim stworzeniom występują! Sam fakt, że spróbują cichutko prześlizgnąć się przez las, a nie uciekać w popłochu, może skonfundować przeciwników.

Albo zachęci ich do ataku. Mogą to odczytać jako przyznanie się do słabości. Nie mieli o tym zielonego pojęcia.

Przytaknął, zgrzytając lekko dziobem.

— A jeśli zostaniemy, mogą nas obserwować, kiedy chcą — przyznał. — Co czyni nas łatwym celem.

Iść czy zostać? Pozostać tutaj czy znaleźć miejsce łatwiejsze do obrony?

I tak byli celem. Pozostawała sprawa: ruchomym czy nieruchomym?

Aubri i ojciec zawsze zgadzali się w jednym: lepiej być celem ruchomym.

— Dobrze, zgadzam się. Spakujmy dwa plecaki i wynośmy się stąd. Możesz mnie objuczyć; nie będzie wielkiej różnicy, skoro i tak nie mogę latać.

Skinęła głową i bez słowa zaczęła grzebać w zapasach zgromadzonych w szałasie. Chwilę później wręczyła mu plecak. Przyłączył się do niej w przeszukiwaniu tego, co ocalili. Oczywistym było, co zostawiają: prawie wszystko. Musieli porzucić to, co nie było absolutnie niezbędne.

Rozrzucali wszystko, czego nie musieli już chronić. Jeśli ich wrogowie przybędą przeszukać obozowisko, bałagan pozwoli Klindze i Tadowi zyskać na czasie.

Ubrania i rzeczy osobiste dołączyły do śmieci; łatwiej było zdecydować, co zostawić, niż co zabrać. Góry śmieci rosły, a plecaki wcale się nie napełniały. Musieli zabrać apteczkę, broń, chociaż sakwa z pociskami do procy była ciężka. Jak na razie nie znaleźli niczego, co lepiej by się nadawało na pociski od ołowianych kulek. O tej porze roku nie spadały orzechy, podłoże nie obfitowało w kamienie i nie liczyli na to, że w sprzyjającym momencie natkną się na kamieniołom. Jedyną bronią miotającą, jakiej Klinga mogła użyć jednoręcz, była proca. Z pociskami.

Musieli zabrać jedzenie, narzędzia oraz dużo płótna i koców, aby było im ciepło w nocy. Koce były grube i ciężkie, ale gdyby przemokli, umarliby z wychłodzenia, nawet rozpalając ogień, aby się wysuszyć. A poza tym jeśli znów złapie ich długa i gwałtowna burza i nie będą mieli gdzie się schować, i tak nie rozpalą ognia. Płótno namiotowe i dwa koce okazały się niezbędne.

Zostawiali napastnikom wiele interesujących rzeczy i Tad miał nadzieję, że zajmie ich to na długi czas. *Gdybym tylko wiedział o nich coś, cokolwiek, mógłbym wymyślić sposób, aby byli jeszcze bardziej zajęci!*

Część ich szkolenia obejmowała proces selekcji i nauczyli się, co było naprawdę potrzebne do przeżycia. Szybko zapakowali dwie sakwy, jedną większą, drugą mniejszą. Klinga niosła dwa oszczepy, używając ich jako lasek; miała jednocześnie broń i podporę. Trzeba było nie lada pomysłowości, aby przyczepić jej plecak tak, by nie sprawiał jej bólu — nie było gorszego obrażenia od złamanego obojczyka, gdy przychodziło do noszenia plecaka. Większość wagi przypadała teraz na jej biodra, co zapewne wywoła siniaki i otarcia. I Klinga, i Tad musieli zaakceptować fakt, że w najbliższej przyszłości ból stanie się ich nieodłącznym kompanem i powinni znaleźć sposoby, aby go osłabić, skoro wyeliminowanie było niemożliwe. „Cierp teraz, lecz się później” było jedynym użytecznym poglądem filozoficznym.

Poranna mgła ledwie zaczęła się unosić, kiedy za pomocą kompasu ustalili kierunki i ruszyli na zachód. Klinga prowadziła na otwartej przestrzeni. Była niezbyt rozległa i oboje mieli wrażenie, że atak nadszedłby od tyłu. On był lepiej przygotowany, aby odeprzeć frontalny atak i na otwartej przestrzeni mógł się szybko odwrócić, by pomóc Klindze. W zaroślach on prowadził, a Klinga pilnowała jego ogona. Nadal wystawiali się na atak z boków, ale lepsze to niż odsłonięty tył. Zastanawiali się nad bombą-niespodzianką w obozie i zdecydowali, że jej nie podłożą. Chcieli, aby przeciwnicy zajęli się odpadkami, bo gdyby kilku zostało rannych lub zabitych, mogliby się wściec i ruszyć ich śladem, pragnąc zemsty. A poza tym odkrycie pułapki mogłoby oderwać ich od przeszukiwania obozowiska, co skróciłoby dystans, na który Klinga i Tad tak liczyli.

Kiedy wyruszyli, Tad odwrócił się i obrzucił obóz spojrzeniem, zastanawiając się, czy nie popełniają śmiertelnego błędu. Tyle zostawiali, tyle rzeczy mogli rozpaczliwie potrzebować przez następnych kilka dni! Ale ich żałosny szłaśik wyglądał teraz jeszcze gorzej i Tad wiedział, że nie wytrzymałby jednego porządnego uderzenia, o ataku z prawdziwego zdarzenia, przypuszczonego przez kilka stworzeń, nie wspominając. Tak naprawdę konstrukcja z płótna i gałęzi mogła stać się pułapką. Niewiele było trzeba, aby wywlec podtrzymujące gałęzie. . .

Dreszcz mu przeszedł po krzyżu, gdy o tym pomyślał, bo zbyt łatwo przyszło mu wyobrażenie sobie, że coś zwała się na ich dach, więząc ich w środku, niezdolnych do obrony. . .

Odwrócił się, drżąc, i ruszył za Klingą, wybierając drogę w spletanym gąsz-

czu leśnego poszycia.

W koronach drzew nadal utrzymywała się mgła, na tyle wysoko, aby nie mogli precyzyjnie określić położenia słońca. Za jakiś czas zniknie ona zupełnie i będą mogli skonfrontować swój kierunek ze słońcem — chociaż jak na razie im się to nie udało.

Będziemy dokładnie wiedzieć, gdzie jesteśmy, jeśli znajdziemy dziurę wystarczająco dużą, aby ujrzeć słońce. I to też tylko w momencie, gdy słońce będzie dostatecznie wysoko, aby świecić przez tę dziurę, o ile ją w końcu znajdziemy.

Życie w tym lesie przypominało życie w olbrzymiej, parnej jaskini. Jak cokolwiek, co tu mieszkało, wiedziało, gdzie jest? Tad czuł się zdezorientowany, nie mogąc ujrzeć nieba, i cierpiał na lekką klaustrofobię; zastanawiał się, czy Klinga podzielała jego uczucia.

Wydawała się zdeterminowana i skoncentrowana na przedzieraniu się przez las, przemykając się przez poszycie tak, aby niczego nie poruszyć. Ściółka z liści na ziemi nie sprzyjała zostawianiu śladów i jeśli ich wrogowie nie wyruszą za nimi przed popołudniowym deszczem, zapach też się rozmyje. Jeśli nawet odczuwała ataki klaustrofobii, to nie przeszkadzały jej one w działaniu.

Ale on kręcił głową na wszystkie strony za każdym razem, gdy zatrzymywali się, aby wybrać kierunek. Te częste postoje, podczas których wybierała drogę do następnej kryjówki, sprawiały, że czuł, jak las się nad nim zamyka. Jego nerwy płonęły z napięcia; nie rozumiał, dlaczego ona tego nie czuła.

Może nie czuje; może jej to nie przeszkadza. Może ona nie potrzebuje nieba i wiatru. Zawsze wiedział, że ludzie nie byli podobni do gryfów i ta myśl sprawiła, że poczuł się na chwilę bardzo wyobcowany.

Ale przecież w Białym Gryfie mieszkała w istnym kretowisku, więc może krajobraz jej się podobał, zamiast przytłaczać. Och, jakże tęsknił za przestrzenią, aby rozłożyć skrzydła, nawet jeśli ta tęsknota przypominała mu, że przez jakiś czas nie będzie mógł ich rozłożyć!

Kiedy Klinga ruszyła pomiędzy dwa krzaki, które ledwie go przepuściły, uświadomił sobie kolejną dziwną rzecz. Nie było tu żadnych ścieżek!

Ta myśl rozproszyła go tak, jak brak nieba nad głową. Wiedział, że żyły tutaj jakieś duże zwierzęta, dlaczego więc nie zostawiały regularnych śladów? Powinny tu być ścieżki jeleni, prowadzące do wodopoju. Jelenie nie zbierały deszczówki w kubki; musiały mieć wodopój. Nigdy w życiu nie napotkał stada jeleni, które nie wydeptałyby ścieżek na swoim terenie, choćby dlatego, że było ich dużo i szły w tym samym kierunku.

Czyżby żyło tu coś tak niebezpiecznego, że zostawianie regularnego szlaku równało się samobójstwu, a poruszanie się w stadach było co najmniej lekkomyślnością?

Czy to samo coś strąciło ich z nieba i buszowało wśród ich zrujnowanych rzeczy!

Ta myśl jest zbyt logiczna i wcale mnie nie pociesza. Wiem, że są tu koty duże jak lwy i niedźwiedzie, bo powiedzieli nam o tym Haighlei, ale nigdy nie widziałem, aby jelenie czy dzikie świny bity się przechodzić przez terytorium lwa czy niedźwiedzia. Jeśli jest tu coś, co przeraża zwierzęta, które regularnie spotykają się z lwami...

Odpowiedź brzmiała: owo zagadkowe stworzenie było tak agresywne, tak krwiożercze, że parzystokopytne nie były bezpieczne nawet w stadach. Takie stworzenie mordowało wszystko w zasięgu pazurów, głodne czy nie. Przełknął ślinę, bo nagle zaschło mu w gardle.

Ale może znów przesadzał. Nie podobało mu się to miejsce, a jego wyobraźnia podsuwała mu coraz dziwniejsze obrazy. *Może znaleźliśmy się w niewłaściwej części lasu. Może nie ma tu nic jadalnego, co przyciągnęłoby jelenie i inne zwierzęta. Na pewno nic nie wygląda na wystarczająco smaczne dla roślinożercy; wszystkie krzaki są strasznie gęste, a trawy tu jak na lekarstwo. Może dlatego nie ma tu żadnych ścieżek; jelenie nie chcą tracić czasu.*

I może to było powodem nienaturalnej ciszy wkoło.

Może istniało lepsze wytłumaczenie owej ciszy — ich obecność była wręcz oczywista dla nasłuchujących zwierząt. I chociaż bardzo starali się zachować ciszę, wydawali z siebie dźwięki, które były niezwykle głośne. Próbowali być cicho, ale kiedy przemieszczali się z jednej kryjówki do drugiej, potracali rośliny i krzaki, a żaden z tych dźwięków nie był naturalny.

A wszystko, co żyje na górze, ma na nas świetny widok. Wątpię, żeby Klinga wyglądała na nieszkodliwą, a ja wiem, że nie wyglądam. Przypominam bardzo dużego, choć dziwnie uformowanego orła.

Mieszkańcy drzew mogli nie uważać Klingi za drapieżcę, ale Tad na pewno zaliczał się do tej kategorii. Były tu orły, wiedział, bo widział je podczas lotu, polujące nad i w koronach drzew. Wszystko, co przypominało orła, przyprawiało istoty nadrzewne o dreszcze.

A jednak... nie było tak głębokiej i pełnej napięcia ciszy, zanim nie odkryli, że są obserwowani. Jeśli o to chodzi, zwierzęta nadrzewne nie były tak ciche w żadnym innym miejscu, gdzie biwakowali przed katastrofą.

Taka cisza zapada, kiedy poluje puszczyk, a ty zamierasz i milkniesz, dopóki on nie zabije, w nadziei, że cokolwiek upoluje, tym razem cię ominie.

Nie słyszał nawet, aby inne zwierzęta polowały... *Ale gdy poluje większy drapieżnik, mniejsze siedzą cicho. Czy to my jesteśmy większymi drapieżnikami, czy coś innego?*

Może powinien zacząć już myśleć, jak opóźnić pościg.

Jeśli cokolwiek-to-jest ruszyło za nami, nie zrobiłoby większej różnicy, gdybym podłożył bomby niespodzianki, prawda? Jak bardzo pogorszyłbym sytuację, gdybym zranił ścigających?

Odpowiedź mogła brzmieć: bardzo. Dlaczego rozdrażniać coś, co mogło ich śledzić tylko z ciekawości?

Żadnych bomb niespodzianek, przynajmniej na razie. Może byłoby dobrze zmylić tropy. Najlepiej zmylić zapachy, ponieważ miały one najważniejsze znaczenie dla naziemnych drapieżników w takim otoczeniu. Niewiele można było dostrzec, ale zapach utrzymywał się aż do następnego deszczu. A po deszczu trop nie będzie już tak wyraźny.

Zaczął rozglądać się za pnączami o purpurowych i czerwonych liściach; miały ostry, pieprzowy zapach. Zauważył, że były dość pospolite i gdy w końcu je znalazł, syknął do Klingi, by się zatrzymała.

Kiedy ruszyli, mieli gęsty sok z tych liści wtarty w stopy i dłonie i musieli pamiętać, aby nie trzeć oczu, dopóki go nie zmyją, bo piekł jak prawdziwy pieprz. Były też inne rośliny, mniej rozpowszechnione, o równie ostrych zapachach i zamierzał je zbierać. Za każdym razem, kiedy zapach osłabnie, będzie go zmieniał. Jeśli to, co ich ściagało, polegało na swoim węchu, miał dla niego niespodziankę. Może jedna z tych roślin będzie w stanie znieczulić wrażliwy nos.

Miał nadzieję, że ten plan się powiedzie, ponieważ na pewno wyruszyli zbyt późno, a im dłużej szli, tym bardziej zwalniali. Jego sakwa była niezgrabna, ciężka i bolało go skrzydło i wszystkie sińce; nie był stworzony do chodzenia, a plecak tylko pogarszał sprawę. Na szczęście dla niego Klinga nie czuła się lepiej, więc wiedział, że nie on odpowiada za zwalnianie marszu.

Im dłużej szli, tym było gorzej. Mgła w końcu zniknęła, temperatura się podniosła i nie dość, że wszystko go bolało, na dodatek się przegrzewał. Koszula Klingi przykleiła się do jej pleców, ciemna od potu. On się nie pocił, więc dyszał. Ani pocenie, ani dyszenie nie przynosiło ulgi w wilgotnym powietrzu; było tu niemal tak parno, jak w łaźni Kaled'a'in. Najłżejszy powiew nie mącił ciężkiego powietrza. Gdyby to od niego zależało, ogłosiłby postój i padł tam, gdzie stał.

Jak przewidywał, drogę, którą przebyli, można było policzyć nie w kilometrach, a w metrach, a otoczenie niezbyt się zmieniło. Miał pewność, że nie kręcili się w kółko tylko dlatego, że Klinga sprawdzała kompas za każdym razem, gdy stawali. Zatrzymali się na krótki odpoczynek i posiłek. Słońce przebiło się w kilku miejscach przez korony drzew, ale niewiele to pomogło w ustaleniu położenia. Nie widzieli go na tyle dobrze, aby określić azymut.

Światło słoneczne okazało się kolejnym zagrożeniem. Promienie padające przez ciemnozielone liście były urzekające, bardzo malownicze, ale ich również musieli za wszelką cenę unikać. Gdyby znaleźli się choć na chwilę w tak jasnym świetle, oczywistym byłoby, że nie pochodzili z tego lasu.

Nadal nie było śladu cieków wodnych, co oznaczało, że drzewa, by rosnąć, czerpały wodę z deszczów, nie z rzek czy strumieni. Nic specjalnie zaskakującego, biorąc pod uwagę codzienne burze.

Ale potoczek czy strumyk skierowałyby ich ku rzece i pomógł zgubić trop.

Gdyby byli w stanie brodzić jakiś czas w strumieniu, stworzenie kierujące się ich zapachem straciłoby ślad. Dlatego tak tęsknił za jakimś strumieniem.

A poza tym bieżąca woda na pewno o chłodziłaby mnie lepiej niż moja własna. Ciepły płyn w manierce niespecjalnie go orzeźwiał, choć popijał go co jakiś czas. I smakowałaby lepiej. O wiele lepiej.

Ale nie było widać żadnego strumyczka; promienie słoneczne w końcu zbladły, światło zaczęło mrocznieć, a odległy pomruk zapowiadał zbliżanie się popołudniowej burzy. Niezależnie od braku widocznych postępów był niemal wdzięczny, słysząc go. Musieli stanąć i zbudować schronienie na noc, ponieważ niedługo zaczęły padać, a wtedy nie będą mogli niczego zbudować.

Klinga stanęła, podniosła rękę i poczekała na niego.

— Musimy stanąć i rozbić namiot — powiedziała, a w jej głosie brzmiało zmęczenie. Natychmiast zrobiło mu się jej żal; wyglądała na bardziej utrudzoną i obolałą od niego.

Wskazała przed siebie, na jedno niewielu wyróżniających się miejsc, jakie tu widział. W poszyciu była dziura, przez którą widać było grube, szare brzuchy chmur; kilka lat temu upadł tu jeden z leśnych gigantów. Podeszli do miejsca, w którym stała wydrążona resztką olbrzymiego pnia, na w pół pokryta pnączami; to, co zostało z pnia, leżało obok, porośnięte roślinami.

— Pień jest na tyle duży, abyśmy się oboje zmieścili. Użyjemy go jako podstawy szałas; ze wszystkiego, co dziś widziałam, ten najbardziej nadaje się na schronienie.

I nie chodzi jej o schronienie przed deszczem. Przytaknął. Już się nie skradając, przedarli się do olbrzymiego pnia. Był wyższy od Klingi i jak rzekła, wystarczająco duży, aby oboje zmieścili się w pustym wnętrzu. Nie mieli miejsca na ognisko, ale na tak małej przestrzeni ogrzeją się nawzajem ciepłem ciał.

Nie jestem pewien, czy chciałbym, aby ogień nas dziś zdradzał.

Jednak potrzebowali ognia, inaczej byliby zmuszeni dzielić szałas z wyjątkowo dużą liczbą wielonogich gości. Próchniejące drzewo oznaczało owady, a niektóre z nich mogły być szkodliwe albo jadowite.

Nie mieli wiele czasu przed burzą; prawdopodobnie nie wystarczy go, jeśli Klinga będzie rozniecać ogień, używając hubki i krzesiwa. Ale on był magiem, a zaklęcie ognia należało do najłatwiejszych.

Czy warto? Atak mogła spowodować sama obecność magii... Jeśli nie, ona nie rozpali ognia przed deszczem. A zaklęcie ognia jest tak małe, tak ograniczone w zasięgu i czasie... lepiej zaryzykuję.

— Odsuń się — rozkazał; gdy tylko to zrobiła, zamknął oczy, skoncentrował się — i rozpalił ogień w samym środku wydrążonego pnia. Na dnie leżało wystarczająco dużo zeschniętych liści i próchna, aby rozpalić małe i bardzo dymiące ognisko. Dym natychmiast wygonił wszystko, co mogło skakać i fruwać; Klinga w tym czasie zrobiła dwie pochodnie, które zapalili i zaczęli okadzać pień. Dym

uniósł się wokół gęstą mgłą; kilka razy kaszłał i odsuwał się, aby złapać oddech. Na wpół przegniłe drewno nie dawało wonnego dymu, dzięki któremu siedzenie przy ognisku było tak przyjemne. Szkoda, że nie natknęli się na to miejsce wcześniej; niektóre żyjątka mogły być bardzo smaczne, szczególnie upieczone. Teraz ich jedynym zmartwieniem było wykurzenie wszystkich mieszkańców pnia przed deszczem.

Znów zakaszłał, kiedy dym stał się silnie śmierdzący. *Chyba puściliśmy z dymem gniazdo jakiejś paskudy. Fuj. Albo podpaliliśmy obrzydliwe grzybki.* Miał nadzieję, że nie wydzielają to toksycznych oparów. *Chyba za późno, aby się o to martwić.*

Nie wygrali wyścigu z deszczem. Właśnie zadaszali pień i przywiązywali płótno, gdy zaczęła się ulewa, przemaczając ich do suchej nitki.

Klinga poddała się nieuniknionemu i stała na deszczu, dopóki nie wyprał jej i jej ubrania, a Tad pozwolił zmyć z siebie sadzę i brud, a potem otrzepał się pod pobliskim drzewem. Szkoda, że ubranie Klingi nie prało się tak łatwo i że nie mogła się otrząsnąć. Skoczył do pnia i wlaźł do niego, przepychając się między zapasami. Klinga wyciągnęła już koce, suchary i suszone mięso. Ułożył plecaki tak, aby mogła na nich spać i rzucił koc na szczyt. Musiał wystawić suszone mięso na deszcz i moczyć je tak długo, aż był w stanie je zjeść. W tym czasie Klinga opróżniła i napełniła ich bukłaki i dołączyła do niego.

Ciepło ich ciał rzeczywiście przyczyniło się do ogrzania wnętrza; okrywając się kocami, nie czuli się aż tak źle, a ubranie Klingi zaczęło schnąć. Po jakimś czasie ostry zapach dymu przestał im przeszkadzać, choć nie wykurzył wszystkich robaków. Od czasu do czasu czuł, że coś mu wpełza pod pióra, a Klinga uderzała się po nogach. Deszcz znów padał do późnego wieczora, a gdy się skończył, pod drzewami znów zapadła niepokojąca cisza.

— Do diabła — szepnęła Klinga. — Miałam nadzieję, że...

— Że ich zgubiliśmy? — Tad był bardzo zadowolony z grubego drewna za plecami i gęstego cienia spowijającego ich szłaś. Nawet sowa by ich tu nie wypatrzyła. — Może to nie przez nich jest tak cicho. Może to przez dym; wiesz, jak dzikie zwierzęta boją się ognia.

— A ja jestem cesarzową Haighlei. Nie, są tam. Jestem pewna, że nas śledzili. — Wpatrywała się uporczywie w mrok, jakby zmuszając oczy do lepszej pracy.

— Nie dopadną nas tutaj — powiedział, szczerze o tym przekonany. — Jest wystarczająco bezpiecznie, abyś zasnęła, jeśli chcesz objąć drugą wartę.

— Nie możesz spać? — spytała. Zaprzeczył.

Naprawdę nie był w stanie zasnąć; był bardzo zmęczony, ale nie śpiący. Jego mięśnie skręcały się i pulsowały ze zmęczenia. Jego nerwy były tak napięte jak kusze Kaled'a'in, a najśłabszy dźwięk sprawiał, że wpatrywał się w ciemność równie uporczywie jak ona. Minie trochę czasu, zanim odpręży się na tyle, aby zasnąć.

— Myślę, że moje nerwy są napięte do granic wytrzymałości — odparła, kończąc zdanie ziewnięciem. — Wierz mi lub nie, ale mam to w nosie. Jestem tak zmęczona, że marzę tylko o zażyciu leku i padnięciu, kiedy zacznie działać. Szczerze mówiąc, mogą mnie zabić, pod warunkiem, że zrobią to we śnie; nie mam siły, żeby się tym przejmować.

— Wiem, jak się czujesz. — Niezdarnie poklepał jej nogę.- Śpij. Będę czuwał tak długo, jak potrafię.

W jej głosie brzmiała rezygnacja; nie podzielał tego uczucia, ale musiał rozważyć coś innego. *Nie wiem, czy coś by się zmieniło, gdybyśmy dziś oboje zasnęli. Jak na razie nie mamy żadnych dowodów poza tym, że coś prawdopodobnie niebezpiecznego prawdopodobnie nas śledzi. Właściwie nic nie zrobili. Nawet zakładając, że chcą nas zaatakować, byli tak ostrożni, że nie sądzę, aby byli gotowi spróbować nas wykurzyć z takiego miejsca.*

— Sądzę, że jesteśmy tak bezpieczni, jak to tylko możliwe w tej sytuacji. Śpij, póki możesz.

Nie potrzebowała zaproszenia. W jednej chwili opróżniła fiolkę z lekiem i zwinęła się w kłębek u jego boku, opierając na plecach, aby osłonić ramię. Jeśli kark jej nie zdrętwieje od spania w takiej pozycji ani mięśnie nie zeszywnieją z zimna, powinno jej być dziś wygodniej niż od czasu wypadku.

Gapił się w ciemność, aż zaczęły go piec oczy i gdy już zamierzał ją obudzić, aby objęła wartość, las się przebudził. Nie było okrzyków strachu — ku jego olbrzymiej uldze odezwały się normalne nocne głosy, takie same, jak słyszeli podczas poprzednich nocy.

Długie „uuu” nad nimi obudziło Klingę. Ocknęła się, drżąc i jęcząc z bólu.

— Co się dzieje? — zapytała, a potem rozluźniła się, rozpoznając odgłosy wokół szałas.

Nagły wybuch normalnych nocnych dźwięków był kroplą, która przepełniła czarę. Poczuł się strasznie zmęczony. Oczy same mu się zamykały, niezależnie od jego woli. Kiedy patrzył w ciemność, głowa leciała mu w dół.

— Zmienisz mnie? — szepnęła i poczuł, że przytaknęła. Nie potrzebował więcej; chwilę później nie obudziły go nawet wrzask makaara.

Drugi raz tego ranka Klinga nakazała Tadowi stanąć. Posłusznie zamarł i jak na zwierza swej wielkości zadziwiająco dobrze wtopił się w otaczający go las. Utkwił oczy w Klindze, nie w lesie, ponieważ posłużyła się gestem oznaczającym „czekaj”, a nie „niebezpieczeństwo”.

Rzeczywiście, nie było niebezpieczeństwa, tylko okazja. Zauważyła kolejnego długorękiego mieszkańca drzew, spuszczonego się ostrożnie po pniu w poszukiwaniu czegoś, co upadło. Musiał być młody; starsze nigdy nie były na tyle nierozważne, by schodzić do niebezpiecznej strefy tylko po to, aby odnaleźć coś,

co zgubiły. Jeśli jej się uda, ten nie przeżyje lekcji, dlatego tak się nie postępuje.

Chociaż polowanie opóźniało ich wędrówkę, było to konieczne opóźnienie.

Jej łup zlął z pnia i dał dwa uważne kroki po ziemi, sięgając po kolorową rzecz, którą zgubił. Miał cztery długie łapy, spiczasty ryjek i wielkie oczy po obu stronach głowy. Gdyby pozostał wśród liści, nie byłaby w stanie go dostrzec, bo brązowe futro zlewało się doskonale z barwą kory. Nie mogłaby go też dosięgnąć swą podręczną bronią, bo tylko bardzo duży łuk mógł postać w korony drzew strzałę, która zabijała.

Obróciła dwa razy procą i zwolniła pocisk.

Zwierzę ledwo miało czas, aby zobaczyć ruch i obrócić głowę. Potem ołowiany pocisk uderzył je z boku w czaszkę i padło na ziemię martwe.

Uśmiechając się radośnie, podbiegła do niego, aby poderżnąć mu gardło; świeże mięso było zbyt cenną zdobyczą, aby ryzykować, że tylko ogłuszyła zwierzaka. Kiedy skończyła, wstała i skinęła, aby Tad podszedł.

Wyprostowała się i podeszła sprawdzić, co upuścił jej łup. Kolorowy przedmiot, który rzucił fatalny urok na tego zwierzaczka, okazał się nie do zidentyfikowania. Przypominał czerwono-niebieski pęcherz. Mógł być kwiatem, strąkiem, owocem, nawet kokonem czy kawałkiem jakiegoś innego nieszczęsnego zwierzaka. Zignorowała go; był prawdopodobnie jadalny, ale teraz nie czas ani miejsce na eksperymenty.

W tym czasie Tad szybko uporał się z jej łupem. Nie był specjalnie duży, więc gryf poćwiartował go i zjadł niemal wszystko. To już drugie takie polowanie dzisiejszego ranka i świeże mięso niezmiernie go radowało. Pierwszą ofiarą padł gryzoń, podobny trochę do szczura i królika; większy od szczura, ale za mały na królika. Ten tutaj był prawie tak duży jak królik, ale długie kończyny sprawiały, że wydawał się większy. Jeśli nadal będzie miała tyle szczęścia, zdoła go wykarmić świeżym mięsem, choć w niewielkich porcjach. To zaoszczędzi jej jednego kłopotu: jak uchronić Tada przed głodem. Gryfy miały naprawdę olbrzymie żołądki.

Mogę prawdopodobnie upolować w ciągu dnia tyle ptaków i małych zwierząt, aby utrzymać Tada w formie — uznała, podnosząc pocisk i chowając go do sakwy, zanim sprawdziła kompas. Tad gwoli ostrożności zabrał łup pod krzak i tam go zjadł. Przytuliła się do pnia i wyznaczyła rejon, w który się skierują. W ten sposób określała kierunek, po znakach w zasięgu wzroku; sprawdzając kompas, wybierając jakąś część poszycia na zachodzie i ruszając ku niej. W ten sposób, miała nadzieję, unikali wytopienia przez wroga, ale też nie płoszyli zwierzyny.

Po dwóch takich przejściach dojrzała kolejnego szczuro-królika, węszącego wśród liści w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Kazała Tadowi stanąć i ustrzeliła go. To dawało trzy łupy na trzy znaki, czyli zwierzątko na znak i zaczynała czuć się bardzo dumna z siebie. To całkiem niezłe jak na kogoś z unieruchomionym ramieniem, prymitywną bronią i na nieznanym terenie. *Jeśli dobrze pamiętam gryfie racje żywnościowe, tyle mięsa powinno mu wystarczyć. Jasne, to jak karmić*

jastrzębia okruchami, ale żebracy nie są wybredni. Nawet jeśli nie jest syty, nie jest też głodny.

Wydawał się nieco oburzony, że musi co kawałek jeść jakiś drobiazg, ale nic nie mówił. Przyzwyczyił się do jednego lekkiego i jednego solidnego posiłku oraz drzemki po kolacji. Pewnie zastanawiał się, dlaczego zatrzymują się tak często tylko po to, by coś zjadł.

Ale gdyby zbierała łupy, aż starczyłoby na jeden duży posiłek, niepotrzebnie by się obciążała. Niech mięso kruszeje w najbardziej wydatny sposób: w gryfim żołądku.

Jeśli jeszcze się nie domyślił, co robię, zrobi to niedługo — stwierdziła, ruszając.

Martwiła się o niego; niezależnie o tego, że to ona była ciężej ranna — a jej ramię nie pozwalało o tym zapomnieć, rwąc jak diabli przy każdym szybszym ruchu — w pewien sposób z nich dwojga on był słabszy.

Wiedziała aż za dobrze o jego słabościach. Uwięziony na ziemi miał tyle słabych punktów co ona. Jeśli nie znalazł czegoś, o co mógł się oprzeć plecami, łatwo go było zaatakować nie tylko z tyłu, ale i od spodu. Większość tego, co wiedział o walce, dotyczyła starca w powietrzu, nie na ziemi. Oczywiście zaatakowany mógł się bronić, bo na końcu każdej łapy miał zestaw wyjątkowo obrzydliwych „noży”, nie wspominając o broni w paszczy, ale stworzono go dla innego żywiołu. Zmuszony do walki na terenie i w warunkach, do których nie pasował, nie zdawał sobie sprawy ze swych słabych punktów.

Inną jego słabością była ilość jedzenia, którą pochłaniał, aby pozostać w formie. Jeśli mu tego nie zapewni, cóż, żywiąc się mięsem rozmoczonym w deszczówce szybko pożegna się z dobrą kondycją.

Spżywając takie posiłki, będziemy się musieli okopać na stałe, bo nie będziemy w stanie nawet podróżować.

Marsz był dla niego znacznie trudniejszy od lotu; nie został do tego stworzony. Wiedziała o tym, czywiście; jednak obserwowanie, jak przedziera się przez krzaki, sprawiło, że to zrozumiała.

Nie był niezdarny; poruszał się na ziemi z większym wdziękiem niż inne gryfy. Był równie dobry jak ludzie, ale męczył się łatwo, a od czasu do czasu skrzydła więzły mu w jakiejś przeszkodzie. Jakiś czas potrwa, zanim jego nogi się wzmocnią i przyzwyczają do marszu; na razie był jak upośledzony.

Miała nadzieję, że jeśli natknęliby się kiedyś na zwierzę tak wielkie jak jelen, Tad powali je z zaskoczenia, ale na razie to ona spisywała się lepiej w polowaniu naziemnym. Był od niej zależny w sprawie, o którą dotychczas sam się troszczył.

Całe szczęście, że należał do tropicieli równie dobrych jak ona. Dużo zrobił dla nich obojga, myląc ich zapach i trop, co mogło tylko pomóc.

Może dlatego udaje mi się polować; ten sok, którym nas wysmarował, ukrywa nasz zapach i myli zwierzęta. Zapach, szczególnie w takim upale, niósł się

daleko; ostrożne zwierzęta nie zeszyłyby spomiędzy gałęzi, gdyby do ich nozdry doleciała woń jakiegokolwiek większego drapieżnika, ale teraz wyczuwały tylko pogniecione liście.

I to mogło być doskonałym wytłumaczeniem, dlaczego tak długo otaczała ich cisza. Szczerze mówiąc, Tad był mokry i śmierdział jak, no cóż, mokry ptak drapieżny, mieszaniną mokrych piór i piżma właściwego gryfom. Od wypadku nie miał szans, aby porządnie wyschnąć, co jeszcze wzmagało jego zapach. *Możliwe, że gdy po raz pierwszy rozbiliśmy obóz, nie tylko nie był mokry, ale też nie byliśmy na ziemi tak długo, aby zapach się podniósł. Teraz jesteśmy.*

Ta myśl sprawiła, że Klinga poczuła się lepiej; a ostatnie wydarzenia zdawały się poświadczać ten tok rozumowania. Teraz Tad nie śmierdział jak drapieżnik, suchy czy mokry. Soczysta roślina, którą się natarli, wydzielala niezwykle, ostry, roślinny zapach. Zniszczyła jej ubranie, farbując na zielono, ale Klinga nie martwiła się zbytnio plamami.

A poza tym służą niezłe za tymczasowy kamuflaż.

Powinna zacząć rozglądać się za dobrym miejscem na nocleg. Szukając, starała się policzyć, ile czasu zajmie uznanie ich za zaginionych. Należałoby nadawać już jakieś sygnały, zakładając, że istniała szansa, iż z Białego Gryfa wyruszyły ekipy poszukiwawcze.

Powinniśmy stawić się na spotkanie dziś lub jutro, więc jutro lub pojutrze Srebrzyści, których zmieniamy, będą wiedzieć, że coś się stało. Mają teleson; zawiadomią Judeth, ale nawet najszybszemu zespołowi ratownicznemu dotarcie tutaj zajmie dwa lub trzy dni. Co nam to daje? Kolejne dwa albo trzy dni, zanim pomoc tutaj dotrze. Tydzień brzmi bardziej prawdopodobnie.

Nie było więc sensu szukać schronienia i miejsca, w którym mogliby nadawać sygnały dymne. Dziś i jutro wystarczy znaleźć samo schronienie.

Nic nie pojawiło się do kolejnego znaku, oprócz pierwszych sygnałów, że wśród drzew żyły też większe zwierzęta. Dotarła do miejsca, gdzie najwyraźniej świnia ryła u stóp drzewa, szukając rosnących pod ziemią grzybów; z żalem stwierdziła, że jej szlak wiódł na północ, nie na zachód. Mięso świni niezwykle ucieszyłoby ją i Tada.

Ale nie zamierzała ryzykować wypuszczenia się w odwrotnym kierunku tylko dlatego, że mogli upolować to zwierzę.

Upał był nie do zniesienia; kiedy nadejdzie deszcz, zamierzała wymoczyć siebie i ubranie. Jeśli tego nie zrobi, jutro rano spodnie i tunika będą sztywne od brudu i potu. Była wdzięczna Tadowi za pomysł z rośliną również z innych powodów: gdyby nie ostry zapach soku, śmierdziałaby na kilometr.

Z drugiej strony, gdyby smród stał się nie do zniesienia, może nasi prześladowcy poczuliby się urażeni i dali nam spokój. Ha!

Pot spływał jej nieustannie po karku, a głowa nieznośnie swędziła. Nie tylko głowa, stopy, pachy, nogi... niezliczona ilość maleńkich leśnych owadów uznała

ją za smakowity posiłek i teraz cała pokryta była czerwonymi bąbelkami. Zapomniała, że ich namiot nie tylko sam się składał i rozkładał, ale też rzucono na niego zaklęcia chroniące przed owadami. Bez tego zabezpieczenia była jedynym źródłem pożywienia dla krwiopijców w promieniu wielu mil, a wyjątek stanowiły te, które bzycały wokół uszu i oczu biednego Tada. Maść na siniaki łagodziła swędzenie na tyle, że mogła spać, ale dużo by dała, aby odkryć roślinę, która uczyniłaby ją niejadalną dla robactwa. Za każdym razem, gdy stawała, wsuwała rękę w ubranie, aby się podrapać.

Przypominała sobie, aby masować, nie drapać. Gdyby otarła skórę, wystawiałaby się na infekcję, a gdyby krwawiła, dodałaby do zapachów jeszcze jeden, szczególnie nęcący, którego nie zagłuszyłby sok z roślin.

Coś koło jej ucha zabzyczało, wylądowało i ugryzło. Trzasnęła ręką i zaklęła, gdy Tad przysunął się do niej.

Możliwe, że śledzące potwory okażą się zbędne, żeżrą nas robale.

— Mrówki — wyszeptał jej Tad do ucha.

— Czy właśnie to mnie ugryzło? — zapytała, nie odwracając głowy.

— Nie, to miało skrzydła i długą trąbkę. Przypomniałem sobie o położeniu się na mrowisku, jeśli uda nam się znaleźć małe brązowe mrówki. To będzie denerwujące, ale oskubią mnie ze wszystkich pasażerów, których na sobie noszę. Płyn, jaki wydzielają rozgniewane mrówki, odpędza pchły i inne drobne paskudy.

Poczuła zazdrość; gdyby ona mogła znaleźć równie łatwy sposób! Jednak leżenie na mrowisku nie skończyłoby się dobrze, bo większość tego, co ją gryzło, miało skrzydła, a jednocześnie ugryzienia mrówek i ukucia insektów, które teraz cierpiała, byłyby nie do zniesienia.

Nie mogła się doczekać popołudniowego deszczu; pot tylko potęgował swędzenie, a stanie w leżącej się z nieba zimnej wodzie dawało jej kilka chwil ulgi od dokuczliwego pieczenia.

Czas iść. Jeżeli dziś znajdziemy strumień, będę w nim spała! Ale biorąc pod uwagę nasze obecne szczęście, gdybyśmy znaleźli strumień, byłby pełen pijawek!

Nieważne. Musieli tylko się ruszać i radzić sobie z tym, co przyniesie los. Pomoc nadejdzie najwyżej za tydzień.

Musieli tylko przetrwać ten tydzień.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O, do diabła. Jedną ręką nie jest łatwo. Lekko balansując z powodu uszkodzonego ramienia, Klinga rzuciła ostatnią naręcz gałęzi na płótno szałas w chwili, gdy w oddali zahuczał pierwszy grzmot.

Do licha! Boli!

Klinga mimo woli zgięła się w pół. Ból klatki piersiowej był nie do wytrzymania. Znów rozległ się grzmot, tym razem bliżej. Skończyła na czas i była przekonana, że niezbyt wcześnie; oczekiwała deszczu. Gdy się wyprostowała, nie miała wątpliwości, że była również gotowa na spoczynek.

Szałas był jednocześnie lepszy i gorszy od poprzedniego; zbudowali go również w upadłym drzewie, ale to drzewo runęło niedawno. Poszarpane drewno pnia odcinało się jasno od zieleni, dlatego je zauważyła. I chociaż pień jeszcze nie spróchniał od wewnątrz, padające drzewo pociągnęło za sobą sąsiednie i pomiędzy dwoma leżącymi kolosami utworzyła się trójkątna przestrzeń z drewnianymi „ścianami” wysokości człowieka. Rozciągnięte nad nimi płótno stanowiło dach; gałęzie rzucone na niego maskowały szałas. Barykada z krzaków zagradzała wejście i mogli pozwolić sobie dziś na luksus rozniecenia małego ogniska. Gałązki leżące na spadłych liściach tworzyły miękką jak materac, uginającą się podłogę, najwygodniejszą ze wszystkiego, na czym spali od wypadku.

Gdyby tylko znalazła w apteczce coś, co złagodzi te cholerne ukąszenia!

Zagrzmiało, tym razem nad jej głową. Zbierając gałęzie, wystraszyła wiele małych zwierząt: myszy, jaszczurek, węży i żab. Złapała i zabiła tyle, ile mogła, więc dziś i Tad, i ona będą mieli dodatkową kolację. Jako pojedyncze okazy zwierzątka nie były szczególnie okazałe, ale nazbierała ich pełną torbę, wystarczająco, aby uzupełnić dietę Tada. Ona prawdopodobnie wybierze i sprawi ze dwa węże, aby dodać trochę smaku do sucharów, ale reszta znajdzie się w żołądku Tada.

Ona zadowolili się owadami, bo znalazła larwy korników, które znała, mrówcze jaja i świerszcze; mogła to wszystko przełknąć pod warunkiem, że będzie najpierw upieczone. Kiedy uczyli ją sztuki przetrwania, nigdy nie sądziła, że zastosuje wykłady w praktyce!

Tyle mojej zemsty: skoro robaki mnie jedzą, ja zjem robaki! Owady były zbyt małe, aby nasycić Tada, więc przypadły jej na kolację.

Tad był w szałasie, gdzie układał rzeczy, i dziękowała Gwiazdzistookiej, że jego magia wróciła na tyle, aby mógł rozniecać ogień. Z pomocą magii nawet najświeższe, najbardziej mokre drzewo mogło służyć jako opał. Bez niej nie mieliby żadnego ognia, a na myśl o jedzeniu robaków na surowo czuła mdłości.

Wolałabym głodować. Jeśli bardziej zgłodnieję, przemyślę to, ale nie teraz.

Ich szałas znalazł się na przecince, przez którą było widać niebo. Kiedy tu dotarli, było szare od ciężkich chmur i ciemniało coraz bardziej, gdyż nieunikniona popołudniowa burza zbierała siły. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy te burze zaczynały się coraz wcześniej?

Stała w miejscu, patrząc na chmury, a ciemna szarość była przerywana od czasu do czasu białymi kontrastami błyskawic, po których następował grzmot. Gdy niebo szarzało, światło ciemniało, kradnąc kolor liściom, łagodząc kontury cieni, malując przecinkę na granatowo. Białe światło zalało nagle całe miejsce, nie tylko chmury. Błyskawica rozpałała się na pochmurnym niebie, a grzmot zabrzmiał tuż nad głową. Klinga podskoczyła, wrzasnęła, uraziła się w ramię i zaczęła przeklinać.

Znieruchomiła, czekając, aż ból zelżeje. *Powinnam się już do tego przyzwyczaić.* Ale się nie przyzwyczaiła; za każdym razem, gdy ruszyła barkiem, ból przeżywał jej ramię i szyję. Nie polepszało się. Miała tylko nadzieję, że powodem jest jej niecierpliwość, a nie fakt, że ramię się nie zrastało.

Dwa oddechy po błyskawicy lunął deszcz, jak zwykle potokiem. Wyciągnęła zdrowe ramię i odchyliła głowę do tyłu, pozwalając, by słodka zimna woda zmyła z niej cały nagromadzony pot i brud; otworzyła usta i piła świeży, czysty płyn. Ugasił pragnienie i nie pachniał ciepłą skórą. Kiedy deszcz zmył z niej pot i ochłodził, ukąszenia owadów przestały swędzić.

Stojąc pomiędzy dwoma pniami, czuła się wystarczająco bezpieczna, aby rozkoszować się kąpielą; do pełnego szczęścia brakowało jej tylko mydła. Ale umyła się porządnie, używając wody, a po wyjściu z kąpieli zawsze łagodniała. Stała tak w ulewie, dopóki ciemnozielone plamy na tunice nie zbladły jak wszystkie inne, dopóki nie było jej równie zimno, co przed chwilą gorąco, dopóki nabrzmiące bąble po ugryzieniach nie wystąpiły na jej zimnych bladych ramionach i przestała się nimi martwić. W takim deszczu było coś radosnego i pierwotnego; ulewy w Białym Gryfie były zawsze zbyt zimne i groźne, by się nimi cieszyć; od dziecka była tym rozczarowana. Ale tutaj nie istniało niebezpieczeństwo, że uderzy w nią piorun, ponieważ wszystko wokół znacznie ją przewyższało, a stanie na deszczu tak gwałtownym, że dosłownie zapierał dech w piersiach, oszałamiało. Prawie zapominała w nim o bólu i o niebezpieczeństwie.

Czy tak się czuje Tad, gdy lata? Jeśli tak, zazdroszczę mu. Czy tak się czujesz, kiedy nie ma nikogo w pobliżu, nie siedzisz w jaskini, wiodą cię żywioły? Gdy jesteś sobą, żywym stworzeniem, a nie Potomstwem? Czy to jest chwila, dla której warto żyć?

Dopiero kiedy była tak zziębnięta, że zaczęła drzeć, schyliła głowę i zanurkowała pod dach z gałęzi.

Przepchnęła się przez krzak i niemal cofnęła z powrotem na deszcz, bo szalas był pełen gryzącego w oczy dymu.

— A to co? — spytała, kaszląc, i machając ręką, padła na ziemię, gdzie powietrze było nieco czystsze.

— Przepraszam — usprawiedliwił się Tad. — Usiłuję pozbyć się robaków i z szalasu, i ze mnie. Dym działa; wykończyłem niepożądanych lokatorów.

— Mnie prawie też — mruknęła, czołgając się ku niemu. Dla podkreślenia jej wypowiedzi rozległ się grzmot. — Podejrzewam, że warto, skoro twoje świece dymne mają nam zapewnić spoczynek. — Roześmiała się. — Ale gdybym wiedziała, jak odpowiesz na moje życzenie znalezienia czegoś na robaki, pomyślałabym dwa razy, zanim otworzyłam usta!

Uśmiechnął się do niej, szeroko otwierając dziób.

— Nie pamiętasz ulubionego przysłowia Żurawia: „Uważaj, o co prosisz, bo...”?

— Wiem, wiem — warknęła.

Tad podjadał od czasu do czasu i niemal opróżnił torbę, ale zachował dla niej dwa największe węże, choć wcale nie były takie duże, jak się spodziewała, nie dłuższe od jej ramienia. Jeden był brązowy, drugi zielony, a w przyziemnym świetle oba połyskiwały na pomarańczowo. Tad uważnie przesunął żar na jedną stronę, a potem dorzucił drewna do ogniska.

Z jego pomocą oskórowała węże i ułożyła je, wraz z larwami, jajami i świerszczami, na ostrzu saperki i położyła ją na żarzących się węglach. Nie wydzielały specjalnego aromatu, ale robaki upiekły się szybko, a Klinga była naprawdę głodna. Delikatnie zdjęła je z saperki i zjadła, próbując nie myśleć o tym, co robi. Nie były najgorsze; mogła sobie niemal wyobrazić, że zjadała pieczone ziarno, gdyby nie zwracała uwagi na kształty.

Węże były lepsze i pomogły przepchnąć suchary. Tad w tym czasie wystawił na zewnątrz suszone mięso, aby namokło; kiedy zmiękło na tyle, aby mógł je zjeść, połknął je bez specjalnej przyjemności.

— Kto obejmuje pierwszą wartę, ty czy ja? — zapytał. Postawiła rondel z wodą na ogniu, by przygotować masę na siniaki, a potem dodała do niej kilka znanych leśnych roślin łagodzących podrażnienia gardła. Jeśli przynosiły ulgę podrażnionym gardłom, mogły ułagodzić ból ukąszeń.

— Wolałabym czuć później — odparła. — Mam nadzieję, że to mazidło pozwoli mi zasnąć bez zdzierania z siebie skóry, ale z pewnością przestanie działać przed świtem. Skoro i tak ma mnie swędzić, wolę nie spać i się kontrolować.

Przytaknęła.

— Dym podziałał równie dobrze jak mrowisko i insekty przestaną nas niepokoić. Czuję się teraz dość ożywiony. Idź spać, dopóki możesz zasnąć.

Jej ubranie i włosy już wyschły, ale tylko gryfia odznaka była tak nieskalana, jak wtedy, gdy wyruszyli. Poplamione szorty i tunika były w kilku miejscach podarte, a obrąbki zaczynały się strzępić. *Wyglądam jak włóczęga — pomyślała żalostnie. Mam nadzieję, że Ikała nie przyłączył się do ekipy poszukiwawczej. . . Och, to śmieszne. Nie oczekiwałby przecież, abym wyglądała jak dama, a ja byłabym tak szczęśliwa, widząc ratowników, że myśl o ubraniu nawet by mi nie zaświtała w głowie!*

Tad pomógł jej owinąć bandażę nasączoną maścią wokół najgorszych skaleczeń i posmarować ugryzienia na tyle, na ile pozwalały mu duże szponiaste dłonie. Na początku myślała, że próby złagodzenia pieczenia znów poszły na marne, ale gdy mikstura wyschła, zauważyła, że swędzenie ustało, przynajmniej na chwilę. Troskliwa opieka gryfa przyniosła ulgę jej delikatnemu ciału.

Tad spojrział na nią, strosząc pióra potargane przez deszcz, z pytaniem w oczach.

Odetchnęła z ulgą.

— Działa — powiedziała. — Będę musiała zrobić zapas i nieść w bukłaku. Jeśli ciągle będę się smarować, stawanie w miejscu nie doprowadzi mnie do obłędu.

Tad zachichotał.

— To dobrze. Teraz tylko będziemy musieli znaleźć coś, co odstraszy owady bez doprowadzania nas do obłędu zapachem!

Klinga przestała przejmować się swędzeniem, obrzuciła Tada krytycznym spojrzeniem i bez ostrzeżenia pomacała jego mostek, wielką kość na piersi, którą gryfy odziedziczyły po ptakach; mostek pierwszy zdradzał chorobę, wystając coraz bardziej, gdy gryf lub ptak nie dojadają.

Był trochę ostrzejszy, a otaczające go mięśnie skurczyły się nieco. Ktoś mało uważny nie dojrzałby tego, ale Tad był jej partnerem i miała za zadanie dbać o niego ze wszystkich sił.

— Trochę schudłeś — rzekła z namysłem. — Nie za dużo, ale to wina albo ograniczenia jedzenia, albo tego, że się kurujesz. Albo jednego i drugiego.

— Albo tego, że rozwijam mięśnie nóg, a mięśnie skrzydeł zaczynają zanikać, bo ich nie używam — dodał. — W życiu tyle nie chodziłem. Jeszcze trochę i zacznę wyglądać jak koń pociągowy, a nie jastrząb.

Obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem, skrzyżowała nogi i oparła podbródek na zdrowej dłoni.

— Chciałabyś znaleźć rzekę — rzekła nerwowo. — Nieważne, co nas ściga, gdybyśmy mieli rzekę, moglibyśmy łowić ryby; dostałbyś porządne jedzenie. Nawet jeśli coś nas ściga i odstrasza zwierzynę, wątpię, aby ryby bały się naziemnego drapieżcy. — Rzeką zdawała się teraz ucieleśniać obietnicę wszystkiego: jedzenia, schronienia i ratunku. Być może zbyt wiele sobie obiecywała po strumyczku, ale miała przed sobą cel, na którym mogła się skoncentrować.

Westchnął ciężko i podrapał w ugryzione ucho.

— Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy w stosunku do rzeki i urwiska — wyznał. — A taki las jest mi zupełnie obcy. Gdyby to miejsce bardziej przypominało dom, znalazłbym rzekę, ale nie mogę dojrzeć nieba, aściółka ma tutaj dziesięć lub dwanaście warstw. . .

— Wiem i nie mam do ciebie pretensji — zapewniła go szybko. — Skąd możesz znać taki las? Nigdy tu nie trenowaliśmy. Myśleliśmy, że lecimy na założony posterunek, gdzie było schronienie, ogród, spizarnia i broń.

— Przede wszystkim spizarnia — powiedział Tad ochryple, jakby nagła myśl o jedzeniu wywołała tęsknotę za domem. Pomasował gardło i przełknął. Ostatnio nałykał się zbyt wiele powietrza i nie wychodziło mu to na zdrowie.

Zmarszczyła czoło, sfrustrowana.

— Jestem pewna, że wokół nas rośnie wiele jadalnych rzeczy, ale ich nie znam! Korzenie, pędy, liście, które ty też mógłbyś jeść! — Machnęła bezradnie ręką. — Nie możemy pozwolić sobie na luksus eksperymentowania, ponieważ nie możemy zachorować. Tylko tubylec wiedziałby, jak sobie poradzić w takim miejscu.

— Tubylec, na przykład Ikała? — zapytał Tad złośliwie i zaśmiał się, gdy Klinga spaşowiała. — Żałuję, że go tu nie ma.

— Ja też. . . — zaczęła, chcąc szybko zmienić temat.

— Pewnie z kilku powodów! — judził, nie dając jej sposobności zmiany tematu i przypominając dawnego Tada. — To nie twoja wina; przystojny z niego facet i dobrze się sprawiał na szkoleniu. Byłoby dobrze lepiej go poznać.

— Chyba tak — odparła zaniepokojona. Tad ponad wszystko uwielbiał mieszać się w życie uczuciowe innych. — Gdybyśmy mieli okazję porozmawiania z nim o takich lasach, pewnie radzilibyśmy sobie lepiej.

Zauważył, co próbowała zrobić.

— Ejże, Klinga! — przymilił się. — Nie rób ze mnie głupka! Jestem twoim partnerem czy nie? Czy partner nie powinien wiedzieć, kto ci się podoba? — Rzucił jej chytre spojrzenie z ukosa. — Wiem, że ty mu się podobasz. To oczywiste, jeśli się przyjrzyysz.

— A ty się przypatrywałeś, co? — warknęła, nie próbując zająć go czymś poważniejszym. Roześmiał się.

— Mam cię przecież pilnować, nie? Byłabyś szczęśliwsza, mając przyjaciela, z którym dzieliłabyś hm. . . przyjemne chwile, a ja wiem, że byłoby łatwiej z tobą pracować, gdybyś była szczęśliwsza. — Przekrzywił komicznie głowę.

— O, wielkie dzięki — rzekła sarkastycznie. — Teraz gadasz jak moi rodzice. Nie mogą się doczekać, kiedy się. . . zdecyduję.

Pójść z kimś do łóżka — pomyślała kwaśno. *Tad o tym wie. I nie powinien mówić tak jak oni! Wie, co o tym myślę!*

— Mają obsesję na tym punkcie, bo większość życia spędzili, korzystając z przyjemności zmysłowych. Uważają je za źródło wszelkiego szczęścia, nawet jeśli ktoś robi dziwne, niespotykane rzeczy! Nie zależy mi, żebyś się z kimś prześpała. Chcę tylko, żebyś była zadowolona z życia — tłumaczył Tad. — On jest obiecujący. Przystojny, inteligentny i na tyle otwarty, że nie nakaże ci żyć według zwyczajów Haighlei. Ma poczucie humoru, a to ważne. A ponieważ wychowano go na księcia, wie, że musisz skoncentrować się na obowiązkach, a nie poświęcać niewolniczo dla mężczyzny. Jak uważasz?

Klinga zmierzyła partnera ostrym, twardym spojrzeniem, nie potwierdzając i nie zaprzeczając.

— Swatasz mnie — oskarżyła go. — Nie próbuj zaprzeczać; już widziałam twoje swatanie, zachowujesz się jak doświadczona swatka! Chcesz, żeby wszyscy się z kimś związali i żyli może nie długo i szczęśliwie, ale na pewno przyjemnie!

-Oczywiście! — odparł. — A dlaczego nie?

Warknęła.

— Bo... bo to mieszanie się w cudze życie! Powtarzam, słyszę te nonsensy od moich rodziców i mam dość! Dlaczego muszę ich wysłuchiwać od ciebie?

Parsknął tylko.

— Jestem twoim partnerem, muszę wiedzieć o takich sprawach i muszę ci pomóc w osiągnięciu tego, czego pragniesz i potrzebujesz, nawet jeśli sama nie wiesz, czego chcesz! Ja opowiedziałbym tobie o tego typu problemach i oczekiwał pomocy. Oboje musimy wiedzieć, czy zdarzy się coś, co nas wytrąci z równowagi emocjonalnej, ponieważ wpłynie to na wykonywanie naszych zadań. Przyznaj, że mam rację!

Znów warknęła, ale po chwili bardzo opornie przyznała mu rację. Partnerstwo wśród Srebrzystych było tak bliskie jak małżeństwo, a partnerzy mieli sobie ufać i współpracować, na służbie i poza nią.

A to, co uważała za wścibstwo ze strony rodziców, uchodziło Tadowi. Być może dlatego, że był on gryfem, nie człowiekiem. I choć gryfy rozumowały jak ludzie, Tad nigdy w pełni nie zrozumiał Klingi, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

— Dalej, wyznaj partnerowi, co czujesz. — Położył głowę na szponach. — Co myślisz o Ikali?

Deszcz bębnił w dach ich szałasów i przeciekał między gałęziami. Błyskawice oświetlały konary, odbijały się biało w oczach Tada i srebrnej odznace na jej tunice. Jak zwykle, na zewnątrz słychać było tylko deszcz i grzmoty.

Wewnątrz dym wreszcie wywietrzył, a ogień płonął jasno. Była sucha, syta i rozgrzana. Ramię nie bolało za bardzo, siedziała w dobrze ukrytym szałasie pomiędzy dwiema bardzo solidnymi ścianami, na miękkich gałęziach chroniących przed wilgotnym podłożem. Mówiąc krótko, nic nie rozpraszało jej pogmatwanych myśli.

— Chyba sama dobrze nie wiem — wyznała powoli, gdy Tad wbijał w nią ciemne oczy z uporczywością drapieżcy. — Jest bardzo przystojny, bardzo czarujący, inteligentny... ale po prostu nie wiem. Czasami myślę, że lubię go za to, jaki jest, czasami sędzę, że pociąga mnie jego egzotyczność, czasami zaś, że jest jedyną osobą w Białym Gryfie, o której mój ojciec nie wie wszystkiego!

Tad zachichotał bezlitośnie.

— No właśnie. Zauważyłem, że Ikała nigdy nie zatrudniał kestra'chern. Dla Bursztynowego Żurawia musi on być większą zagadką niż dla ciebie.

— To już jakiś postęp — rzekła kwaśno. — Bardzo miło jest w końcu porozmawiać z kimś, kto nie zastanawia się cały czas, czy ojciec opowie mi rzeczy, które on wolałby przede mną ukryć.

— Tak, a jeszcze miłszym jest — skomentował Tad — rozmawiać z ojcem, nie zastanawiając się, czy opowie ci rzeczy, których wolałabyś nie wiedzieć. — Klinga potwierdziła, a Tad dorzucił złośliwie: — Nie chadzam do kestra'chern, więc rozmawiając ze mną o swoich uczuciach, jesteś podwójnie pewna, że nie dotrze to do twego ojca. Niech porzucę mój hedonizm, jeśli kłamię.

Klinga uśmiechnęła się wbrew sobie. Taka gryfia przysięga była zdecydowanie wiążąca.

— Kontroluje się — dodała. — Jest bardzo opanowaną osobą. Jak ja.

I prawdę mówiąc, podoba mi się to znacznie bardziej od niekontrolowanych wybuchów namiętności.

Tad kaszlnął.

— A jednak — nawiązał — niektórzy mogą uznać, iż oznacza to chłód uczuciowy.

Parsknęła.

— Wiesz lepiej, pracowałeś z nim. Traci cierpliwość równie często jak inni, tylko tego nie okazuje. A jeśli rozmawiamy o unikaniu kestra'chern... .

— No? — Oczy Tada zalśniły rozbawieniem. Znów się zaczerwieniła.

— To nie był... no cóż... czysty. Miał przyjaciółki podczas pobytu tutaj. Tylko nie kestra'chern. Nawet, jeśli to były czysto fizyczne znajomości.

I prawie zazdrośnie Karelee. Wolalabym, aby nie wychwalała pod niebiosa jego umiejętności łóżkowych.

— Tak? — rzucił Tad. — Nie był czysty? Proszę, tak cię interesuje, że się o tym dowiedziałaś!

Kaszlnęła i spróbowała mówić normalnie.

— Wiesz, trudno się nie dowiedzieć. Ludzie gadają. Nie musiałam się dowiadywać, cały czas o tym plotkują. Po prostu byłam w pobliżu i słyszałam. — Podniosła brew, szczęśliwa, że jej twarz pobladła nieco. — Sam masz taki język, że możesz go sobie na motek nawijać!

— Ja? Plotkuję? — zachichotał bezgłośnie i zmrużył oczy. — Ja wolę to nazywać „gromadzeniem wiadomości interpersonalnych” w celu „zarządzania źró-

dłami i nabywcami przyjemności”.

— A ja mówię na to plotki, w których bijesz na głowę staruszki! — odparła. — Jesteś w tym równie niepoprawny, jak w swataniu! Co zaś się tyczy Ikali: jest atrakcyjny, nie zaprzeczam, ale sędzę, że znacznie się przeceniasz, próbując nas związać w jakikolwiek sposób. Sama nawet nie wiem, co czuję, więc jak mogłabym osądzać jego uczucia? A poza tym mamy misję do spełnienia i kiedy się stąd wydostaniemy, czeka nas długa służba na odległym posterunku. O ile nie umrzemy ze wstydu, że trzeba nas było ratować.

Jeśli nas uratują, jeśli się stąd wydostaniemy... Nie wypowiedziana myśl schłodziła powietrze w namiocie i ogień nie mógł ich ogrzać. Wszystkie radosne pomysły zniknęły; próbowała zmienić temat, ale bez skutku. Spojrzała w zadumie przez krzaki. Na dworze ściemniało się i wyglądało na to, że raz jeszcze deszcz skończy się po zmroku.

Może to nie takie źle, jeśli nasi niewidzialni przyjaciele będą trzymać się z dala.

— Cóż — powiedziała z takim optymizmem, na jaki mogła się w tej sytuacji zdobyć, czyli ostrożnym. — Teraz mój mózg pracuje i nigdy w życiu nie zasnę. Leżałabym tylko, myśląc.

Ziewnął szeroko.

— A mnie jest ciepło i jestem śpiący. Zawsze mnie wykańcza słuchanie ludzi wyjaśniających, dlaczego nie będą szczęśliwi. Zmieniamy warty?

Nie czekał na jej odpowiedź, kładąc głowę na szponach. Wzruszyła ramionami.

— Czemu nie — odparła, przesuwając się w bok, aż mogła swobodnie wyglądać przez dziurę między dwiema gałęziami skrywającymi wejście do szałas. Zapamiętała pozycję wszystkiego w polu widzenia, dopóki światło było na tyle dobre, aby zidentyfikowała przedmioty mimo kurtyny deszczu. Błyskawice pomagały; jeśli skoncentrowała się na pojedynczym punkcie, mogła poczekać, aż kolejna błyskawica pozwoliła jej dojrzeć, co w nim było i przestudiować obraz utrwalony pod powiekami.

Tad był naprawdę zmęczony; w ciągu kilku chwil jego oddech, pogłębił się i zwolnił, a kiedy spojrzała przez ramię, ujrzała, że zamknął oczy. Wróciła na straż, starając się przypomnieć sobie, co robiła, budując szałas.

Próbowała nie brać zbyt wielu gałęzi z jednego miejsca. Układała te, którymi przykryła szałas, tak aby wyglądały jak korona, małego drzewka powalonego przez duże. *A wszystkie ślady naszego pobytu tutaj powinny spłynąć z deszczem. Żadnego zapachu ani śmieci...*

Dym — dym, którego Tad użył do odpędzenia insektów, był bardzo gęsty i smrodliwy i zastanawiała się, czy deszcz zmył jego ślady. A jeśli nie, jak często można było zobaczyć dym w lesie zlewany codziennie przez burze? Dość często, pomyślała. Na pewno błyskawice ciągle wznicały małe pożary, które trwały

wystarczająco długo, by zadymić las, zanim deszcz je zgasił.

No cóż, już nic nie mogła zrobić ani z dymem, ani z szałasem. Jeśli cokolwiek ich szukało, mogła tylko wierzyć, że zrobiła wszystko, aby ukryć swoją obecność. Zeszłej nocy tropiciele nie mogli ich łatwo znaleźć; miała nadzieję, że dziś okaże się to niemożliwe.

Deszcz zmienił się z ulewy w mżawkę, a potem ledwie kropił. A potem już nie było deszczu, tylko melodyjne spadanie kropli z koron drzew i nocne odgłosy.

Westchnęła z ulgą i sprawdziła ogień. Nie ma sensu, aby płonął zbyt mocno; wewnątrz szałasu panowała odpowiednia temperatura, a mając za ściany dwa pnie drzew, powinna się utrzymać bez specjalnej pomocy ze strony Klingi. Przebudowała ognisko, słuchając nawoływań i pohukiwań z góry, kładąc w ogień świeże drewno i odsuwając żar, aby ukryć poświatę. To powinno podsycić ogień tak, by płonął całą noc bez doglądania. Teraz drewno zapali się wolno, zmieniając się w czerwony bezdymny żar, bez płomienia. Tego właśnie chciała.

Kiedy w szałasie zgasło światło, a Tad stał się tylko wielkim ciemnym kształtem, zwróciła uwagę na to, co działo się wokół.

Nic się nie zmieniło; zwierzęta siedzące w koronach drzew nadal zajmowały się swoimi sprawami, wydając przy tym stosowne dźwięki, a świecące robaczki, które dostrzegła już wcześniej, zaczęły latać w poszyciu. Być może to, co ich śledziło, zdecydowało się dać im spokój.

Nie licz na to — ostrzegła samą siebie. Oczekuj najgorszego. Spodziewaj się, że ciągle...

Coś poruszyło się w ciemności.

Tylko kształt, zawirowanie cienia, ale wiedziała, że tam nie było cienia, szczególnie ruchomego. Ocknęła się natychmiast. Cokolwiek to było, było duże. Większe od oswojonego lwa, którego widziała w menażerii Shalamana. Znała odległość między krzakami z dokładnością do pół palca i wiedziała, jak wysokie było młode drzewko. Głowa cienia byłaby nieco wyżej od mojej, pomyślała, choć wydało jej się, że dostrzegła bardzo długą, smukłą szyję; pierś na moment zasłoniła krzak, a inny krzew nadal zasłaniał zad. Mogłoby to być zwierzę wielkości konia, może odrobinę mniejsze. Nie wiedziała, jakiej jest budowy, ale płynność ruchów i to, że stworzenie tak dobrze wtopiło się w cienie, sugerowało, że raczej delikatnej.

Jej pole widzenia było wąskie, ograniczone przez dwa pnie, ale po chwili, koncentrując się, wiedziała, że stworzeń na zewnątrz było więcej. Jeden cień ruszał się, gdy drugi zamierał; ruchy w dali sugerowały, że albo były niezwykle szybkie, albo stało tam trzecie stworzenie.

Na pewno co najmniej dwa. Ale chyba nie wiedzą, że tu jesteśmy.

Pierwszy cień zniknął nagle z pola widzenia; sekundę później noc rozdarł mrozący krew w żyłach okrzyk.

Serce podeszło Klindze do gardła i poczuła się, jakby wpadła do lodowatej wody. Tad tylko sapnął przez sen. Ze wszystkich sił starała się nie ruszać. Miała

wrażenie, że cienie posiadały niezwykle ostre zmysły i gdyby się poruszyła, nawet pod osłoną krzewów, dojrzałyby ruch lub go usłyszały.

Zapadła cisza i Klinga spróbowała uspokoić się trochę. Dobrze, że już wcześniej słyszała wrzask mordowanego królika, inaczej pomyślałaby, że to stworzenie właśnie uśmierciło dziecko.

Teraz, jakby mieszkańcy lasu dopiero dostrzegli obecność cieni, w koronach drzew zapadła cisza. Tylko owady i żaby niewzruszenie brzęczały i rechotały tak spokojnie jak przed chwilą.

Mrugnęła i w tej samej chwili cienie zniknęły, przynajmniej z jej pola widzenia.

Nie odetchnęła jednak z ulgą. Cisza dookoła podpowiadała jej, że one ciągle tam były, a ona nie miała zamiaru zdradzić swej pozycji.

Mogę tylko oczekiwać, że nie przyjdzie im do łba spacerować po belkach nad moją głową.

Dreszcz ją przeszedł na samą myśl. Włosy na karku zjeżyły się jej, gdy wyobraziła sobie jedno z tych stworzeń węszące wśród gałęzi tworzących dach. Między nią a tymi myśliwymi była tylko warstwa płótna i kupa liści. Gdyby jeden z nich podszedł bliżej, żadne gałęzie ani sok z liści nie ukryłyby ich zapachu. Na pewno sama woń ognia wskazałaby ich kryjówkę. . .

Ale zakładam, że stworzenie jest inteligentne i połączyłoby ogień z nami, że na nas poluje, a może po prostu wkroczyliśmy na jego teren? Nie widzieliśmy wielkich drapieżników ani nawet ich śladów; może to po prostu lokalna odmiana lwa?

A jednak. . . coś w sposobie jego poruszania się sugerowało inteligencję i działanie z rozmysłem. Może to jej wyobraźnia, ale równie dobrze mogła to być prawda. Ruszało się ostrożnie, ale gdy już się poruszyło, to szybko i pewnie. To wskazywało na coś, co albo posiadało niezwykle refleks, albo dokładnie wiedziało, co chce zrobić.

W żadnym wypadku nie należało podejmować ryzyka po tak groźnym ostrzeżeniu. Te zwierzęta na pewno były myśliwymi, drapieżnikami, a wszystko, co mieszkało w koronach drzew, znało te bestie i bało się ich.

Nawet jeśli są one tutejszym odpowiednikiem lwa, nadal są wielkie, mięsożerne i polują. Nie mam zamiaru wpisać się w ich kartę dań.

Zaświtała jej nowa myśl: a co, jeśli mieli do czynienia nie z jednym, a dwoma wrogami? Jednym, który strącił ich z nieba, i drugim, który ich ścigał? W takim wypadku możliwości były dwie: cienie to tylko dzikie stworzenia, nie mające nic wspólnego z ich upadkiem, albo sprzymierzeńcy tego, który ich strącił. W drugim wypadku mogły stanowić odpowiednik sfory psów, tropiącej ich dla jakiegoś nieznanego pana.

Nie było to coś nowego. *Niejeden Urtho tworzył żywe stworzenia. Ma'ar też to robił i inni, którzy nie uczestniczyli w wojnach. Zdolność tworzenia nowych gatunków była symbolem prestiżu albo symbolem posiadania zdolności przera-*

stających zwykłego adepta. Wśród wyższych magów było kilku, którzy tworzyli nowe zwierzęta stulecia przed wojną z Ma'arem.

To dawało kolejną możliwość: maga polującego na inne inteligentne istoty, który wybrał ich jako następny łup. Ścigający byli jego sforą. . .

Ma'ar był jednym z takich i słyszała opowieści o innych, pochodzących z jej ludu i Haighlei. To właśnie było powodem, dla którego Haighlei zastrzegli magię wyłącznie dla kapłanów; opowiadali sobie legendę o sadystycznym potężnym magu, który sprowadzał ludzi do swej posiadłości i polował na nich jak na sarny. Odważny młody kapłan przeczuwał, co się święci i pozwolił się porwać, stając się agentem wśród ścian chronionych zaklęciami, kanałem dla magii, która zniszczyła tyrana.

Tak przynajmniej głosiła legenda.

Znów poczuła dreszcze i ledwie się powstrzymała przed nerwowym przegarnięciem włosów. Jej wyobraźnia się rozszalała. Nigdy nie miała problemów z wymyśleniem kłopotów. *Przyjmijmy więc, że jeden z neutralnych magów przybył tu przed kataklizmem, by się ukryć. Nawet jeśli nie był równy Urtho, mógł posiadać zwierzęta łańcuchowe i ptaki, które ostrzegały go, gdy ktoś się zbliżał. Haighlei nigdy nie podróżowali przez terytoria obcych w grupach mniejszych niż dziesięcioosobowe, z kapłanem, ale on musiałby tylko siedzieć cicho, dopóki nie przeszli. Dopóki by na niego nie wpadli, nie znaleźliby go. A potem mógł sobie do woli polować na pojedyncze sztuki.*

Ta hipoteza miała jeden słaby punkt: nie zgłaszano, że ktoś tu kiedyś zaginął. Gdyby ktoś zaginął tutaj, prócz jakiegoś Haighlei tak antyspołecznego, że odciął się od rodziny i klanu i sam ruszył w dżungłę, na pewno byłoby zamieszanie. Drwale, odkrywcy, traperzy, myśliwi — oni wszyscy mówili przyjaciołom, sąsiadom i współpracownikom, dokąd się udają, jaką drogą i kiedy powinni wrócić. Szczególnie zaś, gdy zapuszczali się w nie zbadane strony; gdyby coś się stało, inni organizowaliby jak najszybciej ekspedycję ratunkową.

Pewnie było paru pustelników Haighlei, którzy poszli w dżungłę i zniknęli, ale nie tyłu, aby zapewnić maniakalnemu, polującemu na ludzi magowi regularną rozrywkę.

No dobra, w porządku, może przybył tu, by uciec przed konfliktami. Może chciał, żeby mu dano spokój i sprowadził nas na ziemię, abyśmy nie odkryli jego obecności?

Ta hipoteza miała tyle sensu, co pierwsza. Inni już tędy przechodzili; lecieli dokładnie tą samą trasą. Dlaczego oni nie zostali strąceni?

Bo byliśmy jedyną gryfio-ludzką parą?

A co z Aubrim i Judeth?

A niech to. Powinnam opowiadać baśnie.

Porzuciła ten pomysł. Stwarzał wiele komplikacji, a jak zwykle, im hipoteza bardziej skomplikowana, tym bardziej nieprawdopodobna.

Trzymaj się dwóch najlepszych hipotez. Proste odpowiedzi są najlepsze i najbardziej prawdopodobne. Pierwsza: natknęliśmy się na przypadkową... rzecz... która nas strąciła, i teraz musimy się wystrzegać tutejszych drapieżców, którzy nas ścigają, bo jesteśmy ranni i wyglądamy na łatwy łup. Druga: coś nas pozbawiło magii celowo, z jakiegoś powodu i teraz na nas poluje. A pierwsza jest bardziej prawdopodobna od drugiej.

Co nie znaczyło, że byli w mniejszym niebezpieczeństwie. Lwy i wilki znane były z tego, że ścigały ranną zdobycz całymi dniami, czekając, aż zdechnie. I jeśli nie myliła się co do wielkości stworzeń, odgadując ich wielkość na podstawie cieni, dorównywały Tadowi, co czyniło je niebywale groźnymi. Jeśli cienie wiedziały, że ona i Tad byli ranni, mogły ich uznać za „ranną zdobycz”.

Zawołał ptak; inny mu odpowiedział. Jakby ten ostrożny dźwięk miał za zadanie sprawdzić bezpieczeństwo czy powiedzieć innym zwierzętom, że zagrożenie na razie zniknęło, bo las znów ożył.

Westchnęła i rozluźniła się. Rzuciła śpiącemu towarzyszowi krzywe spojrzenie.

Przespał całe zamieszanie.

Tad ziewnął i przeciągnął się mrużąc oczy w przytłumionym świetle. Kiedy Klinga zbudziła go na wartę, wyglądała na zmęczoną, ale należało się tego spodziewać. Wyglądała też na zdenerwowaną, ale w takiej sytuacji kto by nie był zestresowany? On też się denerwował na wartach. Nerwowy strażnik to żywy strażnik; ci rozluźnieni mieli krótkie epitafia.

— Widziałam na zewnątrz coś, co pewnie sprawia, że tak często zapada tu cisza — rzuciła. — Były całkiem duże i myślę, że dwa, jeśli nie więcej. Widziałam jednak tylko cień. Jeden z nich złapał królika i wszystkie ptaki i ssaki na drzewach zamilkły na długo.

To tłumaczy nerwowość i fakt, że jest zmęczona. Nerwy człowieka zżerają, a ona nie czuła się najlepiej, zaczynając wartę.

— Aha. — Wyrzwał w ciemność, ale nic nie zobaczył, a kilka tutejszych stworzeń zachowywało się jak na festiwalu piosenki. — Jeśli cisza oznacza, że na zewnątrz jest coś, czego powinniśmy się obawiać, powiem: śpij w spokoju do świtu. Dziwne, że to przespałem. Pewnie byłem bardziej zmęczony, niż mi się zdawało albo lekarstwo jest silniejsze, niż przypuszczałem.

Zaśmiała się głucho.

— Powiem ci tyle: włosy stanęły mi dęba. To stworzenie jest szybkie, bardzo szybkie i nie słyszałam ani trzasku gałązek, ani szumu liści. Ten, którego widziałam, był wielkości konia, co czyniłoby go wyjątkowo groźnym drapieżcą. Może to moja wyobraźnia, ale zachowywał się raczej inteligentnie.

— Tak samo jak wielkie koty, gdy polują — przypomniał jej. — Wszystko

działa na swój sposób inteligentnie. Wypij lekarstwo i idź spać. Rano zobaczymy, co tam jest. Przed deszczem zastawiłem sidła. . .

Znów się zaśmiała.

— Nie licz, że cokolwiek zostało. Myślę, że wszystko zabrały. Pewnie to w sidłach cienie naszły królika.

Westchnął.

— Prawdopodobnie, ale warto było. Po tym, jak obrabowały sidła, poznamy ich inteligencję. Jeśli po prostu schwytały zwierzę i zeżarły, są inteligentne jak przeciętny lew.

— Racja. — Ułożyła się wygodnie z tyłu szałas; był pewien, że dopóki w koronach drzew rozlegał się wrzask, Klinga będzie spała. Materac z gałązek i liści, który zrobił, był bardzo wygodny. Mając podparte ramię i odciążony obojczyk, nie będzie odczuwała tak wielkiego bólu.

Nie chciał mówić o tym wcześniej, ale widział już znaki, że coś ich śledziło. Mogło to być cokolwiek, nie dostrzegł też u prześladowców szczególnej inteligencji, tylko czujność i niezwykłą ostrożność. Nie wiedział jednak, czy te stworzenia zaczęły ich śledzić dopiero dzisiaj, czy też podążały za nimi od początku, a dopiero teraz odważyły się wejść w ich pole widzenia. Na pewno pasowało to do opisu zwierzęcia, jakie dziś widziała Klinga.

Tyle wiedział na pewno. Oczywiście, niewiele miało to wspólnego z wytworami jego wyobraźni.

Jego wyobraźnia podpowiadała mu, że te nocne obserwacje dowodziły tego, czego się cały czas obawiał: że byli śledzeni w konkretnym celu. Pytanie brzmiało teraz: czy cel był prosty — zabić i zjeść — czy bardziej złożony. Jeśli prosty, stworzenia były zwykłymi drapieżnikami, z którymi można sobie poradzić. Jeśli jednak oczekiwały czegoś więcej — jeśli jego wyobraźnia się nie myliła i miały one coś wspólnego z ich wypadkiem — wtedy on i Klinga wpadli w tarapaty.

Tak niezwykła ostrożność połączona z ciekawością, jaką okazywały te „cienie”, nie przypominała zachowań znanych mu drapieżców. Zwykle wielkie drapieżniki trzymały się z dala od rzeczy nieznanych, od czasu do czasu tylko się przyglądając. W wypadku gdy nieznaną rzecz pozostawał na terytorium drapieżnika, ten powoli zbliżał się, aby go zbadać.

Drapieżcy są bardzo nerwowi i strachliwi. Mają wielu rywali i zazwyczaj zabijają wielkie zwierzęta tylko wtedy, gdy łup jest stary, chory, bardzo młody albo ranny. Unikają łupu, który może walczyć, bo drapieżca nie może sobie pozwolić na obrażenia. Sam dobrze wiem, że mięsożerność słono kosztuje. Jeśli obiad może ci uciec, na dogonienie go i zabicie stracisz wiele energii. Wegetarianom jest łatwiej. Ich obiad się nie rusza, a oni tylko podchodzą i otwierają mordy.

Drapieżcy, którzy ich śledzili, nie zachowywali się normalnie; gryf i człowiek byli obcy, mogli stanowić zagrożenie, więc nie było powodu, aby za nimi podążać. Szczerze mówiąc, wszystko przemawiało za unikaniem ich — chyba że on

i Klinga sprawiali wrażenie „starych, chorych, bardzo młodych lub rannych” albo stali się dla ścigających rozpoznawalni.

Albo terytorium tych stworzeń było tak wielkie, że on i Klinga nadal się na nim znajdowali, albo były one czymś niezwykłym.

A nie wierzył, że skoro jedno z nich zabiło i zjadło królika, nie zaatakuje Klingi lub jego. Wilki żywiły się myszami, ale nie wahały się zabić jelenia. Jeśli już o to chodzi, to sam dziś jadł myszy! Nie, łup drapieżnika dzisiejszej nocy niczego nie dowodził. Coś wielkości konia bez problemu uznałoby gryfa za porządny posiłek. Najlepsi drapieżcy często zabijali zwierzęta większe od nich samych; jedyny wyjątek stanowiły ptaki, które nie zabijały niczego, z czym nie mogłyby odlecieć, zazwyczaj ich łup ważył co najmniej o połowę mniej niż sam ptak. Jedynymi orłami porywającymi jagnięta były więź-ptaki Kaled'a'in, posiadające wymaganą siłę skrzydeł i masę mięśni; porywały te jagnięta na życzenie swych towarzyszy.

Chyba będziemy musieli zastawiać na noc pułapki wokół obozowiska — zdecydował niechętnie. Nawet jeśli te stwory uciekną, jest szansa, że zawahają się przed zaatakowaniem nas, jeśli przestraszymy albo zranimy jednego. Jeśli nie są więcej niż zwierzętami, zranienie jednego z nich sprawi, że odechce im się nas na obiadek.

Musieli jednak liczyć się z tym, że zranienie lub przestraszenie jednego z cieni mogło sprowokować atak.

Jeśli je rozwścieczymy, będziemy pewni, że są inteligentne na tyle, aby skojarzyć pułapkę poza obozem z ludźmi w obozie i że dlatego domagają się odwetu za obrażenia.

Czuł, że Klinga myliła się w jednym punkcie; był zupełnie pewien, że widziane przez nią zwierzęta doskonale zdawały sobie sprawę z obecności i położenia szalasu. Sądziły też pewnie, że nie zostaną dostrzeżone. Musiały mieć bardzo wrażliwe zmysły, aby polować w nocy, a ich węch najwyraźniej nie został oszukany przez woń soku roślinnego, którym się natarli. Musiały wyczuć dym. Niezależnie od tego, jak dobrze ukryty był ogień, na pewno można go było dostrzec w ciemnym lesie. Te stworzenia wiedziały dokładnie, gdzie znajdował się obóz; Tada podnosił na duchu jedynie fakt, że nie otoczyły ich i nie zaczęły atakować. Ani nie runęły na obóz zaskakując mieszkańców.

Nie czują się gotowe na konfrontację z nami. Mam nadzieję, że są jedynie ciekawskie.

Hałas był doskonałym sygnałem; wskazywał, że cienie polowały gdzie indziej.

A przynajmniej taką mam nadzieję. Mam nadzieję, że nadrzewni lepiej widzą te bestie niż my.

Takie sytuacje przyprawiały gryfa o ból głowy.

Poczekajmy do rana, a potem dopilnuję, żebyśmy byli ostrożniejsi. A poza tym wysiłę się i dam z siebie wszystko, bo na piechotę jestem wolniejszy. Może ich

zgubimy. Może znajdziemy rzekę i zatrzymamy zapach isład. A jeśli jutro znów nas będą śledzić, może uda się nam znaleźć sposób, aby je zniechęcić.

Może konie zaczną latać. Może natkną się na zagubione miasto pełne gryfic potrzebujących faceta, a może wszystko było tylko złym snem.

Tad obejrzał pozostałości swych sideł, wyrwanych z ziemi i poplątanych, jakby ktoś im się przyjrzał, a potem upuścił. Przypominały bardzo śmieci na przymusowym lądowisku, które tak starannie przeszukano.

— Jak cię ostrzegałam, tutaj nasi przyjaciele znaleźli królika — stwierdziła Klinga z rezygnacją. — Widzisz?

Zauważył już kilka kępek sierści i krew na liściach.

— Powiniennem się spodziewać, że nic nie pogardzi królikiem złapanym w sidła — westchnął. — Wygląda na to, że nie znalazły innych sideł ani żadnych królików. Ale jeżeli tak, to wszystkie króliki podzieliły ten sam los.

Cienie przynajmniej nie szukały innych sideł. Czy rzeczywiście? Obejrzały te, które zostały wyrwane; czy poszukały innych, znalazły je i zostawiły, kiedy już poznały sposób ich zastawienia?

Czy też zdecydowanie przeceniał ich inteligencję?

Z żalością popatrzył na kępkę futerka. *Nie dość, że za mną łażą, to jeszcze zżerają mi śniadanie.* Wspominał tęsknie smak królika i zrezygnowany zdecydował się na suszone mięso bez smaku, ale Klinga, która pierwsza ruszyła na inspekcję, miała dla niego niespodziankę.

— Może twoje sidła nie zadziałały, ale moja proca i owszem — rzekła z uśmiechem. Wyciągnęła sporego królika z torby na biodrze, a Tadowi na sam widok stworzenia pocięła ślinka.

— Dziękuję — powiedział, starając się ze wszystkich sił nie wyrwać jej łupu z ręki. Wziął go grzecznie, ale głód nie pozwolił mu na więcej. Na szczęście przyzwyczaiła się do widoku jedzącego gryfa, bo jego burczący żołądek uniemożliwił udanie się w ustronne miejsce na śniadanie. Pożarł królika w mgnieniu oka.

— A ty? — zapytał chwilę później, kiedy królik był jedynie wspomnieniem i przyjemnym wypełnieniem gryfiego żołądka.

Przynajmniej udało mi się zachować maniery i nie pytać, kiedy mi królicze łapy wystają z dzioba.

— A ja wezmę sobie trochę twojego suszonego mięsa — odparła. — Mogę jeść w marszu. Spakujmy się i wynośmy stąd; nie chcę tu zostawać ani chwili dłużej niż to konieczne.

— Zgadzam się — potwierdził. — Szczególnie po ostatniej nocy. Jeśli nam szczęście dopisze, znajdziemy rzekę dziś lub jutro.

Zwierzęta nadrzewne ucichły raz jeszcze podczas jego warty, ale niczego nie widział. To sprawiło, że poczuł się dziwnie: nastroszył pióra i zaczął się zasta-

nawiać, czy wielki cień zdecydował się odbyć spacer po pniu i zejść Tada od tyłu. Nie zorientowałby się, dopóki napastnik nie runąłby na niego, łamiąc gałęzie i drąc płótno. . .

Ale nie runął, a wrzaski bardzo szybko znów się podniosły i trwały do świtu. Klinga zrobiła kolejną porcję ziołowego mazidła i wlała ją do bukłaka, spryskawszy się najpierw szczodrze. Miał nadzieję, że lekarstwo podziała równie dobrze w upalny dzień, co w chłodną noc.

Starął się zgubić ślad, kiedy Klinga prowadziła. Tym razem poprowadził kilka fałszywych, ślepych tropów, jeden kierując nawet na drzewo. Zastanowił się; jeśli mieliby problem ze znalezieniem noclegu, może powinni wspiąć się na drzewo. . .

O nie. Klinga nie może się wspinać z unieruchomioną ręką. Tyle o dobrym pomysle. Prawdopodobnie mógłbym ją wciągnąć na sznurze, ale ryzyko zranienia jej byłoby zbyt wielkie.

Znów mieli szczęście. Późnym popołudniem natknęli się na kolejne dobre miejsce na biwak. Było to zwalone drzewo, które miało pod pniem wykopaną głęboką norę. Tego, kto ją wykopał, nie było w domu i najwyraźniej zmienił adres jakiś czas temu. Nora miała jednak mieszkańców, zbyt małych, aby mogli ją sami wykopać, i Tad z Klingą schwytali całą pięcioosobową rodzinę. Nie był pewien, co to za zwierzątka: wyglądały jak bobry bez ogona. Nie miał pojęcia, do jakiego gatunku należały, ale nie obchodziło go to. Miały zęby gryzoni i to mu wystarczało. Gryzonie były jadalne.

Był to uśmiech losu, bo Klinga nie miała szczęścia z procą; królik, którego upolowała mu na śniadanie, był jedyną zdobyczą tego dnia. Namierzyła kilka, ale chybiła. Była tak załamana, że musiał ją zapewnić, iż nic się nie stało.

Z jego pomocą roznieciła ogień przed norą. Kiedy budowała porządne ognisko, powiększył wykop. Jego szpony nie nadawały się do kopania, ale był zdecydowany, a ziemia miękka. Kiedy skończył, zrozumiał, że będzie im ciasno, ale sobie poradzą. Aby nie siedzieli na gołej ziemi, rzucił na dno gałęzie i ułożył wokół nory niewysoki wał, aby deszczówka nie spływała dośrodku. Zapalił pochodnię i okadził wnętrze w celu odpędzenia nieproszonych gości, a potem poszedł zerwać winorośl, aby zakryć wejście. Klinga upiekła swoją część łupu, zrobiła lekarstwo, a potem wygasila ogień i zakopała popiół, starając się zniszczyć ślady, które przetrwałyby ulewę. Podobnie jak w wydrążonym pniu, w norze nie było miejsca na ognisko. Dopóki nory nie zalało, nie potrzebowali ognia.

Dlaczego potrzeba i zachcianka tak się od siebie różnią?

Kiedy Klinga skończyła sprzątać, on już czekał na posiłek; wzięła winorośl, niezgrabnie splatając ją ręką i nogami w szorstką matę, którą mogli rzucić na norę. Na koniec zerwała liście z rośliny pieprzowej i wplotła je w matę, aby zabić zapach.

Kiedy tylko zacznie się deszcz, wczołgają się do nory i nakryją matą. Zostaną w niej do świtu. Według niego był to najśłabszy z dotychczasowych biwaków, ale

miał na to radę.

Chociaż Klinga nie mogła się wspinać, Tad mógł, a ponieważ ledwo mieścili się w norze bez plecaków, wpadł na pewien pomysł.

— Co masz zamiar z nimi zrobić? — spytała, kiedy tłumoki nabrały kształtu. — Nikt się na to nie nabierze.

— Nie, jeśli zostaną na ziemi, ale jeśli umieścimy je tam? — wskazał na korony drzew. — Zamierzam zabrać plecaki na gałąź i tam je przywiązać. Może nasi tropiciele zobaczą te kukły i stwierdzą, że nie warto się wysilać. O ile, oczywiście, nie potrafią się wspinać.

Ale nie wydaje mi się, że potrafią, chociaż zwierzęta nadrzewne się ich boją. Sądzę, że są zbyt duże; nadrzewny drapieżca musi być odpowiedniej wielkości, aby wspinać się i polować, a one są zdecydowanie za wielkie.

— Jeśli naprawdę chcesz, możesz spróbować. — Nie wyglądała na przekonaną, ale nie oponowała zbyt przeciw umieszczeniu bagaży gdzie indziej. Choć drzewo, które miał na oku, w porównaniu z innymi było karłowate, nie palił się do wspinaczki i trząsał się, nawet nie kłócąc z Klingą.

Wbijając cztery pary szponów bojowych w drewno i pełzając po pniu jak robak, powoli przesunął się do przodu. To rozruszało kolejne mięśnie i obudziło ból w złamanym skrzydle, i gdy dotarł do miejsca odpowiedniego, aby umieścić tam plecaki i kukły, cieszył się, że teraz będzie się zsuwał. Nie spieszyło mu się do poranka i zdejmowania plecaków!

Wziął ze sobą linę zamiast pakunków. Kiedy już usiadł bezpiecznie, spuścił ją, a Klinga przywiązała do niej plecak tak mocno, jak mogła jedną ręką. Kiedy go wciągnął i umocował, rzucił linę. Drugi plecak ruszył w górę, a za nim dwie kukły.

A teraz jeśli nastąpi katastrofa, Klinga ma linę, dzięki której może uciec. Jeśli będzie czas na ucieczkę, ja się tu wdrapię i ją podciągnę. Może.

Zabezpieczenie plecaków nie zajęło mu wiele czasu, ale gałąź nie była najlepsza, a w takim miejscu nie chciał spędzać nocy. Plecaki nie mokły w czasie burzy, ale kukły i owszem. Gdyby to oni tu tkwili, byłby to ich najbardziej mokry i niewygodny nocleg.

Zszedł cal po calu; nie wątpił, że Klinga miała cały czas interesujący widok. Puścił pień w chwili, gdy wiedział, że wylądował bezpiecznie.

— Zrobione! — powiedział żywiej i radośniej, niż zamierzał. — Mamy czas, żeby zastawić parę pułapek, zanim zaczną się deszcz!

Jęknęła, myśląc o tak ciężkiej pracy, ale przytaknęła. Oboje wiedzieli, że im więcej rozrywek zapewnią myśliwym, tym lepiej.

Im więcej wyzwania rzucimy ich inteligencji, tym więcej się o nich dowiemy.

Pozwolił jej jednak prowadzić, aby nie widziała, jak uważnie stąpił. Jego strach znów rósł.

Gdy deszcz zaczął padać, wszystkie ich pułapki były na miejscach, rozmieszczone wokół drzewa, a nie wykrotu, aby uwiarygodnić kukły na gałęziach. On i Klinga ruszyli do szałas, gdy spadły pierwsze krople, jednak dziewczyna, jak to miała w zwyczaju, została na zewnątrz tak długo, aż przemokła do suchej nitki.

Kiedy wczółgała się do szałas, była kompletnie mokra, ale ponieważ położył na ziemi gałęzie, woda przeciekała między nimi i wsiąkała w piasek. Nie było wiele miejsca, a gdy naciągnął matę z winorośli na wejście, przestrzeni zupełnie zabrakło. Wierząc się niemiłosiernie, zdołała namaścić ich oboje smarowidłem na siniaki i pluskwy. Gorzki zapach go mdlił, ale uznał, że przeżyje. Z pomocą niebios zbliżali się do rzeki i jutro będzie mógł to wszystko z siebie zmyć, a nie zeskrobać.

Specjalnie zrobili wejście tak małe, że Tad ledwo się wciskał do środka. Oznaczało to, że Klinga była jedyną osobą zdolną pełnić wartę, bo on kulił się z tyłu i ledwo co widział. Huknął grzmot i deszcz rozpadał się o kilka łokci od ich nosów. Spojrzeli na siebie w półmroku.

— Nie ma sensu stać na warcie — zaryzykował. — Znaczący jedno z nas powinno się postarać nie zasnąć na wypadek, gdyby coś usłyszało, ale naprawdę nie ma sensu wyglądać na zewnątrz. Przedobrzyliśmy z tą matą; nic nie widzę.

— A ja niewiele więcej — przyznała. — Jesteś śpiący? Masz lepsze uszy; jeśli weźmiesz drugą zmianę, ja obejmę pierwszą.

— Pewnie, że jestem śpiący, mam pełen żołądek — parsknął, nie zdradzając, że jeśli teraz nie zaśnie, zeszywniałe mięśnie uniemożliwią mu jakkolwiek odpoczynek. Oczekiwał, że obudzi się dokładnie wtedy, kiedy Klinga będzie śpiąca. Jego otarty grzbiet i bolące nogi na pewno nie pozwolą mu zasnąć.

Tak też się stało. Gdy się ocknął, Klindze kleiły się oczy od ciepła i miękkości owiniętego wokół niej gryfa. Zasnęła niemal natychmiast, a on starał się rozluźnić mięśnie, aby nie dostać skurczów. To już wystarczało, aby nie zasnął, a pozycja, którą przyjął, nie była zbyt wygodna dla złamanego skrzydła. Nie nadwerężyła go, ale było zgięte pod niewłaściwym kątem. Raz niemal jęknął z bólu, ale udało mu się tylko syknąć.

Był więc trzeźwy i świadomy, gdy w koronach drzew zaległa cisza, sygnalizująca przybycie cienistych łowców.

Ze wszystkich nocy ta najbardziej go zdenerwowała i przeraziła. Był niemal ślepy, a oboje kulili się w nie zabezpieczonej dziurze w ziemi. Gdyby coś ich znalazło i naprawdę zamierzało dopaść, wykopałoby ich z łatwością.

Wyężając słuch, nie usłyszał żadnego ruchu za matą winorośli. Miał nadzieję, że jeśli coś ich usłyszało, wzięło oddechy i poruszenia za dźwięki małych gryzoni niewartych uwagi i żałował, że nie było tu tylnego wejścia, którym mogli zwiać.

Szkoda, że o tym nie pomyślałem i go nie wykopałem. Lepiej byśmy na tym wyszli niż na zastawianiu pułapek.

Czas dłużył się nieznośnie i Tad stał się niezwykle wrażliwy na każdy dźwięk.

Gdy zamknęły się paści, zabrzmiało to jak grom.

I usłyszał niezwykle okrzyk bólu.

Nie był to jęk, a na pewno nie krzyk. Łączył w sobie wycie i syk, a Tad nigdy czegoś podobnego nie słyszał. Wystraszył się, bo nie mógł sobie wyobrazić, jakie stworzenie wydało z siebie taki dźwięk. Umilkł tak szybko, że Tad zaczął się zastanawiać, czy zabili to stworzenie.

Być może, ale nie na pewno, chyba że nasz przyjaciel miał kosmicznego pecha.

Potem usłyszał więcej: kolejny łomot, miażdżenie i rozrywanie, urwane szuranie, i znowu syk. A potem nic. Okrył się gęsią skórą.

Cisza. Tada zaczął boleć zaciśnięty z całych sił dziób i napięte mięśnie, a potem, kiedy się tego zupełnie nie spodziewał, odezwały się głosy wokół.

Czekał, drżąc z napięcia, aż przez korony drzew zaczęło się przesączać blade światło dnia. Gdy już nie mógł wytrzymać, szturchnął Klingę w kark.

Ocknęła się natychmiast, sięgając po nóż.

— Pułapka się zamknęła — szepnął. — Myślę, że coś mamy. Nie wiem, czy to jeden z nich i czy ciągle tam jest. Nawet jeśli jest, raczej już zdechł.

Przytaknęła i przechyliła głowę, słuchając odgłosów lasu.

— Teraz możemy już chyba bezpiecznie wyjść — rzekła. — Gotowy?

— Na ile to możliwe. — Omawiali to zeszłej nocy: Klinga miała wypaść na zewnątrz z nożem w ręce, na wypadek gdyby coś na nich czekało, a Tad miał podążyć za nią. Zeszłej nocy plan zdawał się absolutnie racjonalny i odpowiedni. Teraz, gryf kiedy był jednym wielkim skurczem mięśni, wątpił, czy uda mu się nawet wyczołgać.

Wydobyła nóż i obróciła się. Wrzeszcząc, odrzuciła matę i skoczyła — nie chcący kopiąc go prosto w żołądek.

Jego okrzyk bitewny został zdławiony w zarodku. Zamiast mrozącego krew w żyłach ryku zdołał wydobyć z siebie żałosny pisk, zadziwiająco podobny do beczenia. Ale udało mu się wyskoczyć za nią, jeśli nie pędem, to przynajmniej szybko.

Z ulgą zauważył, że nic na nich nie czekało.

— Przepraszam — mruknęła. — Stopa mi się obsunęła.

Co mógł rzec?

— Zdarza się — rzucił od niechcienia. Nie wyszło mu to najlepiej, ale był pewien, że nie obwiniała go za brak wykwintnych manier. — Chodźmy sprawdzić pułapkę.

Kiedy się do niej zbliżali, zrozumieli, że będzie pusta, bo okrywające ją liście leżały rozrzucone wokół. W pułapce było tylko trochę krwi na palach.

— Naznaczyliśmy go — stwierdziła Klinga, przykucając, aby lepiej się przyjrzeć. — Chyba nie zrobiliśmy mu wielkiej krzywdy. Szrama albo drobne cięcie. Może złamana kość. Trochę oberwał.

Wstała i spojrzała w stronę drzewa, na którym ukryli kukły.

— Sprawdźmy, jak na nie zareagowali.

Kiedy dotarli do pnia, zobaczyli w końcu, do czego są zdolni — ich prześladowcy i co mogli uczynić.

Natrętni. I... pewnie źli. Ale nie głupio natrętni.

Na pniu widniały głębokie zadrapania, dwa razy wyżej niż głowa Klingi. Kukły podziały i myśliwi nie mogli się oprzeć, chęci dopadnięcia czegoś na widoku.

Albo tak się wściekli, kiedy jeden z nich wpadł w pułapkę, że postanowili nas dopaść niezależnie od obiektywnych przeszkód.

Tyle wiedzieli; drapieżcy potrafili skakać, ale nie mogli się wspinać, co znaczyło, że nie należą do kotowatych. Ziemia u stóp pnia była zryta pazurami i albo prześladowcy drapali ją z wściekłości, albo skakali, chcąc ściągnąć łup z drzewa.

Sam pień niewiele ucierpiał; próbowali kilka razy, ale nie wysilali się na próżno, choć do utraty sił.

Znaczyło to, że byli na tyle inteligentni, aby zdać sobie sprawę z własnych ograniczeń.

Albo na tyle inteligentni, aby rozpoznać kukły. W tym przypadku mogli też dojść do wniosku, że przyjdziemy po bagaże niezależnie od tego, gdzie się schowaliśmy.

I jeśli to gniew był przyczyną ataku, nie trwał długo.

Klinga rozejrzała się, drząc, jakby jej myśli biegły tym samym torem.

— Ściągajmy plecaki i zmykajmy stąd — rzuciła. — Szybko. Wcześniej nie pokazywali się za dnia, ale to nie znaczy, że teraz też tak będzie. Mogliśmy ich zachęcić.

Wdrapał się na drzewo szybciej, niż było to możliwe kilka chwil temu i tym razem nie zwracał uwagi na obolałe mięśnie. Nie musiał martwić się linami, co znacznie uprościło sprawę. Rozwiązał plecaki i opuścił je na dół na linie, którą przywiązał je do pnia, zostawiając kukły wśród gałęzi. Jeśli myśliwi nabrali się na nie, mogli znów przypiąć się do pnia, dając jemu i Klindze czas na ucieczkę.

Zsunął się w dół dwa razy szybciej. Podskakiwał za każdym razem, kiedy słyszał coś niezwykłego. Im szybciej stąd umkną, tym lepiej. Zatrzymali się na chwilę, aby zwinąć linę i załadować na siebie plecaki, i ruszyli w drogę, nawet nie jedząc śniadania.

Nie był głodny i podejrzewał, że Klinga też nie. Żołądek miał ściśnięty z nerwów, a w głowie dzwoniły mu stare gryfie przysłowia o tym, że syty gryf to gryf, który nie może latać.

I tak nie mogę latać, ale lepiej walczyć i uciekać z pustym żołądkiem!

Był ledwie świt, a poranna mgła jeszcze się nie podniosła. Cały świat przypominał szaroniebieską akwarelę pełną kształtów i kolumn znikających w białych oparach. Tym lepiej, bo nie musieli chować się pod drzewami, mgła ukryje ich

przed prześladowcami. Mieli szczęście, bo pogoda im sprzyjała, a ponieważ i tak kierowali się kompasem, nie słońcem, mgła im nie przeszkadzała.

Sama mgła była dziwnie gorzka i nie przypominała oparów znad morza, do których Tad przywykł. Powietrze wydawało się cięższe i gęstsze, ale złożył to na karb wyobraźni. Mgła skraplała się na piórach i co rusz się otrzepywał, aby nie przemoknąć. Biedna Klinga tego nie potrafiła; jej włosy były mokre i pewnie trzęsłaby się z zimna, gdyby nie szli tak szybko.

Złapał się na rozmyślaniu, kim byli ich prześladowcy. *Te historie o Ma'arze i wszystkich bestiach, które stworzył — co to właściwie było? Ojciec mówił, że większość stworzeń była kopiami dzieł Urtho. . .*

Makaary były analogiami gryfów; czy istniały analogie hertasi i kyree? Tervardi i dyheli były tworamami ewolucji i Ma'ar pewnie nie zawracał sobie głowy poprawianiem ich, bo po co? Chociaż — dlaczego nie? Ma'ar nigdy nie powstrzymał się przed zrobieniem czegoś, co potwierdzało jego siłę.

Stworzył lodowe kaczory i bazyliszki, ale te nie naśladowały niczego wymyślonego przez Urtho, jak twierdził mój ojciec. Były też mniejsze zwierzaki, ale nie pamiętam, aby cokolwiek dorównywało wielkością myśliwym. Nielotne makaary? A po co, skoro na ziemi makaar byłby tak samo bezbronny jak ja? Te cienie nie są analogiami hertasi, bo poruszały się na czterech, nie dwóch łapach.

Czy jeszcze ktoś zaangażowany w Wojny Magów stworzył czworonożne drapieżniki wielkości konia?

Nikt nigdy nie gadał wiele na temat stworzeń magicznych. Może Śnieżna Gwiazda coś wie, ale raczej nie mogę go teraz zapytać.

Nadstawiał uszu i wbijał wzrok w plecy Klingi. We mgle przypominała ducha i musiał się jej trzymać. Jej bladobeżowe ubranie zlewało się z mgłą, ale jego pióra nie były gorsze. Chociaż raz łowcy mieliby kłopoty z dostrzeżeniem ich.

Cokolwiek nas ściga, jest sprytne, bardzo sprytne. Nie oszukały ich moje fałszywe ślady i albo odpuścili sobie kukły, albo wiedzieli, że są fałszywe. I jeśli na jakiś czas dali sobie spokój, to wcale nie znaczy, że nie domyśla się, co jest grane. Nie znaleźli nas, ale może nie chciało im się szukać? Albo musieli upolować coś na kolację i nie mieli czasu zastanawiać się, gdzie wleźliśmy. Zresztą po co? Wiedzieli, że rano wyleziemy i musieli tylko poczekać, aż ruszymy na szlak, aby złapać nasz trop. Może nawet liczyli, że zostaniemy na biwaku, skoro przetrwaliśmy tam noc.

Pragnął kamiennych ścian wokół; bezpiecznego miejsca, do którego drapieżniki się nie dokopią. Pragnął porządnego źródła jedzenia, którego te bestie nie dogonią. Kiedy już to znajdą, pomyśli, jak zawiadomić nadchodzącą pomoc.

A poza tym chciał ich zobaczyć. Chciał wiedzieć dokładnie, co ich ścigało. Pułapki mogły mu w tym pomóc, o ile ranne albo martwe zwierzę zostanie w pułapce. Tego nikt nie mógł zapewnić.

Uwolnili rannego z paści. To słyszałem w nocy: uwalniali go.

To oznaczało współpracę, czyli inteligencję. Wilki węszyły wokół schwytanego kamrata, czasami pomagały wygryźć się na wolność, ale nie potrafiły usunąć części paści, chyba że przez czysty przypadek po wielu próbach.

Słyszał je wczoraj. Nie trwało długo, zanim uwolniły kumpla. I zrobiły to bez pudła.

Sidla — nie odgryźli łapy czy głowy schwytanego królika, aby zjeść resztę. Rozluźnili pętlę. Potem zabili królika, wyjęli go z sideł, podnieśli je i obejrżeli.

Kolejny dowód na inteligencję i zdolność manipulowania przedmiotami. Nie potrafił powiedzieć, jak to może zaważyć na ich szansach przeżycia.

Miał wiele obaw. Zastanawiał się, czy Klinga je podzielała. Może powinien przestać ją chronić i zacząć rozmawiać. Może powinien był to zrobić kilka dni temu.

Klinga zatrzymała się pod osłoną gęstego bluszczu.

Czy to jest to, o czym myślę ?

Zmarszczyła czoło w napięciu i machnęła na Tada, aby pozostał na miejscu i nie hałasował. Coś brzmiało w oddali, przebijało się przez gwar zwierzaków w koronach drzew i nieustanny świergot ptaków wśród zielono owocującego drzewa... dźwięk...

Tad niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę.

— A może byśmy... — zaczął.

— Zamilknij na sekundę — przerwała i zamknęła oczy, żeby się lepiej skupić. Czy naprawdę o tym myślała? Oddzielała dźwięk od spadających liści, gałązek i nadjedzonych owoców.

— Myślę, że słyszę wodę — powiedziała w końcu. — Chodź! Przestała się kryć i ruszyła jak najszybciej przez poszycie, a Tad deptał jej po piętach. Jeśli rzeczywiście była to długo poszukiwana rzeka, ich bezpieczeństwo zależało od jak najszybszego do niej dotarcia, a nie od chowania się w krzakach. Nad nimi kilka zwierząt warknęło albo wrzasnęło na alarm, ale większość z nich uznała ją i Tada za nieszkodliwych.

Mają prawo, teraz biegniemy, nie skradamy się. Nie polujemy, więc im nie zagrażamy. Małpy nadal obzerały się owocami; to uspokajało, bo znaczyło, że byli jedynymi istotami zakłócającymi spokój. Gdyby coś ich śledziło, w momencie gdy porzucili swoją norę, musiałyby postąpić tak samo, aby dotrzymać im kroku. Wtedy zwierzęta z koron drzew rozdarłyby się na alarm albo umilkły, albo jedno i drugie.

Przez wielką wyrwę między drzewami wpadało światło słoneczne; przeświecało złotozielono przez liście i biało między pniami. Im bliżej byli, tym głośniejszy stawał się szum wody na kamieniach.

Przedarli się przez wspaniałą krzak na brzegu rzeki i stanęli na głazach. Klinga

chciała krzyknąć z radości, ale ograniczyła się do entuzjastycznego poklepania Tada po ramieniu.

Rzeka u ich stóp była szeroka, ale głęboka tylko w głównym nurcie. Poza tym nad nią leżał klif, którego szukali; u jego stóp widzieli szeroką błotnistą plażę.

Jaskinie, wodospady, nawet uskok, który możemy umocnić. Wszystko się nada!

— Przechodzimy — popędził ją Tad. — Jeśli nas ścigają, będziemy ich mogli widzieć, a woda nas rozdzieli.

Woda nas rozdzieli. Nie mogła sobie wyobrazić lepszej ochrony. Tad miał rację: skoro dzieliła ich tafla wody, na pewno zobaczą, jak tajemniczy łowcy nadchodzą. *Jak tylko przejdziemy, poszukamy jaskini.*

Po raz pierwszy od czterech dni znajdują suche i porządne miejsce, w którym poczekać na ratunek, miejsce, z którego nie będzie można ich, otoczonych kamiennymi ścianami, a nie płótnem, wykurzyć.

I zobaczą zwierzęta, które ich gonią — o ile odważyły się one dojść tak daleko. Może zrezygnowały? Nie liczyła na to. Ale na pewno większość drapieżników zrezygnowałaby z tak trudnego obiadu.

Uśmiechnęła się szeroko.

— Zmoczmy się — powiedziała. — I tak oboje potrzebujemy kąpieli!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Klinga wytrzeszczała oczy, próbując przebić wzrokiem kurtynę deszczu i przekonać się, czy zmierza ku jakiejś jaskini, a potem opuściła głowę i ostrożnie stawiała kroki wśród śliskich kamieni i błota. Na otwartej przestrzeni deszcz lał się strumieniami i stąpanie po kamieniach stawało się podwójnie niebezpieczne. Woda spadała ze szczytu klifu i toczyła się ku rzece. Tym razem nie rozbili obozu, gdy zaczęło padać, nawet nie szukali schronienia. Szli wzdłuż klifu; po pierwsze, jedyne schronienie przed deszczem leżało na drugim brzegu, a Klinga nie zamierzała tam wracać, a po drugie, każda chwila spędzona na chowaniu się przed deszczem była czasem, który mogli wykorzystać na szukanie prawdziwego schronienia, miejsca, z którego nikt ich siłą nie wyrzuci.

Biedny Tad był już przemoczony do suchej nitki i Klinga zaczęła się zastanawiać, skąd wziąć dla niego nowy bandaż. Opatrunek, który mu założyła, zaczynał się rozpadać i dopóki go nie wypiorą i nie wysuszą, na nic się nie zda. *Może poświęcę trochę ciuchów, jeśli nie starczy nam bandaży. Mogłabym skrócić nogawki spodni, bo i tak nie chronią przed owadami. To i kawałek sznurka powinny wystarczyć za temblak.*

Każę mu się wysuszyć, zanim zaśnie; mokry gryf plus sen równa się choroba.

Potrzeba nam jaskini albo przynajmniej uskoku. Ten deszcz będzie padał aż do zmroku, a wtedy nic nie zobaczymy.

Poziom wody w rzece nie podnosił się, co znaczyło, że poza powodzią rzeka nie występuje z brzegów. *Mam nadzieję, że nie zaczął się sezon powodzi!* Widziała, co powódź może zrobić, bo na brzegu leżało wiele wyrzuconego drewna i szlamu. Świetnie się nadawało na ognisko, gdyby tylko znaleźli miejsce, w którym mogą to ognisko zbudować!

Znając nasze szczęście, powinno się okazać, że więcej możliwości obrony mieliśmy w lesie niż tutaj. Jeśli przed zmrokiem nie znajdą jakiejś dziury, spędzą noc na kamienistym brzegu, owinięci w mokre koce i wstrząsani drgawkami, bo nie mogli rozpaść porządnego ognia!

Bogowie — czy los — okazali się łaskawi. Po kilku jardach potykania się w błocie, klif cofnął się w lewo, ukazując zakole rzeki. Z deszczu wyrastała biała huczająca ściana, jakby ktoś wydarł dziurę w chmurach i wylał całą wodę naraz. Po

chwili nerwowego mrugania i odgarniania z oczu przemoczonych włosów Klinga zrozumiała, że to nie ulewa, tylko wodospad, a w skale obok widniało kilka ciemniejszych dziur, które musiały być wejściami do jaskiń.

Tad zauważył je w tej samej chwili i wrzasnął jej do ucha:

— Jeśli któraś jest wystarczająco głęboka, powinniśmy się tu zatrzymać! Może nie usłyszymy kroków, ale to, co chciałoby nas zejść od przodu, nie przedrze się przez wodospad! Będziemy bronić tylko jednej strony!

Jęknęła, bo znalazła się tuż przy podekscytowanym gryfie, ale przyznała mu rację. Przełamała swe opory przed nocowaniem w miejscu, gdzie nie mogli usłyszeć kroków nadchodzącego wroga. I aby podkreślić trafność dokonanego wyboru, wielka ryba podpłynęła do ich stóp, chlapiąc ogonem. Najwyraźniej ogłupiła ją wodospad, a Tad, któremu kiszki marsza grały, rzucił się na nią w mgnieniu oka. Po chwili już jej nie było, a Tad był bardzo zadowolonym gryfem.

— Złap coś jeszcze! — wrzasnęła. — Ja sprawdzę jaskinie!

— Czekaj! — od wrzasnął. Podniósł mlecznobiały gładki kamyk i wpatrzył się w niego z napięciem, które dobrze znała. Potem wręczył go jej, uśmiechając się. Kamyk błyszczał światłem magicznym.

Przyjęła go z ulgą; gryf miał tyle mocy, że mógł znów robić magiczne lampy.

Nie musiała daleko szukać nowego schronienia; pierwsza jaskinia, do której weszła, okazała się doskonała. Ciągnęła się daleko i cały czas wznosiła. Kilka metrów podłogi pokrywał suchy, miękki piasek, potem Klinga natknęła się na stertę drewna przyniesionego przez powódź; tam zaczynała się naga skała. Cienki strumyczek płynął przez środek jaskini, wypłukując łożysko w skale i piasku.

Przekroczyła go, trzymając nad głową błękitnie świecący kamyk, aby jego blask nie raził oczu. Jaskinia zwężała się, a potem nagle skręcała w górę pod kątem prostym. Stamtąd wypływał strumyczek. Wsunęła głowę do dziury i spojrzała: deszcz lał się jej na twarz, ale i tak widziała nad sobą zachmurzone niebo. Kiedyś prawdziwy strumień, prawdopodobnie dopływ rzeki, wyrzynał tutaj swe łożysko, formując jaskinię. Teraz to łożysko było suche, zasilane tylko deszczówką. Tego właśnie potrzebowali: naturalnego komina, przez który ulatywałyby dym z ogniska. O ile nagle nie poleje się tu rzeka, jaskinia była idealna. Nie mogła znaleźć nic lepszego. Nawet komin był zbyt mały, aby cokolwiek mogło nim przeleźć, może prócz węży. Ślady świadczyły, że inne zwierzęta też uznały tę jaskinię za dobre mieszkanie: kilka szkieletów ryb i małych gryzoni, a z tyłu Klinga widziała stadko nietoperzy. Nie miała nic przeciwko mieszkaniu z nietoperzami; po wiecznych wojnach z owadami ucieszyła się na ich widok. Nietoperzom zaś zupełnie nie przeszkadzała.

— Klinga? — zawołał Tad i uświadomiła sobie, że choć docierał tu szum wodospadu, to kamienne ściany skutecznie go wyciszały.

— Idę! — odparła, złącząc po stercie drewna. Poczwała dym i rzeczywiście, chmurka, podobna do ducha w niebieskim świetle kamyka, wyleciała kominem.

Powitało ją ciepłe światło; Tad już rozpałił ognisko. Przyłączyła się do niego.

— Tutejsze ryby nie mają instynktu samozachowawczego — powiedział radośnie gryf. — Całkiem sporo właśnie wpadło na skały. Przyniosłem ci kilka. — Wskazał dziobem obłe kształty na ziemi.

— Mam nadzieję, że się najadłeś? — burknęła. — Bardziej niż ja potrzebujesz jedzenia; mnie wystarczy suchary.

Jego nozdrza się zaczerwieniły, a ruch grzebienia bez pudła zdradzał łakomstwo. Nie winiła go, szczególnie po tylu dniach ścisłej diety.

— Włóż to gdzieś, żebyśmy mogli spać — powiedziała, wręczając mu kamyk i zdejmując plecak. — Gdybym zamawiała jaskinię, nie mogłabym dostać lepszej. Możemy nawet rozpałić bardzo dymiące ognisko — machnęła ręką ku tyłowi — bo tam jest naturalny komin, dzięki któremu się nie zaczadzimy. Nie mamy tylko nocnego sygnału. Musimy to omówić.

Zagryzł dziób, myśląc, i rozciągnął zdrowe skrzydło nad ogniem.

— Nie wyobrażam sobie, żeby latali nocą — zaczął. — Chociaż z drugiej strony, skoro to ty i ja się zgubiliśmy...

— Skandranon zarządzi nocne loty, nawet gdyby miał sam latać — dokończyła, chichocząc. Potem rozbawienie zniknęło. Nawet na chwilę nie mogła zapomnieć, że byli ścigani. Dopóki nie dowiedzą się, przez co i dlaczego, nie powinni zakładać, że pozostaną tu aż do nadejścia pomocy. Tak, mieli dobre schronienie, z którego trudno było ich wykurzyć. Jednak nie było to niemożliwe; nie dla, dajmy na to, maga renegata i jego pomocników, ludzkich czy zwierzęcych.

Tad nie przejmował się przyszłością; zrzucił plecak i przysunął jej rybę.

— Jedz — zarządził. — Jest tu tyle drewna, że na pewno starczy na noc. Ty ją upiecz i zjedz, a ja pójdę się rozejrzeć.

Wahała się, potem wzruszyła ramionami i podniosła rybę. *Mogę coś zjeść i odpocząć. Ma rację.* Podczas deszczu nic nie mogło ich znaleźć. Jeśli ścigające stworzenia były inteligentne, prawdopodobnie uznały, że uciekinierzy zachowali się jak zwykle i poszukali schronienia, nim deszcz się zaczął. Myśliwi szukali ich pewnie po drugiej stronie rzeki. Trop tam się urywał, a kamienie i błoto nie trzymały zapachu, szczególnie zmywane deszczem. Trop po tej stronie rzeki został całkowicie zatarty, a jeśli ukryją ogień, uda im się zataić obecność w jaskini przez dzień lub dwa. Skoro dym szedł w górę i rozwiewał się na wszystkie strony, tropiacy będą mieli problem z ustaleniem, skąd pochodził.

Oczywiście, później będzie trudniej. Za każdym razem, gdy będą opuszczali jaskinię, aby złapać ryby, umyć się czy nazbierać drewna, ryzykowali, że będą zauważeni. Łowcy na drugim brzegu łatwo mogli ich wyśledzić, sami pozostając w ukryciu.

Najpierw zjem, martwić się będę później — zdecydowała. Cudownie było mieć tyle miejsca, aby otworzyć plecak i wszystko z niego wyrzucić. Znów złapała się na tym, że jedną ręką robiła coś, co trudne było dwiema: skrobała i patroszyła

rybę. W końcu ściągnęła but i stopą przytrzymała rybę za ogon.

Zostawiła łeb i wnętrzności, aby użyć ich jako przynęty; nie mogli liczyć, że każdego dnia ławica ryb będzie sama wpadać im w ręce. Mieli ze sobą linki i haczyki, a jeśli wnętrzności nie poskutkują, będą nabijać na haczyki robaki, kulki chleba albo suszone mięso. Jeszcze raz saperka posłużyła za patelnię; pewnie spełniłaby to zadanie lepiej, gdyby była wysmarowana tłuszczem, ale Klinga była zbyt głodna, aby zwracać sobie głowę takimi drobiazgami.

Ryba przypaliła się i przywarła do saperki, ale akurat to najmniej się liczyło. Klinga zdrapała mięso i zjadła, wiedząc, że trochę przypalona saperka nadal będzie sprawnym narzędziem. Była tak głodna, że poparzyła sobie palce, zdejmując mięso z gorącego żelaza, zanim porządnie ostygło. Przeklinała cicho i jadła, radosna jak dzika świnka.

Tad powrócił, mokry jak nieboskie stworzenie, i popatrzył na nią z namysłem.

— Glina — rzekł. — Następnym razem obłóż ją gliną i zapiecz w całości. Kiedy rozbijesz glinę, zlezie skóra, a reszta będzie dobra.

— Gdzie się tego nauczyłeś? — spytała zaskoczona.

— Od matki. Uwielbia ryby i chociaż gustuje w świeżych, jadła upieczone, jeśli nie były prosto z morza. — Znów się wyszczerzył i przechylił głowę. — Wiesz, jaka ona jest: też pragnie ideału, ale w przeciwieństwie do ojca nie narzeka, gdy go nie osiąga. Co zrobisz z ogniskiem? Przesuniemy je głębiej do jaskini? Grota zakręca i myślę, że trudniej będzie dostrzec ogień zza rzeki?

Myślał więc o prześladowcach.

— Nie wiem; i tak prędzej czy później nas zobaczą. Wołałabym zastanawiać się nad obroną.

— Zastawiłem trochę prościutkich sideł na dróźce — powiedział. — Niewiele, bo w deszczu trudno jest pracować. Powinny pomóc. Jutro się lepiej postaram.

— Dlatego tak zmokłeś! — Kazała mu usiąść przy ogniu, nie przerywając jedzenia. Ryba nie była najlepsza, miała mdły smak, co było jakąś odmianą po suszonym mięsie, które smakowało jak stare buty. Była jednak ciepła, sycąca i smażona, więc zjadła ją co do okruszyny, zdrapując z saperki nożem przypalone kawałki. Potem wyprostowała się, oblizując osmolone palce i skupiła się na Tadle.

— Dobrze, najpierw plany krótkoterminowe. Pierwsza warta?

— Ty — odparł. — Jestem tak najedzony, że zasnę natychmiast. Nic na to nie poradzę, tak mnie stworzono. A poza tym lepiej widzę w nocy niż ty. I lepiej słyszę — dodał — ale to się nie liczy, skoro mamy tu wodospad. Mogę rozciągnąć żyłkę od sideł do jaskini i przytwierdzić ją do kamyków wokół światła magicznego, żeby stworzyć coś na kształt alarmu.

Całkiem sensowna myśl.

— Dobrze. Jeśli coś zobaczę, mam strzelać? Moja proca doniesie za rzekę i mogę sobie pozwolić na spudłowanie, bo mamy tu tyle kamieni, że nie trzeba

odzyskiwać pocisków. — To również przyczyniło się do ogólnego rozluźnienia. Nie ograniczały jej już ołowiane kulki. Kamienie łatały gorzej, ale miała ich pełno w zasięgu ręki.

— Wolałbym, żebyśmy niczego nie prowokowali — odparł natychmiast. — Nie odpowiadajmy im na pytanie, gdzie jesteście. Jeśli nie znajdą nas dzisiaj, przy odrobinie szczęścia dadzą nam spokój.

— Pewnie nie, ale warto spróbować. Zgadzam się. Zastawimy pułapki na drugim brzegu? — Kolejne dobre pytanie. Warto było spróbować, ale jednocześnie przy przekraczaniu rzeki wystawiali się na cios. Rzeka nie była aż tak głęboka; w najgłębszym miejscu sięgała Klindze do podbródka. Szybkie zwierzę łatwo mogło ją pokonać. Im się udało, a przecież nie czuli się najlepiej. Dobry pływak mógł ją przekroczyć i nie zdradzić swej obecności, zwłaszcza, że i tak wszystko zagłuszał wodospad.

Potrząsnął głową.

— Nie; zastawimy pułapki na tym brzegu. Na drugim brzegu byłibyśmy zbyt narażeni na atak, więc po co się trudzić? Nie chcemy przecież złapać tych zwierząt? — On na pewno nie chciał, a ona się z nim zgadzała. Co by z tym stworzeniem zrobili, żywym lub martwym? Były łatwiejsze sposoby, aby dowiedzieć się, jak wyglądali łowcy.

— Dopóki nie będziemy musieli ich zdziesiątkować — mruknęła. Jaskinia była jednocześnie dobrym i złym schronieniem: mogli jej bronić, ale ekipa ratunkowa nie mogła ich dostrzec, a poza tym łatwo było rozpocząć oblężenie. Wąski komin, którym nic nie mogło się zsunąć, oznaczał także, że nic nie mogło się wspiąć.

— Dobrze. Jutro, gdy się rozjaśni, nazbieramy świeżego drewna i liści, aby nadać sygnały dymne. Zbierzemy suche drewno j i upchniemy je tutaj. — Przechylił głowę i czekał na jej pomysły.

— Wodę mamy; zacznę łowić, i tak długo, jak będziemy nadawać sygnały dymne, mogę wędzić to, czego nie zjemy. — *Jeśli nas tu uwiężą, będziemy mieli co jeść.* — Powinniśmy przejść się w dół rzeki i zdecydować, jakie pułapki zastawiamy.

— Na pewno jedną lawinę, tuż przy wejściu, uwalnianą z jaskini — odparł i ziewnął. — Wyteżając mózgi i również ciężko pracując, możemy nawet zabarykadować wejście do jaskini drewnem i kamieniami. Jesteśmy wybitnie inteligentni, więc czeka nas praca. Nic więcej nie wymyślę. Muszę się przespać. Nie potrzebuję koca; przy ogniu jest bardzo ciepło — mruknął. — Mogę nawet leżeć na tym miękkim piaseczku, pomiędzy ogniem i wejściem, aby osłaniać ogniskiem moim ciałem. Poświęcę się, będę leżał w przeciągu, aby ogień nie zgasł.

— Jakże to miłe z twoje strony. Pomóż mi rozłożyć śpiwory, żeby wyschły — stęknęła. — A potem możesz sobie spać, dopóki cię nie obudzą na wartę!

I niech jedyną rzeczą, którą usłyszymy, będzie ekipa ratunkowa, i to szybko

— pomyślała, gdy Tad chichotał i pomagał jej przy mokrych kocach. *Teraz powinni już wiedzieć, że zaginęliśmy. Nie stawiliśmy się na spotkanie, więc drugi patrol powinien wysłać wiadomość telesonem. Ile czasu trzeba, aby uznać nas za zaginionych, a nie spóźnionych? Czy będą nas szukać, skoro pomyślą, że się spóźniamy? Chciałabym wiedzieć.*

Jestem pewna, jedne go: ojciec oszaleje, kiedy się dowie. Dobrze, że to nie ja muszę go powiadomić!

Bursztynowy Żuraw gapił się na komandor Judeth; słowa, które wypowiedziała, nie miały sensu.

Po chwili go jednak nabrały.

— Oni co? — Wymowność, wypracowana przez lata, nagle opuściła Bursztynowego Żurawia. Wstał szybko, jakby biurowe krzesło zmieniło się w rozżarzone węgle. Tak zresztą się czuł.

— Uspokój się, Żurawiu, młodzi mają ledwie dzień opóźnienia — powiedziała Judeth. Sprawiała wrażenie spokojnej, ale znał ją aż za dobrze i dostrzegał w jej ruchach oznaki zdenerwowania. Ale to po prostu nie wystarczało. — Patrol, który zmieniali, dotarł wczoraj do punktu zbiórki, a ich tam nie było.

Martwi się. Ona się tylko martwi. I nic jeszcze nie zrobiła.

— I jeszcze się nie pokazali. — Zacisnął dłonie na poręczach krzesła i wpatrzył się w nią oskarżycielsko. — Więc dlaczego nic nie robisz? Wiesz, że tych dwoje przestrzega regulaminu jak nikt inny! Nigdy, przenigdy nie złamali rozkazu. Gdyby mieli powód, aby się spóźnić, gdyby wiedzieli, że się spóźnią, przesłaliby wiadomość przez teleson! Jeśli tego nie zrobili, to dlatego, że nie mogli, bo coś im się stało!

Podnosił głos i wiedział o tym, a co więcej, nawet nie krył swych uczuć. Raz w życiu chciał, żeby inni wiedzieli, że jest wściekły. Judeth uczyniła uspokajający gest, jakby sądziła, że uspokoi go kilkoma słowami. Jakby uważała, że można mu rzeczowo wytłumaczyć, aby nie histeryzował.

Spróbowała.

— Robimy coś, Żurawiu; patrol odleciał z punktu zbiórki, aby poszukać jakichś śladów Klingi i Tadritha. Jest za wcześnie na panikę. . .

Za wcześnie na panikę? Czy ona nie wie, z kim rozmawia? Wielkim wysiłkiem woli powstrzymał się przed wybuchem.

— Powiesz mi to, kiedy twoje dziecko zaginie! — parsknął. — Tak cię opętało bycie dowódcą, że nie zauważyłaś końca wojny? Zamiast mi mówić, żebym nie panikował, spróbuj raczej powiedzieć, co teraz robicie. A jeśli niczego nie robicie, nie obchodzi mnie dlaczego! Poruszę niebo i ziemię, aby coś zostało zrobione, bez wysłuchiwania, żeby nie panikować, bo ktoś uważa, że na to za wcześnie!

Nigdy w życiu nie powiedział tak otwarcie, że użyje całej swej mocy i wpły-

wów. *I zrobię to, nawet jeśli będę musiał zaszantażować całe miasto. Z Judeth na czele.* To była prawdziwa pogrożka; nie blefował. Czuł się jednak zobowiązany do ostrzeżenia Judeth, zanim ona zabrnę za daleko. Gdyby użył wszystkich swych wpływów, Judeth mogłaby stracić swe stanowisko.

Jej oczy pociemniały niebezpiecznie, ale głos pozostał spokojny, co dobrze świadczyło o jej samokontroli. Judeth nie lubiła pogroźek, ale była realistką i wiedziała, że nie żartował.

— W tej chwili poprzedni patrol leci w naszą stronę, szukając śladów. Jeśli niczego nie znajdą, skierują się na północ, potem południe, aby sprawdzić, czy nie zbczyli z kursu. Pracujemy nad tym. Nie siedzimy na tyłkach i nie czekamy, co przyniesie czas. Próbuje zlokalizować ich stąd i... i... — w końcu podniosła głos, widząc, że Żuraw jest gotów znów wrzasnąć — ...organizujemy grupy poszukiwawcze. Wyruszą o świcie, bo wcześniej nie uda nam się ich wyposażyć. Nie ma sensu łapać nie przygotowanych ludzi i wysyłać ich w teren. Teraz, jeśli znajdziesz jakąś lukę w moim rozumowaniu, chętnie posłucham sugestii. — Nie znalazł, ale to nie powstrzymało go przed pragnieniem, aby robiła coś więcej, niż zwykłe organizowanie grup poszukiwawczych.

— Nic nie wymyślę, ale... to trudne. Trudno mi myśleć — przyznał z urazą. — Czy Skan już wie?

— Aubri mu mówi. — *Biedny Aubri* — usłyszał w jej głosie, ale pomyślał *Biedny Skan*.

Obawiał się tego. Nie chciał, żeby Tad wyjeżdżał, podobnie jak ja nie chciałem posłać tam Klingi. Wiem, że chciał pójść do Judeth i poprosić ją, aby im przydzieliła coś innego, ale tego nie zrobił. Pewnie teraz się zastanawia, czy ich zaginięcie to jego wina.

— Powiem Zimowej Łani — zaczął ze ściśniętym gardłem. *Bogowie, jak jej to powiem? To wszystko moja wina; powiedziałem albo zrobiłem coś, co sprawiło, że Klinga zechciała być Srebrzystą, a dzięki moim interwencjom zapragnęła być daleko stąd; gdybym tak nie wtrącał się w jej życie, nadal by tu była, może nawet robiła coś innego. Tad miałby innego partnera, kogoś, kto nie namawiałby go do przyjęcia zadania z dala od miasta.* Desperacko pragnął, aby ktoś inny wziął na siebie zawiadomienie Zimowej Łani, aby nie musiał patrzeć jej w oczy. Tchórzostwo, tak, ale...

— Nie, ja jej powiem — oświadczyła Judeth. — Wiem, gdzie jest i jestem dowódcą Srebrnej Klingi, to moja praca. Idź do Skana; przyślę ją tam.

Tam — jak wiedzieli wszyscy w Białym Gryfie, oznaczało o tej porze przedszkole Kechary. Skandranon spędzał z nią i innymi dziećmi co najmniej godzinę każdego popołudnia. Uwielbiał z nimi przebywać, opowiadać bajki i się bawić. Bursztynowy Żuraw wstał i ruszył ku drzwiom; tym razem Judeth go nie powstrzymała.

Kiedy tylko skończono ratusz Białego Gryfa, żony wszystkich urzędników

zażądały, aby dobudować do niego biura. Zimowa Łania oznajmiła:

— Ludzie, mamy dość przynoszenia pracy do domu i tego, że praca za wami łązi — mówiąc w imieniu żon i całego miasta. — W domu macie odpocząć od idiotów, którzy nawet miejskiej latryny nie znajdą bez mapy i przewodnika! Każdy urzędnik dostanie biuro, choćby wielkości szafy — dodała. — Nie obchodzi mnie, że wódz k'Leshya nigdy przedtem nie miał biura, bo zawsze mieszkał w namiocie. Jeśli wódz k'Leshya może łamać tradycję, wprowadzając się do jaskini, biuro i regularne godziny urzędowania już mu nie zaszkodzą, a kiedy się skończy, zamknie drzwi i będzie miał spokój! — Spojrzała na Bursztynowego Żurawia i jej oczy rzekły: *A do ciebie odnosi się to podwójnie, mój drogi i przepracowany mężu!*

Ponieważ za plecami Zimowej Łani stała żona Lwiego Wiatru, potakując i trzymając dłoń na rękojeści noża, wszyscy urzędnicy skwapliwie się zgodzili.

Biura wbudowano w klifie za ratuszem, małe, przytulne i w pobliżu innych budynków użyteczności publicznej. Administracja Srebrzystych mieściła się niedaleko, a właśnie w tym budynku znajdowało się przedszkole stworzone dla Kechary, gdy jeszcze odpowiadała za łączność wśród Srebrzystych. Dzieliła je z dziećmi Srebrzystych i innych mieszkańców Białego Gryfa, którzy potrzebowali nadzoru nad pociechami, gdy pracowali. Było to wygodne i zapewniało Kecharze wielu towarzyszy zabaw na jej poziomie umysłowym, choć sześć razy od niej młodszych.

I chociaż zdolności Kechary zostały poważnie ograniczone, nadal mogła myśleć z każdym gryfem w mieście. Było to użyteczne dla Srebrzystych i nikt nie widział powodu, aby miała opuścić przedszkole.

Biegając do budynku, spięty z nerwów i zmartwienia, Bursztynowy Żuraw nie mógł sobie nawet wyobrazić, dlaczego Judeth uważała, że Aubri potrafił łagodnie zawiadomić Skana. Musiała być tak zdenerwowana, że jej zdolność logicznego myślenia wyparowała jak kamfora. *Aubri ma tyle taktu, co cegła. Kiedy Skan...*

— ŻURAW! — Ryk usłyszano pewnie na szczycie klifu, a gryf, który wyleciał przez drzwi, wyglądał, jakby za moment miał zionąć ogniem. Wyleciał było odpowiednim słowem: czarno-biała kula unosiła się kilka stóp nad ziemią, rozglądając się na wszystkie strony, szukając przyjaciela. — Żuraw! — ryknął Skan ponownie, wisząc jakieś trzy długości nad ziemią. — Ci idioci! Stracili...

— Wiem, wiem — odwrzasnął Żuraw, dziko machając rękoma. — Dlatego...

Skan zwinął skrzydła i ciężko wylądował, jakby spadał, cały zjeżony.

— Chcę, żeby wszyscy magowie w tym mieście ich szukali! — powiedział gniewnie. — Nie obchodzi mnie, co robią! To nagła konieczność! Chcę, żeby rzucili to, czym się zajmują i chcą, żeby grupy poszukiwawcze ruszyły natychmiast! I pchnąć posłańców do Shalamana! Chcę, żeby szukali ich wszyscy Haighlei! Chcę...

Albo zajmiemy się tym razem, albo nie będą nas słuchać. Bursztynowy Żuraw złapał głowę przyjaciela w obie dłonie i wsunął palce w nozdrza gryfa. Pociągnął

dziób Skana, a ten spojrział mu prosto w oczy.

— Wiem — rzekł z mocą. — Uwierz mi, czuję to samo! Musimy zwołać Radę, aby to zaakceptowała, ale nie sądzę, aby ktokolwiek się z nami nie zgodził, a jeśli...

Skan zawarczał.

— Jeśli się sprzeciwią, obaj... obaj wiemy rzeczy co najmniej wstydlive — rzekł.

— Właśnie. A ja to wykorzystam. — O to chodziło; Skan się z nim zgadzał. Był to chwyt poniżej pasa, ale lepsze nieczyste zagrywki niż tracenie czasu na przekonywanie kogokolwiek.

— Nie ma sensu wpadać jak wilk do owczarni — ciągnął Żuraw, przekonując siebie i Skana. — Dobrze? Porozmawiajmy o szczegółach. Judeth kazała poprzedniemu patrolowi szukać ich; nie można zrobić więcej w terenie. Musimy się zorganizować, wysłać ludzi i jeśli trzeba, przekonać ich do ponownego użycia Bram. Musimy przekonać Radę, aby popierała wszystkie nasze akcje, a to się nie stanie, jeśli będziemy tu sterczeć i marnować cenny czas, wrzeszcząc jak przerażeni rodzice!

— Jesteśmy przerażonymi rodzicami! — Gryf wyrywał ziemię, orząc wściekle pazurami. — Nie chcę przestrzegać procedury!

Bursztynowy Żuraw oparł pięści na biodrach i pochylił się ku Skanowi.

— Otrzymamy aprobatę Rady wszelkimi możliwymi sposobami.

Nienawidzę tego, ale takie są realia. Jeśli chcemy, aby Srebrzyści podjęli coś więcej niż rutynowe działania, musimy mieć zgodę Rady. I tu możemy użyć szantażu.

Skan znów zawarczał, ale słabiej.

— Do cholery, Żuraw, dlaczego musisz być taki prawy? — parsknął. — W porządku, wróć i każę Kecharze zwołać członków Rady, aby poparli nasz plan.

Bursztynowy Żuraw chciał dodać: *nie przestrasz jej*, ale ugryzł się w język. Ze wszystkich w mieście Skan najlepiej wiedział, jak nie denerwować Kechary. Był jej „tata Skanem”, którego kochała z całego serca, tak wielkiego, jak mały był jej mózg. Gdyby ją przestraszył, równie dobrze mógłby pozwolić Klindze i Tadowi zgnieć w jakimś zakątku dżungli.

Ruszył w kierunku ratusza pewien, że jeśli Zimowa Łania i Zhaneel jeszcze tam nie dotarły, na pewno uczynią to po wezwaniu Kechary.

Skan wpadł do ratusza krótko po Żurawiu, a chwilę później zbiegli się inni członkowie Rady. Judeth przyszła pierwsza, zaskoczona, urażona i zła; i chociaż Skan zmierzył ją lodowatym spojrzeniem, odezwał się dość uprzejmie:

— Ja zwołałem zebranie — rzekł. — Ponieważ mamy sytuację kryzysową.

Począł, aż zebrało się kworum i wszyscy usiedli, zanim znów przemówił do Judeth.

— Ty jesteś dowódcą Srebrzystych, więc myślę, że najlepiej wytłumaczysz Radzie naturę tego kryzysu — rzucił ostro. Judeth wyglądała tak, jakby miała zamiar powiedzieć mu coś bardzo niemiłego, ale się powstrzymała, co było trafną decyzją.

Bursztynowy Żuraw doskonale wiedział, jakim torem biegły jej myśli. Po pierwsze i najważniejsze, była wojskowym i w innych okolicznościach zniknięcie czy spóźnienie dwojga najmłodszych Srebrzystych nie powinno być uznane za kryzys, którym trzeba kłopotać Radę. Tylko rozhisteryzowany, ale potężny rodzic mógł wymyślić coś takiego.

A Żuraw z dziką rozkoszą udusiłby Judeth, gdyby choć słowem o tym wspomniała.

Udusiłbym ją, a potem ożywił, żebym mógł ją drugi raz udusić. Część jego „ja” była zaskoczona agresywnością; druga część kibicowała radośnie. A potem znów bym ją ożywił, żeby Skan też mógł się zabawić.

Ale najwyraźniej Judeth wiedziała swoje albo groźba, że Żuraw użyje swych wpływów, sprawiła, że starannie dobierała słowa. Spokojnie i chłodno wyjaśniła sytuację, a członkowie Rady słuchali, nie komentując. Skan rzucał w ich kierunku spojrzenia, jakby tylko czekał, aż ktoś się odważy powiedzieć, że Rada nie powinna zwracać sobie głowy takimi „kryzysami”.

Nikt się nie odważył, ale Śnieżna Gwiazda powiedział coś, co nadało całej sytuacji inny wymiar. Bursztynowy Żuraw był mu ogromnie wdzięczny.

— Czy ktoś już tak zaginął? — zapytał, nawet nie patrząc na Skana i Żurawia. — Wiem, że wśród Srebrzystych zdarzyło się kilka wypadków, ale nie przypominam sobie, aby którykolwiek ze Srebrzystych wysłanych na posterunek zaginął. Judeth, odkąd spotkaliśmy Haighlei, nie było żadnych nieszczęśliwych wypadków wśród twoich podwładnych, a poprzednie zdarzyły się podczas wyprawy na wybrzeże. Jeśli to coś nowego, uważam, że to bardzo poważne.

Aubri otworzył dziób, a potem zaskoczony spojrzał na Judeth. Ona odpowiedziała.

— Właściwie masz rację — rzekła, równie zaskoczona jak Aubri. — Śmiertelne wypadki od założenia miasta zdarzały się tylko wśród myśliwych, nie Srebrzystych, a obrażenia Srebrzystych spowodowane były zazwyczaj złą pogodą, nikt nawet nie zginął w jakiejś burdzie. Do dziś żaden z patroli wysłanych na posterunki nie zaginął. Łamali sobie nogi, chorowali, musieliśmy im wysłać pomoc, a para ludzi się kiedyś zgubiła, ale mieli teleson i wiedzieliśmy, że nic im nie jest, po prostu na chwilę straciliśmy ich z oczu. Nikt wcześniej tak po prostu nie zniknął. . .

Tylko wyraz jej oczu świadczył, jak bardzo się zdenerwowała, ale Bursztynowemu Żurawowi sprawiło dziką satysfakcję, gdy zobaczył to stalowe spojrzenie.

Stała się na powrót generałem Judeth, spotykającą śmiertelnego wroga tam, gdzie miała być łąka i strumyki.

— Myślałem, że to ryzyko zawodowe, ale zapomniałem, że już nie ma wojny — mruknął Aubri, tak zawstydzony, że jego nozdrza były purpurowe. — Śnieżna Gwiazdo, masz rację! Nie straciliśmy Srebrzystego odkąd... odkąd sprzymierzyliśmy się z Haighlei!

A wasza dwójka popełniła błąd, uznając Srebrzystych za przedłużenie dawnej armii, którym nie są, a nasza sytuacja jest zupełnie inna niż przed wojną. Jak mogłem być tak ślepy i nie dostrzec waszej ślepoty?

— W takim razie uważam, że sytuacja rzeczywiście zalicza, się do kryzysowych — powiedział Śnieżna Gwiazda. — Kiedy dwoje świetnie wyszkolonych ludzi znika nagle bez śladu, bez powodu i bez ostrzeżenia, wydaje mi się, że nie tylko oni znajdują się w niebezpieczeństwie, ale całe miasto. A jeśli sprzątnięto ich, zanim zdążyli nas powiadomić, że zmierza ku nam wróg? Jak się dowiemy, jeśli nie zaczniemy ich ratować?

Wszyscy przytakiwali, a Bursztynowy Żuraw i Zimowa Łania, która właśnie weszła, wymienili przerażone spojrzenia. Jemu zrobiło się zimno, ona pobladła. Nie musiał tego słuchać. Jasne, cieszył się, że Śnieżna Gwiazda to powiedział, bo przekonał nawet największych sceptyków, ale mimo wszystko lepiej by mu było, gdyby tego nie usłyszał.

Albo Śnieżna Gwiazda naprawdę w to wierzy, albo pozbawiony talentów dyplomatycznych mag właśnie zamyslił wszystkim oczy. Albo jedno i drugie.

W sali obrad zapadła ciężka, złowieszcza cisza i nikt się nie kwapił, by ją przerwać. Skan zamarł jak posąg, a Zhaneel u jego boku była w zbyt wielkim szoku, aby logicznie myśleć. Zimowa Łania stała przy swoim krześle, ściskając jego oparcie, niezdolna, by usiąść; jej kłykcie były białe jak śnieg. Bursztynowy Żuraw nie mógł się poruszyć; ciało miał jak z ołowiu.

Judeth chrząknęła: wszyscy podskoczyli.

— Dobrze — powiedziała ostro. — Poprzedni patrol ruszył na poszukiwania; zbieramy drużyny ratownicze. Czy ktoś ma inne sugestie?

Skan otworzył dziób, ale ubiegł go Śnieżna Gwiazda.

— Zbiorę magów i zacznę badanie na odległość — rzekł. — Prawdopodobnie jesteście zbyt daleko, ale ci, którzy mogą ich odnaleźć, powinni przynajmniej spróbować. Będziemy szukać śladu magii we wszystkich przedmiotach, które ze sobą mieli; nawet jeśli się rozbili, magia nadal w nich będzie. Wybiorę magów do grup poszukiwawczych.

Skan raz jeszcze otworzył dziób, a potem potoczył spojrzeniem wokół, upewniając się, że tym razem nikt mu nie przeszkodzi.

— Powinniśmy wysłać wiadomość do Shalamana — rzekł wojowniczo. — Jego poddani znają dżunglę lepiej od nas. Powinniśmy go zmusić, znaczy, poprosić, aby wysłał swoich myśliwych.

— Dobry pomysł — oceniła Judeth. — Mogę wysłać wszystkich, którzy kiedyś tam służyli, ale jeśli do naszych ludzi dołączą Haighlei umiejący polować w dżungli, tym lepiej. Coś jeszcze?

Grupy poszukiwawcze, magia, Haighlei... Myśli huczały w głowie Żurawia, ale nie mógł skupić się na żadnej z nich. Judeth rozejrzała się i skinęła głową.

— Dobrze. Mamy plan — stwierdziła. — Zakładamy, że cokolwiek przydarzyło się Srebrzystym, może zagrozić miastu i odnalezienie ich jest sprawą najwyższej wagi. Do dzieła.

Wstała i była w połowie drogi do drzwi, zanim ktokolwiek się poruszył. Żuraw jej nie winił. On też nie chciałby się znaleźć w jednym pomieszczeniu z czworgiem przerażonych rodziców.

I nie chciałby konfrontacji z dwojgiem ludzi, którzy właśnie zagrozili mu szantażem, jeśli nie potraktuje poważnie zniknięcia ich dzieci.

Reszta uciekła równie szybko. Tylko Aubri zatrzymał się na chwilę, spoglądając na nich niepewnie. Otworzył dziób, potem przełknął, potrząsnął głową i wyszedł.

Jedyną rzeczą, jakiej pragnął Skandranon, było ruszenie synowi na ratunek. A skoro nie mógł tego zrobić, pragnął rozedrzeć na strzępy odpowiedzialnych za jego zniknięcie. Jego serce było przekonane, że odpowiedzialni za to znajdują się w Białym Gryfie.

Judeth i Aubri. To była ich wina. Gdyby nie przydzielili dzieciom tego odległego posterunku, jego ukochany syn i córka jego drogiego przyjaciela, Bursztynowego Żurawia, nadal byliby w mieście.

— Wiedziałem od początku, że to był błąd! — gorączkował się, przemierzając salę obrad wzdłuż i wszerz. — Wiedziałem, że są zbyt młodzi, aby przydzielać ich na posterunek! Nigdy jeszcze nie wysłano nikogo tak młodego! Powinni ich przydzielić tutaj, jak innych! Judeth się starzeje, podobnie jak Aubri, a...

— Proszę! — krzyknęła nagle Zhaneel. — Przestań!

Gapił się na nią z uniesioną stopą i otwartym dziobem.

— Przestań, Skan — rzekła normalnie. — To nie ich wina. To niczyja wina. I gdybyś przestał szukać kozła ofiarnego, moglibyśmy działać. — Spojrzała na niego oczami pełnymi strachu i zdenerwowania. — Jesteś magiem; ja nie. Idź pomóc Śnieżnej Gwieździe i innym, a ja pójde do postańca i w twoim imieniu każę mu przesłać wiadomość do Shalamana, prosząc o pomoc. Mogę zrobić przynajmniej tyle. Skandranonie: to także mój syn, a ja potrafię działać bez pogroźek i gniewu.

Odwróciła się i wyszła, zostawiając go z uniesioną nogą, otwartym dziobem i w głębokim szoku.

Samego, bo Żurawia i Zimowej Łani już nie było.

Głupi, głupi gryfie. Wiesz, że ma rację. Obwinianie Aubriego i Judeth do niczego nie prowadzi, a jeśli ich oskarżysz, będą na ciebie wściekli. Czarny Gryf zostanie w ludzkiej pamięci jako histeryczny, nadopiekuńczy, mściwy rodzic. Co dobrego z tego przyjdzie? Nic, oczywiście.

Co dobrego z tego przyjdzie?

W jednej chwili opuściła go cała energia. Usiadł na podłodze, czując, że jest stary.

Stary, zmęczony, pokonany i całkowicie bezradny, drżący ze strachu i dławiony przez własną słabość. Zamknął mocno oczy, zwiesił dziób i trząsł się.

Gdzieś daleko jego syn zaginał, prawdopodobnie ranny, na pewno w tarapatkach. I nie mógł nic, zupełnie nic na to poradzić. Tym razem Czarny Gryf nie mógł pojawić się znikąd i przyjść z pomocą.

Nawet gdybym mógł kogoś uratować, to na pewno nie pojawiając się znikąd. Stałem się legendą za życia; moja przydatność się skończyła. Znow ta sama śpiewka, tyle tylko, że tym razem Czarny Gryf nie odrodzi się z Białego. Ciało się zużywa, biodra sztywnieją, a mięśnie rwą. To ja jestem stary i bezużyteczny, nie Aubri i Judeth. Robią, co w ich mocy; to ja kłapałem dziobem i rzucałem głupie pogrożki. Tylko tyle zostało przegranej wojownikowi.

Przez chwilę zmagał się z potrzebą zadarcia głowy i wykrzyczenia ku niebiosom swej rozpacz i bezradności w płonnej nadziei, że jakiś bóg go wysłucha. Jego gardło zacisnęło się. Przygnieciony nieznośną rozpaczą i bólem powoli podniósł głowę.

Jego wzrok spoczął na drzwiach, którymi wyszła Zhaneel, a umysł odtajał, pozwalając mu znów normalnie myśleć.

Kim jestem ? O czym ja myślę ? Może jestem stary, ale też jestem legendą. Bohaterowie nigdy nie żyją tak długo, jak tego pragną, a większość umiera młodo. Przetrwałem. Dzięki doświadczeniu. Jestem magiem bardziej doświadczonego niż w młodości i nawet jeśli już nie walczę, jestem mądrzejszy! A moje uczucia — znam je. Znam. To samo czuł Urtho za każdym razem, gdy wylatywałem, za każdym razem, gdy ginął jeden z jego gryfów. Kochałem go szczerze i każdym oddechem składam mu hołd, ale był wielkim człowiekiem, bo akceptował swe życie i los. Nie jestem Urtho, ale jestem jego duchowym synem i mogę starać się dorównać temu, co považam. Mogę wiele rzeczy, a zacznę od sprawdzenia, czy Śnieżna Gwiazda czegoś nie przeoczył!

Otrząsnął się, jakby zrzucił ciemny zimny cień z karku i wyszedł z sali obrad tak szybko, jak mógł.

Co ja szanuję w czynach Urtho, inni považają we mnie. Urtho potrafił stawić czoło każdej sytuacji siłą swego intelektu, nawet, jeśli ta sytuacja go rozwścieczała. Dlatego był przywódcą, a nie spanikowanym celem. Działał, kiedy inni poddawali się emocjom. Jeśli będę myślał o tym zniknięciu tylko przez pryzmat moich uczuć, mogę pominąć coś, co zauważyłbym, gdybym nie był skupiony na sobie,

*a taka pomyłka może kosztować życie. Niech historycy się spierają, czy byłem roz-
wścieczony, zdeterminowany czy spanikowany tego dnia! Do ostatniego tchu będę
działał!*

Nie wiedział, dokąd pobiegł adept i zanim go wyśledził, Śnieżna Gwiazda zdą-
żył już zgromadzić najpotężniejszych magów w swej jaskini i warsztacie. Skan,
wbrew sobie, był pod wrażeniem szybkości, z jaką zadziałał mag Kaled'a'in.
Trudności w namawianiu magów do współpracy były już powszechnie znane, ale
Śnieżna Gwiazda w krótkim czasie dopiął swego.

W warsztacie znajdowało się siedmiu magów, wliczając gospodarza. Usadzo-
no ich parami przy oddzielnych stolikach, aby sobie nie przeszkadzali, a każda
para szukała czegoś szczególnego: jedna telesonu, druga namiotu, trzecia kosza.
Śnieżna Gwiazda pracował sam, ale gdy Skan do niego podszedł, podniósł wzrok
i skinął głową.

— Sam szukam Tadritha — rzekł bez wstępu. — Czekałem, żebyś mi pomógł;
więzy krwi, które was łączą, umożliwią znalezienie go, jeśli w ogóle da się to
zrobić. Wiesz, że obaj czujecie magię tak samo.

— Jeśli? — Skanowi zrobiło się zimno. *Czy on chce mi powiedzieć, że Tad
jest martwy?* — Czy ty czujesz, że on już nie żyje?...

Śnieżna Gwiazda uspokoił go.

— Nie, nie czuję. Nawet, gdyby Tadrith był nieprzytomny, w normalnych oko-
licznościach nadal bylibyśmy w stanie go znaleźć. Problem polega na tym, że je-
stem prawie pewien, iż znajdują się poza naszym zasięgiem — Białowłosa adept
Kaled'a'in potrząsnął głową. — Ale „prawie” nie znaczy „całkowicie”, a wiadomo,
że ludzie dokonywali niezwykłych rzeczy pod wpływem silnych emocji. Sam
wiesz o tym najlepiej! Jeśli ty chcesz spróbować, ja tym bardziej.

Skan zawarczał z wściekłości, ale powstrzymał się.

— Głupie pytanie. Będę próbował, dopóki nie padnę.

Śnieżna Gwiazda wykrzywił się.

— Wiem, że to głupie pytanie; wybacz. Na szczęście kamień ani zaklęcie nie
są wrażliwe na głupotę. — Wskazał stoliczek, na którym stała półkula z wulka-
nicznego szkła. — Pozwolisz?

Skan usiadł na krześle po przeciwnej stronie; raz czy dwa szukał już na odle-
głość, ale nigdy jeszcze w parze ze Śnieżną Gwiazdą. Każdy mag miał swe własne
narzędzie poszukiwawcze, ale większość używała jasnego lub ciemnego kryszta-
łu albo lustra. Położył szpony na stole, otaczając nimi połowę kamienia. Śnieżna
Gwiazda uczynił to samo, dotykając opuszkami palców szponów Skana.

Zadaniem Skana było teraz skoncentrować się na synu i przekazać energię
magiczną Śnieżnej Gwieździe, który tworzył i rzucał zaklęcie. Niektórzy mago-
wie posiłkowali się wizualizacją, ale nie Śnieżna Gwiazda. Tylko ktoś widzący
energię magiczną i wrażliwy na jej ruch — jak gryf — mógł wyczuć, co mag
robił.

Skan czuł, jak energia wokół gęstnieje i kondensuje się w zakłęcie, podobna do gorącego wiatru, który nagle ochłódł. Czuł, jak się szarpie i wyrywa z ram nałożonych przez Śnieżną Gwiazdę. A potem Śnieżna Gwiazda ją uwolnił.

I — nic. Skoczyła i rozproszyła się. Nie zniknęła, jakby ruszyła na poszukiwanie; zniknęła, jakby rozciągnęła się tak bardzo, że leciutki podmuch mógł rozsypać zakłęcie na tysiące kawałków.

Śnieżna Gwiazda podskoczył, jakby puściła linka trzymająca go prosto, a potem opadł, obejmując kamień.

— Cholera — zaklął miękko; Skan nigdy nie słyszał z jego ust mocniejszych przekleństw. — Niedobrze. Za daleko.

Skan opadł, jego gardło zacisnęło się z żalu, ledwo mógł złapać oddech. *Tad...*

Kilka chwil później inni powtórzyli te same słowa, tym samym tonem pełnym złości i porażki, wszyscy prócz pary szukającej telesonu.

Wyglądali na kompletnie pokonanych i milczeli. W końcu Śnieżna Gwiazda przestał czekać, aż się odezwą i podszedł.

— I? — zapytał. Skan deptał mu po piętach.

Znał obu magów; jednym był młody Kaled'a'in, zwany Cisem, drugim najemny mag z armii Urtho, Gielle. Ten drugi miał nieprawdopodobne szczęście: na początku burz magicznych, które nastąpiły po kataklizmie, był ledwie czeladnikiem, a gdy się skończyły, stał się adeptem. Sam był wielce zadziwiony przemianą, ale przyjął ją z wdzięcznością większą niż inni.

— Melduję posłusznie, że nie mogę tego wytłumaczyć — powiedział, najwyraźniej walcząc z odruchem stanięcia na baczność i zasalutowania. — Kiedy nie mogłem dotrzeć do urządzenia Tada, wywołałem inne, żeby się upewnić, że wszystko ze mną w porządku. Wywołałem każdy teleson, jaki stworzyłem, łącznie z tym, który ma patrol szukający zaginionych Srebrzystych. Połączyłem się z telesonem w Khimbacie, a oni są dalej niż Tadrith. Dotarłem do wszystkich, oprócz tego, który wysłaliśmy z Tadrithem i Srebrną Klingą. Jakby... — potrząsnął głową — zniknął, jakby nigdy nie istniał! Nie został zwrócony ani zniszczony, bo zostawiłby ślad. Większość czasu spędziłem na pracy z telesonami i tylko raz widziałem coś podobnego.

— W czasie wojen? — spytał Śnieżna Gwiazda.

Gielle pokiwał głową.

— Tak. To był głupi wypadek, ale trzeba było adepta, aby załagodzić sprawę. Jakiś sklerotyczny stary pierdziel, który nie powinien dostawać do ręki nawet młotka, miał załadować teleson i odczynił całe zakłęcie. Ogólnie rzecz biorąc, wysłał całą magię, robiąc z urządzenia szmelc. — Gielle wzruszył ramionami. — Mógł to zrobić tylko dlatego, że był adeptem. Starym, ale adeptem. Nie bez powodu telesony są teraz idiotoodporne. Tadrith nie mógł tego dokonać, nawet próbując tysiąc razy dziennie, a gdyby teleson został zmiażdżony, nadal mógłbym

go uruchomić i otrzymać zniekształcony sygnał. Gdyby zniszczyło go zaklęcie, na tym terenie mielibyśmy magiczną aurę. Nie wiem, co o tym myśleć.

Śnieżna Gwiazda ściągnął usta i zmarszczył czoło.

— Ja też nie. To bardzo dziwne. . .

Skan przenosił wzrok z jednego maga na drugiego. Spojrzał na Cisa; Kaled'a'in bezradnie rozłożył ręce.

— Znak adepta jest dość czytelny — rzekł Cis wolno. — Wszyscy adepci mają własny styl, który nawet nowicjusz rozpozna. Znakiem Urtho było rzucanie niewykrywalnych czarów; jego podpis to brak podpisu, ale o ile wiem, potrafił ukrywać tylko swoje zaklęcia. Sądzę, że Haighlei już zorientowałiby się w sytuacji. Adept nie może się powstrzymać przed użyciem magii we wszystkich sprzyjających okolicznościach, szczególnie jeśli należy do dawnych Neutralnych. Byli lekkomyślni i beztroscy. Urtho się o to z nimi kłócił.

— Mam pomysł — rzekł w końcu Śnieżna Gwiazda. — Słuchajcie wszyscy, będę potrzebował waszej pomocy. Zrobimy coś bardzo prymitywnego, znacznie prymitywniejszego od gapienia się w kule. — Rozejrzał się. — Cis, ty, Gielle i Joffer zestawcie razem stoliki. Samotny Jeźdźcu, wiesz, gdzie są moje szamańskie przybory; przynieś je. Lora, Zielonoskrzydły, chodźcie ze mną. — Spojrzał na Skana. — Ty idź do koszar Srebrzystych i przynieś mi największą mapę terenu, na którym są dzieci, jaką możesz znaleźć. Zastrasz ich, jeśli trzeba. Ze mną mogliby się kłócić, tobie nie podskoczą.

— Nogi bym im powyrywał — warknął Skan i ruszył do drzwi. Starął się nie zataczać; od dawna nie używał tyle energii magicznej i wyczerpało go to bardziej, niż się spodziewał.

W porządku, gryfie. Pamiętaj, co sobie wcześniej powiedziałaś. Jesteś doświadczone. Możesz padać na dziób ze zmęczenia i nadrywać mięśnie, próbując dogonić stracony czas, ale masz doświadczenie. Polegaj na nim, kiedy wyczerpią ci się baterie i polegaj na innych, gdy możesz, a nie kiedy chcesz, próżny gryfie. Bądź sprytny. Myśl. Użyj tego, co masz. I nie nadwężaj się, idioto, bo zabrakło części zamiennych!

Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że zapadł zmrok; nie zdawał sobie sprawy, ile czasu spędził z magami, próbując odnaleźć dzieci. Nic dziwnego, że był zmęczony i osłabiony!

Koszary były oświetlone, jakby wydawano w nich bał, co go nieco uspokoiło. W końcu coś robili i podchodzili do sprawy poważnie! *Szkoda, że Śnieżna Gwiazda musiał ich przekonać, że ich tyłkom coś grozi, zanim się ruszyli. Powinni po prostu zacząć działać. Czyż nie tak było dawniej?* Pchnął drzwi, zgiął szpon i złapał pierwszą osobę noszącą odznakę, jaka wpadła mu w oko. Wytłumaczył, czego chciał, tonem sugerującym, że tego, kto mu się sprzeciwi, przerobi na trociny. Młody człowiek nawet nie pisnął, gdy na jego tunice zacisnęły się pazury, a olbrzymi dziób zbliżył niebezpiecznie do twarzy.

— P-proszę p-poczekać — wyjąkał, odskakując, gdy tylko Skan go puścił. — Znaj-jdę t-to, czego p-panu trzeba i za-zaraz w-wrócę!

Skan miał przedziwne wrażenie, że tej nocy cały świat nie darzył go uwielbieniem. Dobrze. O wiele bardziej wolał siać wokół przerażenie, niż być uwielbianym.

Ludzie uważali mnie za wesółego starego oszusta, wujaszka, który wozi dzieci na grzbiecie — myślał, zgrzytając dziobem i orząc pazurami posadzkę. Zapomnieli, kim bytem, zapomnieli o wojowniku, który gołymi szponami rozrywał makaary.

Cóż, tej nocy im przypomni.

Chłopak wrócił ze zrolowaną mapą. Skan rozwinął ją, aby się upewnić, że nie wcisnęli mu czegoś bezużytecznego, żeby się go pozbyć, po czym podziękował chłopakowi i wyszedł.

Chociaż było ciemno, pofrunął z powrotem. Gdy wkroczył do pracowni Śnieżnej Gwiazdy, od razu dostrzegł zmiany. Niepotrzebne rzeczy odsunięto pod ścianę, zwalając bez ładu i składu na stos. Całe dnie zajmie przywracanie porządku w pracowni, ale Skan wątpił, aby Śnieżna Gwiazda myślał o czymś prócz Tadritha i Srebrnej Klingi, dopóki ich nie odnajdą.

Mamy jednego przyjaciela, którego nie trzeba przekonywać, aby podszedł poważnie do rzeczy.

Małe stoliki złączono w jeden stół, na którym miała być rozłożona mapa. Kiedy tylko wszedł, niecierpliwe dłonie wzięły — wyrwały! — mapę i rozłożyły ją na stole. Cis zapalił cierpkie kadzidło, które wypełniło pokój gęstym dymem. Mag, którego Śnieżna Gwiazda zwał Samotnym Jeźdźcem, pochodzący z plemienia popleczników Urtho, trzymał bębenek. Najwyraźniej zamierzał na nim grać podczas tego, co zamierzali robić.

— Dobrze. — Śnieżna Gwiazda jedyny stał nad stołem i trzymał w dłoni łańcuszek zakończony ciemnym, niedbale oszlifowanym kamieniem w kształcie łyży. — Cis, patrz, jak zachowuje się wahadełko i zaznaczaj na mapie to, co mówiłem. Samotny Jeźdźcu, wybijaj pulsujący rytm. Pozostali, skoncentrujcie się; będę potrzebował waszej energii i wszystkiego, co uda mi się wyciągnąć z lokalnego węzła. Skan, to się odnosi również do ciebie. Siadaj naprzeciw mnie i nie myśl ani o Tadzcie, ani o Klindze, tylko o mnie. Zrozumiałeś?

Nie zamierzał się kłócić; zapowiadał się jeden z tych zwariowanych szamańskich rytuałów, do których uciekał się Urtho, gdy zawodziły tradycyjne zaklęcia. Zrobił, co mu kazano, patrząc, jak Śnieżna Gwiazda uważnie zawiesza wahadełko nad mapą w miejscu, skąd po raz ostatni odezwały się dzieci. Samotny Jeździec rozpoczął wybijać jednostajny rytm, hipnotyzujący, ale nie usypiający; wznosił koncentrację. Skan wolał się nie zastanawiać, jak to osiągnięto.

Długo nic się nie działo. Kamień pozostawał nieruchomy i Skan zaczął się bać, że plan Śnieżnej Gwiazdy spalił na panewce. Ale mag był niewzruszony i powoli zaczął przesuwając wahadełko na północny wschód od ostatniego obozowiska

dzieciaków.

I nagle, bez ostrzeżenia, wahadełko wykonało ruch.

Szarpnęło się gwałtownie, uciekając z miejsca, nad które przesuwał je Śnieżna Gwiazda. I zaprzeczając grawitacji, zawisło pod kątem, jakby coś je odpychało.

Śnieżna Gwiazda zamruczał — Skan nie wiedział, z satysfakcją czy nie — a Cis zaznaczył mapę kawałkiem węgla. Śnieżna Gwiazda przesunął dłoń.

Wahadełko opadło, jakby nigdy nie wykazywało odchyień od normy.

Mag przesunął je znów i raz jeszcze doszedł do miejsca, gdzie powtórzyło się dziwaczne zachowanie. Scena ta rozgrywała się raz za razem, Cis zaznaczał miejsca na mapie, a Śnieżna Gwiazda cofał dłoń.

Minęło wiele godzin, a pot spływał po twarzach magów, gdy Śnieżna Gwiazda upuścił wahadełko i nakazał Samotnemu Jeźdźcowi przestać. Węglowe kropki zaznaczały na mapie nieregularny kształt, teren, którego unikało wahadełko, a który mieli przeciąć Klinga i Tad. Cis połączył kropki.

— Założę się, że gdzieś tam są — powiedział wyczerpany Śnieżna Gwiazda. — To teren, gdzie nie ma magii; ani magii, ani energii magicznej. Wszystko, co jest wydzielane normalnie przez rośliny i zwierzęta, znika, i podejrzewam, że magia wniesiona na ten teren natychmiast uchodzi. Mogę tylko zgadywać, że to właśnie stało się z ich koszykiem, kiedy tam wlecieli.

— Kosz stał się ciężki i nie mogli frunąć? — zaryzykował Cis i gwizdnął, gdy Śnieżna Gwiazda przytaknął. — Niedobrze. Skąd wiedziałeś, czego użyć, aby się tego dowiedzieć?

Śnieżna Gwiazda wzruszył ramionami.

— Gielle podsunął mi pomysł, aby poszukać negacji i przypomniałem sobie szamańskie przepowiednie: można szukać tego, co istnieje, na przykład metalu, albo tego, czego nie ma, na przykład wody. Urtho mnie tego nauczył; używaliśmy tego zaklęcia, aby się upewnić, że nie budujemy posterunków na niestabilnym gruncie. — Spojrzał przez stół na Skanranona, który powtarzał sobie, że to przecież niemożliwe, aby cała magia zaklęta w koszyku zniknęła w jednej chwili. Wolał nie myśleć, co to oznaczało dla Tada, gdy kosz odzyskał swą normalną wagę podczas lotu.

— Zabierz mapę i powiedz Judeth, co znaleźliśmy — nakazał mu adept. — Zajmę się magami, których wysyłam z grupami poszukiwawczymi. Prawdopodobnie możemy się osłonić przeciw temu terenowi. Wątpię, aby to była robota maga. To pewnie wybryk natury, którego nie dostrzegli Haighlei, bo zawsze szukali magii, a nie jej braku.

Skan przytaknął, a Cis pokrył mapę szybko schnącym werniksem, aby utrwalić węgiel. Opary wymieszały się z dymem kadzidła, dając nieprzyjemny zapach, a gdy mapa wyschła, młody mag wręczył ją Czarnemu Gryfowi. Skan nie czekał, aby zobaczyć, co zrobi reszta; zabrał zwój i po raz drugi wyfrunął przez drzwi.

Tym razem ruszył prosto do sali narad, którą Judeth z przyzwyczajenia nazywała Salą Wojny. I wydawało się, że planują strategię: kiedy Skan wszedł, Judeth rozpostarła na stole mapę, z której wystawały szpilki, a Aubri stał na tylnych łopach, zaznaczając linię pazurem.

— Śnieżna Gwiazda uważa, że wyznaczył teren — powiedział Skan, gdy zapadła cisza, a wszyscy prócz Judeth obrócili głowy w jego kierunku. — Dlatego potrzebował mapy. Proszę.

Wręczył mapę najbliższej osobie, która rozłożyła ją na stole.

— Co to jest? — spytała Judeth, wskazując plamę.

— Teren, na którym nie ma magii — odparł Skan. Powtórzył, co powiedział mu Śnieżna Gwiazda, nie wspominając o szamańskich przepowiedniach. — Pewnie dlatego nie mogą uruchomić telesonu. Śnieżna Gwiazda uważa, że na tym terenie magia zostaje wyssana ze wszystkich przedmiotów.

— I jeśli zakłęcie zmieniające kosz w coś, co Tad mógł udźwignąć, zawiodło... — Judeth przygryzła dolną wargę, a ktoś zakaszał. — Nieważne, jak wylądowali: utknęli. Ani telesonu, ani magii: muszą się okopać i czekać na ratunek.

Aubri przez moment studiował mapę.

— Jedynymi zespołami, jakie tam wysyłaliśmy, były pary gryfów, z jednym wyjątkiem — stwierdził. — Ty i ja, Judeth. Mieliśmy kosz i lecieliśmy nad tym terenem. Nic nam się nie stało, więc skąd to się wzięło?

— Może obszar się powiększa? — zasugerowała jedna z adiutantów. — Im więcej pochłania, tym bardziej rośnie.

— Cóż za radosna perspektywa — parsknęła Judeth i poklepała dziewczynę po ramieniu, gdy ta zaczerwieniła się po uszy. — Masz rację i przekonamy się, co jest powodem zaburzeń. Jeśli ten obszar się powiększa, osiągnie nas prędzej czy później. Wystarczająco długo obywałam się bez magii i nie mam ochoty tego powtarzać.

— To duży teren — stwierdził Aubri. — Mogą być wszędzie, w zależności od tego, ile ulecieli, zanim musieli lądować.

Lądować. Albo spaść. Wyobraźnia Skana działała aż za dobrze, podsuwając mu obrazy kosza spadającego z nieba...

— Prawdopodobnie możemy go przeszukać, używając czterech zespołów i zakładając jeden obóz — powiedziała w końcu Judeth. — Ale sądzę, że trzeba będzie przeczesać to miejsce. Drzewa są większe, niż się spodziewamy; mogliście zgubić tam Wieżę Urtho. Gryfy nam nie pomogą.

— Mogą wypatrywać sygnałów dymnych — sprzeciwił się Aubri.

Judeth nie odpowiedziała, ale Skan wiedział, że się zastanawiała nad tym, o czym on wolał nie myśleć. Dzieciaki mogły być ranne tak poważnie, że nie były w stanie rozpalić ognia.

— Dobrze, niech dwójka, która już tam jest, szuka dymu — rzekła. — Ściągnę tu maga, aby postawił Bramę i poszukam ochotników do czterech oddziałów,

którzy powierzą swoje tyłki Bramie...

— Ja pójdę — powiedział głęboki głos od drzwi.

Skan obrócił głowę, gdy Ikała wszedł cicho do sali.

— Z całym szacunkiem, komendancie, musi mnie pani wysłać. Znam ten las, wasi ludzie nie. Zapomnijcie o mojej randze i pochodzeniu; mój ojciec nakazałby to w podobnej sytuacji. Tych dwoje to moi przyjaciele i towarzysze, pomoc im to dla mnie obowiązek i zaszczyt.

— Będiesz więc niezastąpiony. Ja też idę, możecie na mnie liczyć — powiedział Skan natychmiast. — Żuraw pewnie też będzie chciał. Judeth, masz więc, oprócz wojownika, także maga i uzdrowiciela.

Judeth westchnęła, ale się nie sprzeciwiała, zapewne wiedząc, że jej protest nic nie da.

— Dobrze, ale to będą duże ekipy. Nie chcę, żeby po nieznanym terytorium biegały kilkusobowe patrole. Potrzebuję dwóch magów, po jednym na każdą nocną wachtę w ekipie, i co najmniej tylu wojowników, Ikała, zwołaj ochotników wśród myśliwych i Srebrzystych. Skan, wracaj do Śnieżnej Gwiazdy, wytłumacz sytuację i powiedz, czego potrzebujemy. — Zmierzyła ich obu spojrzeniem. — Nie stać mi tu, ruszać!

Skan ruszył, ale wystartował z opóźnieniem i przegrał z Ikałą wyścig do drzwi. Kiedy wypadł na zewnątrz, Ikali już nie było.

Cieszył się bardzo, że Ikała zgłosił się na ochotnika i nawet perspektywa użycia Bramy nie zakłócała tej radości. Młody Haighlei był dokładnie tym, kogo potrzebowali: kimś, kto znał zagrożenia w dżungli i wiedział, jak im stawić czoło.

Śnieżna Gwiazda wyprzedził decyzję Judeth o Bramie.

— Zupełnie jakbyśmy bali się zaufać własnym Bramom! — zawołał gniewnie. — Od pięciu lat byliśmy gotowi ich używać, to wy macie pietra!

— Nie ja! — zaprotestował Skan, ale Śnieżna Gwiazda go nie słuchał.

— Gielle odleci z gryfem o świcie; Cis dołączy do jednego z trzech zespołów, kiedy tylko przejdziecie przez Bramę — mówił adept. — Zgłosiło się więcej magów, niż Judeth potrzebuje, ale nie wszyscy nadają się do takiej misji. Powiedz jej, że przedkładałam doświadczenie w walce nad moc; nie jesteśmy pewni, czy ta strefa jest wybrykiem natury. Niezależnie od tego, co sądzi Judeth, jej przyczyną może się okazać mag, który uszedł przed wojnami.

Skan przytaknął; był pewien, że Judeth już tym pomyślała.

— Poszukam Żurawia — rzucił. Zapowiadała się długa noc i był pewien, że nikt z nich nie zaśnie. Mogli od razu zacząć się pakować.

To było coś użytecznego.

Może i jesteś starzejącym się hedonistą, głupi gryfie, ale jesteś też skuteczny.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bursztynowy Żuraw nie spał w nocy. Mimo że zwijał się jak w ukropie, niewiele zyskał. Przerabiał cały czas ten sam scenariusz: w głowie, na papierze, w gorączkowych rozmowach z tymi, którzy słuchali: zazwyczaj zamęczał Gestena. Niezależnie od tego, jak długo pracował, zmęczenie nie mogło go pokonać.

Bezsensowność była tylko jednym z efektów ubocznych. Nie mógł wytrzymać bez ruchu: siadał albo kładł się tylko po to, aby zerwać się na równe nogi, kiedy przyszła mu do głowy kolejna nagła myśl. Mięśnie karku i pleców miał tak zeszywniałe, że żadna kąpiel nie mogła go zrelaksować, chociaż i tak długo nie wytrzymał w gorącym źródle. Nie jadł, odkąd usłyszał wiadomość. Miał zaciśnięte gardło, ściśnięty żołądek, co zaś się tyczy nerwów: gdyby przyszedł do niego pacjent w takim stanie, zaleciłby natychmiastowe uspokojenie u uzdrowiciela. Ale gdyby oddał się w wykwalifikowane ręce, byłby później do niczego. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Przypomniawszy sobie słowa, które usłyszał od Zhaneel dawno temu:

Kto uzdrowi uzdrowiciela?

Skan i Śnieżna Gwiazda nie zaangażowali wszystkich magów w mieście — pozostali ci, których zadaniem była komunikacja magiczna między Białym Gryfem a Srebrzystymi poza miastem (na przykład gwardią Shalamaną) oraz z samym Shalamanem przez jego kapłanów. Oczywiście, nie było mowy o bezpośredniej rozmowie z Shalamanem. W społeczeństwie Haighlei nie istniała możliwość bezpośredniego kontaktu z kimś ważnym. Wiadomość biegła do kapłanów, jedyńskich, którym wolno było używać magii, do Leyueta, Głównego Kapłana i potem do cesarza. Bursztynowy Żuraw wytropił maga odpowiedzialnego za komunikację i wysłał do Haighlei osobistą prośbę o pomoc, ale w końcu został sam.

Mógł zrobić tyle rzeczy. Nie był magiem, więc Skanowi na nic się nie zda. Mógł się spakować, co też uczynił, na wyprawę przez dzikie ostępy, ale to też nie zajęło wiele czasu, nawet gdy Gesten stanął za nim i przepakował cały bagaż. I na pewno nie mógł pomóc przy organizowaniu grup poszukiwawczych.

Nawet gdyby mógł, to i tak tylko pogorszyłby sprawę. Podejrzewał, że po wszystkich groźbach, jakimi się posłużył pośrednio i bezpośrednio, był ostatnią osobą, którą Judeth chciała widzieć. Aubri szybko puszczał doznane przykrości

w niepamięć, ale Judeth zbyt długo żyła w przekonaniu, że nie będzie już musiała radzić sobie z niedogodnościami polityki. Jak większość przywódców wojskowych, szczerze nienawidziła polityki, nawet jeśli drobne gierki pomagały jej osiągnąć cel. Sądziła, że bez króla, dworu czy tytularnego przywódcy będzie mogła robić ze swą policją, co zechce. Próbowała utrzymać niezależność Srebrzystych od rządu i udało jej się.

Teraz Bursztynowy Żuraw uświadomił jej, że nie istniało coś takiego, jak środowisko wolne od polityki i pod presją nawet przyjaciele użyją każdej broni, jaka znajdzie się w zasięgu ich ręki. I właśnie przekonała się w najboleśniejszy sposób, że gdy żyje się w społeczeństwie, nikt nie jest wolny od manipulacji.

Nikt nie lubi tracić złudzeń, szczególnie gdy ma ich tak niewiele.

Przez jakiś czas trudno będzie się z Judeth dogadać. Miał nadzieję, że jej rozsądek weźmie górę nad gniewem i w końcu zrozumie jego punkt widzenia. Być może uzna, że Bursztynowy Żuraw użył broni w odpowiednim czasie, a nie że przyjaciel zawiódł pokładane w nim zaufanie, aby dowieść swego. A jeśli nie, Judeth została jego wrogiem i nic na to nie mógł poradzić. Gdyby mógł cofnąć czas i powrócić do chwili, gdy jej zagroził, powtórzyłby te same słowa. Powiedział, co myślał, i niech Judeth lepiej się przyzwyczai, że ludzie, nawet główny kestra'chern, zrobią wszystko, aby chronić swe dzieci. Jako wojskowy nigdy nie musiała sobie radzić z taką sytuacją: buntowników odsyłało się albo poddawało szkoleniu. Rodzicielska opiekuńczość będzie odgrywała coraz większą rolę, ponieważ do Srebrzystych wstępowały dzieci założycieli Białego Gryfa. Może to dobrze, że przyczynił się do stworzenia takiej sytuacji?

Niezależnie od tego, co się stanie, znając siebie, będę jednocześnie chciał usprawiedliwienia jako zaniepokojony i zdesperowany ojciec oraz czuł się winny, że nie rozegrałem tego lepiej.

Niewiele mu zostało poza czekaniem. Czekaniem na poranek, na wiadomość od Shalamana i magów, czekaniem, czekaniem, czekaniem. . .

Zupełnie jak wtedy, gdy służył u Urtho, czekanie było najgorsze. Od tak dawna kontrolował przynajmniej część życia miasta, że, podobnie jak Judeth, przywykł do rozwiązywania problemów, gdy tylko się pojawiły, i to bez sprzeciwu. Teraz, gdy nie było już nagłych wypadków, miał poczucie utraty kontroli. Jego pozycję i wpływy przejęli inni, a jemu pozostało czekanie.

W końcu wrócił do domu, bo tam szukaliby go posłańcy. Chodził po ścieżce przed drzwiami, niezdolny do wejścia do jaskini, zbyt ciasnej i pełnej wspomnień po zaginionej córce, a jego myśli wirowały bezustannie na przemian strachem i gniewem, gniewem i strachem. Gniew na siebie, na Judeth, na Klingę: mało twórczy, ale nieunikniony, a poza tym złość hamowała wyobraźnię. Zbyt łatwo było wyobrazić sobie Klingę zranioną, bezradną, zagrożoną przez drapieżne zwierzęta albo innych jeszcze wrogów.

I znów jako ostatni dowiedział się tego, o czym wszyscy wiedzieli od dawna.

Był tylko ojcem Klingi i tylko kestra'chern. Ale liczenie na to, że ktoś się wreszcie nad nim zlituje, było nieuzasadnione. Chodził więc i siadał, wpatrywał się w ciemność, słuchał ryku fal. W świetle rzucanym przez miasto na zatokę piana na grzywach fal lśniła delikatnie. Po jego prawej stronie dzwonił cicho drewniany dzwonek powietrzny, po lewej szklany powtarzał jego odgłos. Jak często siadał tu w letnie wieczory i słuchał dzwonek?

Złapani między szkło i drewno, to, co się tłucze, i to, co da się kształtować, to, co śpiewa, i to, co przetrwa. Tak toczy się nasze życie.

Zimowa Łania dołączyła do niego długo po wschodzie księżyca. Usłyszał znajome kroki i ujrzał ją zbliżającą się od strony ratusza; światło księżyca srebrzyło jej włosy. Mrok ukrywał jej wiek; mogła być trondi'irn z sił Urtho albo kilka lat temu pierwszym ambasadorem u Haighlei. Gdy podeszła bliżej, zobaczył wypisane na jej twarzy oznaki napięcia i niepokoju.

— Pakują ostatnie zapasy — powiedziała, zanim się odezwał. — Skan i magowie nie wyszli jeszcze od Śnieżnej Gwiazdy, a Shalaman nie odpowiedział. Nie martw się, odpowie przed świtem; pamiętasz, jak długo urzęduje jego dwór?

Pamiętał; w tropikalnym klimacie Khimbaty wszyscy spali po południu, a potem bawili się, pracowali i rządzili długo po północy. Nie obawiał się, że Shalaman odmówi pomocy; cesarz mógł im przydzielić setki myśliwych ze swej armii i nawet nie zauważyłby ich braku. Pytanie tylko, czy myśliwi zdadzą się na cokolwiek? Najpierw kapłani muszą zaaprobować ich wymarsz, potem muszą przemierzyć wiele lig, zanim znajdą się w pobliżu miejsca zaginięcia dzieci. To wszystko wymaga czasu, cennego czasu...

Otworzył ramiona, a Zimowa Łania przytuliła się do niego. Szukali pocieszenia w swej obecności i ciepłe. Nie musieli rozmawiać; jedno mówiłoby to, co drugie myślało. Wiedzieli o tym i zdawali sobie sprawę, że rozmowa w niczym by nie pomogła, niczego nie ułagodziła.

Siedzieli więc na gładkiej chłodnej ławce z kamienia przed domem, obejmując się i czekając pod gwiazdami.

Nie było im łatwo, ale na pewno nie czuli się samotni.

O świcie Judeth musiała już ułagodzić swój gniew, bo nie okazywała go, gdy posłaniec przyprowadził Bursztynowego Żurawia i Zimową Łanię na coś, co nazywał „sesją planowania”. Oboje wykąpali się i zmienili ubrania, oczekując, że czyste ciała ożywią umysły. Bursztynowy Żuraw pozbył się swego wymyślnego stroju na rzecz ubrania przypominającego zwykłe odzienie Zimowej Łani, mając nadzieję, że po wschodzie słońca znajdzie się dla niego coś do roboty. Gdy przyszedł posłaniec, siedzieli nad śniadaniem, którego nie tknęli, a pojawienie się młodzieńca przyjęli z ulgą.

Skan, Zhaneel i Keenath już byli w ratuszu, równie spięci jak Bursztynowy

Żuraw, ale tylko ktoś dobrze znający gryfy dostrzegłby to napięcie w zbyt czystych piórach leżących płasko na ciele, co zdradzało, że mają mięśnie napięte jak postronki. Żuraw wątpił, czy spali, ale na widok Keenatha gniew przeszył mu serce.

On ciągle ma syna. I gdyby ten drugi tak bardzo nie chciał uciec z miasta, moja córka jeszcze by tu była!

Wiedział, że było to absolutnie nieracjonalne i niewłaściwe uczucie. Natychmiast je zdusił, a Zimowa Łania tak ich poprowadziła przez tłum, aby stworzyć z gryfami zwarty blok.

Judeth też nie spała. Miała podkrążone i opuchnięte oczy i wyglądała na dwa razy starszą. Aubri nawet nie udawał spokoju; nieustannie żuł jedno ze swych starych piór, prawdopodobnie by powstrzymać się przed oskubaniem się do czysta.

W sali było trzydzieści albo czterdzieści osób; Bursztynowy Żuraw zauważył, że sześcioro to magowie, a tylko on, Zimowa Łania, Skan, Keenath i Zhaneel nie należeli do Srebrzystych. Był tam Ikała i Bursztynowy Żuraw cieszył się z jego obecności, jakby młodzieniec reprezentował coś więcej, niż znajomość dżungli.

Mogli się pomieścić tylko w sali obrad i Judeth ją objęła w posiadanie, rozrzucając na stole mapy i inne dokumenty. Musiała tu być od dawna.

— Śnieżna Gwiazda i magowie odkryli coś cholernie niezwykłego — oznajmiła, gdy wszyscy zgromadzili się wokół stołu. Postukała palcem w ciemną, nieregularną plamę na mapie. — Na tym terenie nie ma śladów magii. Żadnych, a mówią, że to właściwie niemożliwie. Zaginiony patrol miał lecieć wzdłuż tej linii. — Zaznaczyła węglem linię przecinającą południowy kraniec plamy. — I jeśli coś tam niszczy energię magiczną, możecie sobie wyobrazić, co to oznacza dla koszyka i telesonu.

Bursztynowy Żuraw wyobraził sobie aż za dobrze; Zimowa Łania też, bo jej palce nagle wpiły mu się w ramię. Widział oczami duszy dwie figurki, odlatujące w dal, nagle znieruchomiałe, a potem pikujące w dół ku śmierci.

— To oznacza, że wylądujemy przy krawędzi i wejdziemy tam — ciągnęła Judeth, nie zdradzając, czy ona też wyobraziła sobie katastrofę. — Nasza Brama pewnie się nie otworzy na tym terenie i musimy zakładać, że żadne inne magiczne przedmioty nie będą funkcjonować. Będziemy musieli posłużyć się starymi zasadami operacji niemagicznych, chociaż owszem, zabierzemy ze sobą magów, na wypadek, gdyby magia jednak działała. Jeśli jednak nie ma tam lokalnego źródła, Śnieżna Gwiazda twierdzi, że magowie zostaną zredukowani do czeladników i pomocników, zdanych na własne siły. To znacznie ograniczy ich pole działania i magowie przydzieleni do akcji niech zaczną prowadzić skrupulatne rachunki sił!

Rzuciła ostre spojrzenie magom i Srebrzystym.

— A co z gryfami? — zapytał ktoś. — Nie mogą tam polecieć na zwiady, jak zwykle?

Judeth zamknęła oczy i westchnęła.

— Gdybym chciała jakiegoś znaku, że mamy pecha, nie musiałabym szukać daleko. Tam mamy teraz porę deszczową, a przepowiadacze pogody twierdzą, że popada jeszcze kilka tygodni. Burze już zmusiły do lądowania patrol, który szukał zaginionych Srebrzystych; wiemy, gdzie wylądowali. To może być efekt uboczny utraty magii na tym terenie; nie jesteśmy pewni. Oznacza to, że nie będzie żadnego latania. Nie zabronię gryfom przyłączenia się do poszukiwań, ale będą szukać na piechotę, dopóki pogoda się radykalnie nie poprawi.

— Ja, Zhaneel i Keeth wyruszamy — powiedział Skan. Judeth skinęła, jakby się tego spodziewała.

— W takim razie, skoro mam zamiar podzielić poszukiwaczy na trzy grupy, przydzielę każdej jednego gryfa. Wysłałam już gryfa z magiem od Bramy, ale on wróci prosto do domu, podobnie jak pozostała dwójka. — Judeth uniosła brew, jakby spodziewała się protestu ze strony Skana, ale srodze się zawiodła. Bursztynowy Żuraw rozumiał ten brak reakcji: gryf na ziemi był niemal unieruchomiony. Skan, Zhaneel i Keeth będą jednocześnie pomagać i zawadzać. Patrol poszukiwaczy był już wyczerpany, podobnie jak gryf, który zaniósł maga na miejsce.

— A teraz nasz plan — ciągnęła Judeth. — Otworzymy Bramę tutaj; nie chcę się bardziej zbliżać do tego terenu.

Dziabnęła mapę palcem. „Tutaj” znajdowało się dokładnie na linii lotu Klingi i Tada.

— Mag i kilku ludzi zostanie tutaj, w obozie, czekając na was.

Podzielimy się: grupa Skana i Żurawia ruszy na północ, do szczytu tego terenu i tam przekroczy jego granice. Grupa Ikali, w której znajdzie się Keenath, pójdzie prosto. Grupa Zhaneel i Zimowej Łani na południe. W ten sposób przeszukamy jak najwięcej terenu w jak najkrótszym czasie. — Wyprostowała się i spojrzała na Skana. — Jeśli chcesz zapytać, dlaczego nie posłałam was oczekiwanym szlakiem lotu, odpowiadam: patrol już tamtędy przeleciał i nic nie znalazł, zanim ich burze nie zmusiły do lądowania. Klinga i Tad albo tamtędy nie lecieli, albo potrzeba znawcy terenu, aby znaleźć ich ślady. Jest nim Ikała. Poprowadzi grupę ludzi przyzwyczajonych do szybkiego marszu i gdy sprawdzi szlak, skieruje ich na północ i południe od niego. Wy dwaj ruszacie innym szlakiem; Tad zawsze miał skłonności, aby lecieć na północ od wyznaczonej drogi. I podejrzewam, że jeśli są gdzieś tam, to na pewno na północy.

— Ale to tylko podejrzenia — stwierdził Skan. — Mogą być na południu.

— Bogowie wiedzą, że moje podejrzenia wcześniej okazywały się błędne — przytaknęła Judeth. — Po to trzecia grupa. Grupy liczą sobie osiem osób: jednego gryfa, jednego uzdrowiciela albo trondi'irn, czy kogoś w tym guście, do ciebie mówię, Żuraw, dwóch magów i pięciu wojowników, doświadczonych Srebrzystych. Mniej osób prowokuje atak, ale więcej nie potrzeba. Nie musicie się pakować; dostaniecie standardowe wyposażenie Srebrzystych, łącznie z apteczkami, a na zmianę ciuchów nie będziecie mieli czasu. A poza tym, gdy staniecie

na noc, wy i wasze ciuchy będą już wyprane.

Jej wzrok utkwiony w Żurawiu mówił: *A jeśli ci się to nie podoba, nie musisz iść.*

Odwzajemnił spojrzenie. *Spróbuj mnie powstrzymać, a wybije ci zęby.*

Czekała, aż się odezwie, patrząc na niego wyzywająco, ale w końcu ona spuściła wzrok.

— To jest misja typu „wpaść-wypaść”, im szybciej, tym lepiej. I od tej chwili powinniście mieć świadomość, że zmierzycie się z prawdziwym wrogiem, i to potężnym, skoro potrafi oczyścić miejsce z energii magicznej. Nie wiem, dlaczego magia wyciekła, ale zakładam, że spowodowała to wroga siła, której nie spodoba się dwudziestu czterech ludzi hasających po jej terenie. Gdy tylko mag dotrze do punktu otwarcia Bramy, zacznie ją stawiać, a ja nie chcę, żeby ją trzymał dłużej niż to konieczne, aby was wszystkich przez nią przepchnąć. Zrozumiano?

Znów spojrzała na Żurawia, jakby tylko do niego mówiła. Jej ton sugerował, że jeśli nadarzą się sprzyjające okoliczności, przepchnie go przez Bramę. Jak wszyscy, tylko przytaknął.

— Dobrze. Od teraz do wyjazdu jecie, śpicie i wszystko inne robicie tutaj. — Uśmiechnęła się, widząc zaskoczenie. — Tak będzie szybciej, niż łapać was wszystkich, gdy mag dotrze na miejsce. Nie zamierzam tracić cennego czasu na uganianie się za wami. Ustawimy prycze; maga niesie Darzie, więc spodziewam się, że wylądują w ciągu następnej doby.

Bursztynowy Żuraw był zaskoczony, tak wyborem gryfa, jak i szybkością, z jaką para miała dotrzeć na miejsce. Zastanawiał się, czym Judeth przekupiła Darziego, aby poleciał z koszykiem, a do tego w rekordowym tempie i przy złej pogodzie. Darzie nie należał do Srebrzystych; był jednym z nowej klasy gryfów, głównie sportowców. Czy to aerobaci, czy posłańcy albo gryfy wyścigowe, zarabiali na wystawne życie, zaspokajając apetyt Haighlei na pokazy aerobatyczne. Darzie był najlepszym posłańcem i jednym z najszybszych — latał lepiej niż gryfy, które czasami go prześcigały. Trudno było sobie wyobrazić, czego użyła Judeth, aby przekonać go do lotu mimo ryzyka przemoczenia i kontuzji.

Ale może Żuraw był sceptyczny; może Darzie zgłosił się na ochotnika. . .

Po uprzednim zaszantażowaniu.

Skoro Judeth go przekonała, nieważne jak: szantażem czy przekupstwem, czy też kombinacją obu.

Może idzie w moje ślady. Bogowie wiedzą, że ma władzę, i na pewno każdy w tym mieście choć raz w życiu zrobił to, czego ona zapragnęła.

— Pytania? — zapytała Judeth. — Nie? Dobrze. Spadać, a ci, którzy nie spali w nocy, zostaną uśpieni przez Tamsina. — Wszyscy wiedzieli, kogo mierzyła jadowitym spojrzeniem, a Żuraw i Skan wdrygnęli się. Nie skończyła. — To dotyczy mnie; nie zdamy się na nic, jeśli nie będziemy wypoczęci przed wyprawą. Mam rację, Żurawiu?

Zaskoczyła go tym pytaniem, a jeszcze bardziej współczuciem i zmartwie-
niem, które wyczuł w jej głosie. Przełamała jego bariery.

— Tak, oczywiście — przyznał pokornie, odprężając się nieco. *Rozumie i przebaczyła nam...* Nie liczył na tak szybkie przebaczenie, ale powitał je ja-
ko iskierkę nadziei wśród rozpacz.

— Właśnie. Cieszę się, że się zgadzasz, bo pójdziesz spać jako pierwszy. —
Przy drzwiach powstało zamieszanie, bo jednocześnie wnoszono materace, je-
dzenie i Tamsin próbował wejść. — Wszyscy spocznij i pozwólcie się sobą zająć.
Dopilnuję tego.

I rzeczywiście: stała nad nimi jak nadzorca niewolników, pilnując, aby każdy
poszukiwacz się najadł, napił i poddał dotykowi Tamsina. Tak jak powiedziała,
Bursztynowy Żuraw poszedł na pierwszy ogień, a on wolał z nią nie zadzierać.

Przełknął kilka garści jedzenia, które smakowało jak papier, wypił, co mu po-
dano i położył się na wojskowym materacu. Zamknął oczy, gdy Tamsin się nad
nim pochylał, a następnego dnia obudził go sygnał pobudki.

Deszcz — Dlaczego musi padać? Wolałbym węże. Skandranon starał się skupić
na czysto fizycznych niewygodach, ale nie potrafił. Miał gęsią skórę, i to nie na
skutek deszczu. Gdyby wilgoć nie przylepiła mu piór do skóry, przypominałby
ogromnego jeża.

Nie podobało mu się to miejsce, a niechęć nie miała absolutnie nic wspólnego
z obrzydliwą pogodą.

Być może czuł tak dlatego, że ten niezwykle, klaustrofobiczny las wessał bez
ślądu Klingę i Tada, ale nie z tego powodu jego przemoczone pióra stawały dęba.
Drugi mag w zespole też czuł się źle i gdyby pozwolono mu wybierać, w te pędy
wróciłby do obozu-bazy, ponieważ po prostu coś było tu nie tak.

Obaj, po dyskusji poprzedniego wieczora, doszli do wniosku, że miało to
związek z brakiem energii magicznej w tym miejscu. Prawdopodobnie uczeń czy
czeladnik czułby się lepiej; oni nie byli przyzwyczajeni do wyczuwania i używa-
nia energii z zewnątrz, chyba że przekazanej przez innego maga. Ale mistrzowie
tacy, jak Skan i Filix, byli tak przyzwyczajeni do wszechobecnych prądów ener-
gii magicznej, jak gryf do prądów powietrza. Nawet gdy burze magiczne narobiły
takiego zamieszania, energia nigdy nie zniknęła, po prostu działała inaczej. Ale
brak jej wokół — to było złe, bardzo złe. Skan był zdezorientowany i wytracony
z równowagi, ciągle szukając czegoś, czego nie było.

Zupełnie jakbym nagle stracił zmysł, na przykład węch.

Jednak szybka próba udowodniła, że magia ciągle działała, a magiczne przed-
mioty, które ze sobą zabrali, nadal im służyły. Kolejne próby dowiodły, że —
przynajmniej na razie — nie było pochłaniania energii. Moc, istniejąca w każdym
miejscu, powoli się rekonstruowała. Tak więc to, co było nie tak w tym lesie, nie

negowało magii, tylko ją usuwało. Czy zanik był stopniowy, czy natychmiastowy, pozostawało pod znakiem zapytania. Poza tym złodziej musiał się zakradać i regularnie opróżniać zasoby, inaczej istniałyby tereny, na których zachowałyby się choć cząstka magii.

A kim był złodziej, nie miał pojęcia. Wolał też nie myśleć, co się stało, gdy energia magiczna wypłynęła z koszyka za jednym zamachem.

Skandranon powtórzył kilka nowych zdań, których zamierzał użyć, gdy już kogoś przyszpili i zmusi do współczującego słuchania. W końcu musiał dbać o swą reputację, a słynął z kwiecistego języka. Wolał myśleć o tym i uważać się nad przemoczonymi piórami, przemarznięciem i zakwasami, które pojawiły się w mięśniach po dwóch dniach spacerków. Tego nie brał pod uwagę i fakt, że Żuraw był w lepszej formie, niepomiernie go denerwował! Żuraw od dwudziestu lat biegał po schodach i drabinach w Białym Gryfie; on tylko latał. Przypominał sobie kilka wypadków, gdy musiał się wspinać — żaden z nich nie zdarzył się w ciągu ostatnich trzech lat. Keeth ostatnio ćwiczył na torze przeszkód, a Zimowa Łania dołożyła wszelkich starań, aby się napracował. Biedna Zhaneel też musiała cierpieć.

Ale jej dogląda najlepsza trondi'irn w mieście. Ja mam tylko Żurawia, który robi, co w jego mocy, ale mimo wszystko... martwi się.

Deszcz nakapał mu do nozdrzy, więc kichnął, gwałtownie potrząsając głową. On i Żuraw zamykali pochód; ponieważ miał czulszy słuch niż ludzie, umieszczenie go z tyłu, gdzie mógł usłyszeć zbliżające się niebezpieczeństwo, wydawało się dobrym pomysłem. Teraz żałował, że nie poprosił Judeth o przydzielenie dwóch kyree do każdej grupy; byłby z nich większy pożytek niż z ludzi.

Deszcz lał się z nieba, odkąd mgła się podniosła. Klimat był zaiste wspaniały: mgła przed świtem i po świetle, deszcz aż do zmroku, wilgotny chłód aż do świtu i znów mgła. Judeth miała rację, zsyłając ich na ziemię, sam by to zrobił, widząc pogodę; żaden gryf nie mógł bezpiecznie latać w tej brei, nawet gdyby skrzydła wyschły mu na tyle, aby się oderwał od ziemi. Darzie doniósł maga na miejsce tylko dlatego, że głupi zawsze ma szczęście, a poza niemagicznym terytorium pogoda zmieniła się w „normalną” porę deszczową.

A poza tym Darzie jest tak młody i lata, jakby był nieśmiertelny. Jak inny głupi, głupi gryf, którego znałem. I choć w głównym obozie pogoda była normalna, oznaczało to wściekłe burze każdego popołudnia. Darzie leciał i lądował podczas jednej z nich, dumnie zapewniając, że cała sztuczka polegała na zgraniu w czasie i obserwowaniu, gdzie uderzały pioruny. Jego pasażer był biały jak ściana i pytany o lot, milczał znacząco.

Żuraw odkrył, co skłoniło Darziego do lotu: wyzwanie. Judeth zapytała młodego gryfa, czy znał kogoś, kogo ewentualnie można było przekonać do podjęcia misji, sugerując, że on tego na pewno nie dokona. To wystarczyło, aby Darzie zaczął ją przekonywać, że tylko on jest do tego zdolny. I rzeczywiście, dokonał

przelotu w rekordowym tempie, bez uszkodzenia siebie czy pasażera.

Z punktu widzenia szybkości, zuchwałości i szaleńczej odwagi ten lot był bardziej brawurowy niż niektóre legendarne dokonania Czarnego Gryfa.

Niektóre, ale nie wszystkie. Darzie będzie potrzebował czasu, aby stać się legendą i jeśli jest mądry, zrobi to na swój sposób, nie naśladowując mnie. Sądzę, że ja miałem szczęście jak dwadzieścia gryfów.

Skan, ludzie z głównego obozu i dwudziestu trzech poszukiwaczy przeszli przez Bramę, ustanawiając własny rekord. I chociaż nikogo nie przepchnięto, zrobiono tak z zapasami; mała armia Judeth dosłownie wrzuciła je do środka. Nawet podczas uzupełniania zaopatrzenia Skan nie widział, aby postawiono i złożono Bramę w takim tempie.

Darzie wrócił do domu, gdzie czekał na niego tłum fanów i wszystkie wolne gryfice w mieście; po takim powitaniu musiał być bardziej wyczerpany niż po samym locie. Mag, który otworzył Bramę, oraz jego pomocnicy zostali w obozie; reszta założyła plecaki i wyruszyła w drogę. Nikt ich nie poinformował, że aby dotrzeć do lasu, gdzie zaginęły dzieci, muszą złązić po klifie. Trzy gryfy otrząsnęły się i sfrunęły, ale ludzie przeszli swoje, złącząc po skalnej ścianie. Doświadczenie to, w samym środku burzy, nawet starych wyjadaczy przyprawiło o dreszcze. Wszystko, czego się tknęli, było śliskie od błota, wody i substancji, których pochodzenia woleli nie znać.

Kiedy już zeszli, podzielili się na trzy grupy i ruszyli każdy w swoją stronę, a Skana zaskoczyło, jak szybko las wchłonął dwie pozostałe grupy. W przeciągu kilku chwil nie słyszał już niczego prócz deszczu, pogwizdywań, okrzyków i świergotu ptaków w koronach drzew.

Każdy dzień był podobny do poprzedniego; tylko prowadzący wiedział na pewno, że nie kręcili się w kółko. Pióra Skana wysychały tylko wtedy, gdy kładł się spać; gdy wysuwał dziób z namiotu dzielonego z Żurawiem i drugim magiem, natychmiast przemakał. Albo mgła zbierała się na jego piórach i przenikała je, albo zlewał go deszcz.

A teraz był przemoczony na wylot.

A poza tym miał depresję, chociaż miałby ją nawet wtedy, gdyby świeciło słońce.

Czy możemy mieć nadzieję, że znajdziemy jakiś ślad? — pytał samego siebie, gapiąc się na nieskończone morze liści i szeregi pni pokrytych bluszczem albo zasłoniętych krzewami. Nie było śladu ścieżek zwierzęcych, a co się zaś tyczy zwierząt: cóż, polował rankiem, kiedy jeszcze mógł latać i chwycić jakieś stworzenia. Mogą być tuż obok nas, a my o tym nie wiemy! Ten las był nie tylko klaustrofobiczny, ale też denerwująco wszechogarniający. Jeden z wojowników przysięgał, że widział, jak krzewy rosą, a Skan mu wierzył.

Ile czasu zajmie, zanim krzewy i liany pokryją miejsce katastrofy? Kilka dni? Tydzień? Dzieci zaginęły tydzień temu, może wcześniej; stracił poczucie czasu.

A mogły spaść trzy albo cztery dni wcześniej. Ponure myśli; tak ponure jak otoczenie. A jednak nie zamierzał się poddać; dopóki istniała najmniejsza szansa odnalezienia dzieci, nie zamierzał się poddać. Musiał wiedzieć, co się z nimi stało. Najgorsza była niepewność.

Żuraw wyglądał tak, jak Skan się czuł. Kestra'chern był przez cały czas ponurą, milczącą, przemoczoną i ubłoconą kupką nieszczęścia. Odzywał się, kiedy ktoś do niego zagadał; bez prośzenia opatrywał drobne skaleczenia, ale ograniczał się do pomocy fizycznej, co było do niego niepodobne. Rozbijał namioty i doglądał ognia, ale myślami był gdzie indziej. Gdzieś tam, w lesie, i Skan zastanawiał się, czy Żuraw próbował użyć swych zdolności empatycznych jako innego rodzaju kompasu, koncentrując się na znalezieniu bólu i strachu gdzieś między drzewami. Więzy krwi z córką uwrażliwiały go na jej cierpienie. Jeśli żyła, mógł ją znaleźć, gdyby zawiodły metody konwencjonalne.

Ma moc; nigdy nie używał jej w ten sposób, ale to nie znaczy, że nie skutkuje. Skan żałował, że nie posiadał podobnych zdolności. W takim stanie służył jedynie za zwierzę pociągowe i niewiele pomagał. Nie umiał tropić, nie mógł używać magii, nie wyczerpując się, a poza tym jego talenty ograniczały się do latania. A mógł fruwać tylko wcześniej rano.

Regin, dowódca grupy, podniósł dłoń, wstrzymując ich po raz kolejny tego dnia. Nie było żadnych powodów dla takiego zachowania, które zaczynało męczyć Skana. Dlaczego zatrzymywać się i sterczeć na deszczu bez powodu? Im więcej przejdą, tym większe mają szansę na odnalezienie czegoś. Przesunął się i poczłapał do przemoczonego Srebrzystego, któremu Judeth powierzyła dowództwo.

— Regin, a na co my właściwie czekamy? — zapytał jadowicie. Na szczęście mężczyzna puścił sarkastyczne pytanie mimo uszu i odpowiedział, wskazując w górę. Skan podniósł głowę, aby dostrzec Berna, zwiadowcę, zjeżdżającego po pniu tak szybko, że gryf jęknął.

— Bern szuka wyrw w drzewach — odparł Regin, gdy Bern machnął i ruszył przed siebie. — Zakładamy, że spadając, kosz wybił dziurę; dziura ciągle tam będzie. Włazi na wysokie drzewo i rozgląda się wokół, szukając świeżych wyrw. Możesz mi nie wierzyć, ale jeśli w koronie jest dziura, wpada przez nią więcej światła, co widać, jeśli się wspiniesz odpowiednio wysoko. Na to właśnie czekamy.

Bern pojawił się chwilę później, potrząsając głową. Skan nie musiał znać sygnałów Srebrzystych aby odczytać ten: „żadnych dziur”. Odbyli krótką naradę ze zwiadowcą, który ruszył do lasu. Reszta podążyła za nim.

Jak na razie nie było znaków, że coś ich śledziło lub obserwowało, ani żadnych ataków. Skan zaczynał podejrzewać, że naleganie Judeth, aby brali pod uwagę istnienie wrogiej istoty, było zwykłą histerią. Jedyne mieszkańcami tego obszaru były dzikie zwierzęta; to, co wyciągało stąd energię magiczną, musiało być wy-

brykiem natury. Może dzieci dostały się w jego zasięg. . .

Skan wycofał się na miejsce obok Bursztynowego Żurawia, czując się nieco lepiej, bo wiedział, że nie działają na oślepa.

Żuraw nadal był przybity, ale ożywił się nieco, gdy Skan wyjaśnił mu, co planowali dowódcy.

— Miewano już gorsze pomysły — rzekł z namysłem, odsuwając z oczu przemoczone włosy. — Nie mam wzroku gryfa, ale lepszy taki niż żaden.

Prowadzący znów się zatrzymał. Skan spróbował przebić wzrokiem zasłone deszczu, ale nie udało mu się to. Nawet jego doskonały wzrok nie potrafił wypatrzyć zwiadowcy.

— Nie mam pojęcia, jak Bemowi udaje się wspinać przy takiej pogodzie, i to w takim tempie. — Skan zrobił kilka kroków i przykucnął przy kępie bluszczu, ale widok wcale się nie polepszył. — Musi być zręczny jak jedno z tych włochatych stworzeń, które Shalaman trzyma w swoim pałacu. O ile mi wiadomo, pochodzą właśnie stąd.

Żuraw obojętnie wzruszył ramionami.

— Ja. . .

— Tutaj!

Skan spojrział w górę i dojrzał figurkę, machającą gwałtownie ramionami. Stała na konarze, przytrzymując się pnia jedną ręką. Drugą pokazywała kierunek.

— Tutaj! — wrzasnęła. — Świeża dziura, tędy!

Świeża dziura? Wszyscy pomyśleli o tym samym, ale Srebrzyści zareagowali szybciej niż Skan i Żuraw. Rzucili się biegiem przez krzaki, zostawiając spóźnioną dwójkę w tyle.

Serce Skana waliło, bynajmniej nie z wysiłku. Pragnął pędzić na przedzie i pewnie by tak zrobił, gdyby nie fakt, że ledwie dotrzymywał Srebrzystym kroku. Ku jego zawstydzeniu, w chwili, kiedy coś go podejrzenie zakłuło w boku, Bern przeskoczył krzak za nimi, wyprzedził ich i objął prowadzenie.

Efekciarz. . .

Któryś ze zwiadowców zawołał ich; nie rozróżnili słów, ale ton głosu powiedział Skanowi wszystko. Podniecenie, ale nie żal, nie zaskoczenie.

Znaleźli coś. Coś, nie kogoś. Nie znaleźli ciała. . .

Z rezerwy, o której istnieniu nie wiedział, popłynęła siła i szybkość, i ruszył do przodu skokami, które wyniosły go na polankę pod dziurą w koronach drzew. Przedarł się przez pozostałości prowizorycznej palisady.

Obóz! To była jego pierwsza myśl; jeśli Tad i Klinga zbudowali obóz, nie mogli być poważnie ranni. Potem się rozejrzał i oklapł. To nie był regularny obóz, tylko schronienie zbudowane z wraku i tego, co udało się zebrać. Regin, oglądający pozostałości koszyka, podniósł wzrok, gdy Skan stanął na skraju przecinki.

— Tak, rozbili się tutaj. — Wskazał na wyrwę w liściach. — Odeszli, ale uderzyli tutaj, i to tak porządnie, że rozwalili dwie burty koszyka. Oboje przeżyli,

ale nie wiem jak. Może gałęzie wyhamowały ich upadek. Zniknęła apteczka, ślady wskazują, że oboje z niej korzystali.

Byli tutaj. Ranni. Odeszli. Dlaczego?

— Dlaczego ich tu nie ma? — spytał zaskoczony.

— Dobrze pytanie. — Regin sortował przedmioty, które wyglądały, jakby je tu porzucono. — Mówi się: jeśli miałeś wypadek, zostań przy wraku. Sądzę, że tak postąpili, zostali tu ze dwa dni, a potem coś ich zmusiło do odejścia. Wygląda na to, że ruszyli w pośpiechu, ale nie ma śladów walki.

— Może coś ich wystraszyło — zasugerował Żuraw. — Albo... no cóż, to nie jest najlepszy obóz...

— To jest gówno, nie obóz — poprawił sucho Regin. — Ale gdybym miał tylko wrak i był ranny, nie postawiłbym nic lepszego. To tylko schronienie. Szkoda, że nie wiem, co jeszcze się rozpadło i co zabrali ze sobą. — Wyprostował się i rozejrzał, marszcząc czoło. — Nie ma tu śladów walki ani polowania. Mogło im się skończyć jedzenie, a rannym trudno polować. Nie ma stałego źródła wody...

Bursztynowy Żuraw chrząknął grzecznie.

— Stoimy pod stałym źródłem wody — przypomniał.

Regin wzruszył ramionami.

— Uczą nas, aby nie polegać na deszczu. Ani zwierzyny, ani wody, obóz nie do obronienia. Gryfy dużo jedzą; jeśli szlag trafił ich zapasy, po dwóch dniach wszystko zgniło i nie nadawało się do jedzenia. A potem musieli zacząć polować, aby wyżywić samego Tadritha. Sądzę, że zostali tutaj, aż odzyskali siły, a potem ruszyli w stronę domu. Prawdopodobnie zaczęli już nadawać sygnały. — Wykrzywił się. — Mam nadzieję, że ich trop zbytnio nie ostygł, ale z drugiej strony, jeśli skierowali się bezpośrednio na zachód, będziemy na ich ogonie. Ja bym wrócił nad rzekę. Kiedy jesteś ranny, łatwiej łowić, niż polować.

Skan rozgniewał się.

— Chcesz powiedzieć, że mogliśmy iść wzdłuż rzeki, aby ich odnaleźć?

— Właśnie. — Regin uśmiechnął się kwaśno. — Ale pociesz się: wiemy, że żyją i że raczej nic im nie jest.

Skan przytaknął, a Regin nakazał Bemowi szukać tropu. Gdy zwiadowca wrócił do pracy, Skan zauważył kilka szczegółów.

Po pierwsze, szczątki wyglądały dziwnie, jakby najpierw rozrzucono je bez ładu i składu, potem zebrano, przejrzano i posegregowano.

Po drugie, nie było wiadomości, notek czy jakichkolwiek znaków zostawionych dla poszukiwaczy. Oczywiście, dzieci nie wiedziały, czy ktoś natknie się na obóz, ale dlaczego nie zostawiły niczego?

A po trzecie, w pozostawionym ekwipunku nie było nawet najmniejszego śladu magii. Podejrzenie było słuszne, coś wyssało magię z ich wyposażenia, a z miejsca upadku wnioskując, zdarzyło się to w jednej chwili. Ale wyposażenie grupy poszukiwawczej zostało nietknięte — na razie.

Co tego dokonało? Co szperało w pozostałościach obozowiska?

I co zmusiło dzieci do ucieczki w nie znany las, tak że nie zostawiły nawet znaku dla poszukiwaczy?

Czy odpowiedź na trzecie pytanie była taka sama, jak na dwa poprzednie?

Tad przebrnął przez wodę do kostek, stojącą u wejścia do jaskini, starannie unikając trzech wędek Klingi. Klinga pokazała mu swój połów, a on pokiwał głową z aprobatą.

— Poziom wody podniósł się — rzekł. — W niektórych miejscach zakrywa ścieżkę.

Należało się tego spodziewać, biorąc pod uwagę, ile jej spada z nieba.

— Cóż — stwierdziła Klinga z rezygnacją. — Przynajmniej mamy stałe źródło wody i nie musimy wychodzić z jaskini na połów.

Nie przestawało padać od nocy, kiedy tu dotarli. Zastanawiała się kiedyś, jak wyglądała pora deszczowa: teraz wiedziała. Strumyczek biegnący przez jaskinie nie powiększył się, ale przyspieszył swój bieg. Rzeka się podniosła i mogli zarzucać wędkę, nie ruszając się z jaskini, i nadal oczekiwać porządnego połowu.

Nie byli obleżeni, ale nadal nie widzieli łowców w pełnym świetle. Cienie przemykające w poszyciu jasno dowodziły, że powrót na drugi brzeg zakończyłby się konfrontacją.

Tad przytaknął, rozpinając swe zdrowe skrzydło nad ogniem. Przywłókł ze sobą całe drewno, jakie mógł znaleźć, i w jaskini leżał przyzwoity stosik. Znalazł też rzeczy dające czarny gęsty dym i drugie ognisko było wyjątkowo nieprzyjemne. Rozpalili je pod ścianą, a dym leciał w górę naturalnego komina. Czy ktoś go dostrzeże, pozostawało pytaniem bez odpowiedzi: w taką pogodę latały tylko zdesperowane gryfy — albo samobójcy.

Z drugiej strony: jak zdesperowany był teraz Skandranon albo bliźniak Tada? Na tyle, by spróbować?

Kinga jednocześnie liczyła na to i miała nadzieję, że jednak byli oni bardziej rozsądni; ich prześladowcy stawali się coraz odważniejsi i nie chciała, żeby Tad wychodził dziś z jaskini. Co prawda, nadal pozostawali cieniami wśród krzewów, ale widziała, jak za dnia wystawiają łby z liści.

— Sądzę, że mogą spróbować czegoś dziś w nocy — rzekł Tad zbyt obojętnie. — Wiem, że cały czas mnie obserwowali i miałem wrażenie, że to coś na drugim brzegu jest sfrustrowane i zaczyna tracić cierpliwość.

— Mam takie samo wrażenie — przyznała Klinga. Opuszczanie zastón i badanie drugiej strony rzeki wcale nie było takie wesołe, ale niezbędne. Liczyła na to, że wyczuje nadchodzącą pomoc, ale napotkała zimną i obcą falę dzikiego gniewu, więc szybko się zamknęła i przez moment siedziała drżąca w jaskini. — Próbowałam użyć empatii i odniosłam to samo wrażenie. Bardzo chcieliby nas

dostać.

Liczyła, że Tad nie będzie robił awantury o to wyznanie; w końcu sam nalegał, żeby używała wszystkich swych mocy. A kiedy wreszcie poddała się temu molestowaniu, nie chciała słyszeć: „A nie mówiłem, że to dobry pomysł?” Nie wiedziała, czy to był dobry pomysł, bo stwory na drugim brzegu mogły przecież ją wyczuć, tak jak ona je.

Ale czego by się dowiedziały? Że była ranna i przestraszona? To nie było tajemnicą.

Na swoje szczęście Tad tylko kiwnął głową.

— Dobrze wiedzieć, że to nie tylko moje zmartwienie — powiedział i westchnął. — Nie mam wyrzutów sumienia przy stawianiu pułapek.

— Co... — zaczęła. W tej samej chwili napięła się jedna z żyłek i Klinga rzuciła się wyciągać rybę. Jednak kiedy zdjęła ją z haczyka i znów zarzuciła przynętę, wróciła do tematu.

— Jak myślisz, jakie pułapki będą skuteczne na naszym brzegu rzeki? — zapytała. - Gdzie je możemy zastawić?

Jak na razie nie mieli szczęścia z paściami, do których raz wpadł jeden z cieni. Zupełnie jakby widząc te pułapki, łowcy zaczęli ich unikać. Nie działały też duże sidła, ale na to nie liczyli, ponieważ nie mogli ich ukryć. Ale teraz, gdy woda się podniosła, mogli ukryć je pod nią... .

— Nad tym też myślałem. Jest tylko jedno naprawdę dobre miejsce — powiedział. — Rzeka tak wezbrała i przyspieszyła, że mogą ją przekroczyć tylko w jednym miejscu, w dole, tam, gdzie my przeszliśmy. Nie zastawiłem tam pułapki, tylko niewinną atrapę, która wygląda jak lawina. Prawdziwa lawina spadnie im na łby kawałek dalej.

— Zobaczą nieszkodliwą atrapę i wejdą prosto pod lawinę?

Przytaknął pełen dumy.

— Całkiem sporą lawinę. Jeśli naprawdę będą chcieli nas dopaść, przynajmniej jeden zginie albo zostanie poważnie ranny, chyba że zobaczą odbicia światła i będą mieli więcej szczęścia, niż na to zasługują, bydlaki.

— Tylko żebyś nie zranił kogoś, kto przybędzie nam na ratunek! — ostrzegła. Wczoraj spierałaby się z nim o sens zastawiania pułapki, która miała zabić, a nie odstraszyć, ale to było, zanim otworzyła się na stwory zza rzeki. Nadal nie widziała, jak wyglądały, ale wiedziała, czym były. Na pewno drapieżnikami, posiadającymi specyficzną zimną inteligencję, która wzbudzała w Klindze pragnienie posiadania solidnego łuku, dwóch sprawnych ramion i trzech tuzinów strzał. Plusy i minusy, wynikające dla terenu z istnienia tych zwierząt, będzie rozważać później; gdyby się od nich odczepiły, dałaby im spokój. Ale jeśli dopadną ją lub Tada, uderzy równie skutecznie i śmiertelnie jak one.

Pytanie, czy stworzenia były sforą kogoś innego, nadal pozostawało bez odpowiedzi; nie potrafiła czytać w myślach, nawet jeśli te paskudy rzeczywiście były

zdolne do myślenia. Nie wyczuła jednak niczyjej obecności; wszystkie zwierzęta były takie same i z pewnością tworzyły stado.

Co mogło oznaczać, że ich pana nie było: wylegiwał się gdzieś i obserwował całą akcję w szklanej kuli. To odpowiadałoby opisowi sadystycznego maga; nie mogła sobie wyobrazić, aby taki Ma'ar wystawiał się na deszcz i grzązał w błocie.

Jeśli naprawdę za tym wszystkim stał adept i jeśli tylko dostanie go w swoje ręce...

— To nie jedyna pułapka — ciągnął dumnie Tad, nieświadomy jej czarnych myśli. — Założyłem pod wodą katapulty, które wyrzucą ich do strumienia, kamienie, które uwiężą łapy i więcej sideł. To wszystko i barykada u wejścia do jaskini powinny dać nam pewne poczucie bezpieczeństwa.

— Tak długo, jak długo będziemy mogli stąd łowić — poprawiła. — Tak długo, jak ty będziesz w stanie znieść jedzenie ryb.

— Wystarczy, że pomyślę o jedzeniu suszonego mięsa, a ryba staje się zupełnie nową rozkoszą dla podniebienia — odparł. — Zaczynam odróżniać jedną surową rybę od drugiej. Niektóre są słodkie, inne tłuste...

I dla mnie smakują identycznie.

— Wierzę, wierzę! — przerwała szybko. — Zastanawiam się, czy moglibyśmy upleść coś w rodzaju sieci, aby łapać w nią drewno niesione z prądem. Wiele użytecznych rzeczy przepływa nam koło nosa.

Tad uwielbiał wymyślać wynalazki i pomysł z siecią zajął go na jakiś czas. A poza tym odpoczywał; niezależnie od tego, jak radosny i energiczny się wydawał — albo próbował wydawać — był zmęczony, podobnie jak ona. Wszelki obecny ryk wodospadu zagłuszyłby kroki zbliżającego się napastnika, a przede wszystkim zagłuszyłby odgłosy przepływania rzeki. Oboje o tym wiedzieli i Klinga podejrzewała, że Tad miał bardzo czujny sen podczas jej warty, jak ona podczas jego. Niespecjalnie mądre posunięcie, ale nic na to nie mogli poradzić. Ich wyobrażenia wyposażały stworzenia we wszystkie nadnaturalne zdolności, które podwajały się po zmroku. O poranku łatwiej było zapomnieć o strachu, choć powtarzała sobie, że skoro myśliwi jeszcze nic nie zrobili, wcale nie znaczy, że nie są zdolni do działania. Trudno było utrzymać równowagę między wymyślaniem zagrożeń a brakiem ostrożności, szczególnie kiedy nie znało się możliwości wroga.

— Niedługo zapadnie noc — stwierdził Tad po długiej dyskusji na temat sieci, żyłek i innych sposobów łowienia drewna. Wskazał dziobem rzekę. Przytaknęła; choć trudno było liczyć czas, nie widząc słońca, światło przygasało. Kolejna żyłka się naprężyła; ta ryba walczyła, co oznaczało, że prawdopodobnie należała do ulubionego gatunku Tada. Jej każda ryba, zapieczona w glinie i bez przypraw, wydawała się bez smaku. Rozważała użycie liści pieprzowych, aby dodać jedzeniu smaku, ale potem przemyślała sprawę. I chociaż wtarte w skórę nie miały żadnych skutków ubocznych, połknięte mogły okazać się trujące. Mogło się ca-

ły dzień wcierać w skórę wilcze jagody i mieć tylko purpurową plamę, ale po zjedzeniu kilku człowiek wymiotował dalej, niż widział. . .

Zmęczyła rybę i wyciągnęła ją, powoli i ostrożnie, uważając, by nie popuścić żyłki. Wystarczy na wieczór; zdjęła przynętę i gdy skończyła, nie miała wątpliwości: ściemniało się.

Zaniosła rybę za kamienną barierę, do ogniska, przy którym siedział Tad. Codziennie dodawali kilka kamieni, ale zbliżali się do punktu, w którym nie będą już mogli używać mułu jako spoiwa. Był zbyt słaby.

Jaskinia miała jeszcze jedną zaletę: brak robaków. W powietrzu wisiało tyle dymu, że owady nawet nie próbowały ich gryźć. Bąble Klingi zaczęły się goić i przestała się nimi przejmować. Gdyby nie obserwatorzy na drugim brzegu, byłaby całkiem szczęśliwa. Mieli ogień, świetne schronienie, dużo jedzenia i prędzej czy później ktoś z Białego Gryfa albo Khimbaty zobaczy lub wyczuje sygnał dymny i wrócić do domu. A na razie, jeśli nawet nie było im wygodnie, to byli bezpieczni.

Zdjęła z żyłki dużą tłustą rybę, wypatroszyła, zapakowała w glinę i wrzuciła w żar, okładając węgielkami. Resztę łupu wręczyła Tadowi.

Już nie tak wygłodzony, zjadł je ze smakiem. I choć jego manieri przy stole pozostawiały wiele do życzenia, nie narzekała na towarzystwo. *Znam ludzi o gorszych manierach.*

— Jak skrzydło? — zapytała, jak to robiła co najmniej raz dziennie.

— Nie boli tak jak wczoraj, ale nadal nie chcę zdejmować opatrunku — odparł. — Kiedy ruszam się, w dziwny sposób boli.

W języku Tada znaczyło to: „Boli tak bardzo, że kolana mi się uginają i prawie mdleję”. Wiedziała o tym, bo widziała te chwile. Tad pozował na stoika. Silił się na radość dla jej dobra. Ruszając się bardzo ostrożnie, unikała nadwężenia zwichniętego ramienia, ale to znacznie ograniczało jej zdolności.

Gdyby tylko miała dwie zdrowe ręce albo on dwa zdrowe skrzydła! Gdyby tylko jedno wspięło się na szczyt klifu, na pewno byłoby w stanie wciągnąć tam drugie. Na szczycie nie musieliby się martwić pościgiem: skoro myśliwi nie wspinali się na drzewa, jasne jak słońce, że nie mogli się wspinać na skały!

Równie dobrze mogłabym sobie życzyć trzech czy czterech wytrenowanych Srebrzystych z długimi łukami — pomyślała ponuro. Mam wrażenie, że czegoś w tej historii nie chwytam, czegoś, co powinno być oczywiste, ale nie jest. Pragnęłabym jakiejś małej podpowiedzi. . .

— Naprawdę myślisz, że spróbują czegoś dziś w nocy? — zapytała, aby przerwąć ciszę, bo nie sądziła, aby zmienił zdanie.

Pokazał głową wejście do jaskini.

— Deszcz przestaje padać, a na płyciźnie prąd nie jest taki silny. Nie jest trudno przebrnąć przez niego, jeśli możesz się pazurami wczepić w skałę. A wiemy, że mają pazury.

Zastanawiała się, czy powinna ponownie użyć empatii i zdecydowała, że nie. Drapieżnicy mogli właśnie na to czekać.

Znów zapadła cisza i nie chciała jej przerywać pogawędką o niczym. Sprawdziła rybę: glina zapiekła się na kamień, co wskazywało, że ryba powinna nadawać się do jedzenia, więc ściągnęła ją z żaru i rozbiła glinę. Skóra i łuski odeszły z gliną, a na nią czekało parujące białe mięso, gotowe do spożycia. Nie zajęło jej to wiele czasu. Jak zwykle, było bez smaku. Pożądliwe wspomnienia gorącego, świeżego chleba posmarowanego słodkim masłem, pikantnego mięsa i zupy fasolowej i tego niezwykłego rybiego gulaszu, doprawianego czosnkiem i cebulą, który gotowała Jewel, prześladowały ją, dopóki ich nie przegoniła.

Pozwolili ogniewi wypalić się do żaru i otoczyli go popiołem, aby ograniczyć światło w jaskini. Jeśli myśliwi zamierzali uderzyć dziś w nocy, nie było powodu, aby dawać im przewagę, oświetlając jasno ofiary.

Ruszyła w stronę barykady, kryjąc się w cieniu pod ścianą jaskini. Tad poszedł w jej ślady. Deszcz rzeczywiście przestał padać; w świetle błyskawic widziała teraz nie zasłone wodną, tylko drugi brzeg rzeki i pędzącą wodę.

Na drugim brzegu nie było śladu czyjejś obecności i nie wróżyło to dobrze. Zwykle aż do wieczora w krzakach chował się choć jeden cień; teraz nie było tam nic. Stanowiło to kolejne potwierdzenie, że instynkt Tada nie zawiódł, a ona dobrze odczytała niecierpliwość łowców. Zaatakują dziś w nocy.

Spojrzała na Tada; w świetle błyskawic widziała jego dziób i szyję, choć był tak nieruchomy, że mógł uchodzić za rzeźbę. Miał opuszczone powieki, aby nawet błysk oczu nie zdradził jego pozycji. Wtopił się w skałę, a linie piór wyglądały zupełnie jak pęknięcia w kamieniu. Niesamowite, jak dobrze był zakamuflowany.

Pędzelki na uszach położył gładko wzdłuż czaszki, ale wiedziała, że nasłuchiwał; pędzelki stanowiły tylko dekorację i nie miały nic wspólnego z gryfim słuchem. Słuchał. Zastanawiała się, ile wyłowił z ryku wodospadu.

Ale kiedy po rzece poniósł się hałas spuszczonej pułapki, nawet ściany jaskini zadrżały przez chwilę. Podskoczyła, tak zdenerwowana, że na moment straciła równowagę i musiała przytrzymać się czegoś zdrową ręką. Szybko się pozbierała i ruszyła do wyjścia. Wyciągnął pazur, złapał ją za nadgarstek i unieruchomił.

— Zaczekaj do świtu — poradził na tyle głośno, aby go usłyszała przez spadającą wodę. — Coś tam zginęło. A nie będą w stanie zabrać ciała.

— Jak duża była ta lawina? — spytała z niedowierzaniem. Jak mu się udało ułożyć cokolwiek, mając tylko szpony i jedno zdrowe skrzydło?

— Wystarczająco — odparł i zachichotał dumnie. — Nie chciałem się chwalić, dopóki to nie zadziało, ale użyłem magii, aby podkopać kawałek klifu, który i tak by spadł. Naprawdę nie wiedziałem, ile kamieni zleci, wiem tylko, że więcej, niż sam bym ułożył.

— Sądząc po odgłosach, zleciało naprawdę dużo — mruknęła. *Cóż za wspaniale zastosowanie odrobiny magii!* — Poczujesz?

Przytaknął.

— Może być problem — dodał. — Prawdopodobnie stworzyłem most albo pół mostu. Istnieje możliwość, że skały spadną do wody.

Wzruszyła ramionami. Co się stało, już się nie odstanie; może warto było zapłacić taką cenę za odkrycie, co ich ścigało.

— Skały mogły same spaść w ten sposób — odparła. — Nie ma powodu, aby się denerwować. Nie sądzę, aby dziś w nocy sprawiali nam kłopot.

Miała rację; reszta nocy przeszła spokojnie, a o świcie oboje wyszli zobaczyć co, jeśli w ogóle, wpadło w pułapkę Tada.

Gdy doszli do lawiny, ujrzeli, że istotnie spadła w rzekę, tworząc bród do połowy, choć część kamieni już została zmyta. Ale gdy się zbliżyli i ujrzeli, jakie zwierzę wpadło w pułapkę, Klinga była skołowana tym odkryciem tak samo, jak cieniami.

Próbowano uwolnić stworzenie; tyle wskazywały ślady kopania i kamienie odsunięte z trupa. Ale trup nie należał do żadnego znanego jej zwierzęcia.

Gdyby mag wziął charta, skrzyżował go z węzem i powiększył do rozmiarów konia, otrzymałby coś takiego. Hebanowoczarne, ze skórą pokrytą łuskami jak u węża, długą szyją, miało zęby ostrzejsze i większe niż pies. Głowa i nogi nie zmiażdżone przez skały były również psie. Nie wiedzieli, jakiego koloru miało oczy; były wywrócone i mętno białe. Gapiła się na stworzenie, próbując je dopasować do jakichkolwiek znanych opowieści.

Tad nie miał podobnego problemu.

— Wyrsa — mruknął. — Ale kolor się nie zgadza. . .

Odwróciła się; wpatrywał się w trupa i wyglądał na pewnego dokonanej identyfikacji.

— Co to jest wyrsa? — spytała ostro.

Podrapał się po głowie.

— Jeden z dawnych adeptów, przed Ma'arem, stworzył takie rzeczy, naśladowując kyree. Nazwał je wyrsa. Chciał, aby były lepszymi psami obronnymi czy sforą do polowań. Ale nie poddawały się kontroli i uciekły dawno temu. Na długo przed Ma'arem i wojnami. Aubri opowiadał mi o polowaniu na nie; mówił, że gdzieś biegały w sforach. — Zmrużył oczy, skupiając się.

— Ale te, o których opowiadał, były mniejsze. Były białe, miały zęby jadowe i zatrute pazury.

Pochyliła się ostrożnie i zbadała pysk i jedną z łap, szukając gruczołów jadowych i wydrążonych zębów i pazurów. W końcu wzięła dwa kamienie i wybiła ząb i pazur. Wyprostowała się.

— Nie wiem, co jeszcze się zmieniło w tych bestiach, ale nie są jadowite — powiedziała do Tada, patrzącego na nią z powątpiewaniem. — Ani zęby, ani pa-

zury nie są wydrażone, nie mają kanalików na truciznę ani gruczołów jadowych. Jad musi się skądś brać, Tad, i jakoś przedostawać do ofiary. Jeśli ich ślina nie jest trująca. . .

— Aubri podkreślał, że były jak jadowite węże. Ale mają inny kolor i wzrost. Coś je zmieniło.

Wymienili spojrzenia.

— Mag? — zapytała. — Czy burze? — Ona знаła się na truciznach, ale to on był magiem.

— Stawiam na burze — odparł. — Gdyby mag zmieniał wyrsy, nie usunąłby jadu, tylko go jeszcze wzmocnił. Jestem pewien, że to burze.

— Nie będę się sprzeciwiać. — Klinga przyklękła, aby zbadać głowę. Była długa jak jej przedramię i składała się głównie ze szczęki. — Spójrz na te kły! Są długie na palec, podobnie jak reszta zębów też jest odpowiedniej wielkości. Co jeszcze wiesz o wyrsach?

Przełknął głośno.

— Aubri mówił, że im większe stado, tym są bystrzejsze, jakby miały wspólną inteligencję. Mówił też, że są niewiarygodnie uparte: jeśli złapią twój zapach, tropią cię całymi dniami, a jeśli zranisz lub zabijesz jedną z nich, będą cię ścigać całą wieczność. Nie pozbędziesz się ich, dopóki ty ich nie zabijesz albo one nie zabiją ciebie.

— Jakże to pocieszające — powiedziała sucho, wstając. — A myśmy jednego i zranili, i zabili. Szkoda, że nie wiedzieliśmy o tym wcześniej.

Tad przestąpił z nogi na nogę, pokornie pochylając głowę.

— Może nie skojarzą nas z lawiną — stwierdził rozpaczliwie.

— Co się stało, już się nie odstanie. — Kątem oka zauważyła jakiś ruch i wolno odwróciła głowę.

I zamarła. Teraz, jakby nie widząc powodu, by się ukrywać, skoro ona i Tad już wiedzieli, czym były, sześć wyrs stało na drugim brzegu. Szczercząc zęby. Tad syknął z zaskoczenia i obrzydzenia.

A potem, zanim mrugnęła czy odetchnęła, zniknęły. Nie zauważyła ruchu, ale po drugiej stronie rzeki pozostały tylko krzaki. Kołyszące się gałęzie były jedynym znakiem, że coś tam przeszło.

— Sądzę, że spokojnie możemy założyć, że jednak łączą nas i lawinę — powiedziała, czując, jak dreszcz biegnie jej wzdłuż krzyża. — I sądzę, że lepiej wrócić do jaskini, zanim znów spróbują przejść przez rzekę.

— Nie biegnij — ostrzegł Tad, odwracając się powoli, z godnością i patrząc pod nogi. — Aubri mówił, że wtedy zaczynają cię ścigać, nawet jeśli nie ścigały cię wcześniej.

Starła się ukryć przerażenie, ale sama myśl o sześciu albo więcej stworach w ciemności przerażała ją.

— Jakie urocze i zachwycające stworzenia — odparła sarkastycznie. — Chcesz mi wyznać coś jeszcze?

Potrząsnął głową, opryskując Klingę.

— Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Skoncentrował się na krokach, bo deszcz przybierał na sile i skały stawały się śliskie. Nikt nie skorzystałby na jej upadku i połamaniu kończyn.

Prócz wyrś, rzecz jasna.

— Czy ktokolwiek był w stanie kontrolować te bestie? — spytała. — Pytam z ciekawości.

Ścieżka się zwęziła. Gestem kazał jej iść pierwszej. Gdyby wyrśy przepłynęły rzekę, Tad stanowił lepszą straż tylną od niej.

— Nie słyszałem — odparł. — Sądzę, że naprawdę dobry mag mógłby nałożyć zaklęcia przymusu i nakazać im atakowanie wybranego celu, ale nic więcej. Nie powstrzymałby ich, gdyby zaczęły polowanie i nie nakazałby im powrotu, gdyby ściagały coś, co go nie interesowało. Nie liczyłbym na kontrolowanie ich.

— Tak więc nie powinniśmy się martwić, że jakiś mag poszczuł na nas swoją sfore? — nalegała, patrząc na niego przez ramię. Pióra Tada leżały płasko na czaszce, a oczy wydawały się ogromne.

— Nie sądę. . . — rzekł z wahaniem. — Ale to nie te same wyrśy. Zmieniły się, może są bardziej oswojone niż poprzednie. Może w miejsce trucizny pojawiły się inne moce, przyczyniając się do ich wymknięcia się spod jakiegokolwiek kontroli. A mag mógł je poszczuć na nas na swoim terytorium po prostu dla zabawy, nie musiał ich kontrolować, tylko pozwolił robić, co zechcą.

— Jesteś dziś istną skarbnicą dobrych wieści — warknęła. *Nie powinnam się na nim wyżywać* — skarciła się. — Zapomnij. Przepraszam. Nie jestem teraz w najlepszym humorze.

— Ja też nie — rzekł cicho i wyraźnie usłyszała strach w jego głosie. — Ja też nie.

Cały dzień Tad obserwował Klingę skoncentrowaną na łowieniu ryb. Raz czy dwa pojawiła się pojedyncza wyrśa, ale stworzenia nie zamierzały przekraczać rzeki, aby ich dopaść.

Pewnie, że nie. Polowały zawsze w nocy, szczególnie z takim umaszczeniem. Szybkie, ciche i niezwykle agresywne — nie chciał mierzyć się zjedną, a co dopiero z całym stadem.

Ciekawe, jak duże jest stado? Sześć? Dziesięć? Więcej?

Czy wszystkie pochodziły od jednej samicy? Wyrśy parzyły się raz na dwa lata, a rodziły nie więcej niż dwa szczenięta. *Jeśli to bliźniacze szczenięta jednej samicy, rodzone odkąd burze je zmieniły, to ile ich teraz będzie? Cztery lata do osiągnięcia dojrzałości płciowej, dwa szczeniaki co dwa lata. . .*

Mogło ich być tylko siedem albo trzydzieści do czterdziestu. Prawda leżała pośrodku.

Jedli w milczeniu, a Klinga niemal zdusiła ogień, gdy Tad objął pierwszą wartę. Gdy tylko zapadła noc, dorzucił kilka kamieni do barykady, a potem rozplaszczył się na podłodze. Miał nadzieję, że je przekona, iż wcale go tu nie było, nie obserwował ich z wejścia do jaskini. Gdyby jedna z nich została przywabiona na brzeg rzeki, na śliskie kamienie, mógłby użyć magii. Gdyby unieruchomił jedną na tyle, aby wepchnąć ją do rzeki, utopiłaby się pod wodospadem. Tylko ryba mogła tam przetrwać. Byłoby o jedną wyrse mniej.

Nie usłyszał Klingi, tylko ją wyczuł; po chwili wahania dotknęła jego stopy i usiadła obok.

— Nie mogłam spać — szepnęła mu do ucha. Skinął głową. Rzeczywiście miała powód do bezsenności.

Wtopiła się w kamienie lepiej niż on; z drugiego brzegu mogła ich wypatrzeć tylko sowa.

Deszcz przestaje padać. To dobrze i źle; wiedział, że deszcz nie obchodzi wyrse, ale nie lubią wdrapywać się po mokrych kamieniach. Miały pazury jak gryf, ale ich łapy nie były tak giętkie. Pazury mogły utrudniać stąpanie po skałach.

Z drugiej strony w malejącym deszczu drugi brzeg stawał się wyraźniejszy, szczególnie gdy pojawiały się błyskawice.

Coś poruszyło się na drugim brzegu. Zamarł i poczuł, jak Klinga wstrzymała oddech.

Rozbłysł piorun, oświetlając czarną sylwetkę na samym brzegu rzeki, gapiącą się prosto na nich. Ujrzał, że biel była prawdziwym kolorem oczu wyrse, jak u trupa. Sam widok stworzenia gapiącego się przez rzekę przyprawiał ich o gęsią skórkę.

Przygotował zaklęcie, zbierając siły. Nie ma sensu uderzać, dopóki nie sprawi, żeby wszystko było jak należy. . .

Chciał, żeby stworzenie ruszyło w przód. Znów uderzył piorun; cały czas tam było, wyciągało szyję, gapiło się.

Stój... stój...

Teraz!

Uwolnił energię; zobaczył, jak wyrse podskoczyła, otworzyła oczy. . .

I zamiast upaść porażona, na chwilę rozbłysła. Klinga jęknęła, więc Tad wiedział, że ona też to dostrzegła; ogarnęło go znajome uczucie słabości i dezorientacji. Syknął i zamrugał oszołomiony, patrząc na zwierzę.

Wyrse otworzyła pysk, a potem, jak zwolniona sprężyna, skoczyła w krzaki jak żadne normalne stworzenie i zniknęła.

A wraz z nią energia zaklęcia. Gdyby wyrse je odbiła, energia pozostałaby, powoli się rozptywając. Zaklęcie nie uderzyło w tarczę ani nie zostało odbite.

Zostało całkowicie wchłonięte. A co więcej — część energii magicznej Tada popłynęła za nim, jak złapana w wir.

— O, na bogów — jęknął kompletnie zaskoczony. Teraz wiedział, co ich uderzyło w lesie. I wiedział, dlaczego wysy zaczęły ich śledzić.

To wysy kradły magię, nie jakiś mag renegat czy zjawisko naturalne. Jadły magię albo ją wchłaniały, bo dodawała im sił. Klinga potrząsnęła nim.

— Co się stało? — syknęła. — Co się dzieje? O co chodzi?

Otrząsnął się z odrętwienia, by jej wytłumaczyć; znała się na magii na tyle, aby nie musiał powtarzać dwa razy.

— Bogini. — Leżała zaskoczona jak on. A potem, swoim zwyczajem, dwoma zdaniami podsumowała ich położenie: — Znają nasz zapach, chcą naszej krwi, a teraz wiedzą, że ty jesteś źródłem magii. — Gapiła się na niego wielkimi oczami. — Musimy zabić je wszystkie albo nigdy się stąd nie wydostaniemy!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tad syczał przez rzekę na stado wyrś. Wyrśy obnażyły swe groźne kły i też syczały. Nie zamierzały zniknąć. Tad odniósł wrażenie, że go drażniły, podpuszczając do magicznego uderzenia.

Jasne, że podpuszczały. Nie miały powodu, aby sądzić, że przez rzekę może do nich dotrzeć coś innego niż magia i bardzo chciały, aby jej użył.

Więcej żarcia, głupi gryfie! Daj nam coś, co nam doda sił i ma być smaczne!

Sprawdził już kilka rzeczy w ich zapasach. Kamień zmieniony w lampę magiczną i zapalniczka przestały działać; gdyby potrzebował dowodu, że właśnie te stworzenia wyssały całą magię z gondoli i wszystkiego innego, miał go na dłoni.

Ciekawe, co ojciec by zrobił w takiej sytuacji? Ale Skan pewnie nigdy by się w taką sytuację nie wpakował. A jego rozwiązanie niekoniecznie byłoby dobre. . . . ponieważ na pewno byłaby to na wpół samobójcza, bezpośrednia akcja wymagająca wielkiego wysiłku, do którego Tad po prostu nie był zdolny. Prawdę mówiąc, Skan słynął z siły, a nie pomysłowości.

Nie, Tad, tylko nie ty: teraz sam się porównujesz z ojcem. Prawdziwe pytanie nie brzmi, co zrobiłby mój ojciec, tylko: co ja mam zrobić w tej sytuacji!

Stanął wysoko na zadnich łapach i wydał z siebie ryk wojenny, prezentując wyrśom otwarty dziób i przednie szpony. Przestały syczeć, śledziły go uważnie; z większym szacunkiem, pomyślał. Miał nadzieję.

— Wolałabym, żebyś tego nie robił. — Klinga wynurzyła się z jaskini, gdzie drzemała; miała włosy w nieładzie i wykrzywione usta. — Nie jest miło budzić się, myśląc, że twój partner zaraz ruszy do śmiertelnego boju.

— Nie podobały im się moje szpony — odparł, starając się nie przeproszać z nadto. — Miałem nadzieję, że je trochę zastraszę.

Patrzył na wyrśy, które nie zatrzymywały się na dłużej niż mgnienie oka. Cały czas ruszały się, skakały, kładły, wiły, turlały nad, przed i pod sobą. Nigdy nie widział stworzeń tak pełnych energii i gotowych do jej użycia. Zupełnie jakby nie mogły stać dłużej niż przez jedno uderzenie serca.

Wynurzyły się z krzaków, gdy mgła opadła i zaczął się deszcz; jeśli deszcz im przeszkadzał, nie dały tego po sobie poznać.

Ale dlaczego miały im przeszkadzać? Było to jego przypuszczenie, a nie

odczytanie myśli krążących w tych węzowych łbach. Nie miały ani futra, ani piór, które mogły przemoknąć i zmatowieć. Ich łuski w deszczu nabierały blasku.

— Raczej, że nie wyglądają na zastraszone — wytknęła mu Klinga. Zmarszczyła czoło i studiowała wyrsy zmrużonymi oczami. — Z drugiej zaś strony, to skuteczna strategia obronna, czyż nie?

Tad popatrzył na lśniące ciała prześladowców, ich ruchy i błyski. Wzory, jakie tworzyły, splatając się i rozplatając jak koronki.

— Tak? Trzymają się wszystkie w jednym miejscu. Łatwiej ci będzie w nie uderzyć? — Przyglądał im się, a potem nagle potrząsnął głową, uświadamiając sobie, że ciągły ruch stworzeń wprawiał go w trans. Rzucił spojrzenie Klindze. Podniosła brew i przytaknęła.

— Tylko nie zaśnij, dobrze? — zapytała, uśmiechając się paskudnie, co natychmiast zaalarmowało Tada. Widział już wcześniej ten uśmiech i wiedział, co oznaczał. Kłopoty, zazwyczaj dla innych. — Cóż, przekonajmy się, czy potrafimy wykorzystać tę ich przebiegłość, co ty na to? Stój tutaj, z łaski swojej i wyglądaj imponująco. Muszę im zapewnić jakąś rozrywkę.

Wróciła do jaskini. Wyrsy kontynuowały swój hipnotyzujący taniec pod nosem Tada, który liczył do dziesięciu i odwracał wzrok, chroniąc się przed urokiem.

— Padnij. — Usłyszał z tyłu spokojny rozkaz.

Rzucił się na ziemię, a ołowiany pocisk przeleciał tam, gdzie przed chwilą była jego głowa. Jedna z wyrś na drugim brzegu zawyla i ugryzła drugą. Ta się odgryzła; Tad miał wrażenie, że była jednocześnie zaskoczona i obrażona nieoczekiwanym atakiem. Pleciony wzór się splątał, gdy dwie antagonistki zaczęły na siebie warczeć.

Kolejny pocisk przeleciał przez rzekę i trzecia wyrś zasyczała, dołączając do kłębówiska. Było to więcej, niż mogła ścierpieć reszta i ze stada zrobił się kłęb wściekłych wyrś, który nie miał w sobie nic wdzięcznego, skoordynowanego ani hipnotyzującego. Większość zaangażowała się w bójkę, oprócz jednej, która odskoczyła od syczącego stada. Stworzenie wycofało się powoli, mierząc inne wzrokiem pełnym zaskoczenia, a trzeci pocisk Klingi trafił je prosto w łeb. Padło gdzie stało, a reszta nadal kłóciła się, wyła i gryzła.

Klinga stanęła przed jaskinią i z satysfakcją gapiła się na wyrś.

— Chciałabym wiedzieć, jak zgodne jest to stadko. Zastanawiam się też, ile czasu zajmie im skojarzenie broni miotającej z nami; wątpię, aby kiedykolwiek coś takiego widziały albo doświadczyły.

W tej chwili z krzaków wynurzyło się kolejne stworzenie i wydało z siebie wrzask, który był częściowo sykiem, częściowo groźnym pomrukiem. Reakcja była natychmiastowa i zaskakująca: reszta w mgnieniu oka przestała walczyć i padła na ziemię, płaszcząc się. Wyrś zignorowała je i podeszła do powalonej przez Klingę, obwąchując ją, a potem szturchając, aby pomóc jej podnieść się na drżące łapy.

— Właśnie pojawił się przewodnik stada — powiedział Tad.

Nowa wyrsa odwróciła głowę i spojrzała na niego. Trupiobiałe oczy sparaliżowały go, przykuwając do miejsca wbrew woli, a wyrsa bezgłośnie wyszczerzyła zęby. Jej oczy lśniły mętnie, powodując, że myśli gryfa spowolniały.

Czuł się jak ptak przed wężem: niezdolny do ruchu, nawet by ratować życie. Czuł potworne, zimne przerażenie, spływające do stóp. W tejże chwili Klinga stanęła przed nim i zmierzyła przewodnika stada nad wyraz złym spojrzeniem. Jasnym, spokojnym głosem zasugerowała, aby wyrsa wykonała kilka wybitnie nieprawdopodobnych, niezwykle wymagających fizycznie i z punktu widzenia biologii raczej bezużytecznych aktów, w których udział brały: jej matka, kilka sprzętów gospodarstwa domowego oraz zdechła ryba.

Tad zamrugnął, odzyskując rozum, gdy wyrsa spuściła z niego wzrok. Nie miał pojęcia, że edukacja Klingi była aż tak liberalna!

Wyrsa raczej nie zrozumiała słów, ale ton był jasny. Cofnęła się, jakby zamierzała podjąć wyzwanie, skacząc przez rzekę — albo wskoczyć do rzeki i przebyć ją w pław. — A Klinga wypuściła kolejny pocisk z procy.

Ten wałnął przewodnika stada prosto w pysk, łamiąc mu ząb z mokrym chrupnięciem. Stworzenie wydało z siebie dziwaczny odgłos syczącego wycia, który Tad słyszał już wtedy, gdy jedna wpadła w paści. Obróciła się i skierowała ku innemu, w beładzie odwodząc ich od brzegu. Sekundę później już ich nie było.

Klinga wetknęła procę w kieszeń i w zamyśleniu potarła potłuczone ramię.

— Nie wiem, czy to był dobry, czy zły pomysł. Już nie będziemy w stanie poszczuć ich na siebie. Ale przynajmniej wiedzą, że oprócz magii mamy coś, czym możemy zaatakować!

— A ty niewątpliwie zaimponowałaś przewodnikowi — stwierdził Tad, przechylając głowę.

Uśmiechnęła się blado.

— Tylko pokazałam, kto jest najwredniejszą suką w dolinie — odparła radośnie. — Czyżbyś nie zauważył, że przewodnik to samica?

— Eee, tego, właściwie nie. — Poczuł, jak czerwienią mu się nozdrza ze wstydu, że rzucony na niego urok nie pozwolił mu dostrzec rzeczy tak oczywistej. — Nie jest w moim typie.

Klinga wyszczerzyła zęby.

— Zaczynam się zastanawiać, czy fakt, że tu żeruje, ma mniej wspólnego z tym, że zabiliśmy jej szczeniaka, a więcej z jej zauroczeniem twoją osobą. Czy też twoim wspianym... wyposażeniem. — W jej oczach zamigotał złośliwy płomyk.

Czy o tym wie, czy nie, wraca do zdrowia. Zastanawiam się tylko, czy nie powinienem sam jej czegoś złamać, żeby mieć trochę spokoju.

Kaszlnął.

— Nie sądzę — odparł, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

— Nie? — Mimo to Klinga zmieniła temat; to nie było miejsce i czas, by z niego kpić, ale miał przecucie, że gdy już wyjdą cało z tej historii, nie zapomni o tym incydencie ani swoich insynuacjach. — Wiesz — ciągnęła — gdybyśmy mieli szansę wyeliminowania jej, stado mogłoby się rozpaść. Albo spędziłyby co najmniej tyle czasu walcząc o przywództwo, co tropiąc nas.

Podrapał się w zamyśleniu po głowie. Miała rację.

— Musimy je widzieć, aby wybrać jedną wyrzę — rzekł. — A w pułapki wpadają najmniej doświadczone, nie na odwrót. Ale teraz rozumiem, dlaczego są takie natrętne i uparte.

— Aha. Dostaliśmy jedno z jej dzieci. — Klinga usiadła na podłodze jaskini i wpatrzyła się w krzaki na drugim brzegu rzeki. Poszedł w jej ślady i dojrzał lekkie poruszenie gałązki. Ponieważ nie było wiatru, skoncentrował się na tym miejscu i dojrzał ciemną lśniąca skórę, zanim stworzenie znów drgnęło.

— Interesujące. — Klinga obgryzała paznokiec, mierząc krzak wzrokiem spod zmrużonych powiek. — Nie sądzę, aby znów nam się zaprezentowały na otwartej przestrzeni. Szybko się uczą.

Tak szybko? Imponujące, ale przypomniał sobie, co Aubri mówił o inteligencji zbiorowej. Jeśli było ich więcej, niż tych kilka, znaczyło to, że razem stado posiadało inteligencję równą makaarowej, a to niemało.

Niezależnie od tego, co twierdzi ojciec.

Krzewy znów się poruszyły i dojrzał czarne łuski. *Skrzyżowanie charta z węzem... Nie mogę sobie wyobrazić nic dziwniejszego. Ale Klinga powiedziałaaby pewnie, że mam ograniczoną wyobraźnię. Ciekawe, jak widzą tymi niezwykle oczami i czy widzą w nocy? Czy ta biała błona chroni gaiki oczne przed słońcem? Czy widzą magię? Albo ją czują?*

— Zastanawiam się, jak nas oceniają — powiedział głośno. Klinga rzuciła mu ostre spojrzenie.

— Sądzę, że ja wydawałam im się niegroźna, dopóki nie dostały z procy — odparła. — Ale podejrzewam, że ty przypominasz chodzącą uczkę. W końcu masz naturę magiczną, co jest dla nich raczej oczywiste.

— Uważasz, że to mnie uważają za łup, nie ciebie? — wykrztusił. Przytaknęła.

— Pewnie za coś, co warto jakiś czas utrzymać przy życiu, aby żywić się twoją magią. Tyle pewnie już wykoncypowały.

O tym nie pomyślał.

I wcale nie poczuł się lepiej.

Bursztynowy Żuraw stał przy dowódcy i wykręcał wodę z warkocza. Czekał, aż facet powie coś oświecającego. Mgła kłębiła się wokół i zatapiała wszystko w bieli.

— Chciałbym wiedzieć, co tu się działo — wymamrotał Regin, gapiąc się na

przemoczone kukły upchnięte na gałęzi. — Nie ma śladu z obozowiska; Srebrzyści chcieli je ukryć. Ale nie ma śladu, aby coś ich ścigało. A teraz znajdujemy to. — Ziemia pod drzewem była zryta, podobnie jak kora na pniu, ale nie zakrwawiona. Znaleźli jedno zastawione sidła, ale bez śladu łupu. Mogli przeoczyć to miejsce, myśląc, że to jakieś leśne zwierzę zaznaczało swe terytorium.

Gdyby na drzewie nie tkwiły kukły w kształcie gryfa i człowieka.

To niczego nie wyjaśnia.

— Mogli wpaść na jakiegoś dużego drapieżnika — zasugerował Żuraw. — Tylko dlatego, że nie widzimy śladu myśliwego, nie znaczy, że nie są śledzeni. Dlatego mogli starać się zacierać trop. Może to był podstawowy powód, dla którego opuścili obóz.

To był pierwszy ślad po dzieciach, na jaki się natknęli, idąc ku rzece. Bursztynowy Żuraw uznał go za dobry omen, gdyż świadczył, że para wojowników tu dotarła i ich zespół szedł dobrą drogą. I podpowiadał, że byli na tyle zdrowi, aby podjąć wędrowkę.

— Może. Ale dlaczego kukły? — Regin obszedł pień, oglądając go uważnie ze wszystkich stron. — Większość leśnych drapieżców poluje, kierując się węchem, a nawet w tym deszczu trop stąd do miejsca noclegu powinien być na tyle świeży, aby nas poprowadzić. Zastanawiam się, jakie wyciągnąć z tego wnioski.

— Nie wiem, nie jestem myśliwym — przyznał Bursztynowy Żuraw i zamilkł.

W przeciwieństwie do Skana.

— Cokolwiek zryło to miejsce, jest zwierzęciem albo przynajmniej nie używa broni i narzędzi — rzekł. — Możliwe, że Klinga i Tad wkroczyli na jego terytorium i zrobili kukły, aby czymś je zająć, aż oni się spokojnie oddalą.

— Może. — Regin potrząsnął głową. — Cokolwiek to było, nie rozpoznałem śladów, ale to mnie nie dziwi. Niewiele rozpoznałem w tym ciemnym lesie, odkąd do niego wkroczyliśmy. Zaczynam się zastanawiać, jak może tu przeżyć cokolwiek bez skrzeli.

Wzruszył ramionami i ruszył w kierunku rzeki. Bursztynowy Żuraw podążył za nim, ale Skan został jeszcze chwilę, zanim dogonił resztę, nim zniknęli we mgle.

— Nie podoba mi się to — wymruczał z lękiem, zajmując miejsce u boku Żurawia. — Po prostu mi się nie podoba. Coś było nie w porządku, ale za diabła nie wiem co.

— Nie znam się na tyle na polowaniu, aby ci służyć pomocą — odparł przyjaciel. Powtarzał sobie, że dzieciom na pewno nic się nie stało. Niezależnie od tego, jak imponujące ślady zostawiło na pniu to stworzenie, dzieci uniknęły jego szczęk. — Wiem tylko, że to, co zostawiło ślady, musi być wielkości konia i gdyby mnie goniło coś tak dużego, nie spałbym na ziemi. Może umieścili kukły na drzewie i wspięli się na inne?

O ile, oczywiście, są w stanie wspinać się na drzewa. Ale jak umieściliby kukły na gałęzi?

— Iluzja! — powiedział nagle Skan, podnosząc głowę. — Tak! Nie ma iluzji ani jej śladów na tych kukłach. Tad nie jest potężnym magiem, ale na tyle dobrym, by nakładać iluzje, a gdybym ja robił kukłę, starałbym się ją jak najbardziej do siebie upodobnić! Dlaczego nie nałożył iluzji?

— Bo nie mógł — odparł bezsilnie Żuraw. — Jeśli energię magiczną wysssało z koszyka i innych przedmiotów, mogło równie dobrze wysssać ją z niego i być może jeszcze nie odzyskał jej na tyle, aby rzucać jakiegokolwiek zaklęcia.

— Och. — Skan poczuł się urażony, ale w końcu przyznał Żurawowi rację. Ten się ucieszył i znalazł jeszcze jedno wyjaśnienie.

Tad nie może rzucić prostego zaklęcia, bo jest ciężko ranny.

Z drugiej strony kukły były tak przemoczone, że mogły tkwić na gałęzi od paru dni, co znaczyło, że dzieci, jak na dwoje rannych, poruszały się szybko. Co z kolei sugerowało, że nie były ranne zbyt ciężko.

Wolał nie myśleć, jak pozbawienie energii magicznej mogło wpłynąć na Tada w bardziej subtelny sposób. Czy przypominało ranę, z której sączy się krew? Czy zakłócało zdolność korzystania z magii? A jeśli Tad już nie był magiem? Gryfy były magiczne, aby czynić dobro, bo Urtho nie stworzyłby ich inaczej. I chociaż Mag Ciszy popełnił wiele błędów, gryfy uważano za jego arcydzieła. Magia gromadziła się w ich ciałach z każdym oddechem i uderzeniem skrzydeł. Stabilizowała funkcje życiowe, oczyszczała organy wewnętrzne, pomagała latać. Bursztynowy Żuraw nie wiedział, co by się stało, gdyby gryfa pozbawiono magii na dłużej; czy przypominałoby to zatrucie, podagrę, czy miałoby znacznie gorsze skutki, na przykład szaleństwo?

Grupa ratunkowa poruszała się w ciasnej gromadzie, aby nie zgubić się we mgle. *Przynajmniej idziemy dobrą ścieżką; dzieci na pewno tędy szły* — przypominał sobie Bursztynowy Żuraw. *Prą naprzód, myślą, planują. Jeśli mają kłopoty, rzeka jest dla nich najlepszym miejscem. Jest tam jedzenie, które łatwo schwytać, może jaskinie. Robią, co należy, szczególnie jeśli muszą stawić czoło dużym drapieżcom.*

Może dlatego ratownicy nie natknęli się na duże zwierzęta. Próbowali przesłać wiadomości telesonem, aby dwie inne grupy też ruszyły ku rzece. Mag Filix sądził, że przesłał wszystko, ale ponieważ nie mógł polegać na lokalnych magicznych źródłach, nie był pewien szczegółów. Jednak czy dzieci ruszyłyby na północ, czy na południe, natknęły się na rzekę, więc ktoś powinien je znaleźć. Oni kierowali się na północ, głównie dlatego, że Ikała przeczesywał teren poniżej, również idąc w tym kierunku.

Ta przeklęta mgła. Bardziej mnie denerwuje niż deszcz! Jeśli kiedykolwiek wszyscy z tego wyjdziemy, przysięgam, przenigdy nie opuszczę miasta. Chyba żeby odwiedzić inne miasto. Moim skromnym zdaniem, możecie sobie wziąć tę waszą

szkołę przetrwania i wsadzić w tyłek. Nigdy nie zapomniał uciążliwej przeprawy do Białego Gryfa i aż za dobrze wiedział, jak będzie wyglądała ta misja. Sądził, że był przygotowany. Jeden problem: zapomniałem, że nie jestem już taki sprawny jak kiedyś. Judeth i Aubri nie zgłosili się do przeprawy przez las i teraz rozumiem dlaczego. Pewnie uważają mnie za głupca, zmuszającego się do dotrzymania kroku ratownikom, próbującego udawać młodzika. Może pozwolenie na tę wyprawę było zemstą Judeth za szantaż!

Ale Klinga nie była córką Judeth ani Tad synem Aubriego.

Mimo wszystko wolę już tu być. Przynajmniej wiem, że działałam. Zhaneel i Zimowa Łania muszą się czuć tak samo, inaczej nie należałyby na udział w wyprawie.

Mgła nie tylko działała mu na nerwy; miał wrażenie, że widzi kręcące się wokół nich cienie. Czuł na sobie spojrzenia i kątem oka widział skradające się kształty. Oczywiście, to była bzdura, wyobraźnia zaczynała pracować ale...

— Żuraw — szepnął ostrożnie Skan. — Jesteśmy śledzeni. Nie wiem przez co, ale coś tam jest. Mogę to wyczuć we mgle i widziałem kilka ruszających się cieni.

— Jesteś pewien? — zapytał Regin, który zasygnalizował postój i podszedł, słysząc szept Skana. — Bern uważa, że też dostrzegł ruch...

— Mnie też dolicz, bo widziałem duże cienie, poruszające się po bokach i za nami — powiedział Żuraw. — Czy to może być to, co zorało ziemię?

— Jeśli tak, nie będę go zachęcał do zaatakowania nas w tej mgle — odparł Regin. — Nie sądzę, aby zaatakowało, dopóki i jesteśmy pewni siebie.

— Większość wielkich drapieżników nie rzuca się na grupy — dodał Bern. — Lubią pojedynczy łup, nie stada.

Żuraw musiał mieć niepewną minę, bo Regin poklepał go po plecach, co prawdopodobnie miało być pocieszeniem, a Żuraw omal się nie zakrzusił.

— Jesteśmy zbyt liczni, by nas atakować — rzekł pewnie Regin. — I nie jesteśmy ranni. Nie obchodzi mnie, że jesteśmy śledzeni, dopóki to stworzenie się na nas nie rzuci, a nie zrobi tego. Jestem pewien.

Bursztynowy Żuraw odzyskał oddech i wzruszył ramionami. — Ty tu dowodzisz — odparł, zachowując dla siebie swoje wątpliwości.

Regin uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „no właśnie”, ale mądrze nic nie powiedział i nakazał dalszy marsz.

Żuraw nadal czuł na sobie uporczywe spojrzenie i rozmyślał o stworzeniach wielkości konia i proporcjonalnych do wzrostu pazurach, takich, co rozorały ziemię na głębokość dłoni. Czy dla takiego zwierza siedmiu ludzi i gryf wyglądało aż tak groźnie? A jeśli było ich więcej? Sposób, w jaki zryto ziemię, sugerował, że było ich kilka.

— Nie spodoba ci się to — szepnął Skan; szept gryfa był tak subtelny i cichy jak normalny ludzki głos. Gryf rozejrzał się. — Żuraw, wydaje mi się, że jesteśmy

otoczeni.

Kark Bursztynowego Żurawia zeszywniał, a on zadrżał. Właśnie przestał ufać pewności Regina.

W tejże chwili Regin zaszygnalizował kolejny postój, a Bern szepnął mu coś do ucha.

Dowódca spojrzął na Skana.

— Bern mówi, że jesteście otoczeni. Jesteście?

— Tak sędzę — odparł Skan bezbarwnie. — I nie sędzę, aby te stworzenia były tylko ciekawskie. I nie sędzę, aby pozwoliły nam iść dalej bez walki.

Twarz Regina pociemniała, jakby Skan rzucił mu wyzwanie, ale zanim odpowiedział, spojrzął na otaczającą ich mgłę.

— Generał zawsze powtarza, że najlepszą obroną jest atak — warknął. — Ale nie ma sensu pakować strzał w coś, czego nie widzimy. Stracimy amunicję i nic nie zyskamy.

— Deszcz się zacznie, gdy tylko podniesie się mgła - rzekł Bern. — Nadal nie będziemy widzieć, co to jest, a z mokrej cięciwy się nie strzeli.

Regin spojrzął na Filixa.

— Czy możesz dowiedzieć się, co nas śledzi? Odstraszyć to? Nie chcę tracić czasu, który możemy przeznaczyć na szukanie Srebrnej Klingi i Tadritha.

Mag wzruszył ramionami.

— Może. Spróbuję. Najlepiej, jeśli spróbuję jednego unieruchomić, abyśmy mogli się mu przyjrzeć. Nie muszę widzieć zwierzęcia, aby je unieruchomić, tylko wiedzieć, gdzie jest.

Dowódca rozłożył ręce, udzielając zgody.

— Ty jesteś magiem. Spróbuj, zobaczymy, co się stanie.

Bursztynowy Żuraw otworzył usta, aby się sprzeciwić, ale zaraz je zamknął; w końcu co on wiedział? Nic o drapieźcach czy polowaniu. Jeśli ich prześladowcy byli tylko ciekawscy, oszołomienie jednego nie zaszkodzi; jeśli zamierzali zjeść ratowników na obiad, nagłe powalenie jednego z nich mogło ich odstraszyć. Przy najmniej tak mu się wydawało. A gdy łowcy odzyskają odwagę, ratownicy będą już daleko.

Skan otworzył dziób, a Żuraw pomyślał, że gryf się sprzeciwi, jednak było już za późno. Filix coś dojrzał, albo tak mu się zdawało, i wypuścił zakłęcie.

Ale nie takiego rezultatu się spodziewali.

Ciemny kształt we mgle zapłonął nagle — Bursztynowy Żuraw poczuł dziwne mdłości — a Skan i Filix zaczęli kłąć jak szewcy.

— Co? — przeciął Regin, spoglądając na nich. — Co?

— Pochłonoło moje zakłęcie — zaczął Filix, ale Skan mu przerwał, powiewając telesonem, który zwisał mu z szyi.

— Zeżarło teleson! — ryknął. — Cholera! To coś strąciło Klingę i Tada, a wy właśnie daliście mu to, czego chciało!

Skan był zadowolony, że zawiadomili inne grupy o znalezieniu śladów dzieci, zanim teleson stał się zwykłym kawałkiem złomu. Gdy rozbijali obóz, jasne było, że stworzenia nie tylko wchłonięty teleson, pozbawiając go energii magicznej, ale też wyssały energię ze wszystkich magicznych przedmiotów, jakie grupa posiadała.

Dlaczego czekały tak długo, stało się przedmiotem sporu. Może zbierały się na odwagę; może czekały, aż przyłączą się do nich inne. Może stworzenia nie pokazywały się, dopóki czymś ich nie sprowokowano.

— To nie była moja wina! — powtarzał Filix. — Skąd miałem wiedzieć?

Nie mógł wiedzieć, że przyczyną kłopotów były jakieś dziwaczne zwierzęta, ale skoro wiedział, że coś na tym terenie zjadało magię, Skanowi wydawało się, że rzucanie wokół zaklęciami było zdecydowanie złym pomysłem. Właśnie miał zamiar to powiedzieć, kiedy Filix użył pierwszego.

A teraz grupa poszukiwawcza musiała sobie radzić z jego efektami. Krótko mówiąc, stawiać namioty, używając wyciętych masztów i lin; rozpalać ogień hubką i krzesiwem, a poza tym nagle pojawiły się inne problemy, prawdopodobnie zagrażające życiu i zdrowiu.

Skoro dziwne i przypuszczalnie wrogie stwory, które ich śledziły, już nabrały apetytu, mogą zrobić sobie z nich posiłek.

Namioty chroniły przed deszczem, ale nie były już suche. I nie odstraszały robaków. Skan zastanawiał się, ile czasu zajmie Reginowi domyślenie się, że wodoodporność i owadobójczość też były uwarunkowane magicznie. Na pewno niewiele, domyśli się tego po pierwszym posiłku złożonym z przemoczonego za pluskwionego chleba!

Dwa namioty miały wspólny płócienny przedsionek: brakowało mu podłogi i jednej ściany, ale chronił ogień. Usiedli w namiotach wokół ognia, odrzucając klapy. Regin zwołał naradę o zmroku. Deszcz walił w płótno, ale Regin zdołał go przekrzyczeć.

— Idzie nam dobrze — oznajmił, gdy wszyscy zgromadzili się w czteroosobowych namiotach; przynajmniej nie kapało im na głowy. — Nie mamy się czym martwić. Płótno chroni nas przed deszczem, ogień się pali, mamy też kompas, który, dzięki bogom, nie jest magiczny. Znaleźliśmy rzekę i tylko kwestią czasu jest, kiedy my lub inna grupa natknie się na zaginionych Srebrzystych. Jeśli odnajdą ich inni, spróbują nas powiadomić, zrozumieją, co się stało, gdy nie połączą się z naszym telesonem, i będą nas szukać. Jeśli my ich znajdziemy, ruszymy wzdłuż rzeki, aż wpadniemy na resztę i wrócimy do bazy. Nie ma problemu.

Skan się z tym nie zgadzał, ale to Regin dowodził, a podkopywanie autorytetu

dowódcy, gdy inni go potrzebowali, było kiepską zagrywką.

To nie wojna. I teraz wiemy, że złodzieje magii to jakieś dziwne dzikie zwierzęta, a nie wrogie wojsko. Jeśli będziemy ostrożni, wyjdziemy cało i z dziećmi. Przynajmniej tak sobie powtarzał.

— Wyznaczam podwójną wartość dziś w nocy; czterech i czterech, podzielcie się, magowie czuwają po dwie zmiany. — Regin rozejrzał się w poszukiwaniu ochotników i znalazł ich, zanim Skan czy Żuraw podnieśli ręce.

Skan nie miał zamiaru się zgłaszać, ale Filix najwyraźniej chciał wynagrodzić błąd, który kosztował ich utratę magii, więc wyglądało to tak, jakby ubiegł gryfa. Skan zastanawiał się, dlaczego młodzieniec się zgłaszał; nie był wojownikiem, a rzucanie magią w coś, co się magią żywiło, nie przypadło gryfowi do gustu. *Nie rzuć ani jednego zaklęcia, dopóki się nie pozbędziemy zagrożenia* — postanowił. *Jeśli żywią się magią, magia je wzmacnia. Im są silniejsze, tym bardziej prawdopodobny jest ich atak.*

No cóż, Filix mógł przynajmniej użyć łuku, skoro natura nie wyposażyła go jak gryfa.

Powinien sobie poradzić, o ile najpierw pomyśli. Chciał wziąć Filixa na stronę i ostrzec, ale wcześniejsze próby na wiele się nie zdały. Filix uważał, że Skan przesadza. Jednym z największych problemów z młodymi magami, którzy pojawili się po kataklizmie, było to, iż uważali magię za środek na wszystko. Musieli się dopiero nauczyć, że magia była po prostu narzędziem, bez którego można się było obejść. Narzędziem wygodnym, ale cóż z tego? *Śnieżna Gwiazda powinien ich zmuszać do spędzenia roku bez magii.*

Regin skinął głową z satysfakcją.

— Dobrze. Ustawcie warty wokół obozu; nie ma sensu strzec dużego terenu. Jeśli coś wam wyjdzie na strzał, strzelajcie; może jeśli utrudnimy życie tym stworom, przestraszą się i dadzą nam spokój.

A może sprowokujesz ich atak! Skan przypomniał sobie, że to nie on dowodzi i trzymał dziób zamknięty na kłódkę. Zdecydował jednak, że będzie spał między Żurawiem a ścianą namiotu, i to na jedno oko.

Udało mu się odzyskać nawyki z czasów wojen, gdy nerwy działały mimo snu, i położył się. Według niego Regin traktował całą sprawę zbyt lekko i był zbyt pewien, że „oni” to tylko dziwne leśne zwierzęta. I był tak dumny, że zabrał ze sobą przedmioty, które mogły zastąpić wszystkie magiczne rzeczy, że Skan miał ochotę przyłożyć mu w łeb.

Nie o zapasy tu chodzi! — wzdychał, kładąc się tak, aby jak najlepiej chronić Żurawia w razie ataku. *Chodzi o to, że kręci się tutaj coś, co zżera magię i ma wrogie zamiary! Na co się zdadzą nasze zapasy, jeśli to coś zdecyduje, że podziwianie nas z daleka mu nie starcza?*

Deszcz ustał. Ogień zgasł i jedynym źródłem światła był żar. Gdy tylko hałasy w obozie umilkły, stworzenia pokazały, że nie przeraża ich ośmioosobowy

oddział.

Skan obudził się, słysząc odgłos padającego ciała, po którym nastąpiły przekleństwa i świst cięciwy. Nie Filix jednak strzelał: mag leżał tuż obok Skana, rozpaczliwie łapiąc oddech.

Trójka nie pełniąca warty zerwała się, ale Skan już stał, gotowy do walki. Chwilę później Regin wciągnął do namiotu półprzytomnego maga.

— Co się stało? — zapytał ostro Skan, gdy dwóch wojowników wybiegło, zostawiając w namiocie gryfa, Żurawia i Regina z poszkodowanym magiem. Żuraw pochylił się nad młodzieńcem i zaczął go badać.

Dowódca potrząsnął głową.

— Nie wiem — wyznał, blady i zszokowany w świetle zapalanej przez Bursztynowego Żurawia lampy. — Zobaczył coś i chyba chciał uderzyć magią, szeptał coś o zasłonach, a potem po prostu padł. Strzeliłem do czegoś, co się ruszało, ale raczej nie trafiłem.

— Został pozbawiony magii — powiedział płasko Bursztynowy Żuraw, patrząc na nich i trzymając dłoń na czole Filixa. — Widziałem to raz czy dwa na wojnie, gdy magowie się przemęczyli.

Pamiętam; z powodu rozkazów niekompetentnego dowódcy.

— Różnica tkwi w tym, że Filix się nie przemęczył, a wyczerpało go coś innego niż zaklęcia — ciągnął Żuraw. — Podejrzewam, że te stworzenia były w stanie użyć jego poprzedniego zaklęcia, aby przebić się przez tarczę, a potem wszystko z niego wyciągnęły, jak z telesonu. I pewnie jak z koszyka Tadritha i Srebrnej Klingi.

— Głupi skur... — Regin ugryzł się w język. — Wydobrzeje?

— Może. Prawdopodobnie. O ile nie da temu czemuś kolejnej szansy na osuszenie źródła magii. — Żuraw wyglądał na złego i Skan go rozumiał. — Zrobię dla niego, co w mojej mocy, ale powinieneś wiedzieć, że to niedużo. Sama Cinnabar wiele by tu nie poradziła. Potrzebuje odpoczynku, odpoczynku i jeszcze raz odpoczynku. Następne kilka dni będziemy go nosić. Najprawdopodobniej do jutra nie odzyska przytomności i kilka dni będzie cierpiał na najgorszą migrenę w życiu.

— No cóż, na tej warcie będzie o jednego mniej. — Regin znów potrząsnął głową. — Głupi... — Spojrzał na Skana, który wyprostował się z godnością.

— Ja mam na tyle rozumu, aby nie próbować magii — odparł na nieme oskarżenie. — Użyję metod bezpośrednich do obrony tego obozu, jeśli coś nas zaatakuje.

Ten idiota myślał, że jeśli postawi tarcze, będzie bezpieczny — parsknął Skan. Po cóż pamiętać, że tarcze są same w sobie magiczne? I ponieważ stawiasz je, wykorzystując własną moc, łączą się bezpośrednio z twoją energią magiczną. Pewnie uważał, że nie trzeba rzucać skomplikowanych zaklęć i uznał tarczę za remedium na wszystko...

Rezultat był natychmiastowy i łatwy do przewidzenia. Wciągnął Żurawia do namiotu, w którym próbowali spać.

— Zostajemy tu — oznajmił mu. — Zostaw Filixa z Reginem w drugim namiocie.

— Pod opieką tylko jednego człowieka? — zdziwił się Bursztynowy Żuraw. Skan potrząsnął głową.

— A czy to ważne? — odparł. — Nic dla niego nie zrobisz, a jeśli coś na nas zaszarżuje, będziemy mieli ważniejsze rzeczy na głowie niż obronę nieprzytomnego maga.

Tak brzmiały twarde, okrutne prawdy wojenne. To była wojna, nawet jeśli Regin jeszcze sobie tego nie uświadomił.

Żuraw o tym wiedział; wykrzywił się, ale nie protestował. Zdawał sobie sprawę, że dla nich dwóch najważniejsze było odnalezienie dzieci. A poza tym wiedział wszystko o ograniczaniu strat.

I całe szczęście, bo kilka chwil później nastąpił drugi atak.

Nie było ostrzeżenia. Nawet nie zdmuchnęli latarni ani nie położyli się spać. Deszcz musiał zagłuszyć zbliżające się odgłosy, ponieważ nic za ścianami namiotu nie wskazywało na to, że nadchodzi niebezpieczeństwo. Skan usłyszał tylko, że Bern najpierw krzyknął ostrzegawczo, potem zawył, a coś ciemnego rozdarło płótno namiotu, wywracając lampę; przez moment panowała ciemność, potem zapaliła się rozlana oliwa. Skan pchnął Żurawia na ziemię i stanął nad nim, uderzając na oślep.

Świat poza namiotem przestał dla niego istnieć, skoncentrował się na zawiraniach powietrza, odgłosach, ruchu i tym, co widział w świetle płonącego oleju. Jego szpony kilkakrotnie natrafiły na coś przypominającego węzową łuskę, rozorały ją do mięsa i zacisnęły się, wyrwijąc kawałki ciała. Przeciwnicy zasyczeli tylko i wypadli przez dziurę w płótnie, jakby zaskoczyła ich wściekła obrona. Walka nie trwała długo, bo Skan się nie zmęczył, ba, nawet się porządnie nie rozgrzał, gdy napastnicy zniknęli, przemykając się bezgłośnie wśród deszczu.

Jeszcze chwilę stał nad Żurawiem; kestra'chern miał swoje powody, aby się nie ruszać. Kiedy wreszcie wykonał jakiś ruch, zdusił krańcem materaca płonącą oliwę i wyprostował lampę.

— Poszli sobie? — zapytał spokojnie spomiędzy Skanowych nóg.

— Tak sędzę — odparł gryf, potrząsając głową, aby powrócić do rzeczywistości. Dopiero wtedy usłyszał jęki rannych i Berna wołającego go po imieniu.

— Jesteśmy tutaj! — odpowiedział Żuraw, zapalając lampę od tłącego się rogu materaca. — Chyba nic nam nie jest.

— Innym się niestety nie udało — odparł ponuro zwiadowca, jęcząc i kaszląc. — Możesz wyjść i mi pomóc? Jeśli odwinę ten gałgan z nogi, wykrwawię się na śmierć.

Żuraw zaklął, złapał apteczkę i wypadł przez poszarpaną ścianę namiotu. Skan podążył wolno za im.

Kiedy zapalili latarnie, aby Żuraw mógł opatrzyć rany i zaczęli szukać reszty, odkryli, że Regin i Filix zostali zabici. Zginęli na miejscu. Bursztynowy Żuraw wyciągnął rękę ku zwłokom i napotkał same strzępy. *Przynajmniej zginęli szybko.* Niewiele z nich zostało. Krew rozlała się wszędzie i trudno było powiedzieć, do kogo należały poszczególne członki.

Skan szybko wyszedł z namiotu, przypominając sobie o ofiarach Hadanelitha. I Ma'ara. . .

Powinienem się uodpornić, ale może widziałem zbyt wiele śmierci, zbyt wiele cierpienia. Może nie jestem tak twardy, jak sądziłem, nawet po tylu latach. Myślenie o ograniczeniu strat to jedno, a tracenie ludzi w ten sposób to drugie. Złapano nas nie przygotowanych, mimo mych tak zwanych lekcji doświadczenia.

Bursztynowy Żuraw został w namiocie dłużej, a gdy wyszedł, zaskoczył Skana skupionym wyrazem twarzy. Kiedy dwóch ludzi szybko zawijało szczątki w pozostałości namiotu, odciągnął Skana na bok.

— Czy te stworzenia to zwierzęta, czy nie? — zapytał.

Skan zamrugał.

— Na pewno walczą jak zwierzęta — odparł ostrożnie. — Niezwykle przebiegłe drapieżniki. Nie mają broni, tylko pazury i zęby, i . . . i szybkość. Nie widziałem czegoś tak szybkiego, odkąd zdechł ostatni makaar. Agresywni drapieżcy; nic dziwnego, że widzieliśmy tu tylko małe zwierzęta. Musieli spustoszyć las przynajmniej ze zwierząt naziemnych. — Potrząsnął głową. — Powinniśmy się tego domyślić i przypuszczać, że zaatakują nas dla pożywienia. Muszą wariować z głodu; na królikach, wężach i robakach długo nie pociągną, nie przy takim wzroście.

Żuraw przytaknął, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

— W takim razie powiedz mi: dlaczego nie odciągnęły łupu, aby go zjeść? Dlaczego nie próbowały zabić pozostałych?

Skan otworzył dziób, by odpowiedzieć, i zamknął go z łoskotem.

— Może im nie smakujemy? — zasugerował nieśmiało.

— Może. Ale to jakoś nie powstrzymuje lwów przed ludożerstwem, gdy głodują. Shalaman nas tego nauczył, pamiętasz. — Żuraw przygryzł wargę. — Mam przeczucie, że te stworzenia coś planują. I nie zamierzają pozwolić nam się wyknać. Skan, one są znacznie gorsze, niż się nam wydaje.

— Według mnie są po prostu wygłodzonymi drapieżnikami — parsknął Skan. — Ale wiem, o co ci chodzi.

Nie miał jednak czasu, by o tym myśleć, bo Bern, który objął dowództwo, zarządził, że nie będzie już odpoczynku tej nocy.

Czas do świtu spędzili, siedząc w kręgu plecami do siebie, patrząc na las z bronią w dłoniach.

To była długa, zimna i przerażająca noc. Za każdym razem, gdy z liścia spadała kropla, ktoś podskakiwał. Za każdym razem, gdy cień zdawał się ruszać, byli gotowi walczyć na śmierć i życie. Skan nigdy nie przeżył bardziej przerażającej nocy, nawet w czasie wojny, i modlił się, aby nigdy więcej nie było mu to dane. Przełęcz Stelvi była letnim porankiem w porównaniu z nie kończącym się oczekiwaniem w zimnie i deszczu. Nie wiedział, jak Bursztynowy Żuraw to przetrzymał; wystarczyło, że miał świadomość, iż w razie potrzeby sam ujdzie z życiem, lecąc ku koronom drzew. Nawet podczas walki miał jakieś szansę. Ale Żuraw nie mógł uciec i nie był wojownikiem, a Skan wiedział, że na jego miejscu umarłby ze strachu.

Kiedy tylko pod drzewami zrobiło się jasno, Bern nakazał wymarsz ku rzece, którą słyszeli całą noc. Ku rzece grożącej wylaniem, ryczącej u ich stóp, na której drugim brzegu było tylko urwisko i skrawek ścieżki.

— Wy dwaj nie jesteście żołnierzami, więc przepławcie się przez rzekę i przygotujcie przepławę dla nas — rozkazał Bern Skanowi i Żurawiowi. Skan popatrzył na wezbrane, grzmiące wody i zaczął poważnie myśleć o tym, żeby się zbuntować.

Ale Bursztynowy Żuraw wziął zwój liny ze szczątków obozu i kazał mu iść za sobą ku nadbrzeżnym skałom. Tam zadzierzgnął prowizoryczną uprząż, a Bern i reszta wpatrywali się nerwowo w las, dzierżąc łuki i noże. Niedługo podniesie się mgła i gdy napastnicy powrócą, obłączeni ratownicy nie dostrzegą ich, dopóki nie będzie za późno.

Żuraw, ekspert od lin i węzłów, ruszał się znacznie szybciej, niż Skan uznał za możliwe w tych okolicznościach. Jego palce tylko śmigały, wiążąc uprząż, z której nie można było się wyplątać, nie niszcząc połowy węzłów. Czterem rannym wojownikom musiało się jednak wydawać, że robił to wolno jak żółw. Upewnił się nawet, że uprząż pasowała na jego plecak — bezcenny plecak, w którym ukrył resztki apteczki, olej i lampkę.

— Pośpiesz się! — krzyknął Bern rozdrażnionym tonem. Żuraw go zignorował i obrócił się do Skana.

— Nie możesz mnie przenieść, ale możesz przeciągnąć mnie przez wodę — rzekł. — Z tych pasów się nie wyslizgnę.

Przywiązał koniec liny do drzewa na brzegu, nie mówiąc nic więcej, ale jego plan był dla Skana jasny. Żuraw mógł swobodnie pływać w uprzęży, ale mógł też zostać przeniesiony, co miał zrobić Skan, przefruwając nad rzeką. Gdy już dostaną się na drugi brzeg, kestra'chern przywiąże linę do głazu czy skały, a reszta zanurkuje i przepawi się do niego.

O ile, oczywiście, na drugiej stronie nie było więcej tych stworzeń, czekających na nich.

Jeśli Żurawiowi przeszło to przez myśl, nie wahał się; gdy tylko zawiązał linę, skoczył do rzeki, zanim jeszcze Skan uchwycił koniec przytwierdzony do uprzęży. Wybity z równowagi, zmagął się przez moment z prądem, a potem wzbił się

w powietrze.

Bursztynowy Żuraw zanurzył się raz, a potem złapał rytm.

— W lesie jest bardziej mokro, niż tutaj! — zawołał.

Skan był bardzo szczęśliwy, że Żuraw dobrze pływa i zaśmiał się nawet z jego dowcipu. Jego przyjaciel trzymał głowę nad wodą, więc jedynym zadaniem Skana było przeciągnięcie go na drugi brzeg.

Jedynym! To jak przeciąganie liny z tabunem perszeronów!

W kilka chwil stało się jasne, że zadanie było znacznie trudniejsze, niż się wydawało. Nie byli nawet jard od brzegu, a Skan już chciał zrezygnować.

Mozolnie uderzał skrzydłami, mięśnie pleców i klatki piersiowej paliły z bólu, gdy mierzył się z prądem i ciężarem Żurawia. W dole Bursztynowy Żuraw walczył z prądem, który chciał go znieść i od czasu do czasu przegrywał. Ale doskonalił umiejętności pływackie w oceanie u stóp Białego Gryfa, więc połączonymi siłami swymi i Skana zawsze zdołał wystawić głowę na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza. Dziesięć uderzeń serca później już byli spóźnieni.

— Szybciej! — ryknął Bern głosem wysokim ze strachu. — Nadchodzą!

Skan zignorował go, wkładając całą siłę w machanie skrzydłami. Żuraw nie za dobrze sobie radził; podstępny prąd ciągnął go w dół, a wynurzanie się zajmowało mu coraz więcej czasu.

Byli w połowie rzeki, gdy za nimi rozległy się odgłosy walki; urywane okrzyki i wrzaski poniosły się po rzece. Postarał się je też zignorować.

Świat zawęził się do twarzy przyjaciela w wodzie, liny w przednich szponach, bólu w udręczonym ciele i odległego brzegu.

Czuł bolesne kłucie w płucach i potworny ból mięśni nóg, wywołany ciągnięciem Żurawia. Oczy zaszyły mu czerwoną mgłą, jak kilka razy w przeszłości, gdy przecenił swe możliwości.

Brzeg był tylko o kilka metrów, ale on stracił już energię, wyczerpał się i był na skraju załamania.

Nie uda mu się. Mógł puścić linę i ratować się albo obaj utoną.

Nie! Nie podda się, gdy cel był tak blisko!

Dalej, gryfie. Jeśli on potrafi, ty też. Tworzycie zespól, pamiętasz? Ufa, że nie pozwolisz mu utonąć.

Pomyśl, co zrobiłaby ci Zimowa Łania, pomyśl, co zrobiłby Gesten!

Bursztynowy Żuraw był z tobą całe życie, gryfie, całe twe życie. Miał twoje wnętrzności na dłoniach i twoją krew we włosach, składając cię na powrót w całość. Nie zostawił cię, nie mógłby tego zrobić

Z jego wnętrza popłynęła siła i z wrzaskiem, który był jednocześnie okrzykiem wojennym i jękiem bólu, dotarł do brzegu.

Schwycił go pazurami, siadając z gracją zestrzelonej kaczki i lądując do połowy w wodzie. Warcząc, chwycił linę w dziób i wyciągnął ich obu, szpon po szponie, na bezpieczny brzeg.

Chciał tam leżeć i dyszeć, ale na drugim brzegu zostało czterech ludzi. Pozbierał się jakoś i stanął na drżących nogach, a Żuraw podniósł się na czworaki i obaj zwrócili się ku drugiej stronie rzeki.

Zobaczyli tylko porwane liście, koniec liny zwisający z drzewa, do którego Żuraw ją przywiązał, wykwitły czerwieni, które nie przypominały kwiatów — i pusty brzeg. Patrzyli, dysząc i opierając się o siebie, dopóki nie podniosła się mgła, pokrywając wszystko mleczną białością.

Zostali sami. Odkrycie drogi na drugi brzeg nie zajmie napastnikom dużo czasu, chyba że zrobili sobie przerwę — na posiłek.

Przez chwilę był pokonany, nieczuły, zmrożony szokiem. Ale przeżył zbyt wiele potyczek i stracił zbyt wielu towarzyszy broni, by ulec paralizującemu bólowi.

Rozpaczać będziesz później, poszukajmy schronienia!

Żuraw spojrzał na niego zza zasłony włosów, zbitych w mokry kołtun; jego ubranie było podarte, ale w oczach miał nadzieję. Przez chwilę Skan się bał, że przyjaciel zwariował.

— Klinga... — zaczął mężczyzna ochryple, a potem zakaszłał, wyrzucając z płuc sporą ilość wody. Skan zwinął szpony w pięść i uderzał go po plecach, dopóki Żuraw nie przestał kaszleć i nakazał mu przestać.

— Klinga — zaczął znów głosem niewiele lepszym. Wzniósł oczy i pokazał na północ. — Jest tam. Czuję ją. Przysięgam, Skan!

Wspólnym wysiłkiem dźwignęli się na nogi i pokuśtykali na północ po śliskich kamieniach i mokrej glinie leżącej na brzegu. Na północ — gdzie musiały być ich dzieci.

Tad obejrzał ostatnią pułapkę, nie mając nadziei, że coś w nią wpadło. Pierwsza wyrsa, którą zabili, była też ostatnią; żadna z pułapek nie zadziałała ponownie. Wydawało się, że wyrsy znajdowały prawdziwą przyjemność w uruchamianiu pustych paści.

Jak na razie nie odważyły się spowodować ostatniej lawiny, którą on i Klinga mogli uruchomić z jaskini. Podejrzał, że była to tylko kwestia czasu. Z drugiej strony nie można było rozbroić pułapki, nie spuszczać jej sobie na głowę, więc mieli równe szanse.

Jak się spodziewał, sidła były puste. Zdecydował, że lina przyda się gdzie indziej i zabrał ją ze sobą. Jednak szkoda, że nic się nie złapało. Był kłębkim nerwów i obawiał się, że wyrsy były w stanie wciąż pozbawiać go energii magicznej, ponieważ znajdowały się tak blisko. Nie odważył się postawić tarcz; tarcze też były magiczne i na pewno zostałyby pożarte.

Kiedy znaleźli jaskinię, sądził, że rzeka i wodospad skutecznie zagłuszą kroki zbliżających się stworzeń, ale ku swemu zaskoczeniu odkrył, że się mylił. W nie-

wielkim stopniu przyzwyczał się do ciągłego ryku i był w stanie rozróżnić inne dźwięki.

Ale ostatnim odgłosem, jakiego się spodziewał, był hałas czyniony przez kogoś — kogoś dwunogiego — wspinającego się po skałach z szybkością niemal samobójczą. I dyszącego.

A już na pewno nie idącego wprost na Tada.

To nie były wyrsy, chyba że wyrsy nagle zaczęły nosić buty!

Ledwie miał czas na zarejestrowanie i rozpoznanie dźwięków, nim stanął oko w oko z ich źródłem. Nie słyszał drugiego, ponieważ ten leciał. Tadrith podniósł głowę i ujrzał wspaniałą, groźną sylwetkę Czarnego Gryfa.

— Tato! — wrzasnął z ulgą i zaskoczeniem. — Bursztynowy Żuraw!

— Nie ma czasu! — wydyszał Skandranon, a Bursztynowy Żuraw przemknął obok Tada. — Biegnij! Ścigają nas!

Nie musiał pytać, co ich ścigało. Skan wylądował ciężko i odwrócił się, by kryć Żurawia. Tad skoczył ku niemu. Jeśli wąskiej ścieżki broniły dwa gryfy, nie było mowy, aby jakakolwiek wyrsa nią przeszła! Ale spróbowały.

Mgła była gęsta jak zsiadłe mleko, a wyrsy zmieniły się w kłęb ostrych kłów i pazurów, starających się ich dosięgnąć. Jednak tylko dwie naraz mogły stawić czoło Skanowi i Tadowi, więc ich taktyka została poważnie osłabiona. Były szybkie, ale gryfy się wycofywały, krok po kroku, usuwając się z zasięgu szponów i kłów.

Krok po kroku. Ostrożnie, bo jeśli poślizgniesz się, skończysz w ich pazurach. Dzięki Urtho za cztery nogi. Dotarli do kamiennej barykady przy wejściu do jaskini, a wtedy do akcji wkroczyły posiłki.

— Padnij! — rozległ się znajomy rozkaz. On i ojciec padli, a nad ich głowami świsnęły kamienie i brzęczące jak złe osy sztylety. Oba trafiły w cel, jeden ze śmiertelnym skutkiem. Wyrsa na brzegu dostała w gardło, zagulgotała i wpadła do rzeki, gdzie porwał ją prąd. Druga miała szczęście: dostała w łapę, ale wydała z siebie syczące wycie i zniknęła we mgle. Skan i Tad wykorzystali przerwę i wpełzli do jaskini.

Tam wstali, gotowi na kolejne starcie, ale wyrsy najwidoczniej miały już dość.

Tad usiadł, oddychając ciężko, jego serce waliło; ojciec był bardziej zmęczony, więc padł jak długi, dysząc z otwartym dziobem.

— Zawsze wiedziałem, że te noże do rzucania kiedyś się przydadzą — stwierdził Bursztynowy Żuraw.

Nie przypominał Bursztynowego Żurawia, którego Tad znał całe życie. Jego długie włosy zmieniły się w splątany przemoczony kołtun; ubranie było poplamione, podarte, zabłocone i ubrudzone sadzą. Jego plecak wcale nie wyglądał lepiej. Talię Żurawia opinał pas, skrywający długi nóż, sakwę i dziwną pochwę, w której mieściły się małe płaskie noże, takie jak te, które gwizdnęły Tadowi nad głową.

— Tak, ale... musiałeś... nauczyć się nimi... rzucać! — odparł Skan, dysząc.
— Ty i te twoje... okazje!
— To była okazja! — zaprotestował Żuraw. — Tuzin za cenę jednego dużego noża, na który mnie namawiałeś!
— Ale wiedziałeś, jak się posługiwać... zwykłym nożem!
Klinga przyniosła ojcu i Skandranonowi bukłaki z wodą, a potem oceniła ich stan.
— Raczej nie zapytam, co się stało z resztą grupy — rzekła cicho. — Jestem pewna, że wiem.

Mała lampa oliwna rzucała ciepłe światło na Bursztynowego Żurawia i jego pacjentkę. Klinga siedziała u stóp ojca, który badał jej ramię, a gryfy strzegły wylotu jaskini.

— Dobrze się spisałaś przy skrzydle Tada — mruknął Bursztynowy Żuraw.
— Szkoda, że on się nie popisał przy twoim obojczyku.

To wyjaśniało, dlaczego ramię ciągle ją rwało.

— Nie będziesz musiał go ponownie łamać, prawda? — zapytała, próbując nie jęczeć. Poklepał ją pocieszająco po zdrowym ramieniu; zadziwiające, ile mógł zdziałać taki zwykły gest.

— Nie, zwłaszcza, że nigdy go nie złożono. Jestem zdumiony, że zdołałaś tyle zdziałać. — Położył czubki palców na kości. — Możliwe, że na początku był tylko pęknięty, nie złamany, a gdzieś po drodze dokończyłaś dzieła. Nie ruszaj się przez chwilę, będzie bolało.

Próbowała się nie garbić, aby nie pogarszać sprawy. Poczwała, jak jego palce się napięły, usłyszała chrupnięcie i zobaczyła wszystkie gwiazdy.

Kiedy odzyskała wzrok, nadal siedziała wyprostowana, a ojciec trzymał dłonie na jej ramionach. Oparła się o skałę, która służyła mu za stółek, i słabo otarła łzy z oczu.

— Nie ruszaj się jeszcze — ostrzegł. — Dawno tego nie robiłem i wyszedłem z wprawy.

Posłuchała i poczuła, jak rozgrzewa się miejsce złamania. Ból zniknął, zmieniając się w lekkie mrowienie.

Zapomniałam, że posiada pewne zdolności. Za mato, aby nadal być uzdrowicielem, ale radził sobie w czasie wojen. Jego rodzina szkolila go przecież na uzdrowiciela, ale empatia zaczęła zawadzać. Na wojnie radził sobie bardzo dobrze nawet z gryfami.

Bursztynowy Żuraw puścił jej ramiona i westchnął.

— Przepraszam, serduszko, nie mogę zrobić tyle, ile bym chciał.

To i tak więcej, niż oczekiwała przed ich przybyciem!

— Świetnie sobie poradziłeś, tato, wierz mi. Mam nadzieję, że zachowałeś coś dla Tada — odparła. — Zwłaszcza tym bardziej, że podczas wojny specjalizowałeś się w leczeniu gryfów!

— Owszem — odparł, a Klinga obróciła się, by na niego spojrzeć. Odgarnął włosy z oczu i wykrzywił się. — Wznowię seans, jak tylko odzyskam siły. Ale nigdy nie zostałem porządnym uzdrowicielem, a przyspieszanie zrastania kości jest trudne i nigdy go nie opanowałem. Może gdybym w młodości otrzymał porządne wykształcenie...

— Wtedy byłbyś uzdrowicielem, Cinnabar związałaaby się z tobą, nie z Tamsinem, a mnie by tu nie było — przerwała. — Kocham cię takim, jakim jesteś, tato. Nie zmieniałabym niczego.

I nagle zrozumiała, że naprawdę tak czuła, po raz pierwszy od dzieciństwa.

Wiedziała, że musiał się otworzyć, aby uzdrawiać; poczuł to i jego oczy napełniły się łzami.

Chciał to ode mnie usłyszeć tak bardzo, jak ja pragnęłam jego aprobaty! — pomyślała, zaskoczona. *Jak mogłam być tak ślepa, myśląc, że tylko dziecko mogło oczekiwać aprobaty od ojca... jaka głupia byłam. Ojciec też potrzebuje aprobaty swego dziecka.*

— Klingo... — zaczął. Nie pozwoliła mu dokończyć. Wyciągnęła do niego ramiona i objęli się, płacząc.

On puścił ją pierwszy; nieelegancko wytarł nos wierzchem ręki i uśmiechnął się słabo.

— Jesteśmy parą sentymentalnych idiotów... — zaczął.

— Nie, jesteście parą rozsądnych idiotów, o ile to nie sprzeczność sama w sobie — wtrącił Skan. — Jeśli chcecie znać moje zdanie, to za długo z tym zwlekaliście. A jeśli nie chcecie i tak wam powiem, bo mam rację, jak zwykle zresztą. Żuraw, do czego ona jest zdolna?

— Wzmocniłem i złożyłem kość — odparł Żuraw, patrząc na Klingę. — I usunąłem ból. Nie proponowałbym walki wręcz, ale na pewno możesz rzucać oszczepem, używać procy i wymachiwać mieczem. Żadnych tarcz, przykro mi bardzo; z tym twoje ramię sobie nie poradzi.

— Nie mamy tarcz, więc to nie ma znaczenia — odparła sucho. — Ani łuków; skoncentrowaliśmy się na zabranii rzeczy, których mogliśmy używać.

— Cóż. Potrafię zrobić oszczep, o ile wiesz, jak się nim posługiwać — westchnął Żuraw. — To powiększy twój zasięg. Powinno się tu znaleźć trochę prostego drewna.

Wie, jak zrobić broń? Ukryła zaskoczenie i przytaknęła.

— Zgadza się na jedno i drugie, a teraz Tad mnie zastąpi, żebyś mógł również na nim wypróbować swą wolę.

Prawie powiedziała „magię”, ale ugryzła się w język. Skoro wursy nie pokazały się, gdy ojciec zaczął leczyć, nie żywiły się mocą uzdrawiającą. I całe szczęście.

Prawdopodobnie była ona zbyt delikatna i miała zbyt mały zasięg, aby wyczuć ją z daleka.

Wstała, chwyciła oszczep dwiema rękami, zachwycając się brakiem bólu i uśmiechnęła się z przyjemnością, wążąc w dłoniach dobrą broń. Tad cofnął się ku tyłowi, a ona zajęła miejsce u boku Skana.

— Czym są te koszmary? — zapytał Skan. — Macie jakieś pojęcie?

— Tad sądzi, że to jakiś rodzaj wyrs, może zmienionych przez burze magiczne — odparła. — Są wielkości konia, czarne i pewnie już wiecie, że pożerają magię.

— Aż za dobrze — warknął Skan.

— Aby jednak nie miały przewagi, straciły trujące szpony i zęby jadowe. Nie sądzę, żeby spróbowały znów nas wprawić w trans, ale kiedy zaczną się wić, mogą cię zahipnotyzować, jeśli nie będziesz uważał.

— Wyrsy, na które polowałem, robiły to znacznie lepiej — stwierdził Skan, obserwując drżące krzaki na drugim brzegu. — Straciły dwie cechy i zyskały jedną. Mogło być gorzej. Jedno zadrapanie i chorowałeś przez tydzień. Mówię o tych wielkości psa. Te wielkości konia wyprowiłyby cię na tamten świat samym dotknięciem.

— To chyba dobra wiadomość — westchnęła. — Sądzę, że to stadko młodych, wodzone przez samicę, chyba ich matkę. Nie wiemy, ile ich jest, na pewno o dwa mniej niż na początku. Nie wiem, czy widziałeś, ale tato jedną zabił; Tad zabił jedną dwa dni temu, wykorzystując lawinę. Problemem jest to, że nie wejda dwa razy w tę samą pułapkę.

— Wyrsa wielkości konia — zamruczał Skan i potrząsnął głową. — Straszne. Wolałbym makaara. Zastanawiam się, jakie i jeszcze urocze niespodzianki zgotowały nam burze magiczne?

Wzruszyła ramionami.

— Teraz liczy się tylko ta. Jest jasne jak słońce, że te bydlaki się mnożą, i to szybko, więc jeśli się ich nie pozbędziemy, pewnego dnia zaczną szukać żarcia w pobliżu naszego domu. — Spojrzała na Skana. — A co się stało z waszą grupą, chociaż chyba się domyślam.

Skandranon opowiedział tak krótko, jak mógł. Nie znała zbyt dobrze tych Srebrzystych oprócz Berna, który uczył ją tropienia, ale uderzyło ją, że wszyscy zachowywali się głupio i niezwykle arogancko. Czy dlatego, że nie napotkali kłopotów bezpośrednio po wylądowaniu, założyli, że nic złego nie mogło ich spotkać?

— Między nami, słońko — powiedział Skan cicho. — Obawiam się, że Regin był idiotą. Podejrzewam, że założył, iż ponieważ jesteś żółtodziobem, prawdopodobnie rannym, a do tego kobietą, twoje kłopoty spowodowało coś, na co on ledwo zwróciłby uwagę. Na początku uważał, ale gdy nie pojawił się mag renegat ani uzbrojona po zęby armia, zaczął działać, jakby był na ćwiczeniach.

Postarała się nie myśleć źle o zmarłych.

— No cóż, nie jesteśmy zbyt doświadczeni i mógł założyć, że wpadliśmy w panikę — stwierdziła. — Jednak walnęłabym Filixa w łeb i związała w chwili, gdy znaleźliście wrak i dowiedzieliście się, że coś tutaj pochłania magię. Dlaczego przyciągać uwagę?

— Dobrze pytanie — odparł Skan. — Szkoda, że tak nie postąpiłem. — Ponury wyraz twarzy zastąpił słowa; w oczach odbijały się jego myśli. Czy też odezwała się jej empatia? *Gdybym tak zrobił, nadal by żyli. Powinienem wcześniej objąć dowództwo.*

Skupiła się na wylocie jaskini, ponieważ źle się czuła, gdy Czarny Gryf przyznawał się przed nią do słabości, nawet milcząco. Choć czuła się też dumna... Nie zrobiłby tego, gdyby nie uważał jej za dorosłą i równą sobie.

— Wszystko sprowadza się do jednego — rzekła ponuro. — Nikt nam nie pomoże, musimy radzić sobie sami. Nie możemy nikogo ostrzec, a to, co przytrafiło się wam, może przytrafić się reszcie, chyba, że są sprytniejsi od Regina.

— Och, to się samo przez się rozumie, najbliższa grupa jest dowodzona przez Ikałę — odparł Skan raczej złośliwie.

Zacisnęła dłonie na oszczepie, a jej serce przyspieszyło rytm. *Ikała — jeśli ktoś ma mnie uratować...*

Potrząsnęła głową: to nie był sentymentalny romans Haighlei.

— Nadal są w niebezpieczeństwie, a my nie możemy ich ostrzec — powtórzyła. — Pamiętaj, te bestie robią się sprytniejsze z każdym naszym posunięciem! Podejrzewam, że sprytu przybywa im za każdym razem, kiedy chłoną magię. Nie sądzę, aby pochodziły stąd, więc Ikała o ich nie wie. Naszą najlepszą szansą na przetrwanie byłoby wyeliminowanie wszystkich bestii, zanim inni na nie wpadną. Jeśli naprawdę robią się coraz wredniejsze po każdym posiłku, niedługo wszyscy będą mieli kłopoty. A z tego, co wiemy, jeśli rzeczywiście dzielą się inteligencją, jak twierdził Aubri, mogą też dzielić się siłą. Im ich mniej, tym są silniejsze.

Bała się, że Skan uznają za idiotkę, skoro myślała, że w czwórkę poradzą sobie z całym stadem wurs, i to nie mając porządnej broni, ale on przytaknął.

— Słyszałeś, Żuraw? — zawołał.

— Każde słowo i zgadzam się — padła odpowiedź. — Samo myślenie, że nam się uda, graniczy z szaleństwem, ale przywykliśmy do angażowania się w szaleńczo ryzykowne przedsięwzięcia, prawda, ptaszydło?

— Jasne! — wyszczerzył się Skandranon.

Ale Żuraw jeszcze nie skończył.

— A co więc, obawiam się, że to dziedziczne. Mam rację, Tad?

Odpowiedziało mu głębokie westchnienie.

— Obawiam się, że tak — mruknął zrezygnowany gryf. — Jaki ojciec, taki syn.

Skan mrugnął do Klingi.

— Po pierwsze, dysponujemy czterema wspaniałymi umysłami i czterema ciałami. Gdyby dodać wasze połamane kości i nasze obolałe stawy, otrzymalibyśmy pewnie tylko dwie sprawne osoby, ale nie szkodzi. Mogło być gorzej!

Klindze przemknęły przez głowę te gorsze scenariusze i przytaknęła. *Oczywiście, mogło być lepiej...*

— Skoro więc ci dwaj z tyłu zajmują się składaniem Tada do kupy, pozwól mi złączyć siły mego podstępnego starego umysłu z siłami twego młodego i odpornego i może uda się nam wymyślić jakąś sprytną taktykę. — Uśmiechnął się do niej, a Klinga, ku swemu zaskoczeniu, odpowiedziała uśmiechem.

— Tak — powiedział Tad z jaskini. — To cała broń, jaką mamy.

— Klinga? — Jej ojciec był zaskoczony. — Wydawało mi się, że mówiłaś, że nie macie łuku.

— Mówiłam! — Zostawiła Skana i podeszła do ognia, gdzie ku swemu zdumieniu zobaczyła krótki łuk i kołczan pełen strzał. — A to skąd się wzięło?

— Niosłem go w plecaku — przyznał pokornie Tad. — Wiem, że zabroniłaś mi go brać, bo nie mogłaś go użyć, ale, nie wiem, myślałem, że może naciągniesz go stopami, a poza tym mogłaś go użyć do rozpalenia ognia.

— Ona nie może go użyć, ale ja i owszem — rzekł Bursztynowy Żuraw. Spojrzał na Skana i Tada. — Wy dwaj, ruszajcie się i zastawcie pułapki przed zachodem słońca; przygotowujemy się na atak.

Zapowiadało się oblężenie; Klinga miała tylko nadzieję, że zastawiane pułapki zdziesiątkują wyrasy, aby mogli poradzić sobie z resztą. Jeśli stara wyrasa tak się piekliła po stracie jednego szczeniaka, co się stanie, gdy straci ich więcej?

Tad i Skan zamierzali założyć specjalne pojedyncze pułapki, i to teraz, gdy wyrasy nadal były daleko. Wiedzieli, że nie ma ich w pobliżu, ponieważ Klinga i ojciec użyli empatii, by je zlokalizować.

Przynętą i spustem był kawałek magii, utrzymujący pułapkę. Dlatego gryfy nad nimi pracowały: były silniejsze od Klingi i jej ojca. Kiedy wyrasy połączą magię wiążącą wszystko razem, zwałą się na nie paści, przeszycią je zastrzone kawałki drewna, sidła owiną im się wokół nóg, a kamienie na brzegu rzeki runą w dół, porywając wyrasy ze sobą. Aby pułapka była bardziej skuteczna, z góry ruszy kolejna lawina i zmiecie ze ścieżki wszystko, co się rusza.

Potrzebowali całego swego sprytu; kawałek magii musiał być tak mały, aby wyrasa wyczuła go dopiero, gdy na nim stanie. Inaczej wchłonęłaby go z oddali, uruchamiając pustą pułapkę.

W tym czasie Klinga z ojcem gromadzili broń, przygotowując się do oblężenia.

Musimy to zrobić teraz — powtarzała sobie. Wyrasy pozbawiają magii Tada i zrobią to samo ze Skanem. Im więcej jedzą, tym są silniejsze. Musimy je zmusić do zaatakowania, zanim się przygotowują i tak je rozwścieczyć, że będą działać instynktownie, nie myśląc. Jeśli poczekamy, kolejna grupa wpadnie prosto na nie...

Kolejna grupa, czyli Ikała i Keenath — a myśl, że któremuś z nich mogło coś grozić, wzbudzała w niej dziką furję i wolę natychmiastowego działania.

Oszczepy; długie i krótkie, surowe, które robił Bursztynowy Żuraw, utwardzając ich końce w ogniu. To była jej broń, oszczepy i nóż, który był tylko kilka cali krótszy od miecza. Bursztynowy Żuraw wziął hak, nóż i sztyleciki. Miała też procę, której mogła użyć w każdej chwili.

Nie było tego wiele, ale wszystko przygotowane do użycia. Kiedy podzieliła broń na dwie części, dla niej i dla ojca, usiadła przy ogniu, aby pomóc mu z oszczepami. On je ostrzył, ona utwardzała w ogniu, aż skończył im się stosik drewna. Wzięła z ogniska jedną żagiew, a on je zgasił.

Ruszyła na tyły jaskini i rozpałała tam nowe potężne ognisko, które miało oszukać wyrsy, aby myślały, że obrońcy znajdowali się dalej, niż w rzeczywistości. Wokół zgromadziła najbardziej mokre drewno. Zanim się zajęło, musiało wyschnąć i sądziła, że dobrze obliczyła, ile czasu jej to zajmie.

Szkoda, że ta jaskinia jest stabilna — pomyślała z żalem. Miło byłoby wpędzić je do środka, a potem zwalić na nie sufit.

Chociaż właściwie to zamierzali uczynić.

Pomogła ojcu zawlec resztę drewna ku wejściu do jaskini i ułożyć je wzdłuż barykady. Było go dużo więcej, niż pamiętała. Tad się napracował!

Lepiej, żeby to zadziało, inaczej za jednym zamachem pozbedziemy się wszystkich zapasów. Co nam zawsze powtarzała Judeth? Nigdy nie rzucaj we wroga mieczem? Mam nadzieję, że nie rzucaamy.

Ale ostrożność nie zda im się na wiele.

Dziwne, że młodzi byli ostrożni, a starzy ryzykują wszystko.

Raz na jakiś czas ona lub ojciec przystawali, zamykali oczy i otwierali się na wyrsy, aby sprawdzić, gdzie przebywały. Teraz wypadło na Bursztynowego Żurawia, który skrócił poszukiwania, włożył do ust dwa palce i zagwizdał przeźliwie, wzywając gryfy. Skan nadleciał, a za nim przygalopował Tad.

Światło dzienne zaczęło już blednąć, zmieniając się w noc, a oni zajęli pozycje. Klinga poprosiła Gwiazdzistooką, aby wszystko poszło zgodnie z planem. . .

Gwiazdzistooką pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, a ci, którzy dobrze planują, nie potrzebują jej pomocy. Nie zapominaj o tym, Klingo. Jeśli nie dałaś z siebie wszystkiego, nie ma co liczyć, że Bogini ci pomoże.

Kucnęła za zasłoną z kamieni i krzaków, z dala od bezpiecznego schronienia, i czekała, dzierżąc jeden oszczep w prawej, trzy w lewej ręce i miała tylko nadzieję, że nie spudłuje. Nie musiała zadawać śmiertelnego ciosu; trafiona ofiara i tak wpadnie do rzeki. Nie mogły się ukryć, nawet w ciemności, bo nie było zupełnie ciemno. Skan zrobił szybki wypad na drugi brzeg i wrócił ze spróchniałym, świecącym pniem. Za każdym razem, kiedy zniknął kawałek próchna, miała rzucać.

Zaplanowali wszystko, teraz musiała czekać. . .

Nigdy nie byłam dobra w czekaniu!

Siedziała cicho, starając się nie podskakiwać z niecierpliwości, i nasłuchiwała.

Skan miał nad wszystkimi przewagę: wiedział, gdzie znajdowały się pułapki, ponieważ wyczuwał energię magiczną. I wiedział, kiedy zostaną uruchomione. W innych okolicznościach te kawałeczki magii, które z Tadem poświęcili, zniknęłyby zagłuszone przez szum energetyczny, ale skoro nic ich nie zakłócało, lśniły jak ognisko w mroku.

Spiął się, kiedy pierwszy zniknął.

To była pętla...

Żałował, że nie ma empatycznych zdolności Żurawia. Chciał wiedzieć, czy coś wpadło w pułapkę.

Postarali się zastawić różne sidła, chociaż może szczeniaki będą się poruszać powoli i tak łakomie rzucą się na magię, że nie skojarzą jej z pułapkami.

W następnej są strzałki, które powinny wykończyć kilka z nich, a reszta będzie ostrożniejsza.

Strzały, ukryte w krzakach, były tak daleko od spustu, że wyrzy na pewno nie wpadną na to, że same je uruchomiły.

Właśnie! W jego umyśle zapaliło się kolejne światełko.

Zostały jeszcze dwie.

Jedna pułapka z góry, jedna z przodu. Pierwsza zabita jedno stworzenie, druga kilka. Żadnego wzorca, żadnego namacalnego spustu.

Kolejna pułapka znów zabijała jedną sztukę i zastawiono ją na ziemi. Sidła. Poczuli, jak napięły mu się mięśnie klatki piersiowej, gdy obserwował iskierkę i czekał, aż szczeniaki nabiorą odwagi. Wiedział, że on i Tad byli nie do wykrycia; zużyli prawie całą energię magiczną, zastawiając pułapki. Nic nie odciągało zwierząt od przynęty.

Czas włókł się niemiłosiernie i Skan zaczął się zastanawiać, czy Tad nie przesadził. Czyżby zniechęcił szczeniaki? Czy strata kilku towarzyszy rozwścieczy je wystarczająco?

Klinga i Bursztynowy Żuraw znali odpowiedź, ale tylko wtedy, gdy uwolnili zdolności empatyczne.

Gdy już niemal się poddał i zaczął wstawać, prawie się demaskując, trzecia iskierka zniknęła.

Szybko przykucnął z powrotem.

Wszyscy usłyszeli, a raczej poczuli, ostatnią pułapkę. Była to ta, która na początku miała spust w jaskini. Kiedy lawina runęła, nie tylko pociągnęła za sobą kilka wyrz, ale, niestety, poszerzyła, półkę przed jaskinią. Jednak nic nie mogli na to poradzić...

Skały pod nim zadrżały, gdy wyrzy zwolniły ostatni spust i nie musiał być empatą, aby wiedzieć, że wpadły w szal. W przeciwieństwie do dotychczas wy-

dawanych odgłosów, ich gniewne wrzaski świdrowały uszy i były słyszalne mimo wodospadu.

Więcej niż cztery. Jednak zbyt późno było na zmiany w planie. Rycząc, runął w dół, wprost na kark ostatniej wyrsy.

Rzuciła głową i wbiła mu zęby w ramię, tuż pod złączeniem skrzydła. Stłumił jęk bólu, wbijając dziób w kark stworzenia.

Wyrsa nie puszczała, ale on też nie. Próbowwała go zrzucić, ale mocno wbił szpony w jej plecy i zad. Zdesperowana przetoczyła się po ziemi, zatapiając zęby aż po kość. Wzrok Skana znów się zaćmił, ale zagłębiał dziób, rozrywając ciało stwora. Zgiął głowę, tnąc swym zakrzywionym, potężnym dziobem skórę, mięśnie i kości.

Kręgosłup... musiał złamać kręgosłup.

Bursztynowy Żuraw stał na skalnej półce i szył z łuku do wyrs, które miały pecha i weszły w zasięg jego strzał. Natarł strzały fosforyzującą pleśnią, więc gdy jedna utkwiła w celu, miał ułatwione zadanie. Gdy wyrsy się zbliżały, walczył z emocjami, ale teraz, gdy doszło do starcia, czuł dziwny spokój. Skoncentrował się na ciemnym kształcie, najeżonym świecącymi strzałami; świat ograniczył się do trafienia kolejnym pociskiem w cel. Prędzej czy później strzał okaże się śmiertelny.

I rzeczywiście, stworzenie zwinęło się na krawędzi rzeki, zawisło nad nią i wpadło do wody.

Wybrał kolejny cel i zaczął strzelać.

Tad był na tyle blisko ojca, aby zobaczyć, w jakie tarapaty wpadł Skan. Nie trzymał się planu — wypadł z kryjówki i wbił dziób w gardło wyrsy, przytrzymując ją szponami. Coś gorącego i smakującego zgnilizną zalało mu język, a wyrsa padła pod ciężarem Skana.

Puścił, plując, aby pozbyć się smaku wyrsiej krwi, a Skan wyswobodził się ze szczęk i pokuśtykał w bok. Tad chronił go, tnąc pazurami zbliżające się wyrsy.

A potem, w jednej chwili, ojciec stanął u jego boku,

— Dobra robota! — wrzasnął Skan. — Jestem twoim dłużnikiem!

— Zajmij się tą po lewej! — odwrzasnął Tad, przyjemnie połączony i pełen nowej energii.

— Jeśli ty zajmiesz się tą po prawej! — rzucił Skan i spadł na nowy cel.

Tad zrobił to samo, jakby powtarzali ten manewr od lat.

Broń Klingi nie nadawała się do szybkiego strzelania i musiała wybierać cel uważniej niż ojciec. Miał więcej strzał; ona tylko kilka oszczepów, a nie wszystkie

latały prosto.

Ale gdy już trafiały w cel, robiły dużo szkód. Widziała trzy wyrsy wpadające do rzeki i zraniła dwie dalsze, wystawiając je na cel gryfom.

Kiedy skończyły jej się krótkie oszczepy, zobaczyła i wyczuła to, na co wszyscy czekali. Suka zaganiała swe młode do jaskini, którą opuścili ludzie i gryfy, zapewne chcąc odwrócić sytuację, atakując z miejsca, które stanowiło ich bastion.

— Wchodzi! — krzyknęła Klinga. Chwyła dłuższy z dwóch oszczepów i skoczyła na ziemię. Chwilę później dołączyli do niej ojciec, Tad i Skan, stając w półokręgu, aby uniemożliwić wyrsum ucieczkę.

Szczeniaki miały dość; ich czarne sylwetki rysowały się na tle ognia płonącego w jaskini. Trzy z nich zgromadziły się wokół matki; nie lubiły ognia, ale nie miały zamiaru stawić czoła ludziom i gryfom.

Suka jednak nie zamierzała rezygnować. Skakała po jaskini, nie wystawiając się na cel, i syczała na młode. Klinga miała wrażenie, że zamierzała je rozpędzić. Ona i Bursztynowy Żuraw ruszyli ku jaskini. Według ich teorii suka, widząc dwoje najsłabszych przeciwników, powinna zrobić dokładnie to, czego po niej oczekiwali.

— Próbuje zmusić je do ataku! — krzyknął Bursztynowy Żuraw. — Przygotować się!

Klinga oparła koniec oszczepu o ścianę, wbrew wszystkiemu licząc, że nie będzie musiała go używać. . .

— Teraz! — wrzasnął Żuraw, gdy szczeniaki ruszyły na barykadę.

Tad i Skan użyli resztek swej energii magicznej i małym, zwykłym zaklęciem zapalili nasączone olejem drewno.

Ponieważ w jaskini płonęło ognisko, w kominie był dobry ciąg. Płomienie skoczyły i połączyły się z ogniem z tyłu. Jaskinia stała się piekarnikiem, a wyrsy pieczenia.

Suka obróciła się i naparła na barykadę naprzeciw Klingi. Jej trupiobiałe oczy lśniły wściekle, a Klinga czuła jej olbrzymią nienawiść, nawet się nie używając empatii.

Bursztynowy Żuraw upuścił oszczep; pochylił się i schwycił za głowę. Kolana się pod nim ugięły i padł na ziemię.

Bez wahania Klinga podniosła oszczep, wymierzyła i rzuciła.

Wbił się w pierś wyrse, która parła naprzód, wrzeszcząc. Skoczyła w powietrze, a ponieważ górowała teraz nad nimi, Klinga była pewna, że przebiję się przez barykadę. Dziewczyna słyszała bicie własnego serca i wrzask wyrse zagłuszający wszystko.

Wyrse nie przesadziła barykady. Oszczep wystawał jej z piersi, wbity niemal do końca. Ruszyła chwiejnie w przód; jej łapy ugięły się i padła, wpychając oszczep jeszcze głębiej.

Klinga przysiadła i sięgnęła po nóż, ale nie mogła oderwać oczu od czarnej wysry czołgającej się w tył, prosto w płomienie.

— Wygraliśmy — powtórzył Tad po raz setny. Deszcz zmywał krew wysr z kamieni, a on wbił szpony w kolejnego trupa i wrzucił go do rzeki. Klinga miała nadzieję, że ryby się nie otrują.

Kiedy płomienie zgasły, weszli do jaskini, aby zobaczyć, co zostało. Niewiele dało się rozpoznać, ale zabrali czaszki zwęglonych wysr, aby je oczyścić. Rodziny zabitych przez nie ludzi miały prawo do czaszek, aby odprawić rytuał zemsty podczas ceremonii pogrzebowych. Oczyszczanie nie należało do przyjemności. Skały w jaskini były przyjemnie ciepłe i dwóch wyczerpanych ojców padło na podłogę i zasnęło.

W tym czasie ona i Tad wyszli na deszcz, aby posprzątać bałagan.

— Ta jest ostatnia, dzięki bogom — powiedziała Klinga, wlokąc bezgłowe ciało ku rzece. Tad i ona wrzucili je do wody i ruszyli do jaskini.

— Żuraw smaży dla ciebie ryby — powitał ich Skan, gdy przeleźli przez barykadę. Zhaneel to by się nie spodobało. Przy okazji, obie grupy ratunkowe są na tyle blisko, aby myślmówić ze mną, więc nie będziemy już musieli jeść ryb.

Serce Klingi podskoczyło z radości, a jej gardło się zacisnęło, gdy uświadomiła sobie, jak blisko musieli być inni zeszłej nocy.

Mogli wejść w taką samą pułapkę, jak nasi ojcowie — pomyślała trzeźwo. Przez cały wieczór zastanawiała się, czy postąpili słusznie, stawiając wszystko na jedną kartę. Teraz wiedziała, że tak.

— Kiedy tu będą? — zapytał Tad, kiedy Klinga wzięła rybę, uśmiechając się w podzięcie.

— Pewnie jutro. Klinga, twoja matka jest przerażona. Tad, twoja matka i brat już by tu lecieli, gdyby nie padało. — Skan uśmiechnął się. — Przyrzekłem, że postaramy się nie rozpuścić przed ich przybyciem.

— Dobre posunięcie — stwierdziła Klinga. — Powiedziałeś im coś więcej prócz tego, że jesteśmy bezpieczni?

Skan zamknął dziób i spuścił głowę.

— Przyznaję, powiedziałem im wszystko, kiedy byli na tyle daleko, aby wasze matki nie rozerwały nas żywcem za nadstawianie karku. — Kaszlnął. — Znam moją Zhaneel i podejrzewam, że Zimowa Łania zareaguje identycznie. Zanim do nas dotrą, zmęczą się na tyle, aby się cieszyć, że jesteśmy cali, i pewnie zapomną, że sami pokonaliśmy wszystkie wysry.

Bursztynowy Żuraw jęknął.

— Może Zhaneel, ale Zimowa Łania na pewno nie — rzekł. — Nigdy mi nie wybaczy, że zachowałem się jak kąpany w gorącej wodzie młodziak i stałem na kamiennej półce w nocy, strzelając do tych przeklętych potworów! A przy okazji

dodam, że właściwie szło mi całkiem dobrze.

Klinga poklepała go po kolanie i uśmiechnęła się pełna miłości.

— Nie bój się, tato — powiedziała z uczuciem. — Obronię cię.

Po raz pierwszy od wielu dni, jeśli nie tygodni, Tad leżał na półce skalnej i wygrzewał się na słońcu. Deszcz w końcu osłabł i choć mgła pojawiła się jak zwykle, po niej wyjrzało słońce. Pora deszczowa już przemijała.

Tad wrzasnął radośnie i zeskoczył z półki, by pogalopować na spotkanie bratu. Keeth wylądował na świeżej plaży przed jaskinią; chwilę później rzucił się bratu w ramiona, odstawiając gryfią wersję poklepywania po plecach, a obie matki z za zakrętu wyłoniły się.

Klinga też zeskoczyła z półki i pomknęła ku matce, a Bursztynowy Żuraw deptał jej po piętach. Tad uśmiechnął się do brata, kiedy Srebrzysta przytuliła się do matki, roniąc łzy. Wreszcie zachowywała się jak każdy normalny człowiek!

Po radosnym powitaniu, gdy Zimowa Łania otarła łzy, z za zakrętu wyszła druga grupa. Klinga urwała w pół zdania i skoczyła ku dowódcy.

Ikala wyglądał na zaskoczonego, ale niezmiernie uradowanego, kiedy Klinga rzuciła mu się na szyję i tylko ekspert mógł stwierdzić, kto kogo pierwszy pocałował.

Tad rzucił okiem na Bursztynowego Żurawia i Zimową Łanię: wyglądali na zaskoczonych, ale wkrótce zaskoczenie ustąpiło miejsca zadowoleniu.

Najprawdopodobniej. W końcu spełniło się ich życzenie!

— A to co? — wyjąkał Keeth. — W życiu się tak nie zachowywała!

Tad roześmiał się.

— To dość skomplikowane, ale chyba jestem w stanie to wyjaśnić. Żuraw uważają teraz za człowieka, a nie tylko i wyłącznie za swoje dziecko. A ona, no cóż, ona wie, kim jest; nie odbiciem Żurawia czy swej matki i nie musi już tak bardzo się starać, by się od nich odróżnić. Jest... jest wolna, wolna i może być sobą.

— A ty? — zapytał Keeth.

— Kiedy zobaczyłem ojca w akcji, nie mam nic przeciwko byciu synem Czarnego Gryfa. Walczył u mego boku i wie, że ma prawo być ze mnie naprawdę dumny. A gdy wieść się rozniesie, zobaczymy, jak sobie poradzi z byciem „ojcem dzielnego Srebrzystego”. Sprawiedliwości stało się zadość.

Keeth wyszczerzył zęby w uśmiechu i oparł się o brata.

— To da nam trochę spokoju i wolności.

Wolność — pomyślał Tad z zadowoleniem. *To jest najważniejsze.*